

ISSN 1644-8154

Nr 16 | 2017

ROCZNIK siemianowicki MUZEALNY



MUZEUM MIEJSKIE W SIEMIANOWICACH ŚLĄSKICH

ROCZNIK siemianowicki MUZEALNY

Nr 16

2017

S I E M I A N O W I C E Ś L Ą S K I E 2 0 1 7

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Zdzisław Janeczek

Grzegorz Musiał

Artur Garbas

Jarosław Bednarz

Leszek Drabicki

REDAKCJA:

Krystian Hadasz

Wojciech Grzyb

OPRAC. GRAFICZNE I SKŁAD:

Adam Malski

NA OKŁADCE:

Jan Jończyk: *Kapliczka IV*

DRUK:

Drukarnia LEGRA, Kraków

www.drukarnialegra.pl

WYDAWCA:

Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Chopina 6

tel. 32 228 50 80

www.muzeum.siemianowice.pl

ISSN 1644-8154

S P I S T R E Ś C I

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZESZŁOŚCI

Władysław Zajewski LISTY WIĘZIENNE MIECZYŚŁAWA ZAJEWSKIEGO PSEUDONIM „TURBACZ” (1918-1988).....	7
Marcin Wądołowski MICHĄŁKOWICKI PARK LUDOWY - ZAPOMNIANE MIEJSCE SPOTKAŃ LOKALNEJ SPOŁECZNOŚCI	24
Agata Krzysztofik OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA... 95-LECIE I LO IM. JANA ŚNIADECKIEGO	33
Danuta Makarewicz-Łój, Zofia Strzybny JAN SZCZEPAŃSKI - TWÓRCA UNIWERSYTETU POWSZECHNEGO W SIEMIANOWICACH ŚLĄSKICH.....	36
Małgorzata Derus Firma „P. Richter”. KAMIENIARSTWO.....	43

W KRĘGU SZTUKI

Zdzisław Janeczek JAN STEFAN JOŃCZYK. CZŁOWIEK-ARTYSTA I JEGO CZASY.....	51
Bogumiła Hrapkowicz-Halorowa ANTONI HALOR. SZKICE DO PORTRETU	135
Anna Maria Zadora ANTONI HALOR O SWOJEJ TWÓRCZOŚCI MALARSKIEJ. RELACJA WYWIADU Z ARTYSTĄ.....	174
Józef Gębski POCZĄTKI FILMOWEJ PRZYJAŹNI.....	180

Z KART SIEMIANOWICKICH ANNAŁÓW

Piotr Dwornik WIECZÓR Z MUZYKĄ I HUMOREM - WSPOMNIENIA	189
Beata Tomanek 40 LAT MINĘŁO	193
Stefania Smoleń MOJE WSPOMNIENIA	206

Z KART SIEMIANOWICKICH ANNAŁÓW

Zdzisław Janeczek MIĘDZY SASKĄ RACJĄ STANU A ZMOWĄ OBCYCH DWORÓW.....	213
Krzysztof Lisowski ZŁOTA NUTA.....	223
Katarzyna Młynarczyk NATCHNIONY REALISTA	226
Dariusz Ostapowicz JAK ZOSTAĆ WYBITNYM HISTORYKIEM?	229
AUTORZY ROCZNIKA	235

Z DZIEJÓW
NASZEJ
PRZESZŁOŚCI

Władysław Zajewski

LISTY WIĘZIENNE MIECZYSŁAWA ZAJEWSKIEGO PSEUDONIM „TURBACZ” (1918-1988)

WSTĘP

Aby wyjaśnić fakt procesu politycznego ppor. Armii Krajowej, dowódcy kadrowego plutonu „szarych szeregów” (3 drużyny), włączonego do 3 brygady „Szczerbca” (kpt Gracjan Fróg), trzeba wyjaśnić co się działo z Mieczysławem po 12 lipca 1944 r. W tym dniu, jak wspominał Mieczysław, na polecenie dowódcy kompanii kpt. „Kmity” (Józefa Grzesiaka), zameldował się na ul. Kalwaryjskiej u komendanta 3 brygady kpt. „Szczerbca” Gracjan Fróg (1911-1951). Rozmowa była dość ostra; Zajewski wyraził chęć złożenia broni. Myślę już po latach od tych odległych wszak wydarzeń, że nie widział szans na militarne zderzenie z Armią Sowiecką. Reakcja „Szczerbca” była krótka, skierowana do jego adiutanta: *Przyszli bez broni to wypuścić ich bez broni*¹. Co się działo dalej z Mieczysławem („Turbaczem”)?

Ujawnione kompanie z walk o Wilno i ci z bronią, i ci bez broni zgromadzonych na Placu Przycerkiewnym przy ulicy Kalwaryjskiej otrzymały rozkaz wymaszerowania szosą „lipówką” w kierunku na Miedniki. Według relacji Mieczysława, daleko za Miednikami, koło miasteczka Turgiele, doszło tam do powtórnego spotkania z kpt. „Szczerbem”, który zapewnił Mieczysława, że jego 3 brygada po ostatecznych ustaleniach z dowództwem radzieckim, zostanie użyta do walk w województwie poznańskim. Mieczysław pozostał przy swoim zdaniu. W nocy z 17 na 18 lipca 1944 dowiedzieli się, że żadnych ustaleń z Armią Sowiecką nie dokonano, natomiast całe dowództwo AK, co się udało na naradę w Boguszech, zostało aresztowane! Zgromadzone kompanie Armii Krajowej zostały niemal błyskawicznie otoczone radzieckimi „pogranicznikami” oraz czołgami T-34, kazano złożyć im broń i następnie kolumnami pomaszerować na miejsce koncentracji². „Turbacz” oraz kilku jego kolegów podjęli decyzję ucieczki w nocy z 18 na 19 lipca 1944 r.

Dnia 19 lipca 1944 r. Mieczysław pojawił się u swego młodszego brata Zygmunta w Wilnie przy ulicy Sawicz 6. We wrześniu przy tejże ulicy Sawicz nr 6 zamieszkała już cała rodzina, zyskaliśmy mieszkanie na parterze, po spaleniu naszego domu na ulicy Śniegowej. Rodzina znalazła się w sytuacji, w której najlepiej chyba zacytować ostatnie słowa bohatera dramatu Czechowa *Wujaszek Wania*: „trzeba żyć, trzeba żyć”... Brat Mieczysław rzadko wychodził na spacer, najczęściej chyba



Henryk Zajewski, ojciec Mieczysława, Zygmunta i Władysława, w grupie dowborczyków. Wilno



Mieczysław Zajewski, absolwent Szkoły Handlowej, obrońca Wilna

przesiadywał, ja natomiast stałem się *głównym żywicielem* rodziny, uprawiając drobny handel kopertami, papierem listowym, ołówkami itp. z żołnierzami Armii Sowieckiej na kolei, którą znałem jak własną kieszeń. Były związane z tym niestety groźne ryzyka, zagrożenia, ale to już zupełnie inny wątek losów mojej rodziny. Mieczysław, późną już jesienią 1944 r., załatwił sobie wcześniejszy wyjazd w ramach tzw. ewakuacji Polaków. Według umowy litewsko-polskiej z 22 IX.1944, osoby, które posiadały obywatelstwo polskie, uzyskały prawo wyjazdu do Polski³. Rozmowa z matką była krótka: z powodu różnych okoliczności muszę miasto opuścić wcześniej i spotkamy się chyba w Łodzi, bo tam już się znalazła rodzina żony Zygmunta⁴. Sam brat Zygmunt został po prostu powołany do Armii Wojska Polskiego gen. Berlinga, bo tylko taki prak-

tycznie miał wybór: Armia Czerwona i I Armia Polska; zaciągnął się tedy do I-szej Armii Polskiej i tyle go widziałem. W listopadzie lub w grudniu 1944 r. Mieczysław nas opuścił, w styczniu 1945 r. znalazł się w Białymstoku i następnie po odbyciu bardzo długiej i okrężnej podróży znalazł się w Łodzi. Powędrował do swojej ciotki, siostry naszego zmarłego ojca Henryka, HELENY PAKĆ, zamieszkałej już z rodziną przy ulicy Wschodniej 18. Przed wyjazdem powierzyłem Mieczysławowi wszystkie nasze rodzinne oszczędności w sumie ponad 20 tys. zł polskich, za które miał nabyć locum w Łodzi, przygotowane już na nasze przybycie. Jeżeli Mieczysław myślał, że wszystko już o nim ucichło, że wszyscy już o nim i jego działalności w Armii Krajowej zapomnieli, wykreślił z pamięci, to się bardzo grubo pomylił.

Nie piszę tego *Wstępu* z dokumentami w rękę, które spoczywają z archiwum IPN w Łodzi, Bydgoszczy oraz innych miast. Piszę z racji mego wieku, wyłącznie i tylko jako obserwator z boku, jako członek rodziny, dotkliwie dotkniętej represjami. Już w trakcie podróży do Białegostoku Mieczysław został kompletnie okradziony ze wszystkich pieniędzy oraz dobytku. Wylądował w Białymstoku tylko w tym, co miał na sobie. Osobiście mam takie przekonanie, że od początku swojej odysei na Zachód był bardzo dobrze, bardzo dyskretnie i bardzo fachowo obserwowany. Przyjęty bez entuzjazmu przez ciotkę, podjął pracę jako administrator w Zarządzie Nieruchomości. Jednocześnie podjął studia na Wydziale Ekonomicznym Wyższej Szkoły Handlowej. Zdążył nawet zaliczyć dwa lata studiów, kiedy rozpoczął się dramat jego oraz całej rodziny. Rodzina z konieczności ulokowała się najpierw w mieszkaniu rodziców synowej Jadwigi, a po kilku miesiącach, wegetacji, otrzymaliśmy na trzecim piętrze jeden tylko pokój 12 m kw na 4 osoby, gdzie była kuchnia na węgiel i tylko kran z zimną wodą. Ubikacja była na podwórzu zbiorowa. Warunki gorsze niż spartańskie.

Tymczasem nadciągał grom starannie przygotowywany już od 1945 r. przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego tzw. Operacja X; miała ona polegać na wyłapaniu wszystkich byłych oficerów i nawet żołnierzy Wileńskiego Inspektoratu Armii Krajowej,



Żołnierze 3 Wileńskiej Brygady AK w Turgielach



Mieczysław Zajewski w mundurze WP

działających w okresie wojny, szczególnie w wywiadzie, a takim właśnie oficerem był Mieczysław!!! Ludzie, co do których padł jakikolwiek cień podejrzenia byli chwytni i jak pisze wysoce kompetentny historyk, w śledztwie poddawano ich torturom (5). Dnia 25.VI.1948 aresztowano we Wrocławiu Komendanta Wileńskiego Okręgu Mobilizacyjnego AK płk Antoniego Olechnowicza, zaś 29 czerwca w Łodzi aresztowana została łączniczka Regina Sakowicz, pseudonim „Renia”⁶. Z wyjątkiem oczywiście Mieczysława, nikt z nas nie wiedział, że owa „Renia” była *in spe* narzeczoną mego brata! Co więcej

pod koniec maja lub na początku czerwca 1948 r., pod moją nieobecność brat przyniósł od panny Reginy Sakowicz wielką paczkę papierów nazwanych później w procesie „dokumentami poufnymi tajnej organizacji antypaństwowej”, a także jakoby pistolet panny „Reni”. Ani Mama, ani ja nigdy go nie widzieliśmy!!! Klimat robił się jakiś w domu dziwny, więc na prośbę zaniepokojonej Mamy, przejrzałem owe tzw. Tajne dokumenty i chyba jestem jedynym żyjącym jeszcze ich czytelnikiem, bo zasadnie podejrzewam, że ci UB-cy, co prowadzili owe <śledztwo> ich nie czytali, bo to było im niepotrzebne, bo im nie chodziło o ustalenie żadnej prawdy!!! Były to rodzinne papiery pana Zygmunta Sakowicza, ojca panny Reginy. Owe „dokumenty” pochodziły z okresu II Rzeczypospolitej, to były różne bardzo ściśle osobiste dokumenty, świadczące o karierze pana Zygmunta Sakowicza w „Obozie” piłsudczyków w Wilnie. Legitymacje, pisma pochwalne, gratulacje itp. Jestem jedynym żyjącym jeszcze człowiekiem, który zapoznał się z owymi „dokumentami”, nic one nie miały, nawet cienia śladu jakiegokolwiek organizacji antyrządowej!!! Ten cały późniejszy zrzut był czystym, ordynarnym wymysłem członków ekipy śledczej łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

Wiedziony może bardziej Bożą Opatrznością niż intuicją, mimo prośb zaniepokojonej Mamy, nie udałem się do ciotki Heleny Pakć na ulicę Wschodnią nr 18, by szukać mego brata. Skończyłem właśnie znakomitą Szkołę Podstawową nr 49 na ulicy Staszica i zdałem pomyślnie egzamin do 11 Państwowego Liceum Ogólnokształcącego. Zmęczony, zatroskany poprosiłem naszego szkolnego księdza prefekta księdza Stanisława Świerczka o pomoc. Ten znakomity kapłan, były więzień Obozu Koncentracyjnego w Dachau, wysłał mnie do znajomej mu rodziny w Żelowie koło Łodzi. Stało się to gdzieś po 20 czerwca 1948 roku, w każdym razie po egzaminach do Liceum. Z Żelowa powróciłem do Łodzi około 15 lub 20 lipca i następnie tramwajem na ulicę Zgierską 36 i tam na III piętrze z przerażeniem zobaczyłem pieczęć urzędową na naszych drzwiach!!! Zapukałem do drzwi szwagierki Jadwigi, żony Zygmunta i ta oświadczyła że wszyscy: Mieczysław, Zygmunt i matka Anna zostali aresztowani przez UB, a mieszkanie opieczętowane!!! Spadły na mnie wszystkie gromy z Nieba, przygnieciony padłem chyba na kolana... Z dokumentów jakie mam w domowym archiwum, z zachowanych kopii jasno wynikało że Zajewska Anna została aresztowana 4 lub 5 lipca 1948 roku!



Mieczysław Zajewski



Mieczysław Zajewski

W akcie oskarżenia podpisanego przez chorążego Mariana Stasińskiego napisano, że *oskarżona Zajewska Anna, bardzo chytra i przebiegła, także ściśle związana z tajemnicą członków nielegalnej organizacji czyniła różne matactwa i kłamstwa*, ale w toku przesłuchań oskarżona przyznała się do winy. Naturalnie ów podchorąży Stasiński nie napisał ani słowa o „metodach” swego śledztwa. Poznałem je z opowieści więziennych Mamy, ale gdy złożyłem swoje zeznania prokuratorowi IPN, było już za późno, podchorąży Stasiński znalazł się już po drugiej stronie rzeki Styks⁷.

Jako jedyny jeszcze żyjący obserwator w roli członka Rodziny, byłem na trzech procesach przeprowadzonych w Łodzi przed Wojskowym Sądem Rejonowym. Jechałem z bratem Karolem (cierpiącym na poważną gruźlicę od 1944 roku) szwagierką Jadwigą i może kilka innych osób nam towarzyszyło, ale nie jestem pewny. Ruszyliśmy na ten proces tramwajem z ulicy Obrońców Stalingradu (dawniej Legionów) kilka dobrych przystanków później doszliśmy pieszo do ulicy Zielonej. Stała tam, po drugiej strony ulicy jednopiętrowa dawna willa, dość niepozorna, z tablicą WSR; tam na pierwszym piętrze odbyła się przy pustawej lub prawie pustej sali rozprawa Anny Zajewskiej. Niech nikt nie wyobraża sobie rozprawy jak na obecnych filmach amerykańskich lub angielskich, czy wszelkich innych zachodniej produkcji.

Oskarżoną Annę Zajewską wprowadzono w kajdankach, zmaltretowaną, bladym uśmiechem tylko nas przywitała. Oskarżyciel odczytał akt oskarżenia, obwiniona na pytanie przewodniczącego WSR przytaknęła, czy coś tam powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że tam w paczce przyniesionej były jakieś dokumenty, tedy na wszelki wypadek schowała pakiet na strychu, możliwie że coś tam w zamieszaniu nawet spaliła, ale żadnej broni nigdy nie widziała. Adwokat z urzędu, wstał prosił o najniższy wyrok kary. Po „naradzie”, prezydujący odczytał 17 stycznia 1949 r. werdykt zgodnie z prośbą obrony „najłagodniejszy”, czyli 5 lat bezwzględnego więzienia!!! Pamiętam, że jako licealista, (pół bezdomny), pisałem potem listy do prezydenta Bieruta z prośbą o uwolnienie mojej Matki. Po długich, bardzo długich tygodniach z własnej chyba „kontroli praworządności”, Naczelny Sąd Wojskowy w składzie: płk. Drohomirecki, ppłk. Jan Hryckowian i ppłk. Badecki na rozprawie w Warszawie z 29 marca 1949 r. unieważnił werdykt WSR w Łodzi z 17 stycznia 1949! NSW stwierdził, że artykuł 148 kk WP *zwalnia od odpowiedzialności osoby udzielający pomocy swoim najbliższym, w tym przypadku synowi przez matkę*. Mamę zwolniono 11 kwietnia 1949 roku. Spotkałem ją nazajutrz, po południu na schodach naszej klatki – czekała na mój powrót z liceum. To spotkanie było jednym z najszcześniejszych dni w moim życiu!!!

Proces brata Zygmunta, aresztowanego w mieszkaniu ciotki Heleny Pakć 1 VII 1948 przebiegał najsprawniej i najkrócej w tymże samym WSR w Łodzi. Odpowiadał za przyjęcie od aresztowanego brata Mieczysława pistoletu „Viss” kaliber 9 mm oraz 13 naboí oraz schowania go w Zakładzie Stolarskim przy ul. Zawadzkiej nr 19. Oskarżony długo odmawiał w śledztwie przyznania się do winy i dopiero po zeznaniach Mieczysława, przyznał się do winy 8.IX. 1948 r. Biorąc jednak pod uwagę, że oskarżony Zajewski Zygmunt z zawodu stolarz, *bezmajątny, służył w wojsku w I pp I Dywizji Kościuszkii od listopada 1944 do grudnia 1945 w stopniu szeregowego, oznaczonego Medalem za Warszawę, Odrę i Berlin i zwycięstwo nad Niemcami*, werdykt WSR był najłagodniejszy. Zygmunt skazany został na 2 lata więzienia, ale zaliczono mu od chwili aresztowania czyli od 1.VII.1948. Praktycznie odsiedział niepełny rok⁸.

Trzeci, główny proces Mieczysława Zajewskiego odbył się przed WSR w tej samej sali 25 VI 1949. Oskarżono go z art. 86 kodeksu karnego Wojska Polskiego oraz art. 4 Małego Kodeksu Karnego, iż jako *członek nielegalnej organizacji usiłował przemocą obalić ustrój Państwa Polskiego, w tym celu posiadał nielegalnie broń palną*. Dalej następował opis owej nielegalnej broni, który podałem wyżej przy sprawie brata Zygmunta. Za powyższe <przestępstwa> WSR skazał Zajewskiego Mieczysława z wymienionych już artykułów na 5 lat więzienia, utratę praw honorowych na 2 lata i całkowity przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa, ale łącznie kara wynosiła 6 lat więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na dwa lata⁹. Po werdykcie, pamiętam pozwolono nam wymienić kilka zdań ze skazańcem. Mieczysław po kilku słowach serdeczności, skuty kajdankami odchodził pod ścisłą eskortą, ze słowami z Księgi Mądrości Syracha: *Aż do śmierci idź w zapasy o Prawdę... a Bóg będzie walczył o ciebie...*

POSTSCRIPTUM

Sztuka czytania dokumentów archiwalnych, bez odpowiedniego wykształcenia, prowadzi na manowce. Dlatego na licznych seminariach historiograficznych oraz wyspecjalizowanych uczy się młodych adeptów historii sztuki krytycznego czytania dokumentów oraz badania ich autentyczności¹⁰. Listy z głębokiej nocy stalinowskiej wydają się pozornie niewinne, może nawet błahe, ale na tym polega błąd nieumiejętnego czytania. Każda kartka pocztowa czy zwiezły list nosi stempel realnego oznaczonego numerem cenzora. Bezradny więzień z biegiem czasu nabiera doświadczenia i jak ognia unika każdego słowa noszącego znamiona cierpienia. Niewinne z pozoru zdanie *czuję się znośnie* lub *czuję się dość dobrze* brzmi naiwnie i niewinnie, takie tylko zdania cenzor przepuszczał w danej kartce czy liście. W dramacie z czasów Neroną pt. *OKTAWIA* (autorstwa Seneki) w pewnym momencie poirytowany Neron woła do filozofa: *niech zginą wszyscy, których podejrzewam o zdradę*¹¹. Epoka Stalina namnożyła mnóstwo małych, drobnych i średnich Neronów o cechach paranoicznych, którzy w biciu i torturowaniu więźniów znajdowali wyładowanie swojej akumulacji zła. W tej skali trzy-stopniowej gdzie pierwszym stopniem pobytu w Hadesie Ciemności czy raczej Tartaru – stają się przesłuchania w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, natomiast długość pobytu więźnia zależy już od jego skłonności do *współdziałania* lub odporności na ból, na rozliczne tortury fizyczne. Oczywiście z tego okresu nie ma żadnych listów, żadnych kartek,. Rodzina również nie ma żadnych kontaktów z więźniem politycznym. Jak dostrzegli niektórzy historycy badający głębiej ten problem, reżim stalinowski rodził w ten sposób i to dość skutecznie *strach pokoleniowy*. Identyfikacyjny klimat zniewolenia duchowego i fizycznego przymusu dominował w Łodzi na ulicy Anstata w siedzibie UB¹².

Gdy już został praktycznie „przygotowany” więzień, sporządzenie „aktu oskarżenia” było już drobnostką, wtedy aresztowany kierowany był do więzienia śledczego i tam oczekiwał na rozprawę przed WSR. Naturalnie więzień śledczy podlegał wszystkim karom dyscyplinarnym istniejącym w regulaminie danego więzienia. Dopiero po ostatecznym procesie oraz wyroku, więźnia



Portret Mieczysława namalowany przez bratanka Zbigniewa



Kartka pocztowa z Rawicza ze stemplem: „ZSRR jest i pozostanie potężną twierdzą pokoju, otuchy i oparciem wszystkich Narodów Walczących o utrwalenie pokoju i swej niepodległości” – Bolesław Bierut. 5 VI 1950

kierowano już do oznaczonego więzienia, najczęściej już do innego miasta czy województwa. Takie naturalnie więzienie jak Rawicz, posiadało swój regulamin kar porządkowych, niejednokrotnie bardzo dotkliwych dla uwięzionego za najczęściej urojone łamanie dyscypliny (karcer, ciemność, zimno bez ubrania itp.). Owe natomiast <paczki> które dopytywał i prosił uwięziony mój brat lub też zasiłek pieniężny były gromadzone nadludzkim wysiłkiem. Pomagali szlachetni ludzie, kilka paczek przygotowała i wysłała własnym kosztem moja znakomita polonistka ze Szkoły Podstawowej Nr 49, śp. Pani Irena Stępień.

* * * * *

W. Pani
ZAJEWSKA ANNA

To moja pierwsza kartka. Specjalnie nie mam co do pisania. Czuję się dziś dobrze. Proszę przy przesyłaniu papierosów, położyć je na tytoń. Proszę też pamiętać, że możecie do mnie pisać i korzystać z tego, ponieważ otrzymanie listu w moich warunkach jest rzeczą wiele przyjemną.

Proszę przyjąć pozdrowienia oraz podziękowania za paczkę. Pozdrowienia znajomym

Mietek, 17.7.1949
W.S.R. więzień śledczy
Łódź, ul. Kopernika 29

* * * * *

W. Pani
ZAJEWSKA ANNA

Dziękuję za paczki. Pieniądzy dotychczas nie otrzymałem. Proszę więc pójść na pocztę i reklamować. Ja czuję się na ogół dobrze. Trapi mnie jedynie sprawa Zygmunta i choroba Karola. Proszę bardzo wysłać tę kartkę do Karola lub mu napisać, to jedyny dla niego ratunek częste przebywanie poza Łodzią. Gdyby on po wyjściu ze sanatorium mógł pozostać jeszcze w Zakopanem lub gdzieś w innym rejonie. Niech pamięta, że Łódź dla niego – to trumna. Ja w obecnych warunkach nic pomóc nie mogę. Na następne widzenie, o ile to będzie możliwe, to proszę przyjść na widzenie razem z Władkiem.

Po zatem nic nie mam do powiedzenia. Proszę przesać pozdrowienia znajomym

Mietek

Łódź, 7.8.1949

W. Pani

ZAJEWSKA ANNA

Kochana Mamo, Ostatnim widzeniem Zygmunt sprawił mi dużą radość. Nie wiem tylko co będzie z Karolem. Jego choroba nas trapi. Władek niech się uczy i pamięta o dalszych studiach – bo chcąc być człowiekiem, trzeba dużo nad sobą pracować. Chciałbym aby on przyszedł na widzenie. Zezwolenia na tran i książki jeszcze nie mam. Proszę się nie martwić i nie przemęczać się – ponieważ zdrowie jest ważną rzeczą. Proszę przesłać znajomym pozdrowienia. W paczkach proszę przysyłać tylko to co można, ponieważ inne dodatki konfiskują. Jeszcze raz przesyłam pozdrowienia i całuję was.

Mietek, 18.9.1949

Łódź, Kopernika 29

W.S.R. Łódź, więzień śledczy

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA

Łódź, ul. Zgierska 36/20

Kochana Mamo,

Wczoraj otrzymałem list Władka z września. Czuję się znośnie. Proszę przy przysłaniu paczek pamiętać, że można przysyłać masło i smalec lub słoninę, smalcu i słoniny razem nie można. Zresztą jest mi wszystko jedno, bo wiem, że wam nie jest lekko. Proszę przesłać Karolowi pozdrowienia – to samo wszystkim znajomym. Jak się czuje Mama? Niech Władek pamięta, że już jest czas najwyższy pomyśleć o dalszych studiach i dlatego chciałbym, aby przyszedł do mnie na widzenie. Jeszcze raz zasylam pozdrowienia i dziękuję za paczki.

Mietek, 2.10.1949

Łódź, Kopernika 29

W.S.R. Łódź, więzień śledczy

* * * * *

W. Pani

ZAJEWSKA ANNA

Kochana Mamo, chcę na wstępie poprosić Władka, aby znalazł w mieszkaniu książkę: Ludwik SELEN, Ekonomia Polityczna. Proszę tę książkę przysłać mi w paczce. Inne skrypty, szczególnie EKONOMIĘ Polityczną prof. Oskara (Lange) proszę na razie nie przysłać, a tylko przygotować. Będę mógł trochę się uczyć. U mnie nic się nie dzieje ciekawego. Czuję się znośnie. Na ewentualne widzenie, jak zakończy Władek zastrzyki, to niech przyjdzie, a Mama proszę uważać na swoje zdrowie.

Przyjmijcie pozdrowienia i podziękowania za paczki. Jak się czuje Karol?

Wasz Mietek

Łódź, 16.X.1949

ZAJEWSKA ANNA
Łódź, Zgierska 36/20

Kochana Mamo,

Dziękuję za otrzymane paczki. Czuję się na ogół dość dobrze. Ciekaw jestem co się dzieje u was. Kiedy ma wrócić Karol? Czy Władek zakończył już otrzymywanie zastrzyków? Jeżeli Władek będzie miał czas, to niech przyjdzie na widzenie. Niech Mama w miarę możliwości dba o swoje zdrowie. Zasyłam Wam i znajomym najserdeczniejsze pozdrowienia.

Mietek, 6.11.1949
W.S.R. więzień śledczy
Kopernika 29, więzienie

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA
Łódź, Zgierska 36/20

Kochana Mamo

W tym tygodniu otrzymałem skrypty Ekonomii za które serdecznie dziękuję – mam co czytać. Smuci mnie bardzo fakt choroby Mamy. Proszę o ile tylko to możliwe leczyć się i jak najmniej pracować. Gdy wróci Karol niech napisze jak się czuje. Ja czuję się znośnie. Mam wielki apetyt na śledzia i sądzę, że może na Święta Bożego Narodzenia zaspokoję. Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i podziękowania za paczki. Pozdrowienia znajomym

Mietek 20.11.1949
W.S.R. więzień śledczy
Kopernika 29

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA
ul. Zgierska 36/20

Kochana Mamo,

Na samym wstępie chcę wam wszystkim złożyć powinszowania Świąteczne i Noworoczne! Już drugie Święta spędzam samotnie, zdala od was, ale co zrobić – taka jest wola Boża. Zasmucił mnie bardzo fakt choroby Zygmunta. Jakbym chciał aby pomyślał on o przyszłości oraz o celowości życia i żeby wreszcie zaczął dbać choć trochę o siebie. Powinien zdawać sobie sprawę, że ciasne, źle przewietrzone mieszkanie, złe odżywianie się i ciężkie łódzkie powietrze – to pierwsi jego wrogowie i do tego nieubлагani. Żadnych łask i ulg prętki gruźlicy dla nikogo nie stosują i na pewno stosować nie będą. Życzę wam wszystkim zdrowia i dobrego samopoczucia i przede wszystkim abyście więcej dbali o swoje własne zdrowie.

Wasz Mietek, Łódź, 18.12.1949
W.S.R. więzień śledczy
Kopernika 29

ZAJEWSKA ANNA
ul. Zgierska 36/20

Życzenia wasze i paczkę świąteczną otrzymałem za co serdecznie dziękuję. Otrzymałem też pieniądze. Czuję się na ogół znośnie. Martwi mnie wielce wasze ciężkie położenie materialne. Proszę pamiętać przy paczkach, że nie jestem wcale wymagający i gdyby było ciężko, to zawsze zrezygnuję z nich. Proszę mi napisać jak jest ze zdrowiem waszym, co słychać u Karola, Zygmunta, Władka i jak serce Mamy. Miałem dwa wrzody, ale już na szczęście się zakończyły. Kartek pocztowych miałem już za dużo i proszę mi więcej nie przysyłać. Tytoniu może mi można przesyłać, o paczkę mniej papierosów. Przyjmijcie moje najlepsze pozdrowienia i podziękowania!

Wasz Mietek
Łódź, 8. I. 1950
W.S.R. więzień śledczy

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA
ul. Zgierska 36/20

Kochana Mamo,

Przykro jest mi niezmiernie, że w tym czasie, gdy są tak ciężkie warunki, jeszcze ja siedzę na karku, że tak powiem waszym. O jedno proszę tylko, aby Mama ze swoim sercem nie próbowała nawet szukać pracy. Wolę zrezygnować z paczek niż mieć świadomość, że są płacone zdrowiem. Do Karola mam prośbę, czy mnie zrozumiał nie wiem. Niech dba o rodzinę, jeśli tylko może, niech da choć trochę z siebie, nie tylko chęć ale pracę. Ja nie wiem kiedy wrócę, ale chciałbym żeby po powrocie mógłbym mu podziękować i zrewanżować się czymś dobrym, a nie zarzutami. Proszę cię Karolu, pamiętaj o tym. Poza tym proszę przyjąć podziękowanie za opiekę nad mną. Kartek pocztowych proszę już mi nie przysyłać, tytoniu trochę mniej.

Mietek
Łódź, dn. 22.I. 1950
W.S.R. więzień śledczy
Kopernika 29

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA
ul. Zgierska 36/20

Kochana Mamo,

Czuję się jak zawsze na ogół dobrze. Niczego mi nie brakuje. Czas powoli mija. Źle jest mi tylko jak myślę o Was, o tym jak w ciężkich warunkach się znajdujecie, jak ciężko przychodzi walczyć o byt. Jest mi tym bardziej przykro, że ja do tego nieświadomie się przyczyniłem. Proszę szczególnie Karola, żeby on wziął na swoją głowę czy sumienie kwestię utrzymania głównie Mamy. Wszak jest rzeczą nie do pomyślenia, wprost karygodne, aby Mama ze swoimi latami, a głównie ze swoim zdrowiem próbo-

wała ryzyka pracy. Kto przyjmie? Proszę was starajcie zaradzić w jakiś inny sposób. Mnie jest trudno coś poradzić, ponieważ nie znam szczegółów, ale wydaje mi się, że Karol powinien pracować. Proszę go o to, nie chcę wywierać presji ale niech pamięta, że chciałbym z nim żyć jak z bratem. Niech on moją przeszłość daruje ,a przyszłość jego zawsze mi będzie na sercu i potrafię odwzajemnić się szczerze.

Wasz Mietek
Łódź, 5. 2.1950
W.S.R. więzień polityczny

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA
ul. Zgierska 36/20

Kochani,

List Władka a raczej dwa otrzymałem. Cieszę się, że operacja udała się oraz z jego postępów w nauce. Smucę się jednocześnie istniejącymi kłopotami, jak istniejącym nieporozumieniem. Władek daje piękne rady. Dziękuję jakoś mi idzie. Chciałbym tylko, gdy będę miał widzenie za miesiąc, aby przyszedł Karol. Po zatem chciałbym was zawiadomić, że tytoniu proszę mi nie przysyłać, ponieważ przestałem palić. Po zatem proszę ściśle przestrzegać przypisów przy pakowaniu paczek. Jeśli chodzi o paczkę wielkanocną to proszę mi ją podać jak najwcześniej (bez cytrynowego proszku). Mięso może być byle jakie, nawet konina. Ja osobiście czuję się znośnie. Piszcie do mnie dwa razy w miesiącu co słysząc. Przesyłam wam życzenia Wielkanocne, życzę pomyślności i zadowolenia, a Mamie zdrowia. Dziękuję za opiekę i proszę Karola aby czasami myślał i o innych oraz aby bezwzględnie przyszedł na widzenie. Pozdrowienia znajomym i podziękowania

Mietek
PS. Do kwietnia prawdopodobnie nie napiszę
Łódź, dn.5.3.1950
W.S.R. więzień polityczny

* * * * *

ZAJEWSKA ANNA

Kochana Mamo,

Przed paru dniami otrzymałem list Władka i z przykrości dowiedziałem się o chorobie Mamy. Fakt ten zasmuca mnie bardzo i gnębi, ponieważ zdaję sobie sprawę, że moje postępowanie mogło do pewnego stopnia przyczynić się do pogłębienia choroby, a w najlepszym przypadku nie zapobiegło. Jestem w sytuacji trudnej i co mogę uczynić- to tylko prosić Wszechmocnego o łaskę. Życzę Wam wszystkim, a szczególnie tym, którzy nie zapominają o mnie: wszystkiego najlepszego, a przede wszystkim zdrowia i wiele innych rzeczy. Dziwię się poza tym skąd macie ewentualne wiadomości o mojej chorobie. To jest nieprawdą. Czuję się dobrze. Przestałem palić nie dlatego, że mi zdrowie szwankuje, a jedynie i wyłącznie ze względu na koszty. Nie mogę pozwolić, abyście będąc w tak ciężkich warunkach wydatkowali się na rzeczy, bez których mogę

się obejść. A więc palenie na okres kary odłożyłem i palić nie będę i proszę palenia nie przysyłać.

Na zakończenie proszę przyjąć moje najlepsze życzenia i pozdrowienia. Przede wszystkim zdrowia Mamie. To samo Władowi, Karolowi i Zygmi i Jadzi .Mam dość duży dług wdzięczności w stosunku do Was wszystkich.

Wasz Mietek, Łódź, dn. 2.IV.1950

W.S.R. Więzień polityczny

* * * * *

Kochana Mamo,

Jestem na nowym miejscu, czuję się dobrze. Tutaj paczki można przysyłać raz jeden w miesiącu wagi wraz z opakowaniem około 7 kg. Specjalnie ograniczeń co do ilości tłuszczu, jak i cukru nie ma. Nie można tylko przysyłać chudego boczku i słodkich sucharów. Proszę więc przy okazji przysłać paczkę i żeby w niej było tłuszczu około 2 kg; cukru 1,5 kg i cebuli 1,5 kg, po zatem trochę sucharów. Tłuszcz najlepiej w dużym blaszanym kubku. To wszystko. Co do widzenia to można jeden raz w miesiącu w poniedziałki i czwartki. Proszę jednak na razie nie przyjeżdżać ze względu na znaczne koszty. Po zatem popieram zamiar Zygmunta co do wyjazdu z Łodzi. Zasiłam wszystkim pozdrowienia i podziękowania. Piszcie do mnie dwa razy w miesiącu. Mój adres:

Zajewski Mieczysław, syn Henryka, urodzony 17.11.1918; Centralne Więzienie w Rawiczu, województwo poznańskie

Mietek, Rawicz 30.4.1950

* * * * *

Kochana Mamo,

List Władka otrzymałem - dziękuję. Czuję się na ogół dobrze. W paczce żywnościowej może być tłuszczu 2 kg (jak będzie więcej to też otrzymam), cebuli i czosnku (najlepiej ok. 1,5 kg) cukru 1,5 kg i trochę sucharów. Chleba nie potrzebuję. Można też przysłać tran jeden litr miesięcznie. Ale teraz są upały i tran szybko nabiera przykrego zapachu. Cieszę się, że Zygmunt już wyjechał, a Władek wyjedzie na kolonie. Smucę się stanowiskiem Karola w mieszkaniu i przyznam, że nie bardzo go rozumiem, choć współczuję mu w jego chorobie. Na widzenie proszę raczej nie przyjeżdżać. Z pieniędzy przeznaczonych na podróż, zużyć na jedzenie lub leczenie swego chorego serca.

Pozdrowienia wszystkim: Mietek

Więzienie Centralne w Rawiczu

Pisane: Rawicz, 5.6. 1950

* * * * *

Kochana Mamo,

Wczoraj otrzymałem paczkę - serdecznie dziękuję! Proszę tylko w następnej posypać słoninę solą i nie tak cienko krajać. Szkoda, że tak często nie piszecie co się u was dzieje. Ja czuję się dobrze. Proszę pisać konkretnie dwa razy w miesiącu, bo czuję się nieprzyjemnie, gdy nie mam żadnych wiadomości. Prosiłbym aby Władek będąc

w ostatniej klasie napisałby o ewentualnym wyborze zawodu. Może poradziłby mu co nie co. Posyłam wam wszystkim pozdrowienia. Pamiętajcie, że zdrowie to najcenniejsza rzecz. Życzę wam tego wszystkim. Pozdrowienia wszystkim znajomym. Piszcie!

Mietek, 11.7.1950

Więzienie Centralne Rawicz

* * * * *

Kochana Mamo,

Przed wszystkim dziękuję za paczkę, otrzymałem wczoraj. Zwracałem już uwagę i jeszcze powtarzam, że gotowany boczek nie bardzo mi pasuje. Po zatem proszę nie przysłać lekarstw i witamin, mam tego dosyć, a sam się czuję dobrze. Po zatem proszę Mamy tak bardzo się nie przejmować, na razie na widzenia nie przyjeżdżać – szkoda pieniędzy. Torebki, chusteczki, skarpetki które mam – to wystarczy mi i więcej nie potrzebuję. Szkoda to wysyłać, bo idzie na marne. Proszę Mamy, aby starała się dbać o siebie, nie wysilać się zbyt, tym bardziej nie nosić węgla, ni kartofli. Miałem ci pomoc Władku w twojej edukacji. Dlatego chciałbym abyś przy obieraniu zawodu porozumiał się ze mną. To jest ważne dla nas wszystkich. Po zatem proszę abyś postarał się dla mnie o dwie książki: pierwsza to Logika, zdaje mi się Jonsa (?). Miałeś tę książkę pożyczoną (z pewnością trudna) i oddałeś ją. Dla mnie teraz bardzo by mi się przydała. Druga książka to Psychologia prawdopodobnie Witwickiego (?) podręcznik szkolny, przedwojenna. Może gdzieś pożyczysz lub kupisz za parę groszy w księgarni lub antykwariacie znajdziesz. Pamiętaj, że autorzy nie są pewni (nie pamiętam nazwisk). Jeślibyś nie mógł znaleźć tych książek – to nie przejmuj się i niech Matka o to nie kłopotuje. Przyjmij więc podziękowania za starania. Przesyłam wszystkim podziękowania i pozdrowienia. Witamin i tytoniu nie przysyłać! Masło jeszcze mam.

Mietek, Rawicz dn. 7.8.1950

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia,

Dziękuję przede wszystkim za paczkę, którą dziś otrzymałem. List pisany przez Władka też dostałem. Czuję się na ogół dobrze, nic mi nie brakuje. Książki, które Mama przysłała są zapisane na mnie. Piszecie do mnie listy, ale w nich tak mało jest wiadomości. Nie wiem na przykład jak wysoki jest Władek, ile waży; ile teraz waży Karol i jak się czuje; ile Zygmunt waży, ile zarabia itp. W więzieniu dopiero człowiek przekonuje się, co znaczy zdrowie. Trzeba dużo jeść. Chcę tutaj przypomnieć Wam, że jeżeli do szklanki mleka wsypie się łyżkę cukru i trochę drożdży, to po paru godzinach otrzymuje się bardzo smaczny i zdrowotny napój. Kilkadziesiąt szklanek tego i można na wadze przybyć. Piłem to, będąc w szpitalu kolejowym, gdy leżałem na ischiasz. Polecam to Wam wszystkim, oczywiście o ile stać Was będzie na mleko. Władek na moje zapytanie co do ewentualnego wyboru zawodu – milczy. Sądzę, że odpisze mi w przyszłości. Na razie chciałbym zwrócić uwagę na przedmioty przyrodnicze (biologia, etc). Poza tym dziwi mnie ten chroniczny brak czasu nawet na list. Mój Władku, nie powinienes się przemęczać. Lekcje są lekcjami, a parę godzin wolnego musisz mieć. Po pierwsze – dla odpoczynku; po drugie – wypoczętemu lepiej idą lekcje. Rozumiem jeszcze wasze paskudne warunki mieszkaniowe. Przyjmijcie wszyscy, łącznie z Alą i Jurkiem

moje serdeczne pozdrowienia i podziękowania za pamięć. Paczki są dobre, prosiłbym pamiętać, że najwyższa waga do 7 kg, bo inaczej zwrot. Gdy będzie Mama miała tran, to najlepiej w blaszance i w osobnej paczce. Jeżeli będzie w butelce, to istnieje ryzyko pęknięcia. Wiem, że tran Wam wszystkim jest potrzebny! Prosiłbym dodatkowo o 1-ną paczkę papierosów i proszek do zębów. Nie zaszkodziło by trochę w pigułkach żelaza do picia, lecz nie wiem, czy Mama bez recepty dostanie.

Wszystkim pozdrowienia, Mietek
Rawicz, dn. 4.10.1950

* * * * *

Kochana Mamo,

List pisany przez Władka i Zygmunta otrzymałem i bardzo dziękuję. Paczkę z lekarstwami i żywnościową otrzymałem i dziękuję. Proszę mi więcej żadnych lekarstw nie przysyłać, Można tylko witaminy oraz tran. Smucę się Waszym stanem zdrowia. Karol w sanatorium, Zygmunt zwolnienie otrzymuje; to chyba wystarczające dowody na stwierdzenie, że jest nie dobrze. Napiszcie lepiej złe wiadomości, niż domysły. Dbajcie o zdrowie swoje. Łódź jako miasto jest bardzo ciężkie, żeby tak gdzieś wyjechać. A teraz stare swoje sprawy. Przede wszystkim od Nowego Roku nie można przysyłać paczek, a tylko pieniądze na zakup potrzebnych artykułów. W związku z tym listem może jeszcze paczkę grudniową? Jeżeli tak, to proszę spróbować wysłać na Boże Narodzenie paczkę świąteczną, może będzie można otrzymać ją. Jeżeli nie będzie można, to będzie zwrócona z powrotem. Do paczki proszę nie kłaść nic świeżego i gotowanego, bo się popsuje, a od razu wszystkiego zjeść nie można. A więc powtarzam: jeżeli będziecie mieli trochę pieniędzy (Karolowi też poślijcie), to wyślijcie normalną paczkę świąteczną, ale tą ostatnią przed pierwszym styczniem. Jeżeli nie będzie można to świąteczną zwrócą (6 kg). Natomiast od Nowego Roku to prosiłbym tylko o pieniądze. Ponieważ trochę mam pieniędzy, to można wysłać aż w lutym. Proszę przyjąć moje pozdrowienia świąteczne Mamie, Braciom i Znajomym. Życzę Wam wszystkim zdrowia. Całuję Was wszystkich: Mietek

P.S. Pieniądze można wysłać co miesiąc. Żadnych paczek po Nowym Roku nie będą przyjmować.

Mietek, Rawicz, dn. 30.11.1950

* * * * *

Kochana Mamo,

Ostatnio w miesiącu grudniu otrzymałem list Władka pisany w listopadzie i więcej nic. Otrzymałem też tran przed Świętami, za który bardzo dziękuję. Z paczki świątecznej nic nie wyszło - trudno. Ja osobiście czuję się jak dotychczas dobrze. Specjalnie nic mi nie brakuje. Jeżeli chodzi o widzenie - to prosiłbym żebyście raczej nie przyjeżdżali na razie. Może lepiej odłożyć to do wiosny. Czy warto płacić tyle za drogę na tę parę minut widzenia się, tym bardziej, że czuję się znośnie. Lepiej pieniądze te zużyjcie na siebie. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia zasylał wam wszystkim najserdeczniejsze życzenia przede wszystkim zdrowia i powodzenia, całuję was wszystkich. Pozdrowienia też wysyłał krewnym i znajomym. Ponieważ paczek teraz nie można przysyłać, to prosiłbym żebyście pisali do mnie dwa razy miesięcznie i to koniecznie. Chciałbym, żeby

Zygmunt napisał co u niego jest z płucami. Może by Karol napisał z sanatorium jaki jest jego stan zdrowia. Wiem, że wam jest ciężko, ale co ja mogę poradzić? Żałuję, że nic nie mogę pomóc Władkowi w jego drodze życia. Mamie bardzo dziękuję za dotychczasowe paczki. Teraz będziecie mieli trochę mniej kłopotu. Mam jeszcze w depozycie około 55 zł, tak że dopiero w lutym, jeżeli oczywiście będziecie mieć, wyślijcie mnie parę złotych. A Mamę proszę i przypominam, że lepiej zamiast widzenia, kupić sobie coś do zjedzenia lub pomóżcie Karolowi. We wrześniu do was nie pisałem – wysłałem kartkę do Reginy. Przyjmijcie moje pozdrowienia i życzenia zdrowia wszystkim. Jak się ma Jadzia i jej dziatki?

Mietek, Rawicz dn. 2.I.1951

PS. Paczkę grudniową otrzymałem!

* * * * *

Kochana Mamo,

List pisany przez Władka z końcem tygodnia otrzymałem i to wszystko. Więcej listów nie dostałem. Szkoda, że nie macie czasu pisać. Pieniądze otrzymałem i bardzo dziękuję. Prosiłbym was bardzo, żebyście regularnie co miesiąc w miarę oczywiście swoich możliwości, przysyłali trochę pieniędzy na wypiskę. Ja osobiście czuję się możliwie. Proszę tylko Karola, żeby brał pod uwagę swój stan zdrowia i innych też. Proszę go bardzo aby swoim postępowaniem zasłużył na zaufanie. Pamiętaj Karolu rzeczy chwilowe przemijające i są rzeczy, które są tylko zrośnięte z człowiekiem. Bądźmy lepiej braćmi, a stosunek nasz niech będzie przypieczętowany wyrazami życzliwości (co prawda na razie mogą być tylko z twojej strony). Cieszę się, że Władek dobrze się uczy, niech jednak dba o zdrowie, bo ono jest opoką na której można budować życie. Prosiłbym was, żebyście napisali czy Regina pracuje czy nie, bo nic o tym nie wiem.

Po zatem czuję się dobrze i proszę na razie nie przyjeżdżać. Jak jest ze zdrowiem Zygmunta? Jak wpłynęła streptomecyna na zdrowie Karola? Piszcie! Całuję was wszystkich i dziękuję za pamięć i pomoc

Mietek, Rawicz: 6.2.1951

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia

Piszę kolejny miesięczny list. Nic ciekawego do zakomunikowania nie mam. Czuję się normalnie. Otrzymałem ostatnio list pisany przez Władka z miesiąca lutego oraz 100 zł z miesiąca marca. Tak więc ostatnio przed wypiską miałem na koncie około 230 zł. Wypiska ostatnia kosztowała czterdzieści parę zł. Wynika z tego, że posiadanych pieniędzy wystarczy na parę miesięcy. Dlatego też proszę wstrzymać się z wysyłką pieniędzy przez okres miesiąca lub dwóch miesięcy. Tak mało piszecie do mnie, że nic nie wiem co się u Was dzieje. Jak zdrowie i jak się powodzi? Proszę w dalszym ciągu, żeby nikt nie przyjeżdżał do mnie, bo po prostu szkoda pieniędzy. Dbajcie o siebie. Nic nie wiem, czy streptomycyna pomogła Karolowi, czy też nie. Jak się czuje Zygmunt i jak jest z Mamą sercem? Czy Regina pisze? Proszę więc przy okazji napiszcie mnie o co proszę. No i niech Władek napisze co nieco o swoich egzaminach. A więc proszę pamiętać: pieniędzy na razie nie potrzebuję; przyjeżdżać nie trzeba; napisać dość obszerny list

o sprawach domowych. Czuję się normalnie i liczę dni. Zasyłam Wam wszystkim moje najlepsze życzenia i pozdrowienia oraz podziękowanie za pamięć. Całuję Was wszystkich Mietek.

P.S. Z biegiem czasu coraz wyraźniej zaznacza się, że z moim sercem jest nie za dobrze, ale na ogół czuję się dobrze. Sądzę, że w końcu maja lub na początku czerwca odwiedzić mnie. Przed chwilą wróciłem z prześwietlenia. Płuca czyste; serce leżące i poszerzenie naczyń. A więc nic specjalnie groźnego. Ważę około 70 kg.

Mietek, Rawicz, 5.04.1951

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia

Przed wszystkim zawiadamiam, że otrzymałem ostatnio 60 zł i list Władka z 10 kwietnia. W poprzednim liście pisałem, żebyście się wstrzymali z przesyłką pieniędzy przez m-c lub dwa. Teraz powtarzam to; przez m-c możecie zupełnie spokojnie wstrzymać się z wysyłką pieniędzy. Tyle ile mam, to mi wystarczy. Poza tym prosiłbym, żeby ze względu na brak pieniędzy nikt nie przyjeżdżał do mnie w najbliższym czasie. W miesiącu zaś czerwcu napiszcie tak, jak do Zygmy, tylko żeby to było bez żadnych specjalnych wysiłków. Ot, własną ręką. Szkoda b., że nic nie wspomnieliście o stanie zdrowia Karola. Wrócił z sanatorium, to pięknie, ale w jakim stanie? Władek wspominał o studiach. Dobrze! Gdy pisałem jesienią o tych sprawach, to nie chciał nic o tym wspominać, a teraz to nie wie co robić, bo warunki, zainteresowania itd. Mój Władku, gdybym był na wolności, to nie potrzebował byś troszczyć się o warunki materialne, ale w tej sytuacji wola jednak dużo znaczy. Droga zaś po najłatwiejszej linii oporu niewiele znaczy. W każdym bądź razie odrzucam kategorycznie wydział humanistyczny. Na nic nie chcę namawiać (bo nie mogę nic pomóc), jeśli jednak jesteś w stanie ryzykować studia, to pomyśl o chemii, medycynie, farmaceutyce, ewentualnie leśnictwie. Może ten wydział realizatorski, o którym wspominasz będzie Ci odpowiadał – to proszę bardzo. Jest to pewna nowość w Polsce. Napiszcie dokąd wyjechał Zygm. Przyjmijcie moje podziękowania i pozdrowienia i nie przejmujcie się. Na co Mama choruje, czy jak zawsze serce? Całuję Was wszystkich i znajomych.

Mietek, Rawicz, dn. 5.05.1951

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia

Ja czuję się jak zawsze – normalnie. Upały nam dokuczają – to wszystko. Czy będę mógł pisać od siebie, tak jak to robił Zygm, to nie wiem. Jest trudno. Wy piszcie. Jeżeli chodzi o widzenie, to gdyby się Mama czuła dobrze, to prosiłbym gdzieś w sierpniu, bo wcześniej to nie ma sensu. I prosiłbym, żeby Mama dowiedziała się, czy można wysłać witaminy i jeśli tak, to prosiłbym o nie. Poza tym wszystko w porządku – ot, czeka się. 50 zł miesięcznie na wypiskę na razie wystarcza. Otrzymałem list od Władka z 28 maja. Niech pisze o przebiegu egzaminów. Sądzę, że wreszcie zacznę otrzymywać od Was 2 listy miesięcznie a nie tak dorywczo. Przyjmijcie podziękowanie i serdeczne życzenia powodzenia,

Wasz Mietek; Rawicz, 7.06.1951

Kochana Mamo i Bracia,

Donoszę wam, że czuję się normalnie, czas mija też jak zawsze. Odczuwam tylko brak waszych listów – tak mało piszecie. Może teraz po zdaniu egzaminów przez Władka, zabierzecie się do pisania. Poza tym proszę pamiętać i na ewentualne widzenie przyjechać tylko wtedy, gdy zajdzie ku temu potrzeba. Bo samo widzenie nic mi nie daje, a wysiłek fizyczny jest dość znaczny. Proszę więc pamiętać i starać się bez potrzeby nie przyjeżdżać. Napiszcie mi koniecznie jak zdrowie Karola (...) [skreślenie części zdania przez cenzora] Gdy Mama się dowie o jego zdrowiu i o odpowiedzi na pisane podanie – to proszę mi napisać. Proszę was wszystkich przyjmijcie moje pozdrowienia i pocałowania. Wypiska moja miesięczna nie wyniosła ostatnio 50 złotych. Jak zdrowie Mamy? czy Zygmą wyleczył wrzody, czy Władek trafił na humanistykę?

Mietek; Rawicz, 5.7.1951

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia

Czuję się normalnie i nic specjalnego nie zaszło. Ostatni list od Was dostałem w początkach lipca i dalej nic. Nie wiem czy odma Karolowi przyjęła się i jaki jest stan Jego zdrowia. Proszę więc napiszcie mi i to koniecznie jak jest z Nim. Co do Władka to chciałbym, aby się specjalnie nie przejmował studiami. Jak się nie uda Jemu w tym roku, to może w następnym. Losy i warunki materialne Wasze są bardzo ciężkie i dlatego bardzo oględnie gospodarujcie. Proszę w żadnym wypadku nie pisać i nie płacić za pisanie. Pisanie Władka lub Mamy własnoręczne miałoby niewątpliwie taki sam skutek. Ostatnia wypiska kosztowała dwadzieścia parę zł. Z tego wynika, że suma 100 zł wystarczy mi na 2 lub 3 m-ce i proszę do tego się stosować. Teraz kiedy Karol i Władek są czasowo bez pracy, sądzę, że napiszecie mi coś więcej niż zawsze. Przyjmijcie moje podziękowania za Wasze starania i pamięć i najserdeczniejsze życzenia całej rodzinie i znajomym.

Mietek; Rawicz, dn. 30.07.1951

* * * * *

Kochana Mamo i Bracia

Czuję się jak zawsze normalnie. Ostatnie upały trochę dokuczały, ale już dziś jest możliwie. Proszę usilnie na widzenie nie przyjeżdżać, bo po prostu szkoda pieniędzy – nic nie ma ciekawego. Pieniądzy zaś mam na koncie już tyle, że mi wystarczy na cały rok. O następne pieniądze poproszę gdzieś w m-cu lutym, nie wcześniej. Bardzo mnie martwi stan Karola, dlatego proszę usilnie, żebyście do mnie pisali, co i jak, regularnie, t.z. 2 razy w m-cu. Dziwię się bardzo, że wyjechał On nad morze. Chorym na płuca, to jak najdalej od morza. Proszę też, napiszcie, co się dzieje z Władkiem, Karolem, Zygmą, Jadzią itp. W następnym miesiącu będę pisał do Reginy. (Otrzymałem od Niej list), tak że do Was nie napiszę. Chciałbym bardzo, aby Władek trafił na studia, może Mu w następnych latach będę mógł coś pomóc. Życzę Wam wszystkim, a najbardziej Mamie i chorym zdrowia i powodzenia. Całuję Was wszystkich i proszę Karola, żeby wytrzymał i miał pewność, że gdy tylko będę mógł, będę starał się Mu pomóc. Piszcie. Ostatni list Władka był z końca czerwca, a Mamę proszę, aby uważała na siebie i na najbliższych o ile może to niech pomoże Karolowi.

Ewentualne długi ja przyjmę na siebie. A na widzenie nie przyjeżdżać i pieniędzy nie przysyłać. Całuję Was.

Mietek; Rawicz, dn. 1.09. 1951

PRZYPISY:

- 1 Relacja M. Zajewskiego („Turbacz”) z okresu 7-12 lipca 1944 (maszynopis, s. 9). Archiwum Domowe.
- 2 . Janusz Bogdanowicz, *3-cia Brygada Szczerbca. Armia Krajowa Okręg Wileński*, wyd. II, Warszawa 2008, s.3-5 ;B. Krzyżanowski, *Wileński Matecznik 1939-1944*,Paryż 1979, s.252; Olgierd Christa, *u Szczerbca i Łupaszki*, Warszawa 2000, Wyd. Adiutor, s.115
3. Zob. Alicja Paczoska, Dzieci Jałty. Exodus ludności polskiej z Wileńszczyzny w latach 1944-1947, Toruń 2002 oraz moją recenzję z tej książki w „Universitas Gedanensis” Nr 3/ 2003,s.159-162
4. Żoną brata Zygmunta Zajewskiego (1920-1999) była Jadwiga Moreńko (1923-2005) 1-voto Zajewska, 2- voto Prasał od 1963; opuściła Wilno z rodziną swego ojczyma pana Kazimierza Zabojsć. Ten zamieszkał z rodziną w Łodzi przy ul. Zgierskiej 36 na II piętrze, wejście tuż za bramą.
5. Zob. link: Blokmedia24.pl/node/69842.Copy right by JCK 04/12/2014 Redakcja naczelna prof. Krzysztof Swagrzyk; według natomiast innej relacji zob.link:armiakrajowazgorzelec.blogspot.com/2016/08/osrodekmobilizacyjny-okregu.html -akcję represyjną pod hasłem X rozpoczęła się 7 VI.1947 roku
6. Dnia 29 VI 1948 aresztowano w Łodzi łączniczkę Reginę S a k o w i c z, pseudonim „Renia”. Fala aresztowań objęła ok. 6 tys. osób, z tego z sfingowanych procesach skazano ok. 2 tys. osób. Zob.link:armiakrajowazgorzelec-bolgspot..com/2016/08/osrodekmobilizacyjny-okregu.html Akta sprawy Reginy Sakowicz (1922-2002) znajdują się w IPN Ld. 200/67 str. 387/41 oraz inne numery Unieważnienie wyroku wydanego na panią Reginę Sakowicz-Olszewską oraz uznanie jej za żołnierza walczącego o niepodległą Polskę zob. IPN By 52/28 akta z 1996 roku! Akt Pani Reginy Sakowicz nie badałem osobiście, to sprawa bolesna i zbyt emocjonalna dla mnie. Choć w aktach oskarżenia pisano, że na procesie Anny Zajewskiej oraz Mieczysława Zajewskiego wystąpi świadek Sakowicz Regina – nie było jej na owych procesach, powodów nie znam i nigdy jej nie spotkałem ani w WSR w Łodzi, ani później na wolności.
7. Pismo Prokurator Pani Beat y Marczak z 30 XI 2012 pt. Postanowienie o umorzeniu śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi w sprawie m.in. pokrzywdzonej Annie Zajewskiej (zmarłej w 1963 roku),czynności procesowe *pokrzywdzonej* były prowadzone przez m.in. wskazanego z nazwiska przez świadka Władysława Zajewskiego - oficera śledczego Mariana Stasińskiego. (...) W toku przeprowadzonej czynności ustalono że Marian Stasiński zmarł w 1986 r. do akt niniejszego postępowania załączono kserokopię aktu zgonu tego funkcjonariusza.
8. Kopia; Akt Oskarżenia przeciwko Zajewskiemu Zygmunтови, s. Henryka z art. 4 & 1 Dekretu z dnia 13.6.1946; J.R.595/48. u góry: „Zatwierdzam” Naczelnik Wydziału Śledczego W.U.B.P w Łodzi Bocheński E. kpt.
9. Zob. Opis sprawy Mieczysława Zajewskiego w piśmie Pani prok. Beaty Marczuk z 20.XI.2012, s.4-5.
10. Zob. Robert Marichal, *La critique des textes (w) L'Histoire et ses Methodes*, Paris 1961, s.12347-1276
11. OKTAWIA, *Dramat z czasów Nerona*, Warszawa 2001, Unia Wydawnicza Verum, s.54.
12. Zob. Jan Ziółek, *Kryptonim Pedagog i <Zlikwidowani>*, Lublin 2009, Tow. Wyd. KUL i recenzję tego tomu Władysław Zajewski w: „Universitas Gedanensis” t. 40, 2010, s.251-253

MICHAŁKOWICKI PARK LUDOWY – ZAPOMNIANE MIEJSCE SPOTKAŃ LOKALNEJ SPOŁECZNOŚCI

Wprowadzenie

W przestrzeni Michałkowic (dzisiejszej dzielnicy miasta Siemianowice Śląskie, która przez wieki funkcjonowała jako odrębna gmina) wyróżnić można kilka kategorii miejsc, które definiują tożsamość mieszkańców, a także wyznaczają istotę postrzegania tej „małej ojczyzny” przez postronnych obserwatorów. I tak: rytm pracy przez blisko dwa wieki wyznaczała tutejsza kopalnia, której pozostałością jest dzisiejszy Park Tradycji; życie duchowe koncentrowało się wokół miejscowego kościoła, plebani i cmentarza; materialnym odzwierciedleniem władzy świeckiej były kolejno tutejszy pałac (zwany zameczkiem), budynek urzędu gminy na ulicy Kościelnej czy wreszcie dzisiejsza siedziba Urzędu Miejskiego na ulicy Michałkowickiej. W całokształcie mi-chałkowickiej codzienności każda sfera życia miała określoną rolę do spełnienia, co realizowało się w konkretnych miejscach i obiektach, które zmieniały się przez lata wraz z przemianami całej miejscowości i jej społeczności.

Swoją doniosłą pozycję w lokalnej egzystencji miały również obiekty związane z wypełnianiem czasu wolnego mi-chałkowiczian. Już starożytni Grecy podkreślali, że „czas wolny nie jest końcem pracy; to praca jest końcem wolnego czasu”, który wykorzystywany być powinien na samorealizację, rozrywkę czy też po prostu odpoczynek¹. Społeczny wymiar życia każdego człowieka realizuje się poprzez kontakt z innymi ludźmi, te zaś odbywać się mogą w rozmaitych okolicznościach – od spotkań w domowym zaciszu, poprzez imprezy w restauracjach czy pubach, po masowe formy rozrywki na świeżym powietrzu.

Rozwój cywilizacyjny, który obserwujemy w XXI wieku sprawia, iż wiele rzeczy stało się prostszych i łatwiejszych do realizacji. Rozwój środków przemieszczania się, pojawienie się telewizji, Internetu czy telefonii komórkowej odmieniły realia spędzania czasu wolnego, kreując wiele nowych wymiarów, nieznanych w przeszłości. Codzienność zyskała tym samym nową dynamikę². Zjawiska te można różnie postrzegać. Niezależnie jednak od ocen, uznać trzeba, iż współczesna rzeczywistość diametralnie różni się od tego, co było jeszcze pół wieku temu. W nieuchronnym dziejowym procesie zmian należy pamiętać o tym, iż możliwość zrozumienia tego, kim jesteśmy, daje nam wiedza na temat tego, jak się stawiliśmy i dokąd zmierzamy³.

Jednym z istotnych elementów historycznego kształtowania się społeczności mi-chałkowiczian, jest świadomość losów pewnego zapomnianego dziś miejsca – Parku Ludowego. Zgodnie z tezą tekstu, dzieje tego obiektu były współzależne z losami mieszkańców i tutejszej kopalni. Wyrósł on z potrzeb mieszkańców i był dla nich ważnym miejscem spotkań. Wraz z reorganizacją KWK „Michał” w latach 70. XX wieku zakończył się okres świetności parku i dość szybko jego teren zaczął popadać w ruinę i zapomnienie.

Geneza powstania

Powstawanie michałkowickiego Parku Ludowego było kilkuletnim procesem, który odtworzyć można w oparciu o źródła archiwalne dostępne w Archiwum Państwowym w Katowicach⁴. Ciąg zdarzeń odbywał się w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Zarysowując tło powstania obiektu podkreślić należy kilka faktów:

- po podziale Górnego Śląska w 1922 roku Michałkowice były częścią państwa polskiego (funkcjonującą w ramach województwa śląskiego na prawach autonomii), jednak miejscowy przemysł pozostawał własnością niemieckiej spółki akcyjnej – Zakłady Hohenlohe, w rękach której znajdowały się rozległe tereny gminy,
- większość mieszkańców utrzymywała się z pracy w przemyśle ciężkim,
- dzisiejszy Park Górnik stanowił wówczas nieosiągalną dla ogółu mieszkańców zamkniętą enklawę, udostępnioną jedynie dyrektorowi spółki Zakłady Hohenlohe i jego rodzinie, mieszkającym w zameczku⁵.

Idea utworzenia przestrzeni rekreacyjnej otwartej dla ogółu mieszkańców wyszła z kręgu miejscowej Rady Gminy w okresie międzywojennym. Od maja 1926 roku władze gminne przystąpiły do budowy strzelnicy i placu ćwiczebnego na dzierżawionych terenach po dawnym michałkowickim kamieniołomie. Jeszcze przed 1922 rokiem (w okresie państwowości niemieckiej), spółka Zakłady Hohenlohe – właściciel tego obszaru, wynajmowała go z przeznaczeniem na strzelnicę wojskową⁶. Konsekwentny rozwój gminy wymagał stworzenia miejsca, w którym coraz liczniejsza rzesza michałkowiczian mogłaby swobodnie odetchnąć świeżym powietrzem. Pojawiały się wówczas głosy, aby upublicznić park przylegający do pałacu dyrektora spółki Zakłady Hohenlohe (zameczka), co jednak spotkało się ze stanowczym sprzeciwem właściciela i gminnych radnych⁷.

Okazją ku realizacji planów założenia publicznego parku stał się jubileusz 10-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Inwestycja miała stanowić propagandowe narzędzie wzmacniania polskiej obecności na śląskich terenach, co wpisywało się w szerszą politykę regionalną ówczesnej władzy sanacyjnej⁸. Michałkowiccy radni na sesji z 8 listopada 1928 roku zadeklarowali chęć założenia na terenie gminy Parku Ludowego (określanego również mianem Parku Narodowego), który stać się miał lokalnym pomnikiem polskości⁹. Uchwała Rady Gminy zdążyła do tego by:

*zapewnić mieszkańcom naszej gminy, której gross stanowią robotnicy i urzędnicy kopalni Maks miejsca, na którym po ciężkiej pracy mogliby swobodnie odetchnąć świeżym powietrzem, względnie znaleźć sposobność kontynuowania zabaw sportowych. Czemraz większy rozrost naszej miejscowości wymaga stworzenia tzw. płuc oddechowych gminy, które przyniosą świeże siły żywotne dla wszystkich tych, którzy tego koniecznie potrzebują [pisownia oryginalna]*¹⁰.

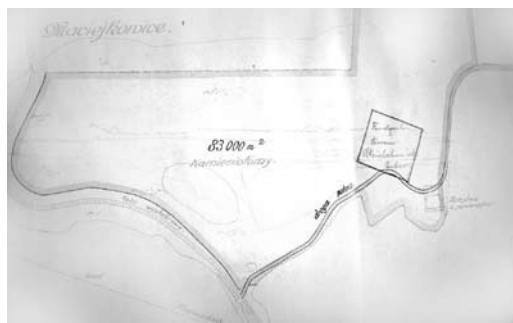
Droga ku realizacji tego zamierzenia była jednak daleka. Podstawową kwestią, która wymagała uzgodnień było znalezienie odpowiedniej lokalizacji. Sprawa ta wymagała konsultacji z posiadaczem większości michałkowickich gruntów – spółką Zakłady Hohenlohe. Zgodnie z pierwotną zamysłem park utworzony miał być w okolicy dzisiejszej ulicy Bytomskiej, jednak spółka nie wyraziła na to zgody. Przymierzano się nawet



Strzelnica na terenie dawnego kamieniołomu (koniec lat 40.)

do wywłaszczenia odpowiednich terenów, jednak aby uniknąć starć z właścicielem (będącym jednocześnie chlebodawcą większości michałkowiczian), odstąpiono od tej koncepcji, co poprzedziła burzliwa dyskusja i spory. W piśmie do dyrektora generalnego spółki – Aleksandra Ciszewskiego, wójt gminy – Walenty Fojkis, pisał:

Finalem całej debaty była uchwała, że potrzebny teren na park zostanie przemusowo wywłaszczony. Chcąc zachować z Towarzystwem [Zakładów Hohenlohe – M.W.] w dalszym ciągu przyjaźnie stosunki, nie chciałbym powziętej uchwały wykonać, gdyż bądź co bądź będzie z tego powodu wiele huku a sądzę, że nie leży w interesie gospodarczym i politycznym Towarzystwa, by sprawa taki przybrała koniec [pisownia oryginalna]¹¹.



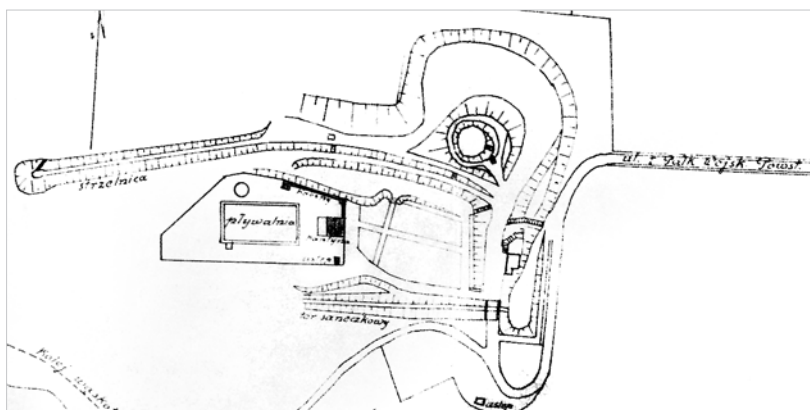
Plan sytuacyjny z obramowanym terenem przyszłego Parku Ludowego (1931 rok)

W toku negocjacji zdecydowano się ostatecznie na zlokalizowanie przyszłego parku na obszarze dawnego kamieniołomu. Teren ten oddalony był od centrum gminy o około 30 minut, co budziło pewne protesty wśród mieszkańców¹². Ostateczne podpisanie umowy nastąpiło w kwietniu 1931 roku (po rozpoczęciu pierwszych prac). Na jej mocy gmina Michałkowice dzierżawiła od spółki Zakłady Hohenlohe tereny o powierzchni 83 000 m², na okres 15 lat (przy opłacie rocznej w wysokości 300 złotych), celem założenia tam parku

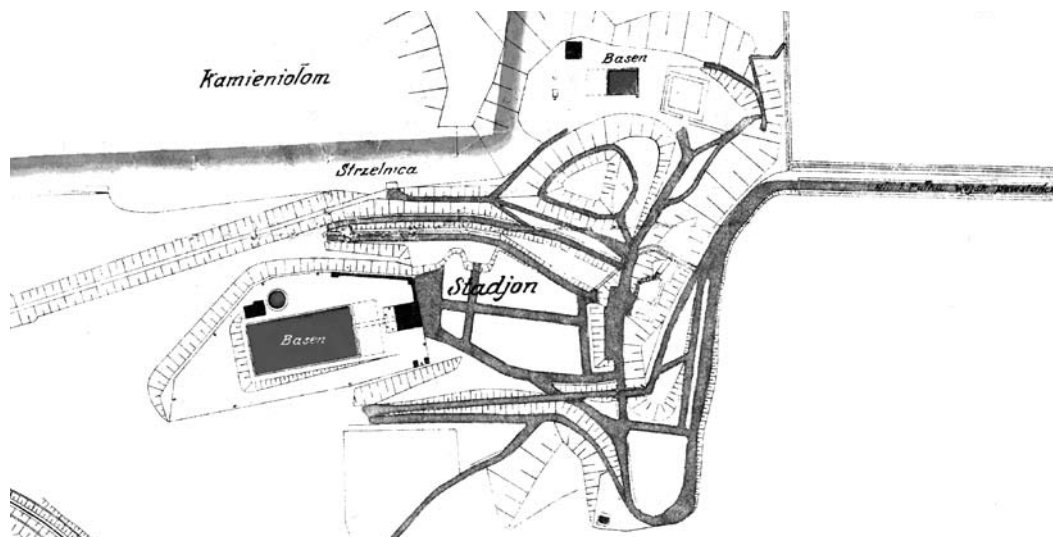
oraz boiska sportowego (które ostatecznie powstało w innej, niedalekiej lokalizacji)¹³. Przyszły kompleks, z racji planów budowy w tym miejscu obiektów sportowych, określany był często mianem „Stadjonu”.

Kształt i rozbudowa

Pierwsze koncepcje Parku Ludowego zakładały stworzenie na jego terenie pomnika „wolnościowego”, boiska sportowego, kortu tenisowego, pływalni, zimowej ślizgawki, „mleczarni”, miejsca wypoczynkowego i rozrywkowego, osobnej przestrzeni dla małych dzieci, a także plaży. Zgodnie z deklaracjami gmina planowała urządzić park w sposób nowoczesny, nie szczędząc na ten cel środków finansowych¹⁴. Rzeczywistość zweryfikowała jednak te ambitne plany. Wielki kryzys światowej gospodarki, zapoczątkowany w 1929 roku w Stanach Zjednoczonych, odbił się również na sytuacji śląskich zakładów przemysłowych, doprowadzając do znacznego



Projekt koncepcyjny Parku Ludowego z 1931 roku



Plan Parku Ludowego na mapie gminy Michałkowice z 1935 roku

wzrostu bezrobocia i trudnej sytuacji materialnej całej gminy. W takich warunkach przystąpiono do urealniania inwestycji, ograniczając jednak pierwotnie planowany rozmach założeń.

Początek realizacji projektu nastąpił w 1930 roku. W maju prace nad wybudowaniem otwartego basenu kąpielowego powierzono firmie Hajduk i Ska z Chorzowa¹⁵. W sierpniu rada gminy podjęła decyzję o zaangażowaniu około 40 bezrobotnych, którzy mieli zostać zatrudnieni przy inwestycji. Wtedy też polecono zakup materiałów i drzewek (na co przeznaczono kwotę 40 tysięcy złotych), a także ostateczne sfinalizowanie kwestii umowy dzierżawy ze spółką Zakłady Hohenlohe¹⁶.

Na początku 1931 roku zdecydowano o zaciągnięciu pożyczki w kwocie 60 tysięcy złotych na ukończenie inwestycji. W lutym przystąpiono do należytego dostosowania drogi prowadzącej do parku. W tym samym czasie finalizowano budowę boiska dla klubu sportowego Jedność Michałkowice, które zlokalizowano przy dzisiejszej ulicy Maciejkowskiej, nieopodal Parku Ludowego¹⁷.

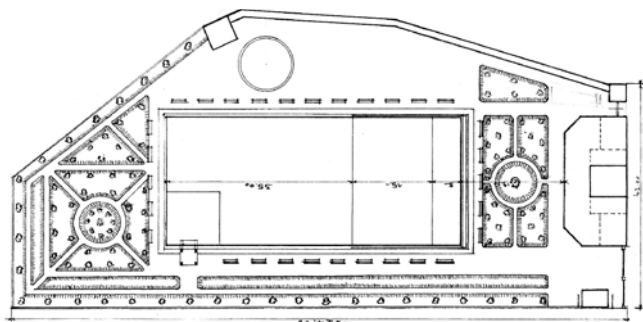
Z racji ciężkiej sytuacji materialnej gminy, jak również braku odpowiednich fachowców, budowa „stadjonu” przedłużała się. W czerwcu 1931 roku z propozycją dzierżawy basenu wystąpił Artur Hein z Siemianowic, na co po dłuższych negocjacjach władze gminne przystały. Ta część parku miała zostać oddana jako pierwsza – w lipcu wybudowano lekkie kabiny kąpielowe, zaś do końca roku ukończono resztę kąpieliska¹⁸. Najprawdopodobniej pierwszym sezonem letnim z prawdziwego zdarzenia był 1932 rok.



Zrelaksowani michałkowiczanie na terenie kąpieliska (lata 30.)



Jeden z lwów na michałkowskim kąpielisku (lata 30.)



Plan sytuacyjny michałkowickiego kąpieliska (1937 rok)



Projekt przebudowanego budynku restauracyjnego (1937 rok)

W skład kąpieliska wchodziły: pełnowymiarowa 50-metrowa pływalnia wraz z 10-metrową skocznią, niewielki brodzik dla dzieci, budynek restauracyjny, kabiny do przebierania oraz toalety. Z czasem starano się upiększać cały kompleks, m.in. poprzez zadbanie o tereny zielone wokół basenu¹⁹.

Międzywojenne losy michałkowickiego kompleksu kąpielowego, który dla mieszkańców był oazą wypoczynku i rekreacji, z punktu widzenia administracyjnego były dość burzliwe. W sezonie letnim 1936 roku umowę dzierżawy wypowiedział Artur Hein²⁰. Jego następcą został michałkowiczanie Roman Białas. W sezonie letnim 1937 roku przystąpiono jednocześnie do rozbudowy i remontu obiektu. Przy wejściu do basenu zbudowano pomniki dwóch lwów, wykonanych ze sztucznego kamienia, które stały się wizytówką obiektu²¹. Nad budynkiem restauracyjnym pojawił się wówczas szyld „Pod lwem”. W sierpniu 1939 roku Roman Białas wypowiedział umowę dzierżawy basenu, jednak finalizację całego procesu przerwał wybuch II wojny światowej²².

Basen kąpielowy stanowił najważniejszą, jednak nie jedyną część powstającego Parku Ludowego. Jak wspomina Barbara Ponicka, córka ostatniego przedwojennego zarządcy michałkowickiego dworu, pamiętająca przedwojenny wygląd parku:

Basen to był tylko element całego kompleksu. Tak jak w tej chwili stoją na skarpie te garaże to schodziło się schodami do parku. To było zadbane. Bardzo bujny był drzewostan, były zamykane uliczki, kosze na śmieci. Były zagajniczki – pierwsze randki moja siostra sobie tam skutecznie. Wszędzie były ławeczki, można było sobie nawet zimą iść na spacer. Równoległe do parkanu basenu był tor saneczkowy. To było ogólnodostępne, to nie było zamknięte. Basen miał osobne ogrodzenie²³.



Droga prowadząca do Parku Ludowego (koniec lat 40.)



Schody prowadzące do Parku Ludowego (lata 40.)



Michałkowicki basen na terenie Parku Ludowego (1940 rok)

W kolejnych latach stopniowo oddawano kolejne części założeń parkowych. W listopadzie 1932 roku gmina przejęła na własność pomnik wybudowany na terenie kompleksu przez Miejscową Grupę Związku Powstańców Śląskich w Maciejkowicach²⁴. Realizowano tym samym część wcześniejszych założeń. Z czasem wykonano urokliwe alejki parkowe, utworzono tor saneczkowy, a także niezależny od kąpieliska, niewielki basen dla dzieci. Przy pracach zatrudniano najczęściej miejscowych bezrobotnych,

starając się tym samym ułatwić im przetrwanie ciężkiego czasu kryzysu.

W momencie wybuchu II wojny światowej koncepcja utworzenia miłkowickiego Parku Ludowego, stanowiącego lokalny żywy pomnik państwowości polskiej i wysiłków miejscowej Rady Gminy, w swoim głównym zarysie była już ukończona. 1 września 1939 roku teren parku był miejscem, w którym swoje siły koncentrowały, wkraczające z niedalekiej polsko-niemieckiej granicy, oddziały dywersantów niemieckich²⁵. Okres wojny nie sprzyjał rekreacji i wypoczynkowi, niemniej jednak miłkowickie kąpielisko nadal funkcjonowało.

Czasy powojenne - miejsce spotkań mieszkańców i zapomnienie

Wraz z zakończeniem działań wojennych rozpoczęto starania w kierunku przywrócenia normalności życia miłkowiczów. W nowych warunkach politycznych nie było to łatwym zadaniem, jednak zwykli ludzie z reguły byli poza wielką polityką. Jedną z płaszczyzn lokalnego powrotu do stabilizacji było ponowne zapewnienie możliwości swobodnego wypoczynku na terenie przedwojennego Parku Ludowego.

W końcowym okresie wojny spłonął budynek restauracyjny, co powodowało konieczność przeprowadzenia wielu prac porządkowych i remontowych. Do uprzątnięcia terenu dawnego kąpieliska przystąpiono dopiero w kwietniu 1946 roku. W tym też czasie na dzierżawcę basenu wraz z restauracją wybrano Barbarę Kuzię z Siemianowic²⁶. Jej pierwszym zadaniem była odbudowa części zniszczonych obiektów. Skala koniecznych prac była dość znaczna – oprócz odbudowy restauracji należało: naprawić nieckę basenu oraz ogrodzenie i chodniki, odnowić skocznnię, uruchomić stację oczyszczania wody, a także odnowić kabiny do przebierania²⁷. Nowa dzierżawczyni skarżyła się na utrudnienia, które spotykały ją ze strony gminy i lokalnych restauratorów – jak pisała w piśmie do Zarządu Gminnego z 14 kwietnia 1947 roku:



Pieczętka dzierżawcy kąpieliska – Barbary Kuzi (1947 rok)

Podjmując się w ubiegłym roku odbudowania zniszczonych budynków spodziewałam się, że Gmina pójdzie mi przy prowadzeniu przedsiębiorstwa na rękę oraz że znajdę obronę u czynników gminnych w tych wypadkach, w których Gmina może to zrobić bez szkody dla siebie. Tymczasem zaledwie otwierałam stadion kąpielowy i przedsiębiorstwo gastronomiczne, zaczęli wszyscy liczyć tylko

moje dochody, nie wspominając w ogóle o włożonym kapitale, tak pieniężnym, jak i pracy. Jedna kontrola wyszła a druga przychodziła i tak się ciągnęło przez cały czas trwania sezonu.

W obliczu licznych trudności, Barbara Kuzia starała się odstąpić od umowy w maju 1947 roku. Mimo tych prób prowadziła kompleks kąpielowy do końca sezonu – dopiero 25 sierpnia 1947 roku

wypuściła wodę z basenu²⁸. W roku następnym gmina Michałkowice wezwała Barbarę Kuzię do opuszczenia terenu kąpieliska do końca sierpnia, kończąc tym samym jej okres dzierżawy. W późniejszym czasie była dzierżawczyni skutecznie dochodziła zwrotu poniesionych kosztów przed Sądem Grodzkim w Katowicach²⁹.

W kolejnych latach odpowiedzialność za funkcjonowanie michałkowickiego kąpieliska, podobnie jak całego kompleksu parkowego, najprawdopodobniej przejęła tutejsza kopalnia, należąca wówczas do Chorzowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego (włączonego w 1957 roku do Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego).

Park Ludowy nie miał już jednak monopolu w zakresie zapewniania wypoczynku i rekreacji okolicznym mieszkańcom, gdyż po II wojnie światowej władze komunistyczne otwały dla szerokiego grona michałkowicki Park Górnik. Nadal jednak tereny popularnego „stadjonu” cieszyły się dużym zainteresowaniem. Miejsce to integrowało lokalną społeczność. Wszyscy michałkowiczanie, niezależnie od wieku czy statusu społecznego, chętnie korzystali z dobrodziejstw parku. Barbara Ponicka wspomina, iż:

Nie było żadnych różnic wśród mieszkańców, zarówno przed wojną, jak i po. Nie było tak, że ten jest lepiej sytuowany, a ten gorzej. U młodzieży zwłaszcza nie było to ważne. Żyło się tym życiem wspólnotowym, to była jakaś taka jedna wielka rodzina. (...) Zaraz po wojnie nie było komórek. Nie można było wysłać smsa, że się spotykamy. To było pewne, że tam się szło. Rano się brało koc, wałówkę i na basen. (...) Tam się też schodziła starszyzna. Pamiętam, że tam sobie w szkakika grali, mieli jakieś inne rozrywki. Siedzieli w tym budynku, gdzie była restauracja i sala konsumpcyjna. Siedzieli tam sobie na zapleczu, w trójkę, czwórkę, piątkę, zależy ilu ich tam było potrzebnych, i sobie grali³⁰.



Tłumy michałkowiczian na kąpielsku (koniec lat 40.)



Widok na michałkowickie kąpielisko (koniec lat 40.)

Park Ludowy spełniał swoją rolę do połowy lat 70. Zgodnie z rozpowszechnioną wśród michałkowiczian informacją, jego kres związany był z przekazaniem obiektu przez kopalnię na rzecz Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie³¹. Na jego degradację wpływ miały również coraz bardziej dotkliwe szkody górnicze. Gdy zabrakło sprawnego gospodarza (i idących

za nim pieniędzy) tereny parku oraz kąpieliska szybko zaczęły zarastać i popadać w ruinę, zaś pamięć o czasach ich świetności zachowały do czasów współczesnych głównie starsze pokolenia mieszkańców.

Zakończenie

Michałkowicki Park Ludowy stanowi ważny element dziejów gminy i jej mieszkańców. Na jego przykładzie dostrzec można różnorakie aspekty wieloletnich procesów przemian tutejszej społeczności, ale nie tylko. Specyfika dawnego kamieniołomu sprawia, iż teren ten stanowi ciekawy zakątek również dla poszukiwaczy ciekawostek geologicznych. W przeszłości znajdowano tu skamieniałości w postaci: ramienionogów, małży, ślimaków, szczątków liliowców, zębów i łusek ryb, kości gadów morskich, a także różnorodne odmiany wapieni³².

Geneza powstania i blisko 50-letni okres prężnego funkcjonowania zespołu parkowego ukazują nierozłączny związek pomiędzy potrzebami lokalnej społeczności, warunkami gospodarczo-politycznymi a możliwościami działań. Deficyt miejsc do spędzania wolnego czasu przez michałkowiczanie zachęcił tutejsze władze do śmiałego kroku, jakim było utworzenie Parku Ludowego. Proces jego powstawania w okresie międzywojennym odzwierciedlał ówczesne trudne warunki życiowe oraz polsko-niemiecką rywalizację propagandową.

W okresie powojennym, po przejęciu zarządu obiektu przez michałkowicką kopalnię, „stadjon” kontynuował swoją misję funkcjonowania jako „płuca oddechowe gminy, które niosą świeże siły żywotne, dla wszystkich tych, którzy tego koniecznie potrzebują”³³. Gdy w latach 70. przystąpiono do reorganizacji kopalni (KWK „Michał” w 1975 roku włączona została do KWK „Siemianowice”) Park Ludowy stawał się niepotrzebnym problemem, który zrzucano na barki Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Niechciany obiekt zaczął wówczas niszczeć i porastać dziką roślinnością, stopniowo zmieniając się w zapomnianą ruinę. Użytkownicy pobliskich ogródków działkowych przez lata traktowali teren dawnego parku jako miejsce wysypywania śmieci.

W ostatnich latach pojawili się lokalni aktywiści, którzy starają się przywracać pamięć o dawnym Parku Ludowym. Od 2016 roku regularnie podejmowane są działania polegające na porządkowaniu terenu. Przy tej okazji przypominane jest dziedzictwo tego miejsca, a także odbywają się różnego rodzaju inicjatywy kulturalno-rozrywkowe. Planowane jest również stworzenie strefy rekreacyjnej oraz ścieżki edukacyjnej, które przywróciłyby życie w tej doświadczonej przez historię przestrzeni. To, czy obszar „stadjonu” uzyska w świadomości i rzeczywistości michałkowiczanie należne miejsce i pamięć pokaże najbliższa przyszłość. Niniejszy tekst stanowić może dowód na to, iż przestrzeń ta zdecydowanie na to zasługuje.



Zdegradowane i zarośnięte tereny dawnego kąpieliska (2017 rok)

PRZYPISY:

1 W. J. Cynarski, *Czas wolny, turystyka i rekreacja w perspektywie socjologicznej*, Kraków 2017, s. 103-105.

2 S. Zagórny, *Dynamika czasu wolnego*, [w:] *Współczesny człowiek: czas pracy, czas wolny*, red. L. Sadovnicova, Opole 2011, s. 223-229.

- 3 C. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, Warszawa 2012, s. 71.
- 4 Archiwum Państwowe w Katowicach (dalej APK), Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 1-2 i 39.
- 5 M. Wądołowski, *Michałkowice – wieś i dwór na przestrzeni dziejów*, Chorzów 2017, s. 130-131.
- 6 APK, Zakłady Hohenlohego S.A. Wełnowiec nr 339, sygn. 531, k. 100.
- 7 Ibidem, k. 182.
- 8 P. Lipecki, *Polityka kulturalna sanacji w województwie śląskim w latach 1926-1939*, [w:] *Katowice w 139. rocznicę uzyskania praw miejskich. Wielokulturowość Katowic*, red. A. Barciak, Katowice 2005, s. 278-296.
- 9 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 1, k. 229.
- 10 APK, Zakłady Hohenlohego S.A. Wełnowiec nr 339, sygn. 531, k.185.
- 11 Ibidem, k. 178.
- 12 Ibidem, k. 177.
- 13 Ibidem, k. 134-137.
- 14 Ibidem, k. 185.
- 15 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 1, k. 290.
- 16 Ibidem, k. 296.
- 17 Ibidem, k. 330.
- 18 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 39, k. 12.
- 19 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 2, k. 73.
- 20 Ibidem, k. 175-176.
- 21 Ibidem, k. 193-198 i 206.
- 22 Ibidem, k. 304.
- 23 Wywiad z Barbarą Ponicką, przeprowadzony przez autora 29 marca 2018 roku w Siemianowicach Śląskich.
- 24 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 1, k. 371.
- 25 Z. Janeczek, *Od Sancovic do Siemianowic. Szkice z dziejów miasta i okolic*, Katowice 1993, s. 260-261.
- 26 APK, Akta gminy Michałkowice nr 515, sygn. 39, k. 9.
- 27 Ibidem, k. 27-32.
- 28 Ibidem, k. 49.
- 29 Ibidem, k. 67.
- 30 Wywiad z Barbarą Ponicką, przeprowadzony przez autora 29 marca 2018 roku w Siemianowicach Śląskich.
- 31 M. Derus, *Historia i zabytki architektury Michałkowic*, Siemianowice Śląskie 2007, s. 43.
- 32 M. Syniawa, R. Syniawa, *Wycieczka do Michałkowic. Skamieniałości dolnego wapienia muszlowego*, „Przyroda Górnego Śląska” 1998, nr 14, s. 4-5.
- 33 APK, Zakłady Hohenlohego S.A. Wełnowiec nr 339, sygn. 531, k. 185.

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA... 95-LECIE I LO IM. JANA ŚNIADECKIEGO



W przemijaniu odnajdujemy sens i porządek zdarzeń, sytuacji, po prostu - życia. Wspomniana egzystencja staje się wartością wtedy, kiedy przynosi ludziom, otoczeniu - by nie rzecz górnolotnie - światu - dobro ponadczasowe, uniwersalne.

Czy pierwsze LO - najstarsza szkoła średnia w mieście jest takim dobrem? Prawie stuletni, modernistyczny budynek w centrum miasta, znajdujący się tuż obok niedużego kościółka, nazywanego wciąż „Wizytkami” (choć już

wiele lat temu ten żeński klasztor przeniesiono do Rybnika, a kościół stał się ponownie siedzibą zgromadzenia ewangelickiego), park, zabytkowa pływalnia i stara uliczka do nich prowadząca, są niewątpliwie uroklivym zakątkiem Siemianowic Śląskich, obrazem, w który wpisuje się barwnie nasze liceum - nie tylko w perspektywie plastycznej i architektonicznej, ale również mentalnej siemianowiczian. Przedstawiony obraz Siemianowic pojawia się w naszej miejskiej przestrzeni coraz rzadziej, bowiem, nie wiedząc po co, wszystko chcemy unowocześnić, zmienić, odbierając przy tym rzeczom i miejscom ich klimat i swoisty smak, co uczyniono, np. z ulicą Kościuszki, prowadzącą przez park na ulicę Wyspiańskiego, na której mieści się nasza szkoła. Stare, zbudowane z czerwonej cegły domy, niech pozostaną prawdziwie śląskimi. Nie ma już kopalń ani huty i innych zakładów, wpisujących się w szeroką, dawną perspektywę Śląska; niech chociaż pozostaną niektóre miejsca, przypominające nam minione czasy.

Tak więc przemijamy - ja, Ty, on, ona, oni - wszyscy, ale czy nie warto ocalić od zapomnienia tego, czego niszczyć nie trzeba, pozwolić wypełnić się czasowi, zaufać dobrym ludziom, dla których wspomnienia, historia i tradycja mają jeszcze jakieś znaczenie.

Historię Siemianowic Śląskich i I LO znam głównie z dwóch źródeł: pierwsze, nazwałabym je naukowym i profesjonalnym, to opracowania Pana Profesora Zdzisława Janeczka, niewątpliwego autorytetu siemianowiczian, a naszego absolwenta, z których dowiadujemy się o wielu ciekawych i nieznanych powszechnie historiach - drugie, to zapisane w pamięci mojej rodziny dzieje Siemianowic i naszego liceum. Wszystkie lata, począwszy od roku 1923, udowadniają, jak wspaniała to była szkoła i jak bardzo wpisała się w historię naszego miasta. Liczne pokolenia realizowały się tu w różnych okresach historycznych. Dzięki filozofii tej szkoły i wspaniałym pedagogom, wielu absolwentów stało się wybitnymi postaciami, znanymi niejednokrotnie w całej Polsce, a nawet za granicą.



Całym sercem utożsamiam się z wartościami, prezentowanymi od lat w tej szkole. Są to wartości pieczołowicie pielęgnowane w mojej rodzinie, takie jak religijność czy patriotyzm – a to bardzo ważne i cenne, aby szkoła i dom zmierzały w tym samym kierunku. Nasze liceum, dziś nowoczesne i odmienione, wyposażone w profesjonalne pracownie przedmiotowe, bogate w koła zainteresowań, realizujące ciekawe projekty naukowe, wciąż pozostaje wierne, przywołanym wyżej tradycjom. Nie są to słowa puste – wystarczy przejrzeć szkolne kroniki, księgi pamiątkowe, stare i nowe fotografie, pieczołowicie zebrane na okoliczność 95-lecia liceum i zaprezentowane na różnego rodzaju wystawach, scenariusze autorskich przedstawień, konspekty lekcji wychowawczych i przedmiotowych, konkursy i olimpiady (liczni laureaci i finaliści), przyjrzyć się działalności kawiarenki literacko-teatralnej „To i owo”, działalności koła fotograficznego „Fotoś” czy Akademii Nowoczesnego Patriotyzmu, a także dostrzec obecność uczniów I LO na wszystkich miejskich uroczystościach, honorowanych sztandarem I LO. Tablica, którą ufundowali absolwenci rocznika 1951 o treści: *Nauczycielom I LO im. Jana Śniadeckiego w Siemianowicach Śląskich, którzy w trudnym okresie zniewolenia umysłów, przekazywali nam uczciwą i rzetelną wiedzę – maturzyści z 1951 roku*, a odnosząca się do trudnej i zawiłanej historii Polski po II wojnie światowej, pełni ważną funkcję w wychowywaniu młodzieży, jest pewnego rodzaju drogowskazem, zobowiązującym do konkretnego działania.

Rok szkolny 2017/2018 jest czasem szczególnym dla I LO, obfitującym w wiele wydarzeń naukowych, społecznych i artystycznych. Jego uroczysta inauguracja miała miejsce 13 października 2017 roku w auli, noszącej imię Zygmunta Bauera, dawnego polonisty i autorytetu młodzieży. Był to Dzień Edukacji Narodowej, podczas którego uroczystości ogłosiłam ten rok szkolny – rokiem jubileuszowym. Było pogodnie, było radośnie, było pięknie. Dla całej społeczności szkolnej zagrali absolwenci liceum, a ich koncert zapowiedział rok barwny i interesujący.

Z absolwentami z różnych roczników spotykaliśmy się jeszcze na próbach przed galą jubileuszową, no i oczywiście na samej gali – „cudownej, eleganckiej, profesjonalnej” – przywołując cytaty gości, obecnych na uroczystości, która odbyła się 15 czerwca 2018 roku w SCK. Następnego dnia świętowaliśmy urodziny „Śniadka” w staruszcze

szkole. I tu pojawiły się nowe atrakcje: uroczą „Telenowelę” w wykonaniu nauczycieli szkoły, spotkania absolwentów w klasach – ciekawe rozmowy, wspomnienia, również na temat interesującej wystawy, znanych absolwentów liceum, którzy już na zawsze wpisali się w historię szkoły. Wcześniej, po uroczystej mszy w kościele św. Krzyża, prowadzonej, między innymi, przez Ks. Biskupa Pomocniczego Andrzeja Iwaneckiego – absolwenta naszego liceum, przemierzyliśmy miasto w barwnym korowodzie, udającym się do szkoły przy dźwiękach skocznej muzyki orkiestry dętej.

Ten korowód, te uśmiechnięte twarze, często niemłodych już przecież ludzi, tę podniosłą atmosferę piątkowej gali i niemal rodzinnej soboty – zapamiętam na zawsze. Przechowam w pamięci każdy dzień roku szkolnego 2017/2018 – choć nie był to czas łatwy. Ten czas zasługuje jednak na to, aby wpisać się równie pięknie w dzieje szkoły jak lata poprzednie – pełne troski i poświęcenia dla uczniów; tak było zawsze i tak będzie zawsze.

Chciałabym, aby nasza szkoła doczekała się nie tylko jubileuszu 100-lecia, chciałabym żeby trwała jak najdłużej. Chciałabym, aby umieszczona na fasadzie szkoły tablica, przypominała wszystkim, co w życiu jest najważniejsze.

Obok nas przemijają rzeczy wielkie i małe, ważne i nieważne, a wszystko to dzieje się szybko, czasem niezauważenie. Poszukujemy prawdy gdzieś daleko, a kiedy już zmęczeni nieustającym biegiem i codziennością, zatrzymujemy się na chwilę, wracamy do starych miejsc, które warto „ocalić od zapomnienia”.

JAN SZCZEPAŃSKI – TWÓRCA UNIWERSYTETU POWSZECHNEGO W SIEMIANOWICACH ŚLĄSKICH



Jan Szczepański, nauczyciel, twórca Uniwersytetu Powszechnego w Siemianowicach Śląskich

Pisząc historię mojego ojca Jana Szczepańskiego spełniam prośbę nieżyjącego już niestety Dyrektora Muzeum w Siemianowicach Śląskich – Krystiana Hanasza. Na ostatnim naszym osobistym spotkaniu, a było to 31 maja 2017 roku, które organizował pan Hadasz wspólnie z redaktorami Radia Katowice p.t. „Obraz ma głos” podszedł do mnie z tym swoim sympatycznym uśmiechem i powiedział: *Pani Danuto, proszę napisać wspomnienia o swoim ojcu dotyczące jego działalności na Śląsku do kolejnego „Rocznika Muzealnego”.* Czytałem jego książkę *„Moje szkoły – wspomnienia”* i brakuje mi dalszego ciągu jego dziejów. Proszę napisać wszystko co pani wie i pamięta.

Pani Beata Tomanek – redaktor Radia Katowice współorganizatorka wymienionego spotkania, nazwała miasto Siemianowice – miastem Uniwersytetów. To dzięki zaangażowaniu mojego ojca i jego przyjaciół powstał Uniwersytet Powszechny w Siemianowicach w okresie przedwojennym i powojennym, w latach 1936–1939 oraz 1946–1949. Jan Szczepański to znany w Siemianowicach społecznik i działacz kulturalno oświatowy, żyjący i działający na Śląsku w latach 1928 do 1939 i 1945 do 1979 r. Przybył na Śląsk do Maciejkowic w roku 1928 po ukończeniu Kursu Nauczycielskiego im. dr. Rowida w Krakowie. Urodził się w malowniczej wiosce Radzice w powiecie opoczyńskim 27 sierpnia 1905 r. w wielodzietnej rodzinie chłopskiej jako syn pierworodny Łukasza i Marianny. Chciał zostać nauczycielem. Z wielką determinacją, wspomagany przez ojca „w chłodzie i o głodzie” ukończył swoje wymarzone szkoły, co opisuje w wydanej w 2014 r. książce *„Moje szkoły – wspomnienia”*. Jako uczeń w Progimnazjum w Przysusze w roku szkolnym 1920/21 i jako harcerz dowiedział się o problemach młodzieży na Śląsku i wspierając ich w walce o polskość brał udział w akcji zbierania podręczników szkolnych i literatury polskiej, które wysyłane były do szkół na Śląsk. Już wówczas pomyślał o tym, że gdyby udało mu się spełnić swoje marzenia i zostać nauczycielem, to chciałby uczyć dzieci śląskie.

Ze Ślązakami spotkał się osobiście, kiedy studiując na Uniwersytecie Jagiellońskim filozofię dorabiał sobie na utrzymanie pracą w schroniskach dla nieletnich. W jednym z nich poznał kolegę, również wychowawcę, który namówił ojca do pracy w czasie wakacji przy budowie Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Zamieszkał wówczas u rodziny żony kolegi w Katowicach-Bogucicach, a na jego weselu miał okazję poznać Ślązaków w czasie zabawy weselnej, przy „kielichu” i tańcach. Polubił ich – jak twier-

dził zawsze – za ich humor, dowcip, chęć niesienia pomocy innym i beztroskę mimo ciężkich warunków pracy i trudnych warunków materialnych w codziennym życiu.

Pierwsza posada nauczycielska w Maciejkowicach była sprawdzianem jego zdolności pedagogicznych i wytrwałości w realizacji zamierzonego celu. Mógł otrzymać pracę w Katowicach, ale wybrał znane mu środowisko wiejskie. Odtąd na całe życie, z przerwą na czas okupacji hitlerowskiej związany był z Górnym Śląskiem.

Maciejkowice – była to wówczas niewielka osada położona tuż przy granicy niemieckiej pod Bytomiem, między Chorzowem, a Brzezinią Śląskimi. Było tam kilka gospodarstw wiejskich i dwa majątki rolne. Większość ludności żyła jednak z pracy w kopalni „Barbara” i Zakładach Azotowych w Chorzowie. W środowisku Maciejkowic nie wygasły jeszcze zadrażnienia na tle niedawnej walki niepodległościowej.

Ojciec od razu rzucony został na tzw. „głęboką wodę”. Przydzielono mu pierwszą klasę oraz wychowawstwo w ostatniej klasie. Szkoła podlegała Inspektorowi w Siemianowicach. Do pracy przystąpił z wielkim zapałem. Z klasą pierwszą nie było problemów. Za to w ostatniej klasie było gorzej. Młody nauczyciel, nie znający gwary śląskiej, miał kłopoty z utrzymaniem karność. Kar cielesnych nie chciał w żadnym wypadku stosować. Powoli, każdego dnia zaprzyjaźniał się z młodzieżą stosując system pochwał i organizując im ciekawe zajęcia pozaszkolne. Udało mu się w niedługim czasie pozyskać młodzież swoją pozytywną postawą i serdecznością. Również rodzice dzieci spotkani przypadkowo na ulicach, czy w gospodzie, w której ojciec się stołował, nie mogli uwierzyć w fakt, że ich dzieci się chwali, a nie gani, jak to mieli zwyczaj czynić inni nauczyciele.

W ramach zajęć pozaszkolnych ojciec zorganizował koło młodzieżowe pod nazwą „Gwiazda”. Koło działało jako zespół kulturalno-oświatowy przy szkole. Tu po raz pierwszy ojciec zastosował swoją metodę pracy powtarzaną w latach późniejszych przy organizacji życia kulturalno – oświatowego w Siemianowicach, w tym Uniwersytecie Powszechnego. Opracował program działalności koła, w którym pomagać mu miał wybrany na zebraniu samorząd. Opracowano regulamin. Wydano również odbite na powielaczu legitymacje. Jak to zwykle bywa przy tego typu działalności, ojciec miał swoich zwolenników i przeciwników. Pokonał jednak trudności, a zapał młodzieży oraz ich wkład w tę pracę rekompensował ojcu wszelkie nieprzyjemności i stresy. Działalność koła rozwijała się. Organizowano wspólne śpiewy, wycieczki, spotkania towarzyskie i zabawy. Wkrótce zorganizowano zespół dramatyczny i wystawiona sztukę „Sieroce wiano”, która cieszyła się dużą popularnością. Do zajęć popołudniowych młodzieży doszedł również sport, w tym głównie lekkoatletyka.

Po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego ojciec przeniósł się do Siemianowic, gdzie od 1 września 1931 roku rozpoczął pracę w szkole nr 5 im. Adama Mickiewicza. Wcześniej na zabawie nauczycielskiej poznał swoją przyszłą żonę Marię Hamburger, córkę ówczesnego Naczelnika Organizacji Sportowej Sokół w Siemianowicach i na cały Okręg Śląski. Małżeństwo zamieszkało na ulicy Matejki i na świat przyszła córka Wandzia.

Ojciec był zapalonym działaczem. Nie wystarczała mu praca w szkole Powszechnej. Chciał rozwijać swoją działalność kulturalno – oświatową wśród młodzieży starszej i dorosłych. Siemianowice nie posiadały w tamtych czasach praw miejskich. Były miejscowością typowo przemysłową, liczącą około 38 tys. mieszkańców. Życie kulturalno-oświatowe, jak opisuje ojciec w swojej pracy „Wspomnienia nauczycieli śląskich” – rozwijało się tu w dwóch chórach: męskim – „Szopen” i mieszanym „Kasyno” oraz w Towarzystwie Czytelni Ludowych z biblioteką i obszerną czytelnią.

Działalność oświatową prowadziły także organizacje młodzieżowe: Związek Młodzieży Powstańczej, Związek Młodych Polek, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” oraz „Strzelec”. Ruchliwy był także Związek Młodzieży Katolickiej. Aby stworzyć so-



Jan Szczepański z żoną Marią z domu Hamburger, rok 1930

bie lepsze warunki dla działalności społecznej, objął funkcję referenta oświatowego przy zarządzie miasta oraz w ognisku związkowym. Udało mu się uzyskać odpowiednie pomieszczenie na świetlicę, wyposażać ją w sprzęt, czasopisma i inne pomoce związane z pracą świetlicową. Do tej placówki wprowadził Związek Młodzieży Powstańczej i grupę Młodych Polek. Do współpracy pozyskał niektórych działaczy społecznych i kolegów nauczycieli, sam zaś objął kierownictwo nad całością działalności. Do świetlicy zaczęła napływać z ulicy młodzież i dorośli, wśród których było wielu bezrobotnych. Do działalności kulturalno - oświatowej wciągnął ojciec swoją żonę i wspólnie popularyzowali pieśni i tańce ludowe oraz małe formy teatralne.

Od 1934 r. w ramach Towarzystwa Czytelni Ludowych rozpoczął organizowanie różnych prelekcji i wykładów. Odczyty te zaczęły cieszyć się coraz większą popularnością. „Napływ bezrobotnych do Czytelni TCL i miejskiej świetlicy stał się tak duży, że trzeba było pomyśleć o nowym lokalu.

W porozumieniu ze Związkiem Zawodowym Hutników i z burmistrzem miasta otrzymaliśmy większą salę przy kantinie na terenie huty Laura”. Tam raz w tygodniu w każdą sobotę odbywały się zajęcia zorganizowane. Oprócz odczytów i wąskotematycznych filmów urządzano pogadanki oraz wspólne śpiewy, a z czasem powstał chór męski, do którego zaangażowany został dyrygent chóru „Chopin” - Paweł Pietrek.

Dużym osiągnięciem było otrzymanie dotacji z Funduszu Bezrobocia na dożywianie dla bezrobotnych. Niestety działalność ta nietrwała długo, gdyż na skutek reorganizacji huty „Laura” przerwano spotkania z bezrobotnymi” pisze ojciec w swoich wspomnieniach. Swą działalność kulturalno - oświatową przeniósł wówczas do innej świetlicy na terenie miasta. Działalność społeczna zajmowała ojcu dużo czasu, ale dawała równocześnie wiele zadowolenia i satysfakcji. Poznał wielu przyjaciół, którzy pomagali mu w pracy, jak: Józef Rasek, Józef Górecki, Engelbert Bytomski, Konrad Kitel, Tadeusz Pronobis, Franciszek Zarzycki i inni. Pomagali mu również zaprzyjaźnieni nauczyciele, między innymi Jan Migacz.

Mając tak silne wsparcie przyjaciół udało mu się w roku 1936 zorganizować w Siemianowicach w porozumieniu z władzami oświatowymi Uniwersytet Powszechny. Pomieszczenia uzyskano w miejscowym gimnazjum, którego dyrektorem był wówczas Stefan Ciembroniewicz. Kierownictwo pedagogiczne objął miejscowy nauczyciel dr Tadeusz Betleja, a ojciec wykładał historię i zagadnienia współczesne. Uniwersytet nie dawał żadnych uprawnień, ale pozwalał chętnym podnosić swoje kwalifikacje i miło spędzać czas na zajęciach świetlicowych, które w większości prowadziła moja mama - Maria Szczepańska.

W roku 1936 przyszła na świat druga córka Danusia. Rodzinie poświęcał dużo czasu, jednak był urodzonym społecznikiem i z powodzeniem godził życie w rodzinie z pracą społeczno-kulturalną. Był współorganizatorem strajku nauczycielskiego w 1937 r., a w wyborach do Senatu w 1938 roku, do których kandydował z ramienia ZNP wybrany został większością głosów.

Druga wojna światowa przerwała sukcesy ojca na polu społecznym i zawodowym. Wywiozł swoją rodzinę do ojca na wieś z zamiarem powrotu do Siemianowic, ale nie było już takiej możliwości. W czasie wojny od razu przystąpił do działalności konspi-

racyjnej, pomagając początkowo oddziałom porucznika Dobrzańskiego o pseudonimie „Hubal”, a następnie objąwszy kierownictwo Szkoły Powszechnej w pobliskiej wsi Kruszewiec działał w Batalionach Chłopskich – zbrojnym Oddziale Stronnictwa Ludowego pod pseudonimem „Szczęśny”. Do pracy konspiracyjnej zachęcił również żonę, która działała pod pseudonimem „Aza”. Wspólnie organizowali punkty tajnego nauczania i prowadzili skrzynkę łączności Batalionów Chłopskich współpracujących również z Oddziałami Armii Krajowej. Nie będę dalej opisywała wspomnień z tamtych lat, gdyż nie to jest celem mojego opowiadania o ojcu. Pragnę tylko podkreślić, że przeżył wojnę dzięki nieznanemu Ślązakowi w niemieckim mundurze.

Będąc pewnego wojennego dnia w latach 40. w mieście Opoczno został złapany przez Niemców w tak zwanej „łapance” na ulicach miasta. Stojący przed nim żołnierz zaklął w gwarze śląskiej. Ojciec nie namyślając się długo powiedział również gwarą, że jest „synkiem” ze Śląska, z Siemianowic. Wówczas żołnierz kazał mu uciekać, a sam strzelał w powietrze. I tak ojciec przeżył wojnę. Mieszkańcy Opoczna i jego okolic złapani w „łapance” zostali wywiezieni do lasu i tam rozstrzelani. Był to odwet za zabicie przez partyzantów dwóch ważnych członków Gestapo w mieście.

Po wojnie w roku 1945 rodzice wrócili do Siemianowic, mimo, że władze miasta Opoczna oferowały im mieszkanie i pracę w mieście w nagrodę za ich wojenne zasługi. Ojciec jednak chciał koniecznie wrócić do Siemianowic i reaktywować swoją rozpoczętą, a niedokończoną pracę z mieszkańcami miasta.

Otrzymał zatrudnienie w Inspektoracie Szkolnym w Katowicach jako instruktor oświaty dorosłych. Zawsze wolał pracować z młodzieżą starszą i dorosłymi ludźmi. Miał im więcej do zaoferowania niż dzieciom. Mieszkanie rodzinne mieszczące się w okresie przed wojennym na ulicy Parafialnej 1 było już oczywiście zajęte. Przepadły meble i cały dobytek. Otrzymał w zamian mieszkanie poniemieckie na ulicy Floriana 16. Pojechał okreśną drogą po swoją rodzinę i w bardzo ciężkich warunkach w tłumie spoconych, tłoczących się ciał udało nam się dotrzeć do Siemianowic. Podróż była tym bardziej trudna, że mamusia spodziewała się trzeciego dziecka. 30 lipca 1945 r. przyszła na świat trzecia córka Zosia.

Po przyjeździe na Śląsk ojciec szukał w obozach jenieckich swojego wybawcę z łapanek w Opocznie. Rozglądał się również za nim na ulicach śląskich miast. Niestety! Nie znalazł go. Mówił nam, że na pewno by go rozpoznał. „nie zapomina się przecież twarzy człowieka, dzięki któremu się żyje” mówił nam ojciec. Chciał odnaleźć także swoich przyjaciół i współpracowników. Udało mu się potkać tylko nielicznych. Ściągali do miasta z całego świata jeszcze przez wiele miesięcy.

„Wielu już nie zobaczyłem – pisze ojciec w swoich wspomnieniach. Starsi, aktywni działacze, jeśli na czas się nie ukryli, zginęli w więzieniach i obozach. Z młodszych wciągniętych do Wehrmachtu, wracało tylko niewielu. Odwiedziłem również Maciejkowice. Tam było jeszcze gorzej. Z powstańców nie ocalał ani jeden. Najstarszy z nich Mikołaj Ledwoń, został ścięty w katowickim więzieniu, a jego syn Edmund poległ w powstaniu warszawskim. Z byłych uczniów i członków świetlic spotykałem głównie niewiasty”. Został jednak ojciec kilku dawnych znajomych, którzy zajmowali poważne stanowiska w samorządzie i organizacjach społecznych. Miał nadzieję, że pomogą mu kon-



Jan Szczepański pseudonim Szczęśny, żołnierz Batalionów Chłopskich, rok 1941



Jan Szczepański, Siemianowice Śl., rok 1946

tynuować jego przedwojenną działalność oświatową. Nie przewidział tylko ojciec, że rządząca w kraju nowa władza komunistyczna będzie ojcu jako ludowcowi nie należącemu do PPR utrudniała jego działalność.

Marzeniem ojca było reaktywowanie działalności Uniwersytetu Powszechnego. Nie było to łatwe zadanie. Młodzież była nieufna i niełatwo garnęła się do tego typu placówek. Byliśmy ze starszą siostrą świadkami niezmiernego wysiłku i determinacji ojca, który poświęcał swój czas i pieniądze na zrealizowanie tego celu. Chodził po zakładach pracy, rozmawiał z władzami samorządowymi i młodzieżowymi, sam, na własny koszt załatwiał drukowanie i rozwieszał plakaty o inauguracji Uniwersytetu. Dzięki przyjaciółom z lat przedwojennych udało mu się w końcu załatwić pomieszczenia, wykładowców, a przede wszystkim zgodę władz na tego typu działalność.

3 stycznia 1946 r. udało się w końcu ojcu dokonać otwarcia Uniwersytetu z liczbą 55 słuchaczy. Była to młodzież pracująca, głównie z wykształceniem podstawowym, pragnąca pogłębić swoją wiedzę i miło spędzić czas na zajęciach świetlicowych. Nauka na Uniwersytecie nie dawała żadnych uprawnień, a jedynie podnosiła kwalifikacje młodzieży dla jej własnego dobra. Uczyli się historii, języka polskiego z literaturą, zagadnień przyrodniczych, geografii, a w latach późniejszych: fizyki, chemii, kultury, języka angielskiego, stenografii i maszynopisania. W pierwszych dniach działalności wybrano samorząd, któremu przewodniczył Tadeusz Pronobis, słuchacz Uniwersytetu z czasów przedwojennych, a późniejszy kierownik drukarni w Siemianowicach. Oprócz pogłębiania wiedzy młodzież uczestniczyła w różnego rodzaju spotkaniach towarzyskich, akademiach, wycieczkach i imprezach towarzyskich. Nawiązano kontakt z Uniwersytetem Ludowym w Bryskach koło Łodzi, który prowadził ojca przyjaciel z lat walki z okupantem – Franciszek Białas. Młodzież z Brysk odwiedzała Siemianowice, a uczestnicy Uniwersytetu Powszechnego oferowali jej noclegi po swoich domach. Nawiązały się przyjaźnie zacieśnione poprzez wycieczki do Brysk, gdzie bogato i i ochoczo, po staropolsku goszczono słuchaczy z Siemianowic.

Wiosną 1946 r. ojciec został skierowany przez władze Kuratorium do prowadzenia Młodzieżowego Ośrodka Szkoleniowego w Sławęcicach. Było to nie lada wyzwanie, gdyż uczestnikami Ośrodka była młodzież z całej Polski, zagubiona wśród zawieruchy wojennej, która posiadała również i broń używaną do walki z okupantem. Trudno było zapanować nad tą społecznością. Do pomocy zabrał ze sobą ojciec nie tylko żonę, ale także niektórych członków Uniwersytetu Powszechnego, którzy zgłosili się na ochotnika. „Szczęśny” i „Aza” dali sobie radę z młodzieżą, po swoich doświadczeniach bojowych w czasie wojny. Rodzice prowadzili ten Ośrodek przez trzy miesiące, po których powrócili do Siemianowic, by kontynuować pracę na Uniwersytecie Powszechnym.

Uczestnicy Uniwersytetu napisali kronikę, którą oddaliśmy z siostrą do Muzeum w Siemianowicach. Opisywali w niej swoje wrażenia z wycieczek, spotkań towarzyskich i imprez, a także pisali w niej wiersze i słowa piosenek. Może kroniką zainteresują się młodsze pokolenia pochodzące z rodzin uczestników UP. Opracowany został własny hymn UP, który uczestnicy śpiewali na spotkaniach okolicznościowych. Słowa do hymnu napisał ojciec, a muzykę skomponował jeden z uczestników UP – Edward Szymos. Treścią hymnu było budowanie lepszego świata przez pracę, braterstwo i sprawiedliwość społeczną.

Uniwersytet w kolejnych latach rozwijał się. Przybywała młodzież również spoza Siemianowic. Utworzono dodatkowo Koło Krajoznawcze i organizowano wiele atrakcyjnych wycieczek w pobliskie miejscowości górskie. Uniwersytet Powszechny nie cieszył się zbyt dużą sympatią ówczesnych władz partyjnych. Na jednym ze spotkań ojciec powiedział: "Wychowanie czysto partyjne zostawmy partii politycznej". I tak 1 marca 1947 r. członkowie UP zastali zamknięte drzwi do Miejskiego Domu Kultury, który był ich drugim domem. Nie stało by się tak zapewne, gdyby ojciec należał do partii rządzącej. Zbyt cenił sobie wolność, żeby wiązać się z PPR. Był wrażliwym człowiekiem i nie mógł pogodzić się z metodami rządzących. Zajęcia przeniesiono wówczas do Szkoły nr 6, gdzie kierownikiem był tatusia przyjaciel pan Szyndler. W szkole nie było już tak wygodnie, jak w świetlicy, ale niezrażeni słuchacze w razie potrzeby przestawiali ławki szkolne i tak zdobywali potrzebną im przestrzeń do działania (wieczorki taneczne, czy próby występów artystycznych).

„Zabrali nam Dom Kultury, ale zapału do pracy i więzi przyjacielskiej nie mogą nam wydrzeć” – powiedziała słuchaczka Dorota Pietrowska na jednym ze spotkań. W maju 1949 roku zarządzeniem Wojewódzkiego Wydziału Oświaty Uniwersytet został zlikwidowany. Zamknięciu uległy wówczas wszystkie takie placówki na terenie kraju.

Z satysfakcją mogę napisać, że Uniwersytet Powszechny w Siemianowicach Śląskich uznawany był przez władze oświatowe za jeden z najlepiej działających w kraju. Członkowie Uniwersytetu nie mogli pogodzić się z jego likwidacją. Spotykali się jeszcze długo po prywatnych domach, ale czas zrobił swoje. Spotkania młodzieży stawały się coraz radsze. 26 stycznia 1957 r. z inicjatywy najaktywniejszych słuchaczy odbyło się uroczyste spotkanie z okazji dziesięciolecia pracy UP. Oprócz licznie przybyłych członków UP wraz z rodzinami stawili się wykładowcy i przedstawiciele władz oświatowych. Ojciec i byli członkowie UP wciąż mieli jeszcze nadzieję na reaktywowanie UP. W okresie jego działalności przez Uniwersytet przewinęło się przeszło 200 słuchaczy, z których wielu ukończyło szkoły średnie i wyższe i zajmowali odpowiedzialne stanowiska na terenie miasta i województwa. Dla przykładu można podać, że jeden z najaktywniejszych członków UP skończył wyższe studia w Moskwie i był pierwszym sekretarzem Komitetu Miejskiego w jednym ze śląskich miast. Przyjechał osobiście do ojca tłumacząc, że nie może wziąć udziału w uroczystości 10-lecia, gdyż byłoby to źle widziane przez jego zwierzchników. Byłam osobiście świadkiem tej rozmowy. „Sercem będę z wami” powiedział. Inny z uczestników UP siemianowiczanie Eryk Ochman ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie i został słynnym artystą malarzem.

Kolejny zjazd uczestników UP odbył się 19 lutego 1966 r. z okazji 20. rocznicy powstania UP. Na spotkaniu tym powstała myśl zorganizowania Towarzystwa Miłośników Siemianowic, do którego czynnie zobowiązali się włączyć uczestnicy spotkania. Ojciec współpracował potem przy organizacji tego Towarzystwa, był członkiem Zarządu, czy Wiceprezesem. Organizował spotkania z ciekawymi ludźmi: pisarzami, aktorami, piosenkarzami i innymi sławami polskimi w tamtych latach. Na spotkania zabierał swoją rodzinę. Sama uczestniczyłam kilkakrotnie w takich spotkaniach, jak z Beatą Tyszkiewicz, Hanką Bielicką, Mariuszem Dmochowskim, czy Polą Raksą, a także z pisarzem Kawalcem, czy Haliną Kunicką. Nie było to jednak to samo, co ojca wymarzona placówka Uniwersytet Powszechny.

Przez cały okres powojenny ojciec pracował również w szeregu organizacjach społecznych i instytucjach, jak:

- Wojewódzki Zarząd Związku Samopomocy Chłopskiej
- Wojewódzki Komitet ZSL

- Okręgowy Zarząd ZNP w Katowicach, w którym był kierownikiem Wydziału Pracy Społeczno-Oświatowej.

Był także członkiem Komisji Kultury w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Organizował wyjazdy w plenery ludzi kultury, jak: malarzy, rzeźbiarzy, poetów. W roku 1966 był wojewódzkim delegatem na Kongres Kultury w Warszawie. Oprócz tego cały czas uczył w szkole dla pracujących w Katowicach i wracał do domu późnymi wieczorami.

Był bardzo dobrym i wrażliwym człowiekiem. Mimo zmęczenia znajdował czas dla swoich dzieci i wnuków. 1 lutego 1968 r. przeszedł na emeryturę. Nie czuł się w pełni spełniony w pracy społecznej i zawodowej. W 1959 r. napisał smutny wiersz:

Byłem dzieckiem...
Świat śmiał się do mnie
Chabrami oczu matuli!
To nic, że chleb był czarny,
Że zimno w zgrzebnej koszuli!...
Byłem chłopcem,
W niebo spojrzałem
Przez czarne oczy dziewczyny!
To nic, że tylko skrycie
Słałem tęsknoty jedynej!...
Młodzieńcze lata...
Z losem w rozterce
I serce bólem targane!
To nic, że były bolesne,
Lecz żal, że takie przegrane!

W roku 1970 tatuś opisał swoje wspomnienia z pracy pedagogicznej, kulturalno-oświatowej i społecznej w latach 1928-1949, wydane przez Śląski Instytut Naukowy w Katowicach w pracy zbiorowej „Wspomnienia nauczycieli śląskich” pod redakcją Kazimierza Popiołka. Za swoją pracę otrzymał jedno z czołowych miejsc w ogólnopolskim konkursie.

W czasie emerytury w roku 1972 wyjechał do Szczecina, jako opiekun swojego wnuka Jacka Piętniewicza, którego rodzice wyjechali na placówkę dyplomatyczną w Casablance. Podczas wakacji wypłynął statkiem wraz z wnukiem w odwiedzinach do swojej najstarszej córki Wandzi. Zwiedzanie egzotycznej Casablanki i jej okolic sprawiło mu ogromną radość. W tamtych odległych czasach wyjazd za granicę graniczył z cudem. Z tej podróży napisał piękne wspomnienia, które przechowujemy jako cenną pamiątkę.

Ojciec kochał swoją rodzinną wieś Radzice. Nauczył córki miłości do ziemi opoczyńskiej i jej wspaniałego folkloru. Swoją miłość do tamtych stron opisał w wierszach załączonych do wydanej książki „Moje szkoły - wspomnienia”. Napisał również wiele wierszy o Śląskiej ziemi i jej mieszkańcach.

Zmarł nagle 27 marca 1979 r. Pochowany jest na Cmentarzu przy ulicy Michałkowickiej. Otrzymał wiele odznaczeń, w tym najważniejsze - Krzyż Orderu Odrodzenia Polski. O ojcu ukazało się wiele artykułów w prasie śląskiej i opoczyńskiej. Niektóre z nich zamieszczone zostały jako załączniki do książki „Moje szkoły - wspomnienia”.

OPRACOWAŁY na podstawie książki Jana Szczepańskiego, licznych artykułów oraz własnych wspomnień córki - Danuta Makarewicz-Łój i Zofia Strzybny.

Małgorzata Derus

FIRMA „P. RICHTER”. KAMIENIARSTWO

Ulica Śląska 69 w Siemianowicach Śląskich to adres firmy „P. Richter”. Firmy kamieniarskiej z tradycjami, działającej w Siemianowicach już od czterech pokoleń. W przyszłym roku firma P. Richter będzie obchodziła setną rocznicę działalności. Ten artykuł ma za zadanie pokazać działalność firmy na tle dziejów wielopokoleniowej rodziny i przypomnieć o dobrych tradycjach siemianowickiego rzemiosła.

W pierwszej ćwierci XX w. w Siemianowicach rozpoczęła działalność firma kamieniarska Paula Richtera. W młodości Richter przebywał w Italii, gdzie miał możliwość kształcenia się w rzeźbiarstwie u artystów związanych z neoklasycyzmem. Po powrocie założył w Siemianowicach firmę kamieniarską. Firmę prowadzili kolejno: zięć Paula Richtera, Otton Żłobiński z żoną Stefanią Żłobińską – córką Pawła, jego wnuk Adam Żłobiński, a obecnie prawnuczka Ewa. Pozostały po tej firmie nie tylko wspomnienia i nazwa, pod którą kontynuuje działalność już czwarte pokolenie rodziny uzdolnionego rzeźbiarza. Richter urodził się w Bytomiu 19 czerwca 1887 r. Mieszkał przy obecnej ul. Karola Miarki. Ożenił się z zamieszkałą w pobliżu – przy dzisiejszej ul. Rostka (Goistr.) – Wiktorią Barbarą Wilczek. Nauki – jak już wspomniano – pobierał m.in. we Włoszech. W 1913 r. już współpracował ze znaną siemianowicką firmą budowlaną i sztukatorską Brunona Urbańczyka (znaną z pięknych dekoracji sztukatorskich, zdobiących do dziś miejskie kamienice). Po ślubie małżonkowie Paweł i Wiktoria osiedli



Robert Pietruszka, Paul Richter, Bruno Urbańczyk – Usługi budowlane, kamieniarskie i sztukatorskie



Wiktoria i Paweł Richter (siedzą w łódce), przed nimi stoi Konrad Wilczek – brat Wiktorii

pracę z pracownią sztukatorską działającą w Siemianowicach, a prowadzoną przez uzdolnionego sztukatora – Bruno Urbańczyka, jednego z kilku braci Urbańczyków, wśród których oczywiście nie zabrakło i projektanta (kamienica przy ul. Śląskiej 17, kamienica przy ul. Bocznej 10, willa przy ul. Cmentarnej 1, szkoła przy ul. Matejki). Z czasem Richter usamodzielniał się, zajmując się już wyłącznie kamieniarstwem w szerokim tego słowa znaczeniu. Egzamin mistrzowski na mistrza kamieniarstwa zdał 26 września 1936 r. w Katowicach przed Komisją Egzaminacyjną dla Mistrzów Rzemiosła Kamieniarskiego, uzyskując tytuł mistrzowski, możliwość samodzielnego prowadzenia warsztatu i prawo kształcenia uczniów. Dyplom mistrzowski zachowany jest wśród pamiątek rodzinnych firmy. Spod ręki Richtera wychodziły nie tylko nagrobki – mniej lub bardziej zdobione i zawsze starannie zaprojektowane. Był autorem wielu rzeźb i płaskorzeźb wykonanych na zamówienie władz miasta. W archiwum kościoła parafialnego p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego znajdują się dwa duże segregatory z zachowanymi projektami nagrobków autorstwa Pawła Richtera z okresu międzywojennego. Większość starych nagrobków można było jeszcze 20 lat temu znaleźć na cmentarzach siemianowickich. Z czasem nieopłacone groby uległy likwidacji, a inne zostały unowocześnione i wymieniono na nich płyty nagrobne na granitowe – brzydkie i bez wyrazu, a już na pewno bez artystycznego zacięcia widocznego doskonale w projektach Richtera i w zachowanych jeszcze nagrobkach.

Na terenie miasta zachowało się wiele przykładów działalności firmy Paula Richtera. Przy ulicy Niepodległości w Bytkowie znajduje się krzyż przydrożny z figurą Matki Boskiej. Krzyż jest wtórny, postawiony na nowo po II wojnie światowej, bo poprzedni

w Siemianowicach. W zbiorach rodzinnych zachowała się piękna fotografia, gdy młodzi państwo Richter, prawdopodobnie wkrótce po ślubie, płyną łódką po Brynicy w towarzystwie Konrada Wilczka – brata Wiktorii. Początkowo Richter wszedł w spółkę z Hoiczykiem (w 1919 r.), prowadząc firmę kamieniarską i budowlaną przy ówczesnej Dorfstrasse 19. Współpracował też ze znanym siemianowickim budowniczym, Robertem Pietruszką, autorem wielu siemianowickich kamienic, m.in. przy ul. Śmiłowskiego 5 i przy ul. Komuny Paryskiej 6. Richter podjął też współ-



PO LEWEJ: Spółka Richter & Hoiczki; PO PRAWEJ: Paweł Richter z pracownikami przed warsztatem – na pierwszym planie dwa odlewy krasnoludków ogrodowych

był bardzo zniszczony. Stał na terenie prywatnej posesji. Ustawiony został na cześć syna właścicieli owej posesji, ks. Augustyna Płaczką – salezjanina, który po przyjęciu święceń kapłańskich w 1898 r. wyjechał na misje do Australii, a następnie do Hong-Kongu, gdzie zmarł w 1928 r. Krzyż, figurę Matki Boskiej i zadaszenie wykonał kamieniarz Paul Richter z Siemianowic w 1945 r. Jego sygnatura widoczna jest na posadzce kapliczki, u stop Madonny. Kolejnym pomnikiem autorstwa Paula Richtera jest pomnik jeńców wojennych z czasów I wojny światowej, znajdujący się przy głównej alei na cmentarzu przy ul. Michałkowickiej. Na pomniku umieszczono głowę żołnierza w hełmie i lata trwania I wojny światowej. Poniżej dwie granitowe (niegdyś z czarnego szkła) tablice z nazwiskami żołnierzy zmarłych z ran w lazarecie. Żołnierze byli różnej narodowości, w tym Niemcy, Rosjanie i Polacy. U dołu po prawej stronie widnieje emaliowana tabliczka z nazwiskiem wykonawcy pomnika. Naprzeciwko owego pomnika znajduje się bardzo podobny, duży pomnik nagrobny Adama Fischera i jego żony Marthy. Był on dyrektorem Fabryki Śrub i Nitów. Pomnik wprawdzie nie jest sygnowany, ale cechy stylowe i podobieństwo do pomnika jeńców z I wojny światowej pozwalają i ten pomnik powiązać z osobą siemianowickiego kamieniarza.

27 lipca 1920 r. państwu Richterom urodziła się córka Stefania. Wychowywana w domu, gdzie wszystko podporządkowane było niełatwej pracy kamieniarskiej, sama także została uczennicą swego ojca. Wyszła za mąż za Ottona Żłobińskiego, urodzonego 29 lipca 1916 r. w Ustroniu. Otton Żłobiński zdobył tytuł mistrza kamieniarstwa nagrobkowego w dniu 3 kwietnia 1962 r., a Stefania zdobyła tytuł mistrza kamieniarskiego 19 czerwca 1968 r. Firma od początku pomyślana więc była jako firma rodzinna. Nawet w zmienionych warunkach ustrojowych po II wojnie światowej warsztaty kamieniarskie mogły funkcjonować jako firmy prywatne, toteż firma państwa Żłobińskich na brak zamówień narzekać nie mogła. Po urodzeniu się syna Adama i on od dziecka towarzyszył w pracy rodzicom i dziadkowi. Wśród pamiątek rodzinnych zachowały się zdjęcia mistrza Pawła towarzyszącego uczennicy Stefanii i sprawdzającego jej postępy w nauce niełatwego zwłaszcza dla kobiety rzemiosła kamieniarskiego. Jest też urocza fotografia, na której widzimy małego Adasia – wnuka mistrza Pawła – ubranego w długi, sięgający kostek fartuch oraz w koszulę i czapkę z daszkiem, pomagającego szlifować lastrykowe obramowanie do nagrobka. Adam Żłobiński idąc w ślady rodziców i dziadka skończył



Paweł Richter – mistrz i nauczyciel córki Stefanii Żłobińskiej



Mały Adaś Żłobiński pomaga szlifować lastrykowe obramowanie.



Paweł Richter przygotowuje rzeźbę orła na zwieńczenie pomnika ku czci powstańców śląskich, październik 1947 r.

bytomskie Technikum Budowlane, a następnie studiował na Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Obecnie firmę prowadzi córka Adama Żłobińskiego, Ewa. Studiowała na Europejskim Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, po czym podjęła studia prawnicze na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Firma od lat mieści się w tym samym miejscu, gdyż dom z przyległymi szopami był własnością rodziny. Szopy zaadaptowane zostały na warsztat kamieniarski. Dom mieszkalny został rozbudowany z czasem w stylu nawiązującym do modernizmu.



Paweł Richter z córką Stefanią, na pierwszym planie figura Siemiona, która przez około 50 lat zdobiła sadzawkę w parku miejskim

Ze znanych i zapamiętanych przez mieszkańców dzieł Richtera wymienić możemy figurę Siemiona, która długie lata upiększała sadzawkę przed pałacem Donnersmarcków w parku miejskim. Zniszczona i ostatecznie zlikwidowana w latach 90. XX w. zastąpiona została niedawno drewnianą rzeźbą innego już autora. Pomnik powstańców śląskich przed gmachem Urzędu Miasta (wersja powstała po II wojnie światowej) zwieńczony figurą orła też był dziełem firmy Richter. Orła i tablice z napisami wykonywał mistrz Paweł, który przechowywał także tablice z przedwojennego pomnika, wmontowane w 2007 r. w pomnik Czynu Niepodległościowego, który odsłonięty został 7 listopada tegoż roku na Placu ks.



Pomnik ku czci powstańców śląskich na Placu Wolności w Siemianowicach Śląskich



Legitimacja cechowa Pawła Richtera stwierdzająca przynależność do katowickiego cechu brukarzy, kamieniarzy i rzeźbiarzy w kamieniu



Legitimacja potwierdzająca odznaczenie Srebrną Odznaką Mistrza zasłużonego w szkoleniu i wychowaniu uczniów w rzemiośle kamieniarskim

Piotra Skargi. Firma Pawła Richtera wykonała większość nagrobków znanych osób, pochowanych w Siemianowicach. Piękny nagrobek Jana Nepomucena Stęślickiego (miejscowego lekarza i działacza społecznego i politycznego) i jego małżonki Heleny z Sypkowskich Stęślickiej (działaczki społecznej, prowadzącej otwarty Dom Polski i organizatorkę czytelnicy dla kobiet), to jedna z prac firmy. Nagrobek z wmurowaną pośrodku granitową tablicą (tylko ta tablica pozostała z oryginalnego pierwotnego nagrobka) ujęty był kolumnami o kwadratowym przekroju z jońskimi głowicami, a część pozioma była odsłonięta i sadzono na niej kwiaty. Na fotografii innego nagrobka o prostej formie z trójkątnym zwieńczeniem pośrodku i ozdobnymi półkolistymi elementami po bokach tablicy, znajdujemy pieczętkę warsztatu Richtera: „Paweł Richter/ Mistrz kamieniarski i sztukator/ Siemianowice Śl.”. Realizował też wieloosobowe nagrobki z krzyżem pośrodku i dekoracją w formie ornamentu cekinowego, oddzielającego napisy poświęcone poszczególnym osobom. Pośród wielu realizacji firmy Richter znajdują się nagrobki na cmentarzu ewangelickim w Siemianowicach (Martha/Karl Taschka) z głową Chrystusa w koronie cierniowej. Kolejna pieczętka, jaką znaleźć można na fotografiach zrealizowanych prac kamieniarskich to: „Zakład pomników i robót/ budowlanych/ P. Richter/ Siemianowice”. Jeden z bardziej efektownych i pracochłonnych projektów zrealizowanych w firmie Richtera, to nagrobek rodziny Muc z dużą figurą Chrystusa Zmartwychwstałego (nie zachowany do naszych czasów). W latach 30. XX w. firma zrealizowała także obmurowanie miejsca poboru wody na cmentarzu z dekoracją sztukatorską w formie girlandy z róż w zwieńczeniu i z dwoma kanelowanymi imitacjami donic na kwiaty z wmontowanym pośrodku kranem i półowalną wysoką cembrowiną, zapobiegającą wylewaniu się wody. Powtarzające się realizacje dużych nagrobków z dużą,



Firma „P. Richter”/ kamieniarstwo/ Adam Żłobiński – fot. luty 2018 r.

wówczas zapotrzebowanie. Jednak krasnoludki z warsztatu Richtera były krasnoludkami z bajek braci Grimm – można ich opisy przeczytać w niejednej bajce. Były to stworzenia przyjazne ludziom, co widać na przykładzie tych bajkowych postaci wyczarowanych w warsztacie mistrza Pawła. Warto było mieć taką uroczą ozdobę ogrodową, toteż i na te wyroby było zapotrzebowanie. Czasy się zmieniły, ludzie wolą obecnie brzydkie, w krzykliwych barwach krasnoludki z plastiku, dostępne na targowiskach. Rzadko trafia się jeszcze ozdoba ogrodowa jako figura z tzw. sztucznego kamienia łana w formę.

Moda na granit wyparła także ładne w formie i zdobione dekoracją sztukatorską



Dyplom mistrzowski Pawła Richtera z 1936 r.

pełnoplastyczną figurą Chrystusa, też świadczyły o wysokim kunszcie warsztatu Richtera. Realizacje z okresu międzywojennego, zwłaszcza z lat 30. XX w. znane są dzięki fotografiom przechowywanym starannie przez rodzinę oraz ze wspomnianej już dokumentacji projektowej, przechowywanej w archiwum parafii Świętego Krzyża. Ładnie zdobione pomniki nagrobne, oszczędne w formie, proste, a zarazem prezentujące wysokiej klasy rzemiosło tak kamieniarskie, jak i sztukatorskie, jest wizytówką firmy.

Inna fotografia z archiwum rodzinnego pp. Żłobińskich przedstawia stojącego w bramie warsztatu Pawła Richtera i dwa odlane krasnoludki, posadzone na niskim murku. I na takie ozdoby ogródkowe było

napotrzebowanie. Obecnie ludzie wolą wybrać z katalogu gotowych wyrobów, ale każde indywidualne zamówienie, nawet bardziej skomplikowane, firma P. Richter i dziś wykonuje szybko i ku zadowoleniu klienta. W ciągu ostatnich kilku lat współpraca Urzędu Miasta z firmą P. Richter zaowocowała odnowieniem wspomnianego już grobu żołnierzy z I wojny światowej na cmentarzu przy ul. Michałkowickiej, grobu Józefa Dreyzy – dyrektora Banku Ludowego w Siemianowicach i organizatora Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w okresie międzywojennym. Na wielu cmentarzach, nie tylko siemianowickich, znaleźć można pomniki wykonane w firmie siemianowickiej. W przyszłym roku firma obchodzić będzie stulecie założenia.

Na jej sukces złożyła się praca czterech pokoleń ludzi, których dzieje związane ściśle z dziejami firmy w tym krótkim artykule przedstawiono.

W KRĘGU
SZTUKI

JAN STEFAN JOŃCZYK. CZŁOWIEK-ARTYSTA I JEGO CZASY

Wstęp

Jan Stefan Jończyk, urodzony w Ziemi Zawierciańskiej, znaczną część życia poświęcił Siemianowicom Śląskim. Osiągnąwszy wiek bardzo dojrzały, mówi o sobie: „były Artysta”. W jego niezwykłym ogrodzie w Morsku zagościły autorskie „rzeźby”: *Cesarz Napoleon* i *Upadła Walewska z czarną cipką*. Znalazło się także miejsce na małą kapliczką, którą wykonał z kawałka starej framugi drzwi, pozyskane-go w czasie remontu barokowej Bazyliki pw. Św. Antoniego Padewskiego w Radecznicy na Zamojszczyźnie.

Przez wiele lat towarzyszył mu jamnik Maksio, wierny i oddany przyjaciel. Jego Pan zawsze jest niezwykle uprzejmie nastawiony do ludzi i świata. Stąd zawodowa słabość do francuskiej Szkoły Barbizońskiej, której przedstawiciele fascynowała natura i pejzaż, jako samodzielny motyw malarski. W swoim widzeniu świata, jako inspiracja posłużyły mu m.in. słowa poety i teoretyka surrealizmu André Bretona: „Jest dla mnie niemożliwością traktować obraz inaczej niż okno, wobec tego pierwszą moją troską jest wiedzieć na co ono wychodzi”. To co J. Jończyk ujrzał przez okno zwane sztuką, impresję przemijającej chwili, kolory nieba, kwiatów, traw i drzew oraz „śpiew kropli deszczu o dach”, burzy wiatr, utrwalił w swoich obrazach.

Malował po to, by dać ludziom radość, ale równocześnie nie chciał ugrzęznąć w piekle wesołego miasteczka, teatrzyku rewiowym drugiej kategorii, ogródku piwnym, tanich girlandach i fajerwerkach oraz różańcowym towarzystwie wzajemnej adoracji. Na komplementy i wyrazy uwielbienia zawsze odpowiada antygwiazdorskimi ripostami z domieszką dobrego humoru.



Mojry, greckie boginie losu



Jan Jończyk

Był nie tylko artystą, ale jako urodzony tuż przed kampanią wrześniową świadkiem historii. Jego życie to epoka: od okupacji niemieckiej, stalinizmu przez gomułkowską małą stabilizację, gierkowską propagandę sukcesu, karnawał „Solidarności”, przez stan wojenny po okrągły stół, III Rzeczpospolitą i dobrą zmianę. Gdy najbliżsi i wielu przyjaciół odeszło odbudowuje pamięć o przeszłości. Powoli zaprzyjaźnia się z ich równoległym światem i stawia sobie różne egzystencjalne pytania, np. co sprawiło, że żyje? Ile sprzyjających okoliczności musiało wystąpić

w przeszłości, że akurat tak wyszło, iż chodzi po tym świecie. Jak nie wiele brakowało aby w labiryncie życia zerwała się jego nić Ariadny. Wystarczyło, aby rzymskie Parki: Nona, Decima i Morta, a jak kto woli greckie Mojry: Kłoto („Przędka” nici żywota), Lachesis („Udzielająca”, która tej nici strzeże) i Atropos („Nieodwracalna”, która ją przecina), boginie losu ludzkiego zerwały łańcuch pokoleń. Zatem jakie szczęśliwe zbiegi okoliczności zaistniały, ilu jego przodków musiało ocaleć, aby on mógł cieszyć się darem Kłoto. Biorąc pod uwagę grasujące od tysiącleci zarazy, kataklizmy, wojny i dużą śmiertelność niemowląt był szczęściarzem, a dla matki darem Boga.

Dom rodzinny

Urodził się na pograniczu o dużych tradycjach patriotycznych. Pamiętny rok 1863 odcisnął swoje piętno na historii okolicy, w której dorastał. Mieszkańcy tej ziemi czynnie z bronią w ręku walczyli w powstańczych partiach lub pracowali na rzecz Rządu Narodowego. W gronie tym znaleźli się, „jako rycerze wielkiej sprawy”, m.in.: Wanda Karczeńska, Wacław Lesiecki, Franciszek Kawecki, Tomasz Łebek, Maciej Opatowicz, Władysław Patelle, Aleksander Słomka i Fiszbau. W rejonie tym Moskale, ze względu na biegnącą linię kolejową, za wszelką cenę starali się utrzymać swoją pozycję. W Poraju, Myszkowie i Zawierciu od lipca do grudnia 1863 r. stacjonowała rosyjska piechota, po jednej rocie na każdej stacji kolejowej i od 6-12 kozaków. Mimo to w Zawierciu znajdował się punkt przerzutowy przesyłek i korespondencji Rządu Narodowego z Warszawy do województwa krakowskiego. Tutaj dochodziła sieć przerzutu broni i amunicji dla walczących. 7 VI odkryto w Woźnikach 7 skrzyń prochu nadesłanego z Wrocławia z przeznaczeniem do Żarek koło Zawiercia. W regionie zawierciańskim stoczono w okresie powstania kilkadziesiąt bitew i potyczek. Rosyjski pułkownik Ernroth, dowiedziawszy się o rozbiciu wojska w Janowie, pośpieszył swoim z pomocą. 9 VII 1863 r. pod Żłotym Potokiem dogonił oddział Zygmunta Chmieleńskiego (1835-1863). Polacy po krótkim starciu bez strat wycofali się w lasy między Włoszczową a Koniecpolem. Z kolei pod Żarkami powstańcy stoczyli z nieprzyjacielem zażarty bój, który trwał od 4 do 10 rano. Pobici Moskale zabrawszy zabitych i rannych cofnęli się ku Częstochowie¹. Krakowski „Czas” informował: „od czasu jak powstańcy zajęli kolej żelazną od Granicy do Poraju [...], dzienniki warszawskie regularnie nas dochodzą”. Jedną z ważniejszych



Apolinari Kurowski

operacji powstańczych były krwawe walki oddziałów Apolinarego Kurowskiego i Teodora Cieszkowskiego. 22 III 1864 r. między Zawierciem a Łazami oddział kosynierów T. Cieszkowskiego stoczył bitwę z oddziałem rosyjskim; zginęło wielu Polaków, dowódca oddziału uprowadzony do dworu Kozłowskich, został zabity przez Rosjan. Wyprawa pod wodzą kpt. Anastazego Mossakowskiego, która przekroczyła granicę 20 IV w pobliżu Gorenica dotarła w okolice Poręby, Zawiercia i pod Jaworznik, gdzie 24 IV stoczyła przegraną bitwę z wojskami płk. Alenicza. Okoliczni chłopcy ukryli wielu zbiegów ratując im życie. Wśród poległych znaleźli się właściciel ziemski Henryk Wodziński oraz zakonnik pełniący obowiązki kapelana Bonawentura Mańkowski. Dziś tamtą ofiarę krwi upamiętnia symboliczna mogiła powstańcza między Zawierciem a Łazami oraz pomnik poświęcony powstańcom na Wydrze Zielonej. Na cmentarzu parafialnym w Zawierciu zachowały się

groby powstańców: Macieja Opatowicza, Aleksandra Słomki i Teofila Sytkowskiego. Z kolei na cmentarzu w Krompolowie pochowani zostali powstańcy: Edmund Zachert, dziedzic Krompolowa i Bzowa oraz komisarz Rządu Narodowego.

Powyższe postaci i zdarzenia były już zamglone w zbiorowej pamięci, przysłonięte katastroficznymi doświadczeniami I i II wojny światowej, weszły do polskiego „legendarium” i dla młodego Jana Jończyka były to byty „widziadeł” w świadomości zbiorowej. Dopiero znajomość z zawiercianinem z wyboru, z Leszkiem Dudką i zapoznanie się z historią dziejów rodziny jego żony, Anny z Żulińskich, spowodowała, że zeszyły one do rzeczywistego świata. Wspomnienie sześciu braci Żulińskich, pulsujące, cielesne i żywe wstrząsnęło wyobraźnią Jana i powstanie stało się ważne dla jego polskiej tożsamości. Opowieść dotyczyła Romana Żulińskiego stryjecznego dziadka Anny, dyrektora wydziału pocztowego Rządu



Teodor Cieszkowski

Narodowego w powstaniu styczniowym, straconego na stokach Cytadeli Warszawskiej 5 VIII 1864 r. wraz z Romualdem Trauguttem, Rafałem Krajewskim, Józefem Toczyskim i Janem Jeziorańskim, członkami Rządu Narodowego. Jego męczeńska śmierć została poprzedzona grypsiem do Barbary z Michelsonów Żulińskiej: „Droga, Najukochańsza, Najlepsza moja Matko. Ze spokojnością zupełną, jeszcze raz ostatnie posyłam pożegnanie, duszą nie rozłączam się, a ciałem i tak już nie byliśmy razem – była nadzieja połączenia się kiedyś, ale i dziś ona nie ustaje, będziemy razem, kiedy Bóg pozwoli – na tamtym świecie”².

Kiedy nadeszła ta chwila, Lucyna Kotarbińska w swoich wspomnieniach odnotowała: „Dzień był pogodny, godziny poranne. Znów zajechał powóz przed nasze mieszkanie [...] Siostry i matka całe były w czerni. Powóz stanął za innymi, w miejscu przeznaczonym dla rodzin skazańców, po prawej stronie drogi, z Cytadeli [...] szeregiem jedne za drugimi. Olbrzymi plac [...] był wypełniony tłumem po brzegi. Od Cytadeli zaczęły jechać wózki. Na każdym z nich jechał ksiądz-kapucyn, w podniesionej ręce trzymając czarny, hebanowy krzyż, z białym na nim, z kości słoniowej, Chrystusem. Obok niego skazaniec. Pięciu ich było: Romuald Traugutt, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański i Rafał Krajewski. Skazani, przejeżdżając, znaczyli w powietrzu krzyże nad głowami w osłupieniu stojącej w pojazdach rodziny. Ciszę przerywał tylko turkot wózków, które ginęły wśród tłumów. Tłumy te od czasu do czasu zwracały się, oczekując, jak mówiono później w domu, posła z zamku z wieścią o ułaskawieniu skazanych. Tłum zwracał się na próżno. Milczał. Aż nastąpiła straszna jakaś chwila. Wszyscy jak gdyby skamienieli i zamarli. I... nagle płacz, jęk, krzyk wydarł się ze zbiorowej piersi tłumów, mieszając się jednocześnie z groźnym bębnowym grzechotem i z moskiewskich trąb graniem”³. Swą solidarność ze skazanymi przyszło pod Cytadelę zmanifestować 30 tysięcy Polaków. Tłum klęcząc śpiewał suplikację *Święty Boże, święty mocny*. Rosjanie chcąc go zagłuszyć kazali orkiestrom wojskowym grać walca.

W patriotyczną konspirację i powstanie zaangażowanych było łącznie sześciu braci Żulińskich: stracony 5 VIII 1864 r, Roman, Tadeusz (na emigracji), Józef (na emigracji), Aleksander (na zasłaniu), ksiądz Kazimierz (na emigracji w Paryżu) i Edward (zesłaniec) dziadek dr Anny z Żulińskich Dutkowej. Przedstawicielem tej patriotycznej rodziny był także Tadeusz (1889-1915), syn Józefa, pierwszy komendant POW i oficer Legionów



Dr Anna Dutkova i prof. Jerzy Lesław Wyrozumski

Polskich, którego śmierć w bitwie pod Kamieniuchą na Wołyniu brygadier Józef Piłsudski uczcił specjalnym *Rozkazem o poruczniku Żulińskim*. Nieprzypadkowo komendant dał rozkaz do boju o niepodległość Pierwszej Kadrowej w 50-rocznicę egzekucji na stokach Cytadeli. Jego żołnierze podejmowali się bowiem realizacji ideowego testamentu Powstania sformułowanego w procesowych zeznaniach Romualda Traugutta: „Celem jedynym i rzeczywistym powstania naszego jest odzyskanie niepodległości i ustalenie w kraju naszym porządku opartego na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości [...] Idea narodowości jest tak potężna

i czyni tak szybkie postępy w Europie, że ją nic nie pokona”.

Jednak nie wszyscy w Europie akceptowali ten pęd Polaków do niepodległości, co wyraził w swym wstrząsającym wierszu Cyprian Kamil Norwid *Pieśń od ziemi naszej*:

Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica
Tam jest mój środek dziś – tam ma stolica.
Tam jest mój gród.

Od wschodu: mądrość-klamstwa i ciemnota,
Karność harap lub samotrzask z złota,
Trąd, jad i brud.

Na zachód: kłamstwo-wiedzy i błyskotność,
Formalizm prawdy – wewnętrzna bez-istotność,
A pycha, pych.

Po zapoznaniu się z powyższymi przekazami Jan Jończyk wyleczył się z „polskiej afazji” (zakłóconej tożsamości) i zmierzył się m.in. z nieopowiedzianą historią XIX i XX-wiecznych walk o niepodległość, których obraz przez ponad cztery dekady był zamazywany i fałszowany. W tej wstrząsającej relacji Anny Żulińskiej-Dudkowej i przechowywanych przez nią dokumentach rodzinnych, przeszłość konfrontuje się z teraźniejszością, a umarłym bohaterom zostaje przywrócone istnienie. Jan pod ich wrażeniem zaczął przyglądać się z bliska także dziejom swoich przodków i ich wkładowi w dzieło niepodległości. Zastanawiając się nad bogactwem wątków, zauważył, że w Polsce historia jest w zasadzie historią rodzinną, domową, prywatną. Prawie każdy Polak w jakiś sposób wie i czuje, że rodzina jest ważnym ośrodkiem, nosicielem i świadkiem znaczących zdarzeń w przeszłości ojczystej. Ponadto nabrał przekonania, iż nie da się tego wymazać, zdeptać ani zignorować, a poznanie tej prawdy pozwala odzyskać w pełni poczucie własnej tożsamości i dumy z dokonań minionych pokoleń. Kiedyś nawet, gdy nie było jeszcze fotografii cyfrowej, zrobił „photo collage” po polsku posługując się zdjęciem dziadka w mundurze hallerczyka. W miejsce konterfektu antenata wkleił swoją twarz. Potem uznał, że była to prowokacja wobec tych, którzy przeminęli. A nawet w PRL-u mieli zniknąć zgodnie z nakazem ideologii. Poczuł, że

powinien zachować tą fotografię i inne przedmioty, które nie pozwalały zapomnieć. Postanowił spojrzeć na otaczający go świat oczami przodków. W ten sposób usiłował wskrzesić w swojej głowie rzeczywistość, którą przed oczyma mieli oni⁴.

Jednym z jego protoplastów był Jan Jończyk (1860-1924), hallerczyk⁵, właściciel młyna na Warcie w Poraju. Jako ojciec surowy, ale kochający, miał twardą rękę i miękkie serce. Należał do pokolenia, które postępowało heroicznie i wyginęło. Ze względu na brodę przez okolicznych chłopów podejrzewany był o żydowskie korzenie. W posiadanie majątku wszedł, gdy od hrabiny Róży z Potockich Raczyńskiej (1849-1937)⁶ z tytułu wysługi otrzymał kilka hektarów lasu w Poraju nad Wartą. Potrafił nieźle zarządzać tą swoją domeną. Rozumiał bowiem, że rolnictwo nie było i nigdy nie będzie zwykłym rzemiosłem i jak pisał polski ziemianin, agronom i dyplomata Mieczysław Jałowiecki (1876-1962) w swoich wspomnieniach⁷ aby być rolnikiem trzeba połączyć w sobie natchnienie artysty i praktyczność kupca. Niestety jego sukcesorów po latach wywłaszczono z części nadania gdyż w tym miejscu zbudowano zbiornik wodny huty „Częstochowa”. W zmaganiach z codziennością, kobiecym dziełem i sposobami, wspierała go żona Julianna (1867-1950), która urodziła mu 9 dzieci, w tym 6 córek i 3 synów.



Mężczyzna w mundurze hallerowskim



Babcia Julianna

Babcia Julianna, kobieta drobnej postury, bardzo religijna, zajmowała się głównie domem i dziećmi. Z czasem starsze potomstwo pomagało w wychowaniu młodszego rodzeństwa. Nie mogło być inaczej w gromadnej rodzinie, chwilami będącej kłopotliwym stadem. Dużym wsparciem dla jej gospodarstwa domowego był las, który zapewniał opał na zimę oraz runo. Pani tego domu wiedziała jak spożytkować liczne gatunki grzybów jadalnych, roślin owocodajnych i leczniczych. Dzięki jej zapobiegliwości i pracowitości zawsze była dobrze zaopatrzona spiżarnia i domowa apteka. Uzupełniała ją zbiorami ziół w przydomowym ogródku. Były to czasy gdy żyło się jeszcze w zgodzie z naturą, a kobieta swoją wiedzę medyczną i mądrość dziedziczyła po matce. Ponadto przedkładała ideał zdrowego wiejskiego życia nad miejskie „targowisko próżności”. Dbała też o czystość duszy swoich dzieci i męża. W jej rodzinie nie do pomyslenia

było rozpoczęcie i zakończenie obiadu bez modlitwy. Podobnie działo się z każdą podróżą, nawet z wyjazdem na jarmark. Zatrzymywano się przed kapliczką, proszono Boga o bezpieczną jazdę, szczęśliwy powrót do domu i opiekę nad pozostawionym podczas nieobecności gospodarzy mieniem⁸.

Julianna była kochającą rodzicielką. W jej osobie cała ta liczna gromadka znajdowała ukojenie, pocieszenie i nie tylko. W związku z tragiczną sytuacją żywnościową w Kongresówce pod okupacją niemiecką dokonywała prawdziwych cudów gospodarności aby wyżywić liczną rodzinę. W 1918 r. przydział na kartki został ograniczony do 15 dkg chleba i 20 dkg ziemniaków dziennie na osobę. W Warszawie doszło do rozruchów głodowych i demolowania sklepów. Nie dość, że przepadły oszczędności



Młyn nasiębierny



Zbiornik w Poraju

w rosyjskich rublach, to do tej plagi doszła hiperinflacja polskiej marki wprowadzonej 9 XII 1916 r. rozporządzeniem generał-gubernatora warszawskiego Hansa Hartwiga von Beselera. W listopadzie 1923 r. Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa wydała tzw. przekazy o nominałach 50 000 000 i 100 000 000 mkp. Za jednego dolara trzeba było zapłacić 10 250 000 mkp. Jeszcze gorsza sytuacja była w Niemczech i na Węgrzech. Mimo trudnych warunków z całego serca starała się wychować swoich synów na ludzi godnych szacunku. Każdy z nich wyrósł więc na porządnego i rozsądnego człowieka. Jeden z synów walczył w kampanii wrześniowej, a w czasie okupacji „zachował się jak trzeba”, był to ukochany Stefan (1904 - 18 IX 1959). Mieczysław został posiadaczem tartaku pod Płockiem, a Jerzy w okresie II RP dyrektorem przedstawicielstwa firmy Osram w Warszawie. Zarówno dla Julianny, jak i jej męża największą wartością w życiu posiadały szczęśliwe dzieci⁹.

Ich gniazdem rodzinnym był Poraj, szlachecka jurajska miejscowość, położona w Obniżeniu Górnej Warty, na Wyżynie Woźnicko-Wieluńskiej, która jest częścią Wyżyny Śląsko-Krakowskiej. Poraj po raz pierwszy pojawił się w źródłach historycznych w 1496 r., kiedy starosta krzepicki Stanisław z Kurozwęk z polecenia króla Jana Olbrachta założył w małej osadzie stadninę koni. Osada przyjęła nazwę od jego herbu. Gdy w 1556 r. za panowania króla Zygmunta Augusta Jagiellończyka założono pierwszy w Polsce szlak pocztowy z Krakowa do Krzepic przez Olkusz, Koziegłów, Częstochowę, w Poraju została zlokalizowana stacja wymiany koni pocztowych. W 1846 r. wytyczono stację Poraj w ramach budowy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a w 1862 r. założono pocztę. Na początku XIX w. w Poraju znajdowały się już kopalnie rud żelaza spółki „Modrzejów-B.Hantke” i Zakłady Górniczo-Hutnicze S.A. w Konopiskach. W 1920 r. uruchomiono kopalnię „Młynek” należącą do Towarzystwa Akcyjnego „Huta Bankowa”. Podczas II wojny światowej Niemcy przemianowali miejscowość na „Porwalde”.



Julianna z synami



Poraj. Pomnik poległym w wojnie 1920 r.

Rodzina Jończyków była świadkiem przemian ekonomicznych i zmian w strukturze społecznej, jakie niosła przyspieszona industrializacja i rozwój kolejnictwa. Doczekali także niepodległej Polski. Młode pokolenie dorastało w okolicy gdzie wsie zamieniały się w osady przemysłowe, ale gdzie zachowały się także relikty flory na miarę pomników przyrody. Mały Jaś mógł się zachwycać m.in. niezwykle szpalerem lip, o łącznej długości 570 m, liczącym 130 starych i młodych drzew. Hipotezę o XVII-wiecznych początkach Alei Lipowej i dworu¹⁰ potwierdzili dendrolodzy, oceniając wiek ocalałych drzew na około 230 lat¹¹. Nieopodal tej alei spoczął protoplasta Jana, po którym odziedziczył imię i pamięć dzięki opowieściom babci, jakieś strzępy rodzinnych reminiscencji. Dorastał czerpiąc z bogactwa tego pejzażu.



Poraj. Aleja lipowa

Gdy dziadek Jan zmarł 8 VII 1924 r., został pochowany w Choroni¹², gdyż od 1657 r. miejscowość ta posiadała kościół parafialny i cmentarz. Dopiero potem został ekshumowany do Poraja. O podziale schedy po nieboszczyku zadecydowała babcia Julianna. Każdej z córek przyznała jedynie jednorazowy legat w wysokości 7 złotych polskich, a cały majątek testamentowo zapisała Stefanowi, ten jednak las i resztę dóbr podzielił między rodzeństwo, dotyczyło to m.in. parceli przy ul. Zielonej w Zawierciu. Działkę w okolicach młyna dostała siostra Tekla, poślubiona przez stolarza Wojciecha Gabriela¹³.

Stefan, jako technik budowlany kierował pracami brukarskimi przed dworcem w Myszkowie. W pobliżu znajdował się jedyny polski (cztery pozostałe sklepy należały do Żydów) i najlepiej zaopatrzony tzw. skład kolonialny, w którym pracowała Salomea Bańska. Robiąc tam zakupy zwrócił uwagę na prowadzącą firmę młodą dziewczynę. Należała ona do ojca panny, Stanisława Bańskiego, który jako weteran walk niepodległościowych otrzymał w nagrodę koncesję na wspomniany sklep z artykułami spożywczymi, sprowadzanymi z krajów pozaeuropejskich,



Chorzeń. Kościół św. Jana Chrzciciela

m.in. takimi jak kawa, kakao, herbata, łuski kakaowe, przyprawy korzenne i czekolada w tabliczkach. Nie mogło zabraknąć owoców cytrusowych, jak i maggi. I tak zaczęła się znajomość zakończona w 1938 r. ślubem. Fakt ten poprzedziły oświadczyzny i zaręczyny połączone z ustaleniem daty zawarcia małżeństwa. Stefan z tej okazji sprezentował narzeczonej wraz z bukietem kwiatów damski złoty zegarek. Uroczystość ślubna odbyła się w kościele parafialnym pw. Św. Stanisława Biskupa Męczennika w Myszkowie. Stanisław Bański poprowadził córkę do ołtarza. Niestety nie było ojca pana młodego, bo już nie żył. Zachowano jednak dawny zwyczaj. I przed zaślubinami podano Stefanowi na tacy bochenek chleba i małe kryszałkowe naczynie, w którym znajdowała się szczypta soli. Ucałował on chleb, ukruszył z niego kęs, posypał solą i ucałował dłoń matki. Potem było weselisko. Miejscowa kapela grała



Stacja Myszków 1916. Niemieckie tabory



Myszków. Dworzec kolejowy 1913 r.

walca wiedeńskiego, argentyńskie tango, charlestona, shimmy i aktualne szlagiery rozbrzmiewające na parkietach całego świata. Nie obyło się bez wesołej Polki-mazurka i polki trzęsionej oraz miejscowych przyśpiewek i tańców z przytupem¹⁴.

Z tego związku 29 V 1939 r. pod znakiem Bliźniąt (Kastora i Poluksa), rządzo-
nym przez planetę Merkury, urodził się w Myszkowie Jan Stefan junior. Fakt ten miał
miejsce na pierwszym piętrze kamienicy położonej na styku placu dworcowego i ulicy
Kościuszki. Narodziny były obciążone dużym ryzykiem. Matka była „pierworódką”.
Takim kobietom zazwyczaj rodzi się trudniej aniżeli „wieloródkom”. Ponadto w tam-
tych czasach nie istniały jeszcze aseptyczne porodówki, nie było antybiotyków, a aku-
szerką bywała często niedoświadczona „babka”. Jan mógł umrzeć podczas narodzin.
Gdyby zaistniało niebezpieczeństwo, położna ochrzciłaby go wodą święconą, której
flakonik na wszelki wypadek zawsze nosiła ze sobą. Niemowlę spoczęłoby w małej
białej trumience, a potem w dziecięcej mogiłce na miejscowym cmentarzu. Na szczę-
ście poród Salomei odebrał w małżeńskim łóżu jedyny miejscowy lekarz mając do dys-
pozycji na stole dwie miski z wodą, gary z wrzątkiem, narzędzia porodowe, bandaż
i płótno. Kiedy wszystko poszło dobrze „babka” wymamrotała: „Jest śliczny chłopiec”.
Noworodek łapczywie przyssał się do matczynej piersi. Niedługo potem w kościele
pod wezwaniem św. Stanisława odbyły się chrzciny i został zarejestrowany w doku-
mentach parafialnych. Obowiązków matki chrzestnej podjęła się Maria Reichel, sio-
stra Salomei. W czasie ceremonii chrztu świętego wprowadziła dziecko do wspólnoty
Kościoła, nakładając szatkę chrzcielną, tym ge-
stem symbolicznie udzieliła błogosławieństwa. Dziecko pierwsze imię Jan otrzymało na chrzcie
po dziadku, w linii męskiej. Według tradycji
biblijnej po hebrajsku Jochanan, oznaczało
„Jahwe jest łaskaw”. Według astrologów szczę-
śliwym dla nowonarodzonego dniem miała być
środa, liczba - 5, barwą - biel, a klejnotami
zapewniającymi pomyślność: chryzopraz, beryl
i agat. Osiedły w Złotej Pradze duński astronom
Tycho de Brahe (1546-1601), twierdził, że w lo-
sach wielu ludzi urodzonych pod tym znakiem
wyraźnie zaznacza się jakiś punkt zwrotny, od
którego życie zaczyna toczyć się innym torem.
Nieraz przyczyną bywało nagle odkryte powo-
łanie w jakimś kierunku, niekiedy pomyślne lub
niepomyślne wydarzenie. Wróżyło Janowi, że



Dziadek Stanisław Bański

będzie dobrym sprzedawcą, prawnikiem lub nauczycielem. Drugie imię miał po ojcu, od greckiego stephanos, co oznaczało koronę i wieszczyciło zwycięstwo¹⁵.

Poetka Kazimiera Iłakowiczówna w *Obrazach imion wróżebnych* o Stefanie pisała:

Imię, które jak cyfra dodaje wartości każdej rzeczy, a nawet brakowi jej – zeru;
czasami, gdy je odejmiesz, człowiek znalazłby się wnet jak łódź bez steru.

Imię tak silne, że starczyć by mogło – jak pseudonim – zamiast nazwiska;

Imię nieraz nadto wygodne jak powóz na resorach albo kołyska.

Radość była wielka. Najbliższe święta Bożego Narodzenia, błogosławione, miały być obchodzone w szczególny sposób. Sielanka rodzinna trwała jednak krótko. Świat już od dłuższego czasu zmierzał ku zagładzie, „tracił barwy” i stawał się „cienisty”. W Niemczech Heinrich Himmler został Reisleiterem SS, w USA załamała się giełda i zbankrutowało około 5000 banków, rozpoczął się Wielki Kryzys, który zepchnął narody w nędzę i utorował Adolfowi Hitlerowi drogę do władzy. Od Renu po wschodnie rubieże dawnego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego coraz donośniej rozbrzmiewały okrzyki: „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz”. Narastał międzynarodowy konflikt. Germańska wola zamierzała zdominować resztę globu. Na kinowych ekranach ukazał się gloryfikujący niemiecki socjalizm narodowy film propagandowy *Triumph des Willens* (*Tryumf woli*), powszechnie uważany za najlepszy w tej kategorii w historii, wyreżyserowany przez Leni Riefenstahl (1902-2003).



Matka Salomea Bańska

W sierpniu 1939 r. młody ojciec i mąż otrzymał kartę mobilizacyjną. Zbliżała się jedna z najokrutniejszych w dziejach ludzkości wojen. Stefan ciężko ranny w nogę,



Reklama sztuki, w której grała Salomea

zakończył kampanię wrześniową w niemieckim obozie jenieckim. Ile kul i odłamków bomb, ile artyleryjskich szrapneli go ominęło? Nigdy się nie dowiedział. Liczyło się jedno, że przeżył. Zapamiętał przerażliwe krzyki rannych, rozprute piersi, roztrzaskane głowy, urwane ręce i nogi, trupy umazane błotem i krwią. Wciąż przed oczyma miał rozszarpane końskie brzuchy i zrytą pociskami ziemię. W obozie wspominał frontowych towarzyszy, których dopadła twarda, zimna i obojętna śmierć. Gdy wyszedł na wolność nie odzyskał zdrowia. Do końca życia był chromy na jedną nogę.



Salomea z przyjaciółmi na majówce

Małżonkowie nawzajem uzupełniali się i wspierali. Były takie momenty w ich życiu, iż to Salomea była motorem rodziny. Z dużą dozą pedanterii starała się stworzyć idealny dom, jego atmosferę. Obchodzili bardzo skrupulatnie wszystkie święta religijne, rodzinne i tradycyjne. Była domatorką i kobietą religijną. Obce jej były wszelkie uprzedzenia. Jako handlowiec potrafiła dobrze ułożyć sobie relacje z miejscowymi żydowskimi kupcami i sąsiadami. Nie obawiała się nieuczciwości kontrahentów, niebezpieczeństw w podróżach handlowych i strat materialnych.

Utrzymanie domu nie było jednak łatwym zadaniem. Najpierw dużo czasu pochłaniało prowadzenie sklepu, a potem przeszkodą okazały się destrukcyjne skutki wojny. Były chwile, że musiała dokonywać cudów, aby ratować budżet domowy. Nie zawsze można było korzystać z biznesowych pomysłów jej męża.

Pod nieobecność głowy rodziny, gdy mały Jaś liczył sobie zaledwie kilka miesięcy, w okolicy zamieszkania rozegrał się dramat wojenny. 2 IX 1939 r. na terenie Choronia i Dębowca rozpoczęła się zaciepka bitwa między oddziałami niemieckimi, a 74 Górnśląskim Pułkiem Piechoty, wchodzącym w skład Armii „Kraków”. Jednym z batalionów dowodził major Jan Wrzosek (1895-1939), legendarny sportowiec (strzelec), członek Bractwa Kurkowego. W czasie pierwszej wojny światowej najpierw służył jako oficer w armii carskiej, a później był podkomendnym gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego w I Korpusie Polskim w Rosji. W okresie międzywojnia imiennik Jasia zyskał sławę utalentowanego strzelca sportowego. Do niego należał rekord Polski w strzelaniu z pistoletu dowolnego. Wynosił on 537 pkt. i został pobity dopiero w latach 50-tych. J. Wrzosek był wicemistrzem świata w strzelaniu z pistoletu wojkowego oraz wicemistrzem świata w strzelaniu z pistoletu standardowego. Na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. był szefem polskiej ekipy olimpijskiej. Jedna z wersji mówi, że zginął 3 IX strzelając z karabinu przeciwpancernego UR do nieprzyjacielskiego czołgu. Dziś śmierć jego upamiętnia obelisk wtopiony w skałę nad *Źródłem Spełnionych Marzeń*¹⁶.



Ojciec Stefan Jończyk

Dopełnieniem tej historii była grabież składu kolonialnego, stanowiącego źródło utrzymania rodziny. Czynu tego dopuścili się miejscowi. Jednak już w pierwszych dniach okupacji dzieło grabieży mienia Polaków na skałę przemysłową kontynuowali Niemcy. Rekwirowali tony żywności, ogałali okolicę z cukru i buraków cukrowych. Konfiskowali smary i paliwa oraz skóry i wełnę. Plądrowali sklepy, składy i hurtownie. Przejmowali w zarząd zakłady przemysłowe, cukrownie, młyny, rzemieślnicze warsztaty usługowe i majątki ziemskie. Między innymi Jończyków pozbawili koncesji

i w miejsce polskiego pojawił się niemiecki sklep. Ponadto wyrzucono ich z zajmowanej kamienicy, a sąsiadów pochodzenia żydowskiego w lutym 1941 r. przeniesiono (w liczbie wszystkich izraelickich 950 obywateli Myszkowa) do getta w Żarkach, by następnie w październiku 1942 r. wywieźć do niemieckiego obozu zagłady w Treblince, gdzie zginęli. Nadeszły czasy mroku. Zagładę około 2500 Żydów, na 5000 mieszkańców Żarek, poprzedziła „z polecenia wyższej Władzy” niemieckiej skrupulatnie przeprowadzona przez Gminę żydowską rejestracja ludności wyznania mojżeszowego. Wprowadzono

w życie nowe pojęcie *Mischling* i prawnie ustanowiono kto jest *kundlem*. Żyd półkrwi to była osoba mająca dwoje dziadków Izraelitów. Żyd ćwierćkrwi – był osobą mającą jednego dziadka Izraelitę. Równocześnie wprowadzono karę śmierci za każdą formę pomocy prześladowanym. Jedną z pierwszych decyzji niemieckich było powołanie



Mały Jaś

w Żarkach zimą na przełomie 1940 i 1941 r. Judenratu – Rady Żydowskiej, w której zasiedli członkowie przedwojennego zarządu gminy. Podlegał on Centralnej Żydowskiej Radzie Starszych Wschodniego Górnego Śląska (Centralny Judenrat Wschodniego Górnego Śląska) w Sosnowcu. Jeszcze w październiku Niemcy pozbawili żydowskich kupców i rzemieślników warsztatów pracy, a zarządzeniem z 1 XI 1939 r. Żydzi otrzymali zakaz prowadzenia jakiejkolwiek działalności gospodarczej. Ponadto wprowadzono obowiązek pracy dla wszystkich Żydów w wieku 14-60 lat, a Żydówek 14-50 lat. Wszyscy zostali zarejestrowani w Arbeitsamcie. Do prac przydzielał Judenrat, który przyznawał zwolnienia w zamian za łapówki. Tenże był również odpowiedzialny za przeprowadzenie akcji oznakowania Żydów. Każdy powyżej 12 roku życia musiał nosić żółtą gwiazdę Dawida na lewej piersi oraz drugą na plecach. Władze wydały także zarządzenie zabraniające chodzenia po chodniku i wprowadzające obowiązek kłaniania się Niemcom oraz zdejmowania przed nimi nakrycia głowy.

Powstała także osobna poczta dla Żydów, której celem było ograniczenie napływu informacji z innych części okupowanej Polski. Porządku w getcie pilnowała milicja żydowska utworzona przez autonomiczny Judenrat.

Dodatkowym niebezpieczeństwem dla Żydów i Polaków była Żydowska Gwardia Wolności (Żagiew), kolaboracyjna organizacja żydowska, powołana pod koniec 1940 r. przez żydowski referat Gestapo z członków Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją (tzw. „Trzynastki”) do infiltrowania żydowskich i polskich organizacji podziemnych, w tym niosących pomoc Żydom. „Żagiew pozostawała w ścisłej konspiracji udając grupę przemytniczą, dzięki czemu mogła kontrolować m.in. kanały przerzutu żywności do getta. Zajmowała się także szmalcownictwem, tropiąc i wydając Niemcom ukrywających się



Brygada S. Jończyka kładzie bruk w Mysłowicach



Stryj Jasia w mundurze WP. Okres międzywojenny



Złoty Potok. Obelisk Jana Wrzóska



Jaś z kwiatami

Żydów, także tzw. mechesów – wyznania chrześcijańskiego. Agenci Żagwi, posiadali wydane przez Gestapo pozwolenia na broń”. W większości także i oni nie uniknęli przeznaczenia. Niemcy wymordowali prawie wszystkich Żydów, nie tylko w Poraju, Myszkowie czy Żarkach. O ich zagładzie i „historycznej krzywdzie” napisał przejmujący wiersz Antoni Słonimski, zatytułował go *Elegia miasteczek żydowskich*:

Nie masz już, nie masz w Polsce
żydowskich miasteczek,
W Hrubieszowie, Karczewie, Brodach Falenicy
Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek,
I śpiewu nadsluchiwał z drewnianej bóżnicy
Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany.
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany,
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto.
Błyszczysz tu księżyc jeden, chłodny, bladej, obcy,
Już za miastem na szosie, gdy noc się rozpala,
Krewni moi żydowscy, poetyczni chłopcy,
Nie odnajdą dwu złotych księżyców Chagalla.
Te księżycy nad inną już chodzą planetą,
Odfrunęły spłoszone milczeniem ponurym.
Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,
Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.
Nie masz już tych miasteczek, gdzie biblijne pieśni
Wiatr łączył z polską piosenką i słowiańskim żalem,
Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni
Opłakiwali święte mury Jeruzalem.
Nie ma już tych miasteczek, przemieły cieniem,
I cień ten kłaść się będzie między nasze słowa.

Z powodu różnych zagrożeń jakie niosła opisana pożoga, Jan do dziś mówi o sobie, że jest „dzieckiem wojny”, a stan swojej psyche określa przedstawiając się jako „nerwowy z wojny”. Jako jedyną pamiątkę tamtych czasów przechowuje ocalałą wagę ze sklepu kolonialnego matki. W zakamarkach dziecięcej pamięci przechował też obraz wywieszanych na domach ogromnych płacht ze swastyką, wystawianych w witrynach sklepowych portretów Adolfa Hitlera oraz plakatów z podobizną brytyjskiego premiera Neville’a Chamberlaina (1869-1940) i rannymi polskimi żołnierzami. Jednym z nich statystycznie był jego ojciec. Płachty papieru opatrzone sloganem propagandowym: „Anglio! Twoje dzieło”¹⁷.

Mały Jaś wakacje spędzał u wujostwa Gabrielów. W porajskim młynie gospodarzył wówczas niejaki Masłoński, który zakupił go jeszcze od dziadka Jana. Mimo zmiany właściciela malec miał wstęp do obiektu

i wgląd do urządzeń służących do przemiału ziarna na mąkę i kaszę. W bocznym korycie Warty łowił ryby. Często wracał stamtąd z kuzynką Marysią z naręczami dzikich kwiatów. Wiązane w bukiety z maków, rumianku, bławatów, jaskrów, liliowych kąkoli i kłosów zbóż zdobiły stoły i wazon. Był dzieckiem ruchliwym i ciekawym świata. Miejsce w którym się znalazł stwarzało wiele ku temu okazji. Z młyna roztaczał się wspaniały widok na w oddali płynącą Wartę i rozsiępane na horyzoncie wioski, gdzieś widoczne były domostwa postawione z jodłowego drzewa, pokryte strzechą, ale z murowanymi kominami, bliżej lokowały się zabudowania Poraja. Przy młynie stał dom, a jego gospodarz na kawałku ziemi uprawiał żyto oraz jęczmień i dorabiał w rodzinnym warsztacie stolarskim. Nieopodal był las. Dla chłopca już wtedy ten krajobraz wiele znaczył.

Wsluchiwał się w miejscowe legendy i opowieści, jak to podczas I wojny światowej okolicę bombardowały aeroplany albo historii o sumie co w stawie młyńskim porywał kaczki. Tutaj jako mały brzdąc pod koniec wojny ze starszą kuzynką Marią Gabrielówną przeprowadzał partyzantów przez granicę Generalnej Guberni. Myślał wtedy o pokazywanym mu na obrazku „Aniołku Stróżu” i kilka razy gwałtownie obracał głowę by go przyłapać.

Miał się najlepiej z całej rodziny. Babcia Julianna przyjmowała go zawsze z uśmiechem. Na co dzień zajmowały się nim dwie młode kobiety: Jadzia Fik-Mik i siostra ojca Hanka Śliwa, której synowie Mirek, Waldek i Jurek Śliwowie służyli w lotnictwie RAF-u i po wojnie wrócili do kraju w mundurach PSZ. Ich ojciec Wojciech Śliwa rozbił się na pokazach lotniczych w Częstochowie. Jednak najważniejszą była matka, kobieta pełna wewnętrznego blasku, mądrości, doświadczeń i zachwytu nad światem, zawsze cierpliwa, uśmiechnięta, spokojna i łagodna. Dla wszystkich trzech pań był słicznym i kochanym dzieciakiem, nadzwyczaj rozumnym, roztropnym i pojętym. Gdy wyhasał się po lesie, okolicznych polach i łąkach chętnie słuchał *Leśnych bajek* młodej poetki Anny Rudawcowej (1905-1981)¹⁸, pisanych w latach 1926-1939.



Jaś mandolinista



Anna Rudawcowa

Cicho szumią stare sosny,
Cicho grają leśne grajki,
Szmerzy krzepną, dźwięki rosą
Tworzą bajki, dziwne bajki.
Jeśli w dzień upalny, jasny
Dziecko czasem w borze zaśnie,
To otoczą kołem ciasnym
Jego główkę cudne baśnie.
Będzie wtedy snić o trzmielu
Co stokrotce liczył płatki,
Będzie tańczył na weselu
Złotej pszczołki z leśnym bratkiem.
I zobaczy jak motyle
Grzeją w słońcu cienkie nóżki
Albo spędzi miłe chwile
Na przyjęciu u ropuszek.
Pozna bajkę o jeziorze,



Jaś



Ulańska fantazja

W której rycerz śpi za kratą
I na bal świerszczyków włoży
Nową suknię z samych kwiatów.
Pozna inne różne dziwy –
Trochę straszne, śmieszne czasem
Choć bajkowe nieprawdziwe
Ale to są pieśni lasu.

Do jego dziecięcej wyobraźni mocno przemawiała
m.in. *Modlitwa za małego Świerszczyka*, z którym mógł
się nawet utożsamiać:

Czuwaj Panie nad małym Świerszczykiem,
Niech po łące radości skacze,
Niech na próżno nie tęskni za nikim,
Niech do zimnych serc nie kołacze.
Wybierz spośród aniołów-stróżów
Tego, który świeci najjaśniej,
Żeby chronił Świerszczyka przed burzą
I nad snem jego czuwał, gdy zaśnie.
Wybierz gwiazdy najbardziej złote
Wybierz kwiaty, skropione rosą,
Z których cudne sny mu się spleją
I skrzydełka u ramion wyrosną.
Za pieśczętą co w smutek wnika,
Za dni moje co wnet przemina
Pobłogosław mego Świerszczyka,
Daj mu ciepły kąt za kominem!

W dzieciństwie, przypadającym na lata wojny, miłość
i troska rodziców oraz osób najbliższych decydowała
o jego pomyślności. Świadomość, że był kochany, po-
głębiała poczucie bezpieczeństwa. Ich pochwały doda-
wały mu pewności siebie i przyczyniały się do rozwoju
osobowości. Temu samemu celowi służyło wychowanie

w systemie katolickich wartości etycznych, jakie zawierały się w jego ulubionej anto-
logii bajek, m.in. w wierszu pt. *Kiedy się dziecko modli*:

Kiedy się dziecko modli i składa ręczęta
– Bóg w niebie schyla sędziwą głowę
Usuwa łagodnie obłoki różowe,
Patrzy, słucha i długo pamięta.
Kiedy się dziecko modli – gwiazdy całują mu oczy,
A wszelkie słowa zbierają na złote promienie
I duszy dziecięcej szczerze westchnienie
Mleczną drogą w wysokościach kroczy.
Kiedy się dziecko modli – Bóg odpuszcza grzechy
Całej ludzkości – tłumom poważnionych braci,
Zasiada na tronie w pełnym Majestacie
I śle na ziemię słodkie uśmiechy.
Kiedy się dziecko modli cały świat z nim zebrze

O wielką miłość, o zmazanie winy
A modły dziecka coraz wyżej płyną
Jak cudne perły roztopione w srebrze
Dla ojczyzny naszej milej!

Ojciec był człowiekiem bardzo rodzinnym i szczerym dla najbliższych, których uposażał kupując np. meble lub zamawiając nowe piece u zduna. Tak było m.in. w przypadku szwagierki Marii Reichel, zamieszkałej w pobliskich Żarkach. Wyrazem ojcowskiej miłości były zabawki, które towarzyszyły Janowi od początków lat dziecinnych. W skład podstawowego kanonu tych najbardziej ulubionych wchodził koń na biegunach obciągnięty prawdziwą skórą i rowerek o kołach z pompowanymi oponami. Tamte czasy po latach przypomni mu dziecko na drewnianym koniku uwiecznione na obrazie Pietera Bruegla (starszego) *Zabawy dziecięce*. Miał też własną krawcową, która szyla mu zgrabne ubranka¹⁹.

Dzisiaj trudno się wczuć w klimat tamtej epoki. Wówczas św. Mikołaj był jeszcze biskupem w mitrze i z pastorałem w dłoni, a nie dziadkiem Mrozem, czy krotchwilnym amerykańskim krasnalem. Niestety już nie obchodzi się tak uroczyście i rodzinnie, jak wtedy, świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Przez cały adwent aż do Świąt Trzech Króli (6 stycznia) po okolicy chodzili „gwiazdorzy”, którzy śpiewali kolędy, recytowali wiersze albo wystawiali herody inspirowane jasełkami. Na wieczór wigilijny do Jończyków zjeżdżali wszyscy Śliwowie i Reichelowie. Dom był pełen ludzi i gwaru. Gdy nastał mrok Jaś wyglądał przez okno, próbując zlokalizować pierwszą na niebie gwiazdę. Jej objawienie decydowało o rozpoczęciu wieczery. Na stole nakrytym białym obrusem znajdowały się wszystkie płody ziemi, a potraw przepisowo było dwanaście. Wspólnie zasiadano do stołu, łamano się opłatkiem i kolędowano. Przez Jasia najbardziej pożądanym prezentem była tabliczka czekolady. Wigilijny wieczór kończyła uroczysta msza zwana pasterką. Z kolei Wielką Niedzielę poprzedzał Wielki Tydzień. Ostatnie trzy doby tego tygodnia: Wielki Czwartek (wieczór), Wielki Piątek, Wielka Sobota i Niedziela Zmartwychwstania znane jako Triduum Paschalne (*Triduum Paschale*) były szczególnie uroczyście obchodzone. Jan, jak przystało na przyszłego artystę zajmował się malowaniem pisanek z wykorzystaniem naturalnych barwników. Zebrana na polu ozimina dostarczała koloru zielonego, łupy cebuli brązowego, a kora dębu czarnego. Dużo radości sprawiał mu śmigus dyngus. Na dworze spotkane dziewczęta lały wodą ze specjalnej sikawki, przypominającej pompkę do roweru, jednak dla ciotek miał przeznaczony flakon markowych perfum. Starsi koledzy byli mniej kurtuazyjni i kropili przechodniów wodą wpompowaną w prezerwatywy. Czasami takie wybryki kończyły się napomnieniem, a w wyjątkowych okolicznościach kłapsem. Tak było w dniu przystąpienia do I Komunii Świętej, gdy zamiast czekać na rodziców, by razem udać się do kościoła, zaczął biegać w garniturku i czarnych lakierkach po gruzie kamienia wapiennego. Po chwili lakierki były czarne już tylko z nazwy.



Jaś na rowerku



Jan w I Komunii Świętej



Siostry matki: Czesława, Maria i Katarzyna z mężami

Podczas niemieckiej okupacji mieszkał z matką w wynajętym mieszkaniu w Myszkowie, gdzie jeszcze nie tak dawno Bańscy mieli sklep. W tym czasie ojciec w Mijaczowie (dzielnica Myszkowa, wcześniej miejscowość należała do gminy Pińczycze) prowadził magazyn mąki, z którego potajemnie wydawał deputaty dla AK. Brał także udział w partyzanckich akcjach, m.in. w paleniu akt kontygentowych, niszczeniu spisów osób przeznaczonych na wywózkę do Niemiec i w zamachu na niemieckiego funkcjonariusza oberleutnanta Schuberta, zwanego „Krwawym Julkiem”, pełniącego funkcję komendanta żandarmerii w Żarkach. Jończyk w konspiracji posługiwał się pseudonimem „Straszny”.

W zasadzie to prawie wszyscy Polacy konspirowali. Toczoło wojnę psychologiczną z niemiecką propagandą, starano się dotrzeć do informacji o działaniach londyńskiego rządu, zbierano informacje, sporządzano raporty, śledzono wroga, dokumentowano jego zbrodnie wreszcie budowano solidarność Polaków w walce o odzyskanie niepodległości. Wspomagano więźniów i rodziny po poległych, wysyłano paczki i zapomogi pieniężne a nawet zakładano sierocińce. Na terenie Inspektoratu Częstochowskiego AK działały samodzielne oddziały partyzanckie, przeważnie w sile kompanii (50 do 100 partyzantów). Było ich kilka oraz trzy szkoły podchorążych szkolących dowódców do stale rozszerzającej się działalności bojowej. Ważną rolę w terenie pełniły okoliczne dwory, w których prowadzono tajne nauczanie, zakładano partyzanckie szpitale, przetrzymywano uciekinierów i kurierów. Podobnie jak w 1863 r. były to twierdze i oazy patriotyzmu²⁰.

W 1939 r. Mijaczów razem z okolicznymi osiedlami został wcielony do III Rzeszy. W tej sytuacji w okolicy rozwinął się pokątny handel i kontrabanda. Jednak nowa granica znaczyła coś więcej niż możliwość pokątnych interesów, oddzielała bowiem rodaków od siebie. W 1944 r. na pograniczu dzielnicy Michałów i Mijaczów żołnierze niemieccy dokonali egzekucji na przypadkowych przechodniach, mieszkańców Myszkowa, w odwecie za akcję żołnierzy AK pod dowództwem Jerzego Kurpińskiego „Ponurego” na obóz niemiecki w Lesie Koziegłowskim²¹.

W ramach planu „Burza” wielu partyzantów 14 VIII 1944 r. ruszyło na rozkaz Komendanta Głównego AK gen. Tadeusza Komorowskiego – „Bora” na odsiecz walczącej Warszawie. Niestety na przeszkodzie stanęły nie tylko formacje Wehrmachtu ale także oddziały Armii Czerwonej.

Nie lepiej w tym czasie zachowywali się wkraczający Sowieci na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Do symbolu polskich Termopil urosła kresowa miejscowość Surkonty, gdzie 21 VIII 1944 r. podczas przygotowań do od-



Wujostwo

prawy Komendanta Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej mjr. Macieja Kalenkowicza (1906-1944)²², ps. „Kotwicz”, oddział polski liczący 72 żołnierzy został zaatakowany przez dziesięciokrotnie liczniejsze zgrupowanie NKWD. Po wielogodzinnej walce w okrążeniu ze swoimi żołnierzami poległ mjr M. Kalenkowicz, hubalczyk, cichociemny, kawaler Krzyża Virtuti Militari i dwukrotny Krzyża Walecznych. Sanitariuszki i rannych Polaków wykłuto bagnetami. Według raportu NKWD „w wyniku 5-godzinnego boju [bandę] całkowicie zniszczono - zabito 53 bandytów, w tym 6 oficerów białopolskiej armii. Wzięto do niewoli - 4”²³. O postępach Armii Czerwonej i jej stosunku do żołnierzy Państwa Podziemnego Stefan Jończyk dowiadywał się z Radia Londyn i konspiracyjnych gazetek. Starsi mówili: „jak w roku dwudziestym - Antychryst idzie ze Wschodu”.



Mjr Łukasz Ciepliński

W rejonie pobytu rodziny Jonczyków często pojawiał się Zygmunt Czajkowski (1915-1952), ps. „Wierzbą”, żołnierz oddziału kpt. Jerzego Kurpińskiego „Ponurego”, pod którego dowództwem między Porajem a Korwinowem (na linii Częstochowa-Katowice) przeprowadzono operację wysadzenia niemieckiego pociągu wojskowego, a w Częstochowie dokonano ataku na posterunek policji. Wiosną 1944 r. (marzec - kwiecień) „Ponury” tworzy z podległych sobie struktur oddział partyzancki operujący w lasach Złotego Potoku. Za niedługo i jego ludzi będzie tropiło NKWD, które zgotuje im los nie wiele różniący się od losu podkomendnych „Kotwicza”. Polacy za niedługo mieli się przekonać, jak to trafnie ujął świadek ekshumacji w Katyniu, wybitny pisarz i publicysta, kandydat do Literackiej Nagrody Nobla Józef Mackiewicz (1902-1985) w powieści *Nie trzeba głośno mówić*, że „okupacja niemiecka robi z nas bohaterów, a sowiecka gówno”.

19 I 1945 r. wycofali się Niemcy i w ich miejsce pojawili Rosjanie. O, i tak nastała wolność oraz dekada 1945-1956 budowy SOWIECKIEJ NIBY-POLSKI. Jaś bardzo mocno przeżył historię gwałtu dokonanego przez czerwonoarmistę przy torach bocznic kolejowej w Poraju. Sprawcę rozpoznano po kolorze włosów. W odpowiedzi na skargę kobiety oficer wyciągnął rudego z szeregu i zastrzelił²⁴. Ta historia tłumaczy dlaczego każda z kobiet w spotkaniu z wyzwolicielami chciała wyglądać jak najbrzydziej. Już od pierwszych godzin okupacji spostrzeżono, iż krasnoarmiejcy dopytywali się o wódkę, w odróżnieniu od Niemców, którzy



Ł. Ciepliński na czele oddziału

zawsze pytali o wodę. Pijani byli równie niebezpieczni dla kobiet, jak i mężczyzn. Gwałty i poniżenia dotyczyły mieszkańców okolicznych miast i wsi. Zdarzało się, iż stojących w obronie mężczyzn zabijano, a pohańbione kobiety popełniały samobójstwo. Oficerowie NKWD w zamian za seks uwalniali z aresztów ojców, mężów, synów i braci ofiar. Rozpoczęła się także zorganizowana grabież mienia, polowania na żołnierzy podziemia niepodległościowego, egzekucje i deportacje. Aresztowanych



Mundur ppor. Edwarda Taraszkiewicza, oficera WiN, na piersi ryngraf z Cudownym obrazem MB Cz.

Akowców, „nazywanych pomocnikami Hitlera”, trzymano w zatłoczonych i zawilgoconych piwnicach, karmiąc raz dziennie i ograniczając dostęp do wody pitnej. Aby wymusić zeznania stosowano okrutne tortury. W jednej z zachowanych relacji czytamy: „Badany stoi nago w piwnicy po kolana w wodzie. Przystawia mu się w odległości 3 cm od oka pręt żelazny ostro zakończony, by się nie schylał i bije prętami metalowymi owiniętymi drutem po karku, plecach, nogach aż do utraty przytomności”²⁵. Radość z kończącej się wojny trwała krótko. Na terenach przejętych przez Sowieców zostały przeprowadzone nasilone akcje pacyfikacyjne, których celem było zlikwidowanie polskich elit narodowych, miały też doprowadzić do skutecznego zsowietyzowania i wypłenienia, bądź zmarginalizowania pierwiastka polskiego.

Dla ojca nie był to łatwy czas. Groziło mu aresztowanie przez funkcjonariuszy UB lub NKWD. Miał nakaz częstego meldowania się na posterunku, a raz na dwa tygodnie dostarczał oprawcom wódkę, jako formę okupu. Wreszcie w Zawierciu trafił do „komunistycznej kozy”. Aresztanci m.in. musieli odrywać od polskich mundurów guziki z orzełkami w koronie, z których trzeba było się rozliczyć przed UB-owcem. Również Stefan znalazł się w tym komandzie, które później przyszywało nowe guziki „poprawne politycznie”. W przypływie dobrego humoru oprawcy mogli poczęstować ofiarę papierosem z ustnikiem marki „Biełomorkanał”. Rysunek na ich opakowaniu przedstawiał mapę europejskiej części ZSRR z zaznaczonymi liniami kanałów zbudowanych za czasów generalissimusa Józefa Stalina (kanał Białomorsko-Bałtycki, kanał Wołżańsko-Bałtycki, kanał imienia Moskwy i kanał Wołga-Don) łączących we wspólny system wodny rzeki dopływające do mórz: Białego, Bałtyckiego, Azowskiego, Czarnego i Kaspijskiego, będąc ilustracją ówczesnego propagandowego sloganu „Moskwa portem pięciu mórz”. Przy jego budowie zginęły tysiące ludzi uznanych za wrogów systemu. Papierosy marki „Biełomorkanał” stały się legendą ZSRR. Pisano o nich wiersze i śpiewano piosenki. Były przeznaczone dla prawdziwych proletariuszy.

Korzystając z okazji, że znalazł się na wolności, postanowił zabrać syna i zniknąć na jakiś czas z pola widzenia UB. Ponadto miał pomysł, jak chwilowo zapewnić bezpieczny byt rodzinie. Wyjazd do Elbląga odsunął na jakiś czas zagrożenie ponownego aresztowania. Spędził tam z najbliższymi niemal cały rok. Nie był to jednak wyjazd do kurortu. 12 II 1945 r. Elbląg zdobyła Armia Czerwona, po jej ustąpieniu zniszczenia zabudowy Starego Miasta szacowano na 98 procent. Całych zachowało się jedynie sześć kamienic, reszta leżała w gruzach. W podobnym stanie znajdowały się budowle sakralne oraz Brama Targowa – jedyny zachowany obiekt średniowiecznych fortyfikacji miejskich. Kościół św. Mikołaja miał wypalone wnętrza, zawalone dachy i częściowo wieżę. Kościół poddominikański stracił dach, sklepienia nad nawami oraz górne partie obu szczytów korpusu. Zabudowania klasztorne a także zespół poszpitalny św. Ducha, stały w ruinie. Czego nie spalili wycofujący się Niemcy dokończyli Rosjanie. Oddziały Armii Czerwonej, nie oszczędziły nawet urządzeń domowych. Przed opuszczeniem miasta wojskowa komenda Armii Czerwonej wywiozła, jako zdobycz wojenną: fortepiany, pianina, zegary, maszyny do szycia, maszyny i narzędzia zakładów rzemieślniczych, urządzenia i narzędzia lekarskie oraz gabinety dentystyczne, meble, dywany, obrazy

a nawet pościel. Piękne miasto zamieniło się w ponure cmentarzysko. Przez pierwsze trzy powojenne lata teren staromiejski oczyszczano z gruzu w stopniu pozwalającym na udrożnienie ulic. W latach 1948-1949 w Elblągu, jak w całym kraju, prowadzona była wielka akcja rozbiórkowa, której celem było pozyskanie deficytowych materiałów do odbudowy kraju. W sumie w Elblągu zebrano prawie 19,5 mln sztuk cegieł, z czego 4 mln przekazano do odbudowy Warszawy. Stefan Jończyk znalazł zatrudnienie zajmując się gromadzeniem złomu, który był wysyłany do śląskich hut. W gronie odbiorców znalazła się m.in. siemianowicka huta „Laura”. Nie było to jednak bezpieczne zajęcie ze względu na miny i niewypały. Świadczył o tym wypadek braci Tomanków, zatrudnionych do segregacji złomu. Gdy doszło do wybuchu we wraku czołgu, jeden z nich zginął, drugi pokiereszowany przeżył ale utracił wzrok. Ociemniały Erich Tomanek resztę życia poświęcił pracy społecznej, pełniąc przez kilkadziesiąt lat funkcję prezesa siemianowickiego koła Polskiego Związku Niewidomych²⁶.

Jan, jako 6-letnie dziecko zapamiętał z pobytu w Elblągu obraz bezpańskiego mieszkania, które wyglądało jakby przed chwilą gospodarze opuścili je w pośpiechu. Na stole stały talerze z niedojedzonym pożywieniem, kubki z niedopitą herbatą itp. Wtedy też po raz pierwszy zetknął się z morzem i odbył z rodzicami podróż okrętem. Żyli tam w spartańskich warunkach. Bieda była powszechna. Wielu nowych mieszkańców gnieździło się w barakach lub czworakach, gotowali posiłki na ceglach. Jaś we wrześniu 1946 r. powinien rozpocząć naukę w szkole więc matka i ojciec zdecydowali o powrocie w rodzinne strony²⁷.

Nie była to łatwa decyzja dla mężczyzny w sile wieku, żołnierza wojny obronnej 1939 r., a potem związanego z konspiracją niepodległościową ZWZ-AK. Terror i nagonka komunistyczna wciąż się nasilała i choć dalszej walki z nowym okupantem nie kontynuował, to jednak nie mógł być pewien swego losu. Mimo zakończenia wojny historia Polski wciąż nasiąkała łzami i krwią. Z Radia „Wolna Europa” i BBC dowiadywał się o wciąż nowych procesach, brutalnych przesłuchaniach z udziałem NKWD i wyrokach śmierci, m.in. na rotmistrzu Witoldzie Pileckim, czy płk. Łukaszu Cieplińskim, prezesie IV Komendy WiN-u, którego zmasakrowanego na kolejne tortury i przesłuchania noszono w kocu, bo nie był w stanie iść o własnych siłach. Zachowały się ich poruszające listy zza krat więziennych adresowane do rodzin i bliskich. Płk. Ł. Ciepliński kreślił je ołówkiem chemicznym na dwóch stronach bibułki, którą skręcał i wciskał w szwy chusteczki sporządzonej z więziennego prześcieradła. Ta chusteczka trafiła do adresatów i dziś jest najcenniejszą pamiątką rodziny, podobnie jak grypsy z 1864 r. dla bliskich Romana Żulińskiego. W jednym z nich do żony Jadwigi, pisał: „Kochana Wisiu! Jeszcze żyję, chociaż są to prawdopodobnie już ostatnie dla mnie dni. Siedzę z oficerem gestapo. Oni otrzymują listy, a ja nie. A tak bardzo chciałbym otrzymać chociaż parę słów Twoją ręką napisanych [...]. Ten ból składam u stóp Boga i Polski [...]. Bogu dziękuję za to, że mogę umierać za Jego wiarę świętą, za moją Ojczyznę i za to, że dał mi taką żonę i wielkie szczęście rodzinne”. Pisał także wzruszające listy do małego synka, który w chwili aresztowania ojca miał kilka miesięcy: 20 I 1951. „Andrzeju! Pamiętaj, że istnieją tylko trzy świętości: Bóg, Ojczyzna i Matka”. W kolejnym grypsie:



Ostatni wystrzał na elbląskiej starówce

„Ja odchodzę – Ty zostajesz, by w czyn wprowadzać idee ojca. Andrzejku, celami Twego życia to:

a) służba dobru, prawdzie i sprawiedliwości oraz walka ze złem,

b) dążenie do rozwiązywania bieżących problemów – na zasadach idei Chrystusowej. W tym celu realizować je w życiu i wprowadzać w czyn,

c) służba Ojczyźnie i Narodowi Polskiemu”²⁸.

Prasa komunistyczna zmierzając do zastraszenia, pozbawienia swoich ofiar możliwości istnienia w oficjalnym życiu politycznym, a także zniesławienia i szkolenia na wszystkie możliwe sposoby, odbierania czci i wykreślenia z tomów narodowych dziejów, pisała: o historii zdrady narodowej, szpiegach na żołdzie amerykańskim oraz tajnych współpracownikach Stanisława Mikołajczyka i prymasa Augusta Hlonda. 14 X płk Ł. Ciepliński został skazany na 5-krotną karę śmierci oraz 30 lat więzienia, przepadek mienia i na zawsze pozbawienie praw obywatelskich. Wraz z nim było sądzonych i skazanych na karę śmierci sześciu jego współpracowników: Józef Batory, Franciszek Błażej, Karol Chmiel, Mieczysław Kawalec, Adam Lazarowicz i Józef Rzepka²⁹. Przed egzekucją Ł. Ciepliński powiedział współwięźniowi, że będzie trzymał w ustach medalik, aby można było kiedyś zidentyfikować jego zwłoki. Wyrok został wykonany 1 III 1951 r. Płk. Ł. Ciepliński został zabity na sposób katyński strzałem w tył głowy w piwnicy więzienia UB na Mokotowie w Warszawie. Wszyscy oskarżeni w procesie zostali straceni tego samego dnia. Miejsce pochówku Łukasza Cieplińskiego i jego towarzyszy nie jest znane, podobnie jak tych straconych na stokach Cytadeli 5 VIII 1864 r. Inni jeśli od razu nie dostali kary śmierci, to w najlepszym wypadku trafiali do więzień komunistycznego „raju” i przez lata byli represjonowani. Ojciec Jana wszystkich tych szczegółów nie znał ale dostatecznie dużo wiedział, żeby bać się o siebie i rodzinę oraz współczuć tym, którzy kiedyś byli jego przełożonymi w walce z niemieckim okupantem. W nowej rzeczywistości musiał myśleć także o obronie przed zagładą swojej duszy, serca i pamięci, które składały się na jego tożsamość.

Zamiast wracać z Elbląga do Myszkowa, chwilowo zatrzymał się w dawnym majątku Potockich w Złotym Potoku, który w drugiej połowie XIX w. należał do właścicieli Rogalina, a ostatnim sukcesorem był Karol Roger Raczyński (1878-1946) i jego żona, księżniczka Stefania Czetwertyńska (1879-1948) ze Skidla pod Grodnem. W wieku 24 lat wydana za męża za hrabiego Karola zamieszkała w Złotym Potoku, gdzie zarządzała majątkiem oraz prowadziła otwarty dom, odwiedzany licznie przez familiantów, przyjaciół, dostojników państwowych i okoliczne ziemiaństwo. Urodziła czterech synów. Kochała polowania, ogród i sad przypałacowy, który uprawiany był z jej polecenia przez najlepszych ogrodników. Ciepłarniane oranżerie pełne były roślin i owoców podzwrotnikowych. Uchodziła za kobietę obdarzoną wrażliwością, poczuciem piękna i znawczynią sztuki. Z kolei Pan na Złotym Potoku był znanym miłośnikiem automobili i znawcą motoryzacji. Do historii przeszedł jako kierownik rajdowy oraz Pełnomocnik Obywatelskiego Komitetu Wykonawczego Obrony Państwa



Gen. August Emil Fieldorf



Karol Raczyński



Żółty Potok. Dwór Krasińskich

i przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Obrony Państwa na powiat częstochowski w 1920 r. W 1939 r. niemieccy najeźdźcy, reprezentujący „rasę panów”, usunęli Karola Raczyńskiego z zarządu dóbr, następnie z pałacu, a w 1945 r. jego majątek rozparcelowali komuniści. Hrabia Karol Roger w 1946 r. zmarł w Łodzi, w nędzy, ze zgryzoty, zaś owdowiała Stefania wyjechała do Anglii.

W tej sytuacji Stefan Jończyk na rok wydzierżawił sad i zamieszkał z rodziną w przy-pałacowym klasycystycznym parterowym dworze Krasińskich, z gankiem wspartym na dwóch parach kolumn toskańskich. Razem z nim była także siostra Hanka Śliwa i jej trzech synowie: Waldek, Mirek i Jurek, którzy po powrocie z Anglii nie mieli gdzie się podziąć. Ulokował więc ich w służbówce przy bramie wjazdowej do parku. Jaś swoje pierwsze wakacje spędził we dworze Krasińskich w Żółtym Potoku i zapamiętał je na całe życie. Już wówczas miał wysoko rozwinięte poczucie estetyki. Zachwycił go nie tylko park, ogród, ale cały zespół pałacowo-parkowy, w którym można było spotkać rzadkie gatunki drzew, takie jak modrzew japoński, wiąz turkiestański, tulipanowiec amerykański czy karagana syberyjska. Ozdobą i chlubą był ok. 600-letni dąb szypułkowy „Dziad”³⁰. Było naprawdę tak, jak pisała 17 VII 1857 r. Eliza Krasińska do Katarzyny Potockiej: „powietrze jest lekkie, świeże, pachnące, woda jest prawdziwym nektarem, spaceru urocze [...] słowem Potok podoba mi się”. Można tu było kąpać się w „kryształowej wodzie” stawu „Irydion”, a nawet łowić ryby.

Dla Jasia były to nie lada atrakcje. Zwiedzał skały, hasał po 40-hektarowym parku w stylu angielskim, przez którego środek przepływała rzeka Wiercica. W okolicznych lasach pełno było grzybów, malin i poziomek. Tutaj czuł się równie dobrze, jak u wujostwa w Poraju. Ciekawił go stojący otworem pałac. Niestety jego wnętrza w niczym nie przypominały stanu, gdy rezydowali tu jeszcze nie tak dawno Raczyńscy. Ściany przestronnych, wysokich pomieszczeń były kiedyś pokryte białą zaprawą wapienną. Na parterze usytuowano między innymi hall, bibliotekę oraz salon zdobiony obrazami, wśród których znajdowały się portrety przedstawicieli rodu Krasińskich. Druga kondygnacja mieściła pokoje oraz jadalnię położoną w partii frontowej, doświetloną przez dwa okna i balkon. We wnętrzu uwagę przykuwały połączane lustra. Usytuowane na wprost stawu wejście do pałacu poprzedzał kamienny gazon.

Inwentarz dworski wymieniał 132 meble. Wśród nich znajdowały się m.in. komody, szafy, przeszklone witryny, jesionowe łóżka, biurka oraz liczne stoliki o zróżnicowanych



Żółty Potok. Pałac Raczyńskich

kształtach: 13 „owalnych”, 12 „kanciastych”, 8 pokrytych sukнем, przeznaczonych do gry w karty oraz pojedynczy „stół jadalny”. Do tego należało dodać fotele, szeszelongi, jesionowe kanapy i dębowy kredens. Warto także wspomnieć o eksponowanych we wnętrzach dziełach sztuki, takich jak obrazy religijne i portrety członków rodzin. W pałacu znajdowały się również marmurowe popiersia Zygmunta hr. Krasieńskiego (1812-1859) autorstwa ucznia Canovy³¹ i Thordwalsena (1770-1844)³², Pietro Teneraniego (1789-1869)³³ oraz Elżbiety (Elizy) z Branickich hr. Krasieńskiej (1820-1876), dłuta Henryka Antoniego Stattlera (1834-1877). Ten ostatni zasłynął przede wszystkim jako autor portretów osobistości historycznych: dyktatora Józefa Chłopickiego, Andrzeja Zamoyskiego i biskupa Jana Dekerta.

To co Jan oglądał w 1946 r. mogło już tylko posłużyć jako materiał ilustracyjny do *Pożogi* Zofii Kossak. W pokojach wały się na podłodze książki, jakieś szmaty, szkło, sterczały już wyłącznie szkielety niegdyś pięknych, stylowych mebli. Ostał się tylko olbrzymich rozmiarów rzeźbiony stół. Z ocalałych krzeseł, kanap i foteli powycinano tapicerkę – skórę. Całość sprawiała przynębiające wrażenie. Był więc jednym ze świadków końca świata właścicieli pałacu, ale nie jedynym³⁴. To co zobaczył, niebawem spustoszenie domu Raczyńskich, opisała w przejmujący sposób Poetka Wyklęta, prozaik, dramaturg, tłumaczka i była sekretarka Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego Kazimiera Iłakowiczówna (1892-1983) w wierszu pt. *Obrzydliwość spustoszenia*:

Pieść wroga uderzyła jak młot w polskie Piękno
I zda się, że już martwe. Już nie biją tętna.
Zdarty – święty obrazek na stuletnim dębie,
zegar strzaskany, kółka już się nie zazębia,
zgasły oczy portretów; turkusy i chabry,
zgruchotane na miazgę – węzły kandelabrow.
Przed obrazem Madonny zbrodnia się nie cofa:
poszedł w drzazgi... Rozbity bezcenny sarkofag,
Lice przez Thorvaldsena czy Canowę kute
ślady noszą nie zgojony germańskiego buta.
A później – księgi drażnią. Więc wałęsają się stopy,
garść żołdaka muz dziewięć wywleka za włosy:
Euterpe z Polihymnią, Clio z Melpomeną
Tysiące ksiąg zdobionych najmędrszymi oceną
– na wóz i precz z pałacu, gdzie się wróg rozgościł!
Lecz nie dość zedrzyć skórę... trzeba przetrząść kości.
Gdzie długi rząd pokoleń szeroką siedzibę
ustawił w mądrym łądzie, zwięźle, bez pochyby,
tak rządząc, aby z Szczęściem Piękno żyło stadłem
– stępiejących barbarzyńców rój gorliwy wpada.
Tu burzą mur, tam ścianę wznoszą bezrozumnie,
Aż Bezsens wewnątrz harmonię zburzy, zgwałci, stłumi,
Aż pałac, gdy mu duszę oniemia, oślepią,
Stanął w sobie bezradny jak bez strun fortepian.



Eliza Krasieńska



Zygmunt Krasieński

W 1945 r. „Wyzwoliciele” ziem polskich i ich komunistyczni adherenci pozostawili za sobą w zgłiszczach tysiące polskich dworów i pałaców. Co nie zostało wywiezione to najczęściej było palone. Cudem ocalały: Kozłówka Zamoyskich, Łañcut Potockich, Nieborów Radziwiłłów, czy Gołuchów Czartoryskich. Gdzieś na Kresach ocalała jedna kapliczka przydrożna tylko dlatego, iż miejsce Matki Boskiej zajęła figurka Lenina. Zniszczenia i stopień dewastacji Złotego Potoku przywoływało obrazy z Elbląga i oprócz zaciekawienia budziły uczucie niepokoju, a nawet grozy wywołanej bezprzykładną grabieżą. Podobnie wyglądało wnętrze dworku Krasińskich, w którym chwilowo zamieszkiwał z rodzicami. Miał wrażenie, że część potężnych mebli ocalała tylko dlatego, że ze względu na ich gabaryty nie dało się ich wynieść ani oknem ani drzwiami³⁵.

Ponadto intrygowała go chłodnia na owoce i zewnętrzne elementy rzeźbiarskie w postaci dwóch posągów lwów trzymających kartusze: jeden z herbem Nałęcz, którym pieczętowali się Raczyńscy a drugi z Pogonią Ruską, rodowym znakiem książąt Czetwertyńskich. Po latach odwiedzając Złoty Potok z córką, już jako artysta, docenił jeszcze inne walory tego miejsca. Ze wzruszeniem próbował przywrócić oczyma wyobraźni czas świetności, prawdziwego życia, które kwitło w tych murach. Już był po lekturze dzieł Zygmunta Krasińskiego, inaczej odbierał dramat ojca, któremu w tymże Złotym Potoku 12 IX 1857 r. zmarła najmłodsza córeczka Elżbietka³⁶. Kontemplował czas zatrzymany na starych litografiach i fotografiach w sepii, żywy w rodzinnych wspomnieniach. Równocześnie intrygowały go prorocze słowa wieszczki zawarte w motcie *Nie-Boskiej komedii*: „stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie milczenie jest po nich”.

Skoro mowa o okolicach znaczących dla dzieciństwa i młodości warto zwrócić uwagę na ducha opiekuńczego tego miejsca, siłę która sprawiała, iż przyciągała ona do siebie ludzi i stymulowała rozwój ich talentów. Potędze *genius loci* Złotego Potoku (Jury) i Krakowa ulegli nie tylko byli mieszkańcy tamtejszego pałacu ale także mały chłopiec, który spędził tutaj swoje pierwsze wakacje. Mimo upływu czasu jako „człowiek ptak” powraca gdyż wyraźnie wyczuwa niezwykłą aurę tego miejsca, które nastroja go filozoficznie i uspasabia artystycznie. Jakimi zaś ludźmi byli mieszkańcy pałacu, wiele o ich wrażliwości i duchowości oraz środowisku mówiła mu wypowiedź Kajetana Morawskiego³⁷ na temat przyjaciela Rogera Adama Raczyńskiego³⁸, brata Karola Rogera ze Złotego Potoku: „Właściwym miastem naszym, które stanowiło



Pstrągarnia Raczyńskich



Pałac w Złotym Potoku. Kartusz z herbem Raczyńskich

jakby dalszy ciąg Rogalina i Jurkowa, był Kraków [...]. Tam, u mego stryja Kazimierza³⁹, słuchałem z przejęciem dwunastu uderzeń zegara zwiastujących nastanie dwudziestego wieku. Tam przez nieomknięte drzwi patrzyłem na Henryka Sienkiewicza i Stanisława Tarnowskiego⁴⁰ pijących herbatę w salonie. Znałem ich już z Jurkowa, ale w Krakowie wydawali się bardziej znaczeni i uroczyści [...]. Stamtąd wreszcie wybieraliśmy się na pierwsze tajne wyprawy do Jamy Michalikowej



Żarki. Imieniny hrabiny

cylinder i podaje eleganckie nakrycie głowy stojącemu obok majordomusowi. Już jako adept Akademii im. Jana Matejki dowiedział się, iż hr. Edward, mecenas sztuki, swego czasu ocalał od zniszczenia Bramę Floriańską i Barbakan, a jego syn Roger Adam, dyplomata i wielki erudyta był nazywany „wszechwiedzącym”, o którym zapamiętał anegdotę: „Rogerze, zapytał go ktoś, czy twoja babka była z domu Larousse, że tak wiesz wszystko?” Trzeba dodać, iż Larousse była to słynna francuska encyklopedia⁴¹.

Dzięki Raczyńskim miejsce to zasłynęło nawet poza granicami kraju m.in. z pstrągarni. Należy także pamiętać, iż Stefania Raczyńska była założycielką Żarek Letniska. Dlatego jej imieniny są tam obecnie hucznie obchodzone. W tym wyjątkowym dniu „goszczą” hrabina i hrabia, jadący w paradnej bryczce, w towarzystwie amazonek na koniach. Korowód zmierza do amfiteatru, głównego miejsca obchodów. Ich organizatorami są: Towarzystwo Miłośników Żarek Letniska im. hr. Stefanii Raczyńskiej i Gmina Poraj. Jednak w 1946 r. nawet nie myślano o takich sposobach upamiętnienia mieszkańców pustoszonego gniazda szlacheckich. Nikt by się na to nie odważył.

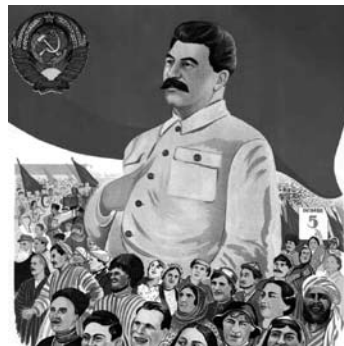
Po wygaśnięciu dzierżawy sadu Raczyńskich, Stefan przez jakiś czas podjął się obowiązków kierownika betoniarni przy dworcu w Myszkowie, którą później razem z niejakim Mańko przejął jako spółkę. Za ocalałą z majątku ojca gotówkę, którą cudem udało się uchronić przed grabieżą wojenną, nabył kamienicę w Zawierciu. W tym czasie dworek Krasińskich w Żłotym Potoku przeznaczono na budynek mieszkalny nauczycieli w Technikum Rolniczym ulokowanym w pałacu Raczyńskich.

Tymczasem Jan junior, gdy ojciec gospodarzył w Żłotym Potoku, rozpoczął naukę w I klasie szkoły powszechnej w Myszkowie, którą kontynuował w Zawierciu w szkole nr 4 im. Mikołaja Kopernika przy ulicy Powstańców Śląskich 18. Pierwsze swoje szkolne świadectwo otrzymał opatrzone jeszcze pieczęcią z orłem w koronie, symbolizującej suwerenność państwa⁴².

Uczyli go m.in. wychowawca Stanisław Kwiatkowski i Hanna Buczek. Wtedy dowiedział się, iż „wyrośnie z niego albo prymus albo lizus”. Był to czas prania mózgów podczas częstych akademii których bohaterami byli dwaj „wielcy Polacy”: w jednej osobie agent NKWD i prezydent RP Bolesław Bierut (1892-1956) oraz dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, marszałek Polski i ZSRR Konstanty Ksawerowicz Rokosowski (1896-1968). Operacja dowodzona przez jego generałów skutkowałą stłumieniem w 1956 r. w Poznaniu polskiego powstania. Mały Jasio zapamiętał, iż ukuło się wtedy powiedze-

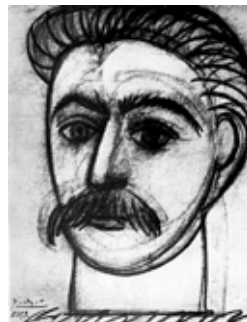
gdzie olśniewał nas Boy, gdzie z ponurego milczenia wyłuskiwał raz po raz skrzący dowcipem paradoks”. W domu Raczyńskich H. Sienkiewicz pisał fragmenty *Quo vadis* i powieści obyczajowej *Rodzina Połanieckich*.

Jan po latach niebytności, lekturze *Trylogii* i studiach w Krakowie widział nie pałac, a ukochany dom, do którego z tęsknotą powracano z podróży, będący ostoją polskiej tradycji, kultury, religii i gabinetem pracy. Przed oczyma wyobraźni miał gospodarza, który zdejmując z głowy



Stalin. Azerbajdżan 1938

nie związane z papierosami *Sport*. Czytając wspan i rozwijając nazwę jako skrót, brzmiało ono: „Towarzyszu Rokossowski Opuść Polską Stolicę”. Za przyłapanie osoby np. przez funkcjonariusza MBP na takiej wypowiedzi i podobnych, karą było pozbawienie wolności. 20 X 1956 r. K. K. Rokosowski nie został wybrany do nowego Biura Politycznego PZPR, a 10 XI tr. odwołano go z funkcji Ministra Obrony Narodowej i wicepremiera. I choć przyznano mu dożywotnią rentę równą dotychczas pobieranej pensji oraz zapewniono prawo stałego pobytu w Polsce, odmówił pozostania i wraz z 500 doradcami radzieckimi zajmującymi wcześniej wysokie stanowiska w Siłach Zbrojnych PRL wyjechał do ZSRR, gdzie pełnił wiele ważnych funkcji w Armii Czerwonej.



Stalin. Dzieło Picassa 1953

Artysta mimo upływu czasu dobrze zapamiętał atmosferę tamtych lat. W dzieciństwie uczono go różnych wierszyków, które miały w nim i rówieśnikach utrwalić kult Mesjasza komunistycznej rewolucji. Więc musiał za nauczycielem powtarzać:

Niech żyje nam towarzysz Stalin,
Co usta miał słodsze od malin.

W urodzinowym prezencie na cześć idola recytował:

Choć ze mnie mała dziecina.
Znam rozum i czyny Stalina.

A na koniec:

Słoneczkiem był, słoneczkiem był
Nasz Ojciec Stalin.

„Stalin jest głębszy od oceanu, wyższy niż Himalaje, jaśniejszy od słońca. Jest on nauczycielem wszechświata”, głosił jeden z wierszy opublikowanych na łamach „Prawdy”. Słowom generalissimusa nadawano wagę równą głosowi Boga. W religijnym zachwycie Bohater Pracy Socjalistycznej, rosyjski pisarz i dramaturg Leonid Maksymowicz Leonow (1899-1994) zaproponował, aby wzorem muzulmańskiej hidżry (622 r.), przyjąć nowy kalendarz: rok urodzin Stalina (1879 r.), miałyby być początkiem nowej ery, tj. rokiem pierwszym. W polskich miastach i wsiach portret wodza proletariatu w przestrzeni publicznej był wszechobecny, a nawet portretowanego przyrównywany do Jezusa Chrystusa. Wszystko powoli zamieniało się w imię Stalina. Nawet Częstochowę zaplanowano przemianować na Stalinogród i tylko wizja pielgrzymek do Matki Boskiej Stalinogrodzkiej odstraszyła inicjatorów. W dniu pogrzebu Stalina Jaś dostał śnieżką w oko. Uraz okazał się na tyle groźny, iż konieczna była interwencja lekarza. Syreny wyły, przechodnie stali na baczność, byli tacy co płakali, przez megafony nadawano transmisję żałobnych uroczystości w Moskwie (której omal nie przemianowano na Stalinodar), a matka obojętna na tę tragedię ludzkości, gnała



„Trybuna Ludu”. Śmierć Stalina

z nim do jedyne go lekarza w Zawierciu, specjalisty okuli-
sty, Janusza Żebrowskiego. Wtedy jeszcze o tym nie wie-
dział, przyszłego teścia. W domu na malca czekał ojciec,
który jako były więzień UB, nie uległ zbiorowej hysterii,
której wyrazem były m.in. podświetlane reflektorami, por-
trety „dumy proletariatu”. Dwa tygodnie wcześniej w pro-
gramie Radia „Wolna Europa” dowiedział się o komuni-
stycznym mordzie politycznym na gen. Auguście Emiliu
Fieldorfie (1895-1953), bohaterze narodowym II wojny
światowej, organizatorze i dowódcy Kedywu oraz zastępcy
Komendanta Głównego Armii Krajowej, organizacji, której
był żołnierzem. Mimo interwencji siostry Feliksa, Aldony
Dzierżyńskiej (1870-1966), hańbiący wyrok przez powie-
szenie wykonano 24 II 1953 r. w Warszawie.

Gdy Jaś wrócił do zdrowia i na zajęcia lekcyjne, pod czuj-
nym okiem nauczycieli, jakiś czas na bazie odwilży, chodził
z kolegami w czwórkach do kościoła. Była to, neogotycka
z czerwonej cegły, Bazylika pw. Apostołów Św. Piotra i Pawła. Polichromię w stylu bizan-
tyjskim wykonał profesor z Krakowa, brat Andrzeja, Leszek Jakub Wajda⁴³ asystent prof.
Jana Budziły, prorektora ASP w Krakowie. Trzecim proboszczem tej świątyni był w latach
1941-1980 ks. Dziekan Waław Bogucki. To on przygotował Jasia do I Komunii Świętej
i bierzmowania, a na koniec udzielił sakramentu małżeństwa. W anegdocie przeszedł do
historii, jako autor słów: „Taka zacna rodzina, a tak mało na ślub dali”.

Po ukończeniu szkoły powszechnej przez 4 lata uczęszczał do LO im. Stefana
Żeromskiego w Zawierciu. Maturę jednak zdał w 1959 r. w Liceum Ogólnokształcącym
w Siewierzu. Z rysunku otrzymał ocenę bardzo dobrą. Nie był to przypadek. Już wtedy
miał oko i rękę sprawną oraz serce do sztuk pięknych. Od dawna zwracał uwagę nauczy-
cieli na swoje uzdolnienia plastyczne. Dowodem rzeczowym w sprawie były jego zeszyty
szkolne, w których oprócz zadanych prac graficznych często trafiały się wariacje na
temat dowolny. Jednak nie zawsze zyskiwały one aprobatę nauczycieli. Tak było w przy-
padku rysunku Ledy z łabędziem inspirowanym popularnym motywem w sztuce, szcze-
gólnie renesansu, ukazującym kobietę w miłosnym



Uniejowice. Pomnik marszałka
Konstantego Rokossowskiego



Stefan Jończyk i współnik

gólnie renesansu, ukazującym kobietę w miłosnym
akcie z łabędziem. Motyw pochodził z mitologii
greckiej opisanej u Owidiusza w *Metamorfozach*.
Historia opowiadała o Ledzie, córce Testiosa
i Leukipe, żonie króla Sparty Tyndareosa. Według
legendy w dziewczynie zakochał się Zeus, który
by ją posiąść zamienił się w łabędzia i uwiódł
ją. Po tym akcie Leda wydała cztery jaja, z któ-
rych przyszło na świat czworo dzieci: bliźniacy
Dioskurowie, ubóstwieni herosi: Kastor i Polluks
astralni patroni Jonczyka oraz Helena, boha-
terka *Iliady* Homera i Klitajmestra, królowna
spartańska, żona Agamemnona, króla Myken.
Wątek Ledy i łabędzia zawarli w swojej twór-
czości tacy artyści jak: Leonardo da Vinci (1452-
1619), Michał Anioł (1475-1564), Baldassare
Peruzzi (1481-1537), François Boucher (1703-
1770), Salvador Dalí (1904-1989), Louis de

Silvestre (1675-1760), Antonio Allegri da Correggio (1494-1534), Paolo Veronese (1528-1588) i Jacopo Robusti Tintoretto (1518-1594). Jan wzór zaczerpnął z ilustrowanej książki ojca ukrywanej przed okiem syna. Jednak w swej inwencji twórczej adoptował dzieło mistrza Leonarda da Vinci do swoich potrzeb. Obiekt miłosnych zainteresowań Zeusa miał twarz polonistki Janiny Jach. Niestety zmiany jakim podlegał temat nie przypadły do gustu portretowanej. Młody artysta z hukiem został wyrzucony z lekcji za drzwi z poleceniem natychmiastowego przyprowadzenia rodzica. Incydent skończył się nie tylko na surowej karze domowej. Odpytywany z polskiego miał kłopoty z egzaminatorką. Bardzo dobre wypracowania, m.in. *O księżycu*, opatrzone dopiskiem „ściągnięte” otrzymywały najgorsze noty. W efekcie na zakończenie okresu otrzymał z języka polskiego ocenę niedostateczną⁴⁴.

Z kolei w kajecie z biologii oprócz rysunków obrazujących budowę komórki oraz ciekawszych przypadków flory i fauny, na końcu rysował kolegów i koleżeńskie potyczki na przerwach międzylekcyjnych. Robił to dość „udatnie”. Ta zaskakująca symbioza dwóch przedmiotów w jednym zeszycie nie była przypadkowa, gdyż lekcje rysunku prowadziła prof. Helena Matczakowa, nauczycielka biologii. Od nauczycieli uczył się także entuzjazmu dla dziejów i literatury polskiej pozostając pod wpływem historyzmu i geniuszu Jana Matejki oraz Juliusza i Wojciecha Kossaków. Ulubionymi literackimi postaciami byli bohaterowie *Trylogii*: Onufry Zagłoba, Kmicic i Michał Wołodyjowski. Na drugim miejscu stawiał dzieła Jamesa Fenimore Coopera (1789-1851), jednego z twórców literatury amerykańskiej, autora powieści przygodowo-awanturnych, których akcja rozgrywała się podczas walk z Indianami i Francuzami w drugiej połowie XVIII wieku. Dopełnieniem tego zestawu były powieści Karola Maya (1842-1912).

W IX klasie wygrał konkurs szkolny na ilustrację do *Potopu* Henryka Sienkiewicza. Była to scena batalistyczna. Zdystansował wówczas starszego rywala Jerzego Ciszewskiego z XI klasy, który uchodził za mistrza sztuk plastycznych. Za wzór posłużyły prace Michała Byliny (1904-1982), malarza batalisty, grafika, ilustratora, od 1956 r. profesora warszawskiej ASP, a wcześniej uczestnika wojny 1939 r. w szeregach 1 Pułku Szwoleżerów, którego legendarnym dowódcą był poeta, pisarz i dyplomata Bolesław



Leda. Mal. Paolo Veronese



Pomaturalne szaleństwo w Siewierzu

Wieniawa-Długoszowski. Gdy malował lub rysował czuł się spełniony i szczęśliwy. Pociągały go sztuki piękne, ale rodzice chcieli aby zdobył poważny zawód. Tymczasem nie miał pamięci do formułek prawnych, nie nadawał się na lekarza, gdyż nie lubił widoku krwi, nie widział się też w roli buchaltera, jako adept szkoły handlowej. Natomiast przez pewien



Pogrzeb ojca

czas rozważał ewentualne przywdzianie sukni duchownego. Na pytanie dlaczego nie został księdzem? Odpowiedział: „Ksiądz i artysta są to wolne zawody – nie muszą podpisywać żadnych list obecności w zakładach pracy i to mi się podobało. Podobało mi się wtedy kapłaństwo, ale nie miałem głosu i nie umiałem śpiewać. Miałem jednak zamiłowanie do malarstwa”⁴⁵. Natomiast artysta Maciej Linttner zawyrokował, iż Jan Jończyk urodził się w czasie, w którym gwiazdy przydelały nowo przybyłym podwójne osobowości. I chcąc i nie chcąc dostał

od losu pewien bagaż, który może być skarbem, ale i uciążliwym ciężarem, wszystko zależy od okoliczności będącej po słowie z przypadkiem. Jedną z dwóch postaci mieszkających w Janie jest artysta malarz⁴⁶. Ostatecznie więc powziął zamiar by zostać artystą. Złożył papiery na uczelnię. W międzyczasie 18 IX 1959 r. zmarł mu ojciec, jedyny żywiciel rodziny. Zabrał ze sobą do grobu tajemnicę swoich przeżyć wojennych. Prześladowany przez UB nigdy nie dzielił się z synem swoimi doświadczeniami. Być może w ten sposób chciał go ustrzec przed represjami, przed tym co w jego życiu było złe, przed bólem i cierpieniem? Ponadto był zakaz mówienia! Gdy zwalniali z celi, „pacjent” podpisywał specjalne zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy pod groźbą powrotu do miejsca, z którego wychodził na wolność. I tak miał dużo szczęścia. W teczkach jego niektórych znajomych znalazły się tylko lakoniczne adnotacje: „wyeliminowany”, „zabity”, „nieszkodliwiony”, „zginął”, „zlikwidowany” – to o tych, którym się nie powiedziało, którzy jak mawiali w „Firmie” (UB) – „przestali palić”. Jednak takich jak Stefan Jończyk często inwigilowano i mieli prowadzone kartoteki do 1989 r. Lepiej więc było wtopić się w szarą masę i umierać anonimowo, jak bohater wiersza Jarosława Marka Rymkiewicza zatytułowanego *Na śmierć nieznanego obywatela* (1955):

Zapisany w książkach meldunkowych,
Cnotliwy i bezbożny w brązowym garniturze w jodełkę,
Przeżył pięćdziesiąt lat i zmarł
Na sklerozę albo z przyczyn nieznanых.

Nie napije się w dniu wypłaty,
Nie przełoży kart do gry w oko,
Nie zaśpiewa na zebraniu:
Powstańcie, których dręczy głód.

Odchodzi, unoszony
Przez szelest sukien, szmer rozmów stuk pospiesznych stóp.
Wieść o jego śmierci nie obiegnie planety.
„Prawda” i „Times” nie zamieszczą fotografii nad dwoma datami.

Głos spikera nie przeniesie go do wieczności.
Jednostka bzdurą, mówi Majakowski.
W dowodzie osobistym
Twarz bez retuszu i krótki życiorys.

Odtąd jedynym oparciem była matka. On, pólsierota, wybierał się do jednej z najbardziej elitarnych szkół, marzył o zwiedzaniu największych galerii świata, a ona ledwie ukończyła szkołę podstawową. Za to wiedziała, że sny pryskają jak bańki mydlane. Żyła dostatecznie długo, by przekonać się, że marzenia i rzeczywistość to dwie sfery trudne do pogodzenia. Teraz jej szczęście zależało już tylko od powodzenia syna. Tymczasem oboje znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji, groziła im skrajna nędza. Matce przez kilka lat nie chciano przyznać renty po zmarłym mężu, byłym akowcu, synu młynarza, wreszcie właścicieli betoniarni, którego zaliczano do kategorii „obcych klasowo”, „elementów reakcyjnych”, „wrogów ludu”. Był epigonem pańskiej Polski.



Zawiercie 1927

Syn, buntownik i marzyciel, pogrążony w bólu i cierpieniu, w dwa dni po śmierci ojca, posługując się techniką olejną namalował swój pierwszy obraz. Przedstawiał on 18-letniego chłopca na cmentarzu. Było to dzieło przepełnione udręką, prawdziwe hieroglify śmierci i zbawienia. Wówczas też po raz pierwszy postawił sobie pytanie: jakie to ma znaczenie życie i wielkość w świecie, jeśli śmierć w mgnieniu oka czyni równym z najmniejszymi; w kostnicy już nie sposób odróżnić mądrego od nieuka, bogatego od biednego, skromnego od pysznego. Wszyscy są kośćmi i czaszkami, wszyscy wyglądają tak samo. Nie miał wyboru ostatecznie został wprowadzony w świat dorosłych. Nie dość, że stracił najbliższą osobę, to był bez pieniędzy i perspektyw na utrzymanie się w wymarzonej Wrocławiu lub w Krakowie⁴⁷.

W grodzie Kraka



Jan w czasach studenckich

Pierwszy egzamin składał w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Niestety nie zdał. Na egzamin do Krakowa na ASP im. Jana Matejki spóźnił się o jeden dzień. Było dużo starających się. Wpadł na salę z walizką, z tekturą, egzamin już trwał. Nie miał deski, ani papieru. Prosił pierwszego napotkanego o pomoc. Usłyszał: „Idź do woźnego po deskę”. Tam zaś od nagabywanego o ratunek dowiedział się: „Ja nie jestem woźnym lecz dziekanem”, Niepozorny człowiek wziął od niego 10 zł. i polecił: „dajcie mu deskę!” Był to baron Jacek Puszet. Jan z wrażenia był cały spocony i mokry – „jakby się posikał”. Wciąż, mimo upływu lat, wspominał przyspieszone bicie serca, z jakim siedł na selekcję kandydatów.

Egzamin trwał siedem dni. Najpierw pisemny z historii sztuki – ciężki! Potem trzeba było odpowiedzieć na pytanie: dlaczego staram się na ASP? To uznał za najtrudniejszy punkt kwalifikacji egzaminacyjnych. Przecież nie mógł napisać: mój słynny dziad zajmował się sztuką. Był wnukiem młynarza,



Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie

Ta ostatnia przepowiednia sprawdziła się! Natomiast koledzy Stanisław Batruk i Stanisław Puchalik⁴⁸ zostali przyjęci dopiero w następnym roku. W roku akademickim 1959/1960 ze 180 kandydatów przyjęto 15 (13 zdało i dwóch zakwalifikowano z listy rektora). Ten uśmiech losu pozwolił mu żywić nadzieję na lepszą przyszłość. Był pracowity, utalentowany i biedny, jak pozostali, ponadto młody i pełen energii, wysoki, dobrze zbudowany i sprawny fizycznie, wydawało mu się, iż cały świat stanął przed nim otworem, żywił nadzieję, iż pozna wszystkie przyjemności, o których może śnić mężczyzna. Zapisany na rok akademicki 1959/1960, trafił do katedry prof. Jana Budziły⁴⁹. Wręczono mu studencki indeks uczelni, której początki sięgały 1818 r., utworzonej na mocy statutu Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1833 r. Akademia Sztuk Pięknych została, jako Szkoła Rysunku i Malarstwa odłączona od uczelni fundowanej w 1364 r. przez króla Kazimierza Wielkiego. W 1873 r. szkoła otrzymała samodzielny status jako Szkoła Sztuk Pięknych, a jej dyrektorem na dwadzieścia lat został wielce zasłużony Jan Matejko, m.in. inicjator budowy pięknego gmachu siedziby uczelni, przy pl. J. Matejki. Po twórcy *Bitwy Grunwaldzkiej* urząd dyrektora sprawowali: Julian Fałat (1853-1929), Leon Wyczółkowski (1852-1936), Konstanty Laszczka (1865-1956), Jacek Malczewski (1854-1929), Józef Mehoffer (1869-1946), Wojciech Weiss (1857-1950), Józef Gałęzowski (1877-1963), Adolf Szyszko-Bohusz (1883-1948) i Fryderyk Pautsch (1877-1950), wielkie indywidualności w historii polskiej sztuki.

Koniec drugiej wojny światowej przyniósł istotne zmiany. Eugeniusz Eibisch (1896-1987) i Zbigniew Pronaszko (1885-1958) próbowali odbudować uczelnię ale ich rektorowaniu położył kres 1950 r. Działalność artystów awangardowych była niewygodna dla władz. Dlatego też na jednym ze swoich wystąpień, znany z cynizmu i zamiłowania do uciech życia Włodzimierz Sokorski (1908-1999), stalinowski Minister Kultury i Sztuki (1952-1956),

pochodził z małego miasteczka, gdzie w poważaniu byli: lekarz, inżynier ale artysta? Sprawa podejrzana! Jednak od dziecka lubił i umiał rysować. Co nie zmieniało faktu, iż całą wiedzę o świecie, o ludziach, o kulturze musiał zdobyć sam. Aby nie robić rodzicom przykrości, że syn artysta, to starał się o przyjęcie na Wydział Architektury Wnętrz. Gdy zakwalifikował się do następnego etapu musiał sprostać wymogom związanym z umiejętnościami warsztatowymi. Trzeba było wykazać się podczas dwóch kolejnych eliminacji:

1. Rysunek aktu kobiecego – wówczas przeżył stres, gdyż z końca sali nie widział modelu.

2. Malarstwo – martwa natura; gdy kończył usłyszał za plecami: „ten to się dostanie”.



Plakat Szybko odstawimy państwu zboże

chcąc pozyskać jak największe rzesze studentów powiedział: „Jeżeli wam któryś z profesorów się nie podoba, to przyjdźcie do mnie o każdej godzinie dnia i nocy i takich profesorów będziemy się pozbywać. Dziś chce wam wszystkim powiedzieć, że profesor Tadeusz Kantor nie jest już profesorem. Takich profesorów my nie potrzebujemy”. To samo działo się na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie zwolniono m.in. najwybitniejszego polskiego historyka prof. Władysława Konopczyńskiego (1880-1952), współtwórcę i pierwszego redaktora naczelnego *Polskiego Słownika Biograficznego*, erudyte i poliglotę (znał biegle 14 języków), byłego posła na Sejm I kadencji w II RP.

W tej sytuacji prof. W. Konopczyński, były więzień niemieckiego obozu Sachsenhausen i ofiara represji stalinowskich wygłosił swój ostatni wykład na temat prawdy historycznej. Poświęcił go twórcy krakowskiej szkoły historycznej Józefowi Szujskiemu (1835-1883) i wygłosił pod tablicą upamiętniającą Sonderaktion Krakau. Powiedział wówczas do swoich uczniów i studentów: „musicie zachować niepodległość ducha, tę niepodległość, za którą zginęli profesorowie UJ w Sachsenhausen, i musicie szukać prawdy, dążyć do prawdy. Nie wiercie, że jest jakaś prawda klasowa, są tylko grzechy klasowe, za które trzeba odpokutować. A prawda jest tylko jedna. Będą wam mówili o nowej metodzie, o *lux ex Oriente* (światło ze Wschodu). Oceńcie sami wartość dotychczasowej, która ma za sobą setki tysięcy tomów, a która rzekomo nie jest historią, i tę historiografię marksistowską, której jeszcze nie ma, a która dopiero ma być”. Krytycyzmem wobec marksizmu i leninizmu naraził się „trucicielom słowem” na zarzuty idealizmu, wrogości klasowej oraz różne obraźliwe epitety, z których najłagodniejszy to, iż jest „strażnikiem dogmatów katolickich”.

Jan Jończyk trafił na kadencję rektora Czesława Rzepińskiego (1954-1967). Były to już inne czasy. Śmierć Stalina zapoczątkowała epokę przemian obejmujących również polską kulturę. Z okładek czasopism zniknęły traktorstki, dzielne przodownice pracy, a dziewczyny już oficjalnie mogły marzyć o karierze filmowych gwiazd. W 1958 r. na okładce „Przekroju” pojawiła się studentka PWST Beata Tyszkiewicz. W przeszłość odchodził proletkult i socrealizm, który zniszczył twórcę uniżmu Władysława Strzebińskiego (1893-1952) i Katarzynę Kobro (1898-1951), pojawiła się możliwość zaistnienia dla artystów, którzy przed wojną terminowali w Paryżu, ponadto narodziła się generacja twórców wolnych od obciążeń minionej epoki, nastawionych opozycyjnie wobec plastyków zaangażowanych politycznie. Najogólniej mówiąc panował wielki niepokój twórczy. Jana zachwylił niepowtarzalny klimat zbiorowej przygody i niezwykle silnie wtedy przeżywał fascynację sztuką Zachodu. Łączyła go z kolegami i mistrzami paleta wspólna pasja i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do środowiska ludzi z sobą zaprzyjaźnionych. Była to spontaniczna i serdeczna bliskość. Cieszył się z innymi swoją młodością. Koloryzm był dla niego i całej rzeszy braci studenckiej dorastającej w sztywnych okowach obyczajowych i politycznych swoistym aktem wyzwolenia, duchowym i psychologicznym azylem. „Chorągiew kolorów” stała się ich



Hanna Rudzka-Cybisowa



Rektor Czesław Rzepiński

zawołaniem. Około 300 studentów pochodziło z różnych zakątków kraju. Razem czuli się wolni i szczęśliwi. Dzięki tej wspólnocie losów osaczenie przez komunistyczną niewolę, biedę, pokorę i strach wydawało się mniej bolesne. Atelier, akademik, kawiarnia i knajpa w większości zastępowała im rodzinny dom. Teatrzyki i kabarety były „parasolem chroniącym przed deszczem nudy”. Miał świadomość, że przynależał do ostatniej cyganerii XX wieku, która



Klub Pod Jaszczurami

tradycyjnie nie stroniła od alkoholu, rozrywki i płci pięknej. Jeden z takich modelowych wieczorów opisał ironicznie Leopold Tyrmand w *Życiu towarzyskim i uczuciowym*. Ich wyróżnikiem była m.in. garderoba. Dużo popularnością cieszyły się stroje szyte z czerwonego lub różowego materiału obiciowego na tapczany. Wystarczyło mieć 1.20 m tkaniny i 10 zł na szycie. W Akademiku wszyscy chodzili ubrani kolorowo. Garderobę uzupełniano dokonując zakupów na szaber placu. Ogólnie rzecz biorąc „żyło się goło, ale wesoło”. Nosił się więc zgodnie z przyjętą modą, przez ówczesnych głodomorów, z cygańska w kozuchu do ziemi przepasany sznurem, dopóki matka nie zabroniła mu tego wdzianka. Ulegał wpływowi ducha Młodej Polski, który wciąż w Krakowie był obecny. Robił jak inni za pocziwego nadczłowieka, nagą duszę i gardził filistrami zwanymi też mydlarzami lub wazeliniarzami. Miły charakter i wesołe usposobienie zjednywało mu liczne grono przyjaciół i znajomych.

Ze szczególnych uciech korzystał z kolegami podczas juwenaliów, kilku dni studenckiego święta, które zawsze organizowano w środku maja, kiedy kwitły bzy i kasztany. Wielu przebierało się w stroje żaków z szesnastego wieku. Na ulicach Krakowa pojawiały się postaci w różnych serdakach i myckach. Nad przebiegiem juwenaliów czuwało Bractwo Żakowskie. Studenci UJ w Collegium Nowodworskiego przy ulicy św. Anny 12, po godzinie 23.00 wybierali mistrza Bractwa. W blasku pochodni i przy śpiewach hymnu *Breve Regnum* na dziedzińcu Collegium stary przekazywał insygnia nowemu mistrzowi. Jan zapamiętał wybór na mistrzynię wnuczki Wojciecha Kossaka, Simony Kossak, która jednak nie była artystką lecz przyrodnikiem.



Wiesław Dymny (fot. W. Plewiński)

Od 1960 r. funkcjonował w Rynku studencki Klub pod Jaszczurami. Mieścił się on w sięgającej korzeniami średniowiecza Kamienicy pod Jaszczurką. W klubie odbywały się koncerty, debaty polityczne, wieczory z poezją, pokazy filmów, dyskoteki i wystawy. W czasach studiów Jana program tej oazy wolności, przybytku szlachetnego snobizmu i skandalu tworzył Krzysztof Miklaszewski. Jedni to miejsce postrzegali jako hyde park, inni jako miejsce rozpusty i zepsucia. Snuto po mieście opowieści, mrozące krew w żyłach krakowskich dewotek, np. o jaszczurowych dyżurach seksualnych. Dla Jasia Jaszczury na zawsze pozostały niezwykle miejscem, w którym wiele czasu spędził z przyjaciółmi i poznał wielu interesujących ludzi. Pod Jaszczurami brał udział w pracach remontowych i wynosił gruz, a jego koleżanka Barbara Hrynkiewicz prowadziła bar, będąc



Piotr Skrzynecki

równocześnie dziewczyną Leszka Długosza, barda Piwnicy pod Baranami. Wówczas to odkupiła od niego kozuch, w którym zagrała w filmie. W tym kręgu poruszała się także siostra poety Teresa Dymna, pierwsza żona Wiesława. Jest w jego wspomnieniach z tamtych lat i występ Wiesława Ochmana, studenta AGH (od 1960 r. posiadacza dyplomu inżyniera-ceramika), który śpiewał na stopniach sali gotyckiej, są spacerzy w skarpetkach po nowiutkich salach, tuż przed ich otwarciem i wiele, wiele innych historii, jak legendarny występ Joanny Rawik, która w klubie świętowała swój ślub ze Stanisławem Gronkowskim, polskim rekordzistą świata w pływaniu. Chłonał więc różne nowinki teatralne, in-

teresował się muzyką jazzową i korzystał z darmowych wejściówek⁵⁰.

Śledził też, jak Wiesław Dymny (1936-1978) tworzył gazetki ściennie, przy okazji wysłuchiwał opowiadań jak to autor *Koni Apokalipsy* na łysą głowę ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza wylał jakąś pachnącą wódkę, a potem ją pieczołowicie na oczach struchlałej widowni wycierał szmatką. Według Jończyka Dymny cieszył się specjalnymi względami tego polityka. J. Cyrankiewicz częsty bywalec Piwnicy Pod Baranami umawiał się z artystą na wódkę w Hotelu Francuskim. Ten podczas tych spotkań, suto zakrapianych, wykonywał na prośbę męża Niny Andrycz (1912-2014), różne uciészne rysunki o tematyce erotycznej, a gdy był już dobrze podpity, na przemian: lżył swojego rozmówcę wyzywając go od komunistycznych skurwysynów, to znów sztychł z tysej pały. Za którymś razem pewny swej bezkarności przyprowadził do hotelu brata, którego zatrzymała ochrona. Doszło do awantury. Wówczas wyszedł J. Cyrankiewicz i zapytał kto to jest? Potem oświadczył ochroniarzom: „brat też jest moim gościem”⁵¹.



Premier J. Cyrankiewicz

W takim miejscu jak Jaszczury nie przejmowano się cenzurą i na tej wyspie, oazie wolności pojawiali się według Wiesława Dymnego wszyscy „śliczni i czyści”, sławni, znani i uznani. Aktorzy m.in.: Tadeusz Łomnicki, Zbigniew Cybulski i Zbigniew Zapasiewicz, reżyserzy: Wojciech Has, Erwin Axer, Jerzy Grotowski, Tadeusz Kantor, Konrad Swinarski i Kazimierz Dejmek, pisarze: Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Stanisław Grochowiak, i Antoni Słonimski. Tutaj odważono się wygłosić fragment eseju Leszka Kołakowskiego *Czym jest socjalizm?*, m.in. wyrecytowano takie zdania: „Od społeczeństwa, gdzie pewien człowiek jest nieszczęśliwy, ponieważ mówi to, co myśli, a inny jest nieszczęśliwy, ponieważ nie mówi tego, co myśli – wybaw nas, Panie! Od społeczeństwa gdzie pewien człowiek żyje lepiej, ponieważ nie myśli w ogóle – wybaw nas, Panie! Od społeczeństwa, z którego nie można wyjechać – wybaw nas, Panie!” Dostało się także agitatorom propagującym m.in. współzawodnictwo bohaterów pracy socjalistycznej. Stali się obiektem drwin, razem z hasłami typu: „Dziewczyna puściła go kantem: »Nie chcę żyć z bumelantem!«, Pod wpływem „scenicznych wybryków” partyjny literat Władysław Machejek (1920-1991) wyrażał obawy, iż po Październiku studenci dążą do przejęcia władzy: „Brody ich długie, kręcone wąsiska; nóż co drugiemu w młodych wargach błyska; władzę chcą zdobyć dążąc do niej skrycie”.

W tym kalejdoskopie zdarzeń Jan miał okazję dobrze poznać W. Dymnego, który jako wolny słuchacz uczęszczał na zajęcia do pracowni prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej i często bywał w akademiku. W gniewie był nieobliczalny, a po alkoholu



Anna Dymna

stawiał się agresywny i nie liczył się z konsekwencjami swego zachowania. Wdawał się w burdy, z których często wychodził poturbowany. Jedną z głośniejszych afer dotyczyła Konsula Generalnego Francji Jeana van Ghele (1956-1961), który przesiedział cały wieczór w kłozecie, bojąc się wyjść, gdyż W. Dymny w akcie zazdrości obiecał go zarznąć tęym nożem, za rzekome uwodzenie uwielbianej Barbary Nawratowicz, odtwórczyni kultowych kreacji: Okrutnej Markizy, Buduarowej Kokoty, Królowej Duńskiej i Holenderskiej Striptizerki, której raz przydarzyło się na scenie „rozbierać” Joannę Olczakówną, zdejmując z jej pleców hasła: „Stopa życiowa”, „Mąka”, „Chleb”, „Węgiel” itd. Podczas jednej ze scysji Jan uchronił artystę przed dotkliwym pobiciem, niestety nie miał wpływu na decyzję, prof. H. Rudzkiej-Cybisowej, skreślenia z listy studentów ASP, twórcy tekstów i kierownika artystycznego krakowskiej grupy big beatowej *Szwagry*.

Warto dodać, iż pojawił się on na ASP po raz pierwszy jesienią 1953 r. i szybko zaczął odnosić sukcesy, albowiem okazał się wyjątkowo utalentowanym plastykiem. Niestety jego piętą achillesową według Jończyka był brak stałego charakteru. Uważał go za „genialnego utracjusza talentu”. Często widywał „mocno zmęczonego” po wódce⁵².

Młody historyk literatury Zbigniew Siatkowski prowadząc spotkanie z mistrzem słowa powiedział z należytą atencją: „Odstępując od obyczaju naszych rozmów o poezji będę dziś mówił stojąc, mówił będę bowiem o Antonim Słonimskim”. Na to zerwał się A. Słonimski: „Wobec tego ja będę słuchał stojąc!”. Wśród przedstawicieli pokolenia Jończyka poezja cieszyła się sporym zainteresowaniem, a zainicjowane w 1966 r. przez Krzysztofa Miklaszewskiego *Turnieje Jednego Wiersza* budziły emocje i miały duże wzięcie. Na liście laureatów znaleźli się później przedstawiciele nowej fali: Stanisław Stabro, Adam Zagajewski, Andrzej Warzecha, mistrz krótkiej formy poetyckiej a także Adam Ziemianin, autor tekstów do piosenek śpiewanych później przez *Stare Dobre Małżeństwo*.

Z kolei podziwiany przez Jasia *Teatr 38*, w tym okresie przeżywał swoją świetność m.in. dzięki dokonaniom Waldemara Krygiera i Helmuta Kajzara. Równolegle działały jaszczurowe scenki: *Avo* Pawła Świderskiego i *Inferno* Henryka Jacka Schoena. Warto ponadto dodać, iż w Rynku Głównym 7 muzykowali najlepsi jazzowi artyści: Andrzej Kurylewicz, Andrzej Dąbrowski, Roman Dyląg, Zbigniew Namysłowski, Janusz Muniak i Zbigniew Seifert, który właśnie w tym klubie dał swój ostatni w Polsce koncert. Grali oni wszyscy, także do tańca, jak krakowski *Jazz Band Ball Orchestra*. Z tej gromadki dobrze poznał Wojciecha Karolaka, który przychodził do akademika ASP, do Bożeny⁵³.

Czasami pojawiali się pod gotyckimi sklepieniami goście niezwykli, jak Fidel Castro (1926-2016). O kwitnącej w tamtych czasach kulturze studenckiej świadczą: obok *Teatrzyku Piosenki UJ* działający *Teatr Piosenki Hefajstos* powołany do życia przez Ninę Repetowską. Tutaj śpiewał m.in. Leszek Długosz.

Jończyk i jego krąg przyjaciół do dyspozycji mieli także *Helikon*, klub jazzowy, działający w Krakowie już od kilku lat.



Wiesław Ochman



Jan w roli drużby

Klub znajdował się przy ulicy św. Marka 15, był ozdobiony freskami wszechstronnie uzdolnionego Wiesława Dymnego, z racji wielości zainteresowań nazywanego „Małym Leonardem”. Grali tam i rozpoczynali karierę: Krzysztof Komeda, Tomasz Stańko, Wojciech Karolak, Adam Matyszkiewicz, Adam Makowicz, Andrzej Kurylewicz i Andrzej Dąbrowski.

Szał ciał i dusz budziły Bale Szalonego Arlekina pod Jaszczurami, do dziś zachował jeden z biletów na bal, na który wybrał się ze studentką ASP Felicitas Stawowy, jej imię tyle znaczyło co „Moje Szczęście”. Wybrano ją tej nocy królową balu. Wiele bali zaliczył wspólnie z Anną Jekielek, studentką Wydziału Architektury Wnętrz i Form Przemysłowych, a następnie Wydziału Scenografii Akademii

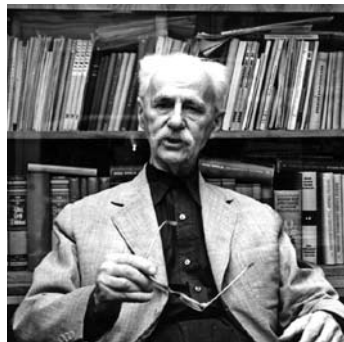
Sztuk Pięknych w Krakowie⁵⁴. W tamtym czasie zaprzyjaźnił się także z Martą Kotowską, studentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, odtwórczynią komediowej roli Gilette w *Księżniczce na opak wywróconej*. Niestety z upływem kolejnych dekad zostały tylko piękne wspomnienia coraz częściej na myśl zaczęła przychodzić dewiza: „Bóg widzi. Czas ucieka. Śmierć goni. Wieczność czeka”. Nostalgia ogarnęła nawet barda tamtych czasów, poetę Leszka Długosza:

Pod Baranami też już dzisiaj inny czas
Inną muzykę dziś kto inny gra
śmiech, gwar jak zwykle niby ten, a nie ten sam
Odplywa bar w wieczną noc
Lecz nie ma już aniołów czarnych
Porwał je daleki świat

Pod Baranami też już dzisiaj inny czas
Turystów tłum zalicza swój wieczorny trakt
Nieźle sprzedaje się legenda tamtych lat.

Z kolei Jan pogrążony w refleksji nad minionymi latami studenckimi przypomniał sobie słowa swojego ulubionego w tamtych czasach artysty malarza Amadeo Modiglianiego: „Życie jest darem od nielicznych dla wielu; od tych którzy wiedzą i mają, dla tych, którzy nie wiedzą i nie mają”⁵⁵.

Jednak sferą, która w jaszczurowej działalności wywoływała najżywsze emocje, o wiele większe niż przemijanie, zdaniem J. Jończyka, była polityka. Gdy przed wielu laty gościł w klubie Zbigniew Załuski (1926-1978), urodzony w Kiwercach na Wołyniu, człowiek doświadczony deportacją sowiecką do Kazachstanu, poseł na Sejm PRL-u, autor wywołującej gorące spory książki *Siedem polskich grzechów głównych* (1962), „tłum tak napierał, że aż posypało się w drzwiach szkło”.



Prof. Tadeusz Kotarbiński

Emocje rozpalał Salon Myśli Politycznej, prowadzony przez Adama Ogorzałka, Stefana Ciepłego i Andrzeja Gebera. W programie wieczorów dyskusyjnych znalazły się cykle tematyczne: *Psychika narodu polskiego*, *Moralne niepokoje współczesnego społeczeństwa* i *Kariery godne i niegodne*. Salon przyciągał główne postaci sceny politycznej, a także czołowych publicystów. Z niepokornym publicystą Z. Załuskim wiąże się anegdota, jak to goszczący w klubie wybitny filozof, logik i etyk, w latach 1927-1975 przewodniczący Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, prof. Tadeusz Kotarbiński (1886-1981), rozpoczął wieczór autorski od wyjęcia koperty i wygłoszenia słów: „Różnie mnie w życiu tytułowano, nikt wszakże nie nazwał mnie jeszcze szanownym towarzyszem pułkownikiem. Mimo to przyjąłem zaproszenie, gdyż temat wydaje mi się wielce zachęcający”. Nieporozumienie wyjaśniło się, gdy w klubie zagościł Z. Załuski, pułkownik LWP, który spotkanie zaczął od słów: „Pragnę poinformować słuchaczy, a także autorów miłego listu, który mnie tu sprowadził, że profesorem nie jestem”. Jan chętnie wysłuchiwał podobnych historyjek jednak poza sferą anegdotyczną polityka go nie pociągała. Nie był zwierzęciem politycznym. Za to obcował ze sztuką najwyższych lotów⁵⁶.

Uczeń w kręgu Mistrzów

Pobyt Jończyka w Krakowie wiązał się przede wszystkim z doskonaleniem własnego warsztatu. Nauczono go tam pracy i co najważniejsze zrozumiał, że kto się zaprzęgnie w rydwan przemożny pani sztuki, ten musi się jej oddać ciałem i duchem. Nie brakowało mu zapału do pracy i samodyscypliny. Wpadł w morderczy kołowrót wykładów, plenerów i wernisaży. Poczul, że znalazł się w zorganizowanej fabryce sztuki. Odwiedzał często różne pracownie, m.in. Xawerego Dunikowskiego⁵⁷. Do tej ostatniej nie każdy miał dostęp. Gospodarz tolerował artystów ale jako intruzów traktował m.in. dziennikarzy. Niepożądanym wizytom zawsze starał się zapobiec strasząc, iż pracownia jest pełna dużych ciężkich rzeźb i zawsze może dojść do wypadku. Jan zapamiętał komiczny incydent: Mistrz rzeźbił Chrystusa przybitego do krzyża, w kitlu bez spodni. W trakcie pracy doszło do nieporozumienia z modelką, która wystraszona reakcją profesora salwowała się ucieczką. I tak zdumieni przechodnie ujrzeli gnającą na oślep w kierunku placu J. Matejki nagą kobietę, a tuż za nią rzeźbiarza w zdekompletowanym stroju i siekierą w ręce. O profesorze krążyło wiele barwnych anegdot, był osobowością, która fascynowała i intrygowała nie tylko



Xawery Dunikowski

studentów ASP. Mimo, iż musiał rzeźbić podobizny zarówno Lenina (obecnie wyeksponowanego w pałacu Zamoyskich w Kozłówce), jak i Stalina to w praktyce nie znosił aktywistów PZPR. Janowi utkwił w pamięci epizod, gdy do pracowni mieli przybyć partyjni bonzowie, aby wręczyć artyście odznaczenie. Dunikowski zlecił swojemu asystentowi Stefanowi Borzęckiemu (1930-2015)⁵⁸ aby czym prędzej przygotował dla gości kawalety tj. stoły rzeźbiarskie, wyposażone w obrotowe blaty, dzięki czemu rzeźbiarz mógł obracać rzeźbę podczas pracy i dokładnie kontrolować efekty światłocieniowe oraz stan jej wykończenia, z regulowaną wysokością okrągłego blatu. Służyły one Dunikowskiemu do tworzenia modeli w miękkich materiałach, m.in. w glinie. Tego dnia mia-

ły zmienić swoje przeznaczenie. A gdy S. Borzęcki spełnił życzenie wysłał go do knajpy „Słowianka” (przysłowiowej mordowni) po alkohol i zakąskę dla towarzyszy. Gdy przyszli mistrz nie odrywając się od pracy, sepleniac, lakonicznie im oznajmił: „tam jest wódka i kielbasa”. Jończyk był przekonany, iż nie była to pierwsza rozmowa mistrza z przedstawicielami aparatu władzy. Dla poparcia swojej opinii przypomniał, jak to zlecono mu wyrzeźbienie dziesięciometrowego posągu Stalina. Dobrze, zgodził się X. Dunikowski ale pod warunkiem, że on będzie nagi. Jak to? Oburzył się aparaczyk. Generalissimus musi być w mundurze zwycięskiej Armii Czerwonej, ze wszystkimi orderami. To nie zrobię! Odpowiedział artysta. Dlaczego? zdumiał się urzędnik. Bo to nuda. Wielka nuda. Pięć metrów spodni⁵⁹.

Równie ekstrawagancko zachował się na wystawie plastyki w Pałacu Kultury w Warszawie. Po jej zlustrowaniu ocenił: Różne już rzeźby widziałem; z drewna, z marmuru, ba nawet z plastyku. Ale pierwszy raz w życiu widzę rzeźby z wazeliny. Dostało się nawet stalinowskiemu ministrowi kultury W. Sokorskiemu. Podczas ostrej dyskusji nie mogąc postawić na swoim zagadnął: A czy Pan wie kto był ministrem kultury za czasów Balzaka? W. Sokorski rozłożył bezradnie ręce, a na to rzeźbiarz rzekł ze złośliwym uśmiechem: widzi Pan, a Balzaka wszyscy znają. Innym razem podczas wernisażu zauważył dwie krakowskie panusie, które zatrzymały się przed płaskorzeźbą męskiego aktu i z niedowierzaniem kontemplowały pewien szczegół, powątpiewając, aby mężczyzna mógł mieć tak duże przyrodzenie. Stojący za nimi X. Dunikowski z uśmiechem zaprotestował przeciw ich ekspertyzie, kurtuazyjnie zapytawszy: „mam pokazać?”⁶⁰

Oprócz tych uciesznych historyjek Jan zapamiętał także przekaz o podglądaczu, któremu mistrz przez dziurkę w drzwiach pracowni wybił oko drutem. Wydarzeniem tragicznym jawiła się także opowieść o zatargu rzeźbiarza z malarzem Wacławem Pawliszakiem (1866-1905), który zasłynął z prac malowanych w Konstantynopolu dla tureckiego sułtana i gwałtownej natury. Jan Krywult właściciel galerii sztuki, która mieściła się na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej w Warszawie tak opisał to zdarzenie: „Wczoraj podczas przerwy [...], poszliśmy ok. 16.00 posilić się do najbliższej restauracji Lijewskiego i zajęliśmy we dwóch z Dunikowskim przedostatni stolik z prawej strony głównej sali. Zajęci rozmową nie zwracaliśmy żadnej uwagi na obecnych, gdy wtem ukazał się przed nami Wacław Pawliszak. Siedziałem zwrócony tyłem do sali, Pawliszak więc ominął mnie, a zbliżając się do Dunikowskiego podniósł rękę i ze słowami: »Panie Dunikowski«, zamierzył się do uderzenia. Dunikowski gwałtownym ruchem wyjął z kieszeni ubrania rewolwer i nim Pawliszak zdołał go uderzyć, padł strzał. Pawliszak zalany krwią runął na podłogę. Kula przeszła przez prawy policzek. Prof. Dunikowski sam dał znać na policję. Zatrzymano go w więzieniu, aż do czasu wpłacenia kaucji w kwocie kilkuset rubli. Pawliszak zmarł w szpitalu następnego dnia rano 16 I 1905 r. Tak więc wystawa zaczęła się niefortunnie”. Sąd uniewinnił sprawcę tragedii, chociaż już wcześniej zasłynął on jako awanturnik i pojedykowiec.

Gdy wybuchła wielka wojna, wstąpił więc do Legii Cudzoziemskiej, z której zresztą został dość szybko zwolniony



Rzeźbiarz Sten Borzęcki

ze względu na zły stan zdrowia. Powróciwszy do Paryża, zamieszkał u Sary Lipskiej, swojej byłej studentki i muzy, z którą miał córkę Marię Xawerę (ur. 1908 r.). Przyjechała ona do stolicy Francji dwa lata wcześniej. Oprócz tego, że rzeźbiła i malowała, zajmowała się m.in. projektowaniem kostiumów do przedstawień *Baletów Rosyjskich* Siergieja Pawłowicza Diagilewa (1872-1929), oraz robieniem oryginalnych fryzur i inspirowanych Wschodem strojów, a także dekoracją wnętrz. Nad Sekwaną jednak Dunikowskiemu się nie wiodło. Wszystko co miał wydawał na materiały rzeźbiarskie, a uwagę nie tylko przechodniów zwracało jego skromne ubranie bez guzików⁶¹.

Przed drugą wojną światową zorganizowano wielką wystawę polskiej sztuki w Berlinie, na której były prezentowane m.in. rzeźby X. Dunikowskiego. Zachwycony tymi pracami A. Hitler kazał się sfotografować na ich tle. W 1940 r. kolega przysłał mu tę fotografię do niemieckiego obozu zagłady KL Auschwitz. Niemcy więzili go tam przez pięć lat, jako chory na tyfus był bliski śmierci. W 1945 r. ważył 40 kg. Niemieccy oprawcy zrobili mu warsztat, gdzie codziennie od 8.00 do 20.00 rzeźbił modele budynków, które oni wznosili na terenie obozu. Na wieczór wszystko psuł i następnego dnia zaczynał od początku. Według Jana mistrz potrafił długo i ze swadą opowiadać o swych obozowych przeżyciach nawet na posiedzeniach senatu Akademii Sztuk Pięknych. Co pewnego razu sprowokowało ucznia Stanisława Wyspiańskiego Karola Frycza (1877-1963), wybitnego malarza i scenografa do zapytania narratora po zakończeniu opowieści o życiu za obozowymi drutami: A jak długo Pan Profesor tam bawił?

Pobyty w dusznej pracowni mistrza profitowały również pogłębioną wiedzą na temat jego warsztatu i dorobku. Tak więc oglądał prace artysty w Sali rzeźb ASP, a także prywatnych domach, m.in. portret prof. Czesława Rzepińskiego⁶² w domu profesor Marii Rzepińskiej⁶³. Bezpośrednio od mistrza dowiedział się, iż wielkie wrażenie zrobił na nim Stanisław Przybyszewski. I że wołał towarzystwo literatów niż malarzy czy kolegów po fachu oraz że szukał natchnienia w filozofii Nietzschego i Schopenhauera. Dzięki zgłębieniu ich myśli znakomicie oddawał psychikę portretowanych postaci⁶⁴.

Zawarł bliższą znajomość także z rzeźbiarzem prof. Jackiem Puszetem⁶⁵. Koledzy mówili mu, iż miał pomyloną żonę, gdyż stale chodziła w tenisówkach. Pewnego razu



Prof. Jacek Puszet



X. Dunikowski: *Amerykanka*

wprawił ich w osłupienie wręczając ulubionej studentce wiadro kwiatów. Powszechnie miał opinię cudaka. Jan poznał go już w pierwszym dniu egzaminu. Później często mistrza odwiedzał w domu. Ten przyjmował go zawsze w swetrze i skórzanym blezerze, za to żona stale paradowała w szlafroku. O tej barwnej parze usłyszał w atelier następującą historię. Gdy artysta dowiedział się od swej ukochanej, wówczas jeszcze narzeczonej, że zaszła w ciążę. Zaskoczony nie wiedział, jak się zachować. Żenić się czy nie? Napisał więc depeszę do przebywającego w Paryżu ojca, Ludwika Puszet. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Nie uważałem, jak robiłem. Co mam zrobić? Senior podobno odpisał: Jak nie uważałeś gdy robiłeś, to rób, co uważasz”. Mimo arystokratycz-

nego pochodzenia, przysługiwał mu bowiem tytuł barona, J. Puszet nigdy nie zwracał uwagi na swój wygląd i stan ubioru. W związku z czym, jak podsumował Jaś: Puszet „nie wyglądał nawet, jak elegancki bourgeois”⁶⁶.

Zapracowany artysta, w końcu przypominający żebraka, zdziwaczały staruszek – takim go zapamiętał. Gdy miał jechać z rektorem Czesławem Rzepińskim do Warszawy po odznaczenie państwowe, ten ostatni kupił mu nowe ubranie, koszulę, buty i zabrał do fryzjera. Gdy byli już w pociągu rektor z zakłopotaniem zapytał swego towarzysza podróży: „Jacku dlaczego masz takie brudne paznokcie? Ten odpowiedział szczerze: paznokcie to ja mam czyste, tylko mi tak się brudzą, ilekroć podrapię się po głowie”⁶⁷.

Największymi autorytetami krajowymi wśród wykładowców byli przedstawiciele tzw. Szkoły Paryskiej. Jan Cybis⁶⁸ brylował w Warszawie, a jego żona Hanna Rudzka-Cybisowa⁶⁹ w Krakowie. Zaprzyjaźniony z Rudzką-Cybisową był Leszek Dutka (1921-2014)⁷⁰, z wyboru Zawiercianin, autor książki o malarce. Z nim Jan nawiązał dożgonną znajomość m.in. z racji miejsca zamieszkania. Dyskutowano nie tylko problem koloru i światła. To w tym gronie zachwyił się wypowiedzią Jana Cybisa: „Nie powinniśmy zauważyć, że płótno jest małe. Malutka *Koronczarka* Vermeera jest dużym płótnem”⁷¹. Z tą wypowiedzią korespondowała, dobrze zapamiętana, myśl jego rektora Czesława Rzepińskiego: „Chcę, by moje dzieła nie były błahe, by nie powstał żaden mały obraz, tylko co najwyżej małe płótno”⁷². Uczniem Hanny Rudzkiej-Cybisowej był rówieśnik Jana, Stanisław Puchalik (1939-2012), który w przyszłości awansował do grona tej świetnej kadry. Jan zapamiętał, że Pani Profesor „nie uznawała słowa talent, ale wielokrotnie podkreślała, że jej dyplomant już ma sporo do powiedzenia, a będzie miał jeszcze więcej”. I nie myliła się. Puchalik zaczął wcześniej uczestniczyć w liczących się wystawach zbiorowych, miał dobrze przyjmowane przez krytykę wystawy indywidualne. Uczeń Hanny Rudzkiej-Cybisowej był w prostej linii spadkobiercą kapistów, ich stosunku do koloru, światła, plamy. O młodym, debiutującym malarzu nieskory do łatwych zachwytów Andrzej Pollo (1939-2001), nauczyciel akademicki, artysta malarz, uprawiający też medalier-



Prof. Jan Cybis



Leszek Dutka

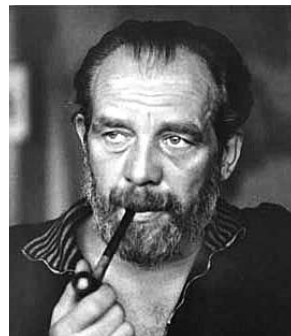


Prof. Stanisław Puchalik

stwo, grafikę, rzeźbę, performances, historyk i krytyk sztuki pisał, że „zamyka on w obrazach wyznawane malarskimi środkami marzenia o czystości, prostocie, pięknie”. Był jednym z tych przypadków, gdy „opinie krytyków współbrzmiały z głosami publiczności. Miał wiernych kolekcjonerów i licznych widzów wszystkich wystaw i wernisaży. Walczył z chorobami, z uzależnieniami – i wciąż malował świetnie”. Jan był przekonany, iż jego kolega Staszek „pozostanie w swoich obrazach”⁷³.

Poznał także sławnego w środowisku artystycznym Wacława Taranczewskiego (1903-1987), malarza kolorystę legendę tych lat. Ze sztuką awangardową zetknął się on po 1918 r., poznając prace ekspresjonistów skupionych w grupie Bunt. Gust jego kształtowały formistyczne obra-

zy Zbigniewa Pronaszki i rzeźby Augusta Zamoyskiego. Nawiązał kontakty z takimi awangardowymi twórcami, jak Leon Chwistek i Józef Jarema. W tym czasie trafił do pracowni Fryderyka Pautscha, zaś od 1927 r. kształcił się pod kierunkiem Felicjana Szczęsnego Kowarskiego. Pod wpływem Tytusa Czyżewskiego skłonił się w kierunku malarstwa kolorystycznego. W 1935 r. odbył podróż do Paryża. W 1937 r. wraz z Piotrem Potworowskim zwiedzał Grecję i Włochy. Po wojnie przyczynił się do reaktywowania Szkoły Sztuk Zdobniczych i objął stanowisko dyrektora tej uczelni. Od 1948 r. był profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Kierował Katedrą Malarstwa Dekoracyjnego. Pod jego kierunkiem dyplom uzyskało wielu wybitnych malarzy i grafików m.in. w 1964 r. Zygmunt Czyż. Malował cyklami, m.in. takimi jak: *Martwa natura z zielonym dzbanem*, *Martwa natura z błękitnym wazonem i muszlą*, *Martwa natura z klatką*, *Pień*, *Krzesło i sztaluga*, *Mała Malarka*, *Martwa natura ze Świętym*, *Koncert w Atelier*, *Trio*. Polichromię realizował głównie w architekturze sakralnej. Powstało ich wiele, najważniejsze to Kościół Najświętszej Marii Panny w Poznaniu i Kościół św. Marcina w Poznaniu, aula Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Zaprojektował i zrealizował witraże w katedrze warszawskiej, poznańskiej i w kościele parafialnym w Borku Fałęckim w Krakowie. Jan i jego koledzy mieli dla niego wielki szacunek. Zapamiętał go, jak podczas juwenaliów prowadził korowód studentów trzymając w dłoni czarną laseczkę, zdobną srebrną galką. Bywając w jego pracowni przyglądał się pracy młodych adeptów sztuki, którzy wstawali gdy profesor zbliżał się do ich sztalug, po to by w kilku słowach dokonać korekty. Jednak na Rynku w Krakowie był świadkiem najbardziej uciechliwej historii z udziałem W. Taranczewskiego i dobrze mu znanych: Kazimierza Machowiny i Krzysztofa Cedro, liderów kabaretu „Zdrój Jana”. Ukłękli oni przed profesorem i jego żoną (podczas niedzielnego spaceru), by złożyć błagalną suplikę z prośbą o „ułaskawienie” tj. o przywrócenie stypendium zapewniającego środki do życia. Profesor pozbawił ich tego przywileju za uchybienia w nauce. Skrucha i żal były tak szczere, iż profesor nie odmówił ich prośbie⁷⁴.



Prof. Wacław Taranczewski

Jan studiował na ASP m.in. razem ze Zbysławem Maciejewskim⁷⁵ i synem sławnego artysty, Pawłem Taranczewskim (ur. 1940 r.), przyszłym malarzem, filozofem, pedagogiem i publicystą. Po pierwszym roku wspólnie spędzili plener studencki w zabytkowym Paczkowie, nazywanym polskim Carcassonne (od francuskiego miasta twierdzy). Ich opiekunem był prof. Wacław Taranczewski. Malował wówczas monumentalny kościół św. Jana Ewangelisty, przykuwający uwagę potężną wieżą i charakterystycznym wykończeniem dachu w formie tzw. „jaskółczych ogonów”. Obiekt zachował bryłę i układ gotyckiej hali. Przystosowany do celów obronnych mieścił legendarną „tatarską studnię”, renesansowe kamienne epitafia, manieryczny ołtarz kaplicy grobowej oraz kaplicę wraz z wyposażeniem barokowym. Dobrze zapamiętał pobyt w tym uroczym miejscu, jak i wszystkich uczestników wyprawy. Tym bardziej, iż do wnętrza świątyni wchodził zostawiając buty w kruchcie. Za którymś razem okazało się, iż jego trzewiki zniknęły i musiał z pleneru wracać na bosaka w pociągu do Zawiercia. Jednak żacy nie da-



Prof. Norbert Witek

rowali miejscowym tego nieprzyjaznego gestu. W rewanżu włąli atrament do kropielnicy⁷⁶.

Trauma bosonogiego artysty nie była jednak trwałą. Chodził z kolegami na dancingi i wino. W miejscowej knajpie poznali prostytutkę Stasię, którą zapraszali do stolika i usługiwali dla draki, traktując ją, jak wielką damę. Pewnego razu wieczorem namówili Stasię do wspólnego figla, jaki zaplanowali spłatać prof. Wacławowi Taranczewskiemu, zwołanemu grzybiarzowi. W wynajętej dla uczestników pleneru willi studenci spali na parterze, a opiekun na piętrze. W pogodne poranki, skoro



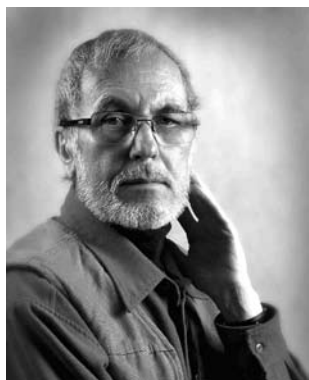
Motyw I z *Piekła mistrza Hieronima*

świt, profesora budził kolega na grzybobranie, w umówiony wcześniej sposób, a mianowicie ciągnąc za wywieszony przez okno sznurek, którego drugi koniec był przywiązany do nogi W. Taranczewskiego. Inspiratorem hecy był Bohdan Ronin-Walknowski, który przedstawił się Stasi, jako „Pawełek” i poprosił kobietę: „obudź mnie na grzyby o świcie”. Perswazja okazała się skuteczna. I gdy jeszcze panował zmrok, pod otwartym oknem profesora, rozległo się wołanie – Paweł! Paweł!... Po jakiejś chwili rozwarły się z hukiem drzwi pokoju, gdzie spali studenci i Jan zobaczył uśmiechniętego profesora, który na cały pokój zakomunikował: „Panowie! Kurwa do was przysła!”⁷⁷.

Jan zapamiętał Walknowskiego, jako barwną postać bohemy, dobrego kompana i młodego artystę poszukującego własnego miejsca w świecie sztuki. Do tego trochę zawadiakę i bałagunę. Na plener przywiózł szablony obrazów *Pana Jezusa w Ogrójcu*, aby pokazać je W. Taranczewskiemu i uzyskać zaliczenie. Ponieważ skończyły się pieniądze, z potrzeby chwili, sprzedał je na miejscowym targu. Wśród studentów wyróżniał się i tym, że był szczęśliwym posiadaczem Mikrusa MR-300, którym z akademika na przejażdżki zabierał najładniejsze koleżanki⁷⁸. Pewnego razu, z innym kolegą Jana, Norbertem Witkiem, wybrał się autem na Kopiec Kościuszki. Ubrał się, z zamiarem pozowania do portretu, w przedwojenny galowy mundur oficerski ojca, z szabłą u boku oraz Krzyżem *Virtuti Militari*. Pech chciał, iż na ulicy Karmelickiej Mikrus się zepsuł. Ronin-Walkowski dzwoniąc ostrogami wyszedł z auta, podniósł pokrywę i podjął desperacką próbę uruchomienia silnika. W tym momencie nadszedł patrol Milicji Obywatelskiej. Po chwili bacznej obserwacji milicjanci zasalutowali i odeszli.

Miał także pociąg do żagli, szybownictwa i wyścigów samochodowych. Wymyślił sobie rajd dookoła Polski na hulajnodze. Zjechał dla pomysłu dyrektora fabryki zabawek dziecięcych, i ta wyprodukowała trzy „pojazdy” dla dorosłych. Z dwoma innymi studentami w miesiąc objechał Polskę. Po studiach przeniósł się z Krakowa do Szczecina by poświęcić się malarstwu, rzeźbie i kolekcjonerstwu. Zgromadził m.in. około 20 portretów legionistów autorstwa znanego malarza Wincentego Wodzinowskiego (1866-1940), który walczył w Legionach Polskich. Ponadto dla Szczecina wykonał popiersie marszałka Józefa Piłsudskiego⁷⁹.

Na szlaku edukacyjnym Jana obok Wacława Taranczewskiego znalazł się także postimpresjonista Emil Krcha (1894-1972)⁸⁰, „mały niepozorny chłopiec”. Malował w jego pracowni wspólnie z kolegą Mietkiem Górskim (1941-2011) z Miłkowej koło Nowego Sącza, uczniem W. Taranczewskiego. Mietek później zasłynął jako autor około 550 plakatów, co J. Jończyk żartobliwie skomentował: „źle skończył”, został profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zapraszano go z wykładami na Université du



Prof. Mieczysław Górski



M. Górski: *Anioł uwodzi diabła*

Quebec w Montrealu, Universidad de Santiago de Chile i do Ecole des Beaux Arts de Toulouse, Ecole d'Architecture de Paris, Creation Gallery w Tokio. Ponadto został laureatem złotych medali na międzynarodowych wystawach plakatu w Colorado '83, Toyama '85, Mexico '92. Po latach jednak zachwycał się wykonanymi przez przyjaciela m.in. plakatami portretowymi: *Hommage à Jan Paweł II*, *Vincent Van Gogh*, *Marc Chagall*, *Salvador Dali*, *Joseph Beuys* i *Pablo Picasso*. W czasach studenckich gdy razem z M. Górskim uczęszczali na zajęcia do tej samej pracowni namalował swój pierwszy obraz olejny w Krakowie. Była to martwa natura w stylu profesora Emila Krch⁸¹.

Inną ważną personą był prof. Wiktor Zin (1925-2007)⁸². Wykładał on wówczas równocześnie w Krakowie i Warszawie. Jan zapamiętał, iż był surowym i wymagającym egzaminatorem. Doświadczyli tego jego trzech koledzy, którzy liczyli na pośpiech profesora. Wyjeżdżał on bowiem z Krakowa i miał pilne zajęcia gdzie indziej. Wprosił się więc na ekspresowy tryb podczas jazdy autem. Szybko przekonali się, że był to zły pomysł. Jeden musiał już wysiąść po kilku przecznicach, drugi dojechał do Nowej Huty i tam został wyrzucony z auta na pobocze drogi, a trzeci dotarł w okolicę Częstochowy. Żaden z nich nie otrzymał wpisu do indeksu. W kręgu wtajemniczonych krążyła także anegdota, jak to Profesor sprzedawał swojego wartburga. Poprosił on nieopatrznie, aby jego numer prywatny udostępniano wszystkim potencjalnym nabywcom auta. Pod nieobecność męża telefon odebrała Pani Profesorowa. *Przepraszam bardzo, ile Pan Profesor żąda?* – spytał damski głos. *Sto tysięcy* – odpowiedziała Pani Profesorowa, przekonana, że chodzi o wartburga. *Chryste Panie!* Jęknął głos w słuchawce. *Toż na medycynę kosztuje osiemdziesiąt.*

Wykłady prowadził bardzo sprawnie. Gdy studenci wchodził na salę, tablica była już oklejona papierami z delikatnymi podmalówkami. Prowadzący wykorzystywał je do swoich rysunków ilustrujących tematykę zajęć. Po wykładzie, ku żalowi słuchaczy, miał zwyczaj zrywać, miąć i targać swoje prace. Zdaniem Jończyka lepszym od profesora rysownikiem był adiunkt Józef Cempla (1918-2004). Potrafił on w najobojętniejszych na sztukę rozpalic ogień entuzjazmu. Od 1951 r. był wykładowcą i kierownikiem Pracowni Projektowania Wstępnego przy Katedrze Projektowania Architektonicznego ASP. Uprawiał architekturę wnętrz, malarstwo, litografię, a zwłaszcza rysunek architektoniczny. Wydał kilka litograficznych tek swoich rysunków. Był nie tylko artystą i pedagogiem, miał piękną kartę, jako żołnierz Armii Krajowej⁸³.

Wykłady prowadził bardzo sprawnie. Gdy studenci wchodził na salę, tablica była już oklejona papierami z delikatnymi podmalówkami. Prowadzący wykorzystywał je do swoich rysunków ilustrujących tematykę zajęć. Po wykładzie, ku żalowi słuchaczy, miał zwyczaj zrywać, miąć i targać swoje prace. Zdaniem Jończyka lepszym od profesora rysownikiem był adiunkt Józef Cempla (1918-2004). Potrafił on w najobojętniejszych na sztukę rozpalic ogień entuzjazmu. Od 1951 r. był wykładowcą i kierownikiem Pracowni Projektowania Wstępnego przy Katedrze Projektowania Architektonicznego ASP. Uprawiał architekturę wnętrz, malarstwo, litografię, a zwłaszcza rysunek architektoniczny. Wydał kilka litograficznych tek swoich rysunków. Był nie tylko artystą i pedagogiem, miał piękną kartę, jako żołnierz Armii Krajowej⁸³.



Prof. Wiktor Zin

Jan blisko trzy lata (1959-1962) uczęszczał do pracowni prof. Tadeusza Kutermaka (1909-1990). W jego palecie dominowały różne tony szarości, koncentrował się na prostych emocjach, na starość malował prawie same akty, były to duże formaty. Zwrócił uwagę na pewien szczegół, iż jego mistrz „lubił na planie wielkie baby”. No i interesował go nie tylko emocjonalny aspekt koloru. Równie mocno akcentował rolę płaszczyzny barwnej. Dużą osobowością w jego pracowni był asystent Jan Tarasin (1926-2009), malarz, grafik, rysownik, fotograf i autor filozoficznych esejów o sztuce, po latach prof. ASP w Warszawie. Ten ostatni powtarzał mu, iż „dobry artysta nie musi szukać tematu, wystarczy śmietnik”. Było to jakby rozwinięcie myśli wypowiedzianej przez Vincenta van Gogha: „nie ważne co, ale jak malujemy”. Jako dopowiedzenie cytował także Tadeusza Pruszkowskiego: „Dobrze namalowana główka kapusty będzie na pewno lepsza od źle namalowanej głowy anioła”⁸⁴. Jan u Tarasina uczył się przede wszystkim malarstwa ściennego.



Adiunkt Józef Cempla

Harmonogram obowiązków w pracowni T. Kutermaka przedstawiał się następująco: martwa natura raz na semestr, lub akt – „obfitej baby”. Wybór należał do studentów. Profesor rzadko siedział w atelier, przychodził tylko by zrobić korekty. On i jego dostojni koledzy siedzieli w swoim gabinecie. W tym czasie studenci zamiast malować grali w cymbergaja. Na koniec semestru był przegląd prac, istny sąd ostateczny. Wówczas zapelniała się pracownia na strychu w akademiku i wszyscy dniem i nocą odrabiali zaległości. Bywało, iż jeden od drugiego odmalowywał temat główny. W dniu zaliczenia, gotowe prace, jeszcze mokre, układano rozdzielając korkami w stapel, który trzeba było dostarczyć na Akademię. Jan nie tylko wyrabiał normę, ale tworzył dzieła ponadplanowe korzystając z przysługujących mu na uczelni darmowych blejtramów. Na tyle też zdobył zaufanie profesora, iż bywał u niego w mieszkaniu przy placu Józefa Dietla. I mógł podziwiać jego „wielkie baby”⁸⁵, odpowiedniki *Kobiet Rubensa* opisane wierszem przez Wisławę Szymborską:

Waligórzanki, żeńska fauna,
jak łoskot beczek nagie.
Gnieźdzą się w stratowanych łóżach,
śpią z otwartymi do piania ustami.

Żrenice ich uciekły w głąb
i penetrują do wnętrza gruczołów,
z których się drożdże sączą w krew.
Córy baroku. Tyje ciasto w dzieży,

parują łaźnie, rumienią się wina,
cwałują niebem prosięta obłoków,
rżą trąby na fizyczny alarm.

O rozdylnione, o nadmierne
i podwojone odrzuceniem szaty,
i potrojone gwałtownością pozy
tłuste dania miłosne!



Amadeo Modigliani

Co w ciągu trzech lat malował w Krakowie? Frapował go przez pewien czas akt ekspresyjny wzorowany na buntowniczej szkole paryskiej, preferującej nagość bez historycznego kostiumu. Tematem prac więc nie były greckie nimfy lub biblijne heroiny lecz kobiety z krwi i kości. W kwestii gustów estetycznych jednoznacznie opowiedział się po stronie profesorów nazywanych „Paryżanami”, którzy już w międzywojniu, jako młodzi ludzie przewietrzyli francuskim powietrzem krakowskie pracownie. Co skutkowało rozdarciem mroków atelier, wyrugowaniem z nich matejkowskich rekwizytów, jakimi były różne szyszaki, miecze i kolczugi. W ich miejsce zagościł impresjonizm i postimpresjonizm, królestwo słońca, światła, pastelowych kolorów, pejzażu. Jego ulubionym malarzem, wzorem do naśladowania był wówczas Amadeo Modigliani (1884-1920), który sławę zawdzięczał przede wszystkim swoim przedstawieniom aktów kobiecych i portretom dziewcząt o łabędzych szyjach. W Paryżu utrzymywał kontakty z Pablo Picasssem i Constantinem Brâncușim. Twórczość Modiglianiego to przede wszystkim obrazy i rysunki. Jednak w latach 1909-1914 poświęcił się głównie rzeźbie. Wiodącym motywem jego twórczości był człowiek, rzadko malował pejzaże. Natomiast w ogóle nie podejmował tematu martwych natur. Jednym ze źródeł inspiracji była dla niego sztuka afrykańska. Po śmierci ceny obrazów Modiglianiego poszły w górę, a nawet stał się kinowym bohaterem. W wyreżyserowanym przez Jacques’a Beckera w 1957 r. filmie *Montparnasse 1919* (*Montparnesse 19*), Jan podziwiał aktorską kreację Gerarda Philippe’a (1922-1959). Dla młodego malarza film był dziełem kultowym, a jego bohater odcisnął wyraźne piętno na jego guście estetycznym. W pełni aprobował stwierdzenie Modiglianiego, iż „Każda epoka ma takich malarzy i poetów na jakich zasługuje, i takie tematy w sztuce, jakie życie prowadzi jej artyści”⁸⁶. Zgadzał się też, że powinnością malarza jest „Jednym okiem patrzeć na świat zewnętrzny, a drugim w głąb siebie”⁸⁷. Jednak dużą rolę w inspiracji twórczej przypisywał temu co postrzegał wokół siebie. A więc podobnie jak jego ulubiony mistrz z Livorno, „żeby pracować, potrzebował żywej istoty, musiał na nią patrzeć. Abstrakcja go wyczerpywała i zabijała, prowadząc do impasu”⁸⁸.

Afirmował też jego konstatację: „Piękną kobietę, którą warto rzeźbić i malować, często krępują ubrania”⁸⁹. Myśl tą uzupełniał o wypowiedź Jeana-Dominique’a Ingresa: „Szyja kobiety nigdy nie jest za długa”⁹⁰. I w takim stylu przez pewien czas tworzył portrety. Jedynym problemem było znalezienie modela. Nie było to łatwe zadanie. Dla ludzi z poza branży malarstwo bardzo często było czymś nudnym, a obraz uosabiał zatrzymany ruch, zastygły przedmiot, fotografię, która rzadko kiedy wierna jest oryginałowi. Tak więc wyszukanie modela zawsze wiązało się z różnymi trudnościami i kosztami, co znalazło odbicie także w zasłyszanej przez niego anegdocie. Być uwiecznionym na płótnie to zdecydowanie za mało za poniesiony trud pozowania. Wysiłek artysty w tej kalkulacji się nie liczył. W pozującej nawet najpiękniejszej kobiecie widział on jedynie zestaw geometrycznych brył i kompozycyjne problemy, które musiał rozwiązać. Wyzwaniem było światło i cień oraz anatomia i kolor. Odbiciem relacji

Afirmował też jego konstatację: „Piękną kobietę, którą warto rzeźbić i malować, często krępują ubrania”⁸⁹. Myśl tą uzupełniał o wypowiedź Jeana-Dominique’a Ingresa: „Szyja kobiety nigdy nie jest za długa”⁹⁰. I w takim stylu przez pewien czas tworzył portrety. Jedynym problemem było znalezienie modela. Nie było to łatwe zadanie. Dla ludzi z poza branży malarstwo bardzo często było czymś nudnym, a obraz uosabiał zatrzymany ruch, zastygły przedmiot, fotografię, która rzadko kiedy wierna jest oryginałowi. Tak więc wyszukanie modela zawsze wiązało się z różnymi trudnościami i kosztami, co znalazło odbicie także w zasłyszanej przez niego anegdocie. Być uwiecznionym na płótnie to zdecydowanie za mało za poniesiony trud pozowania. Wysiłek artysty w tej kalkulacji się nie liczył. W pozującej nawet najpiękniejszej kobiecie widział on jedynie zestaw geometrycznych brył i kompozycyjne problemy, które musiał rozwiązać. Wyzwaniem było światło i cień oraz anatomia i kolor. Odbiciem relacji



Gerard Philippe, odtwórca roli Modiglianiego

artysta - model było zadziwienie Wojciecha Weissa, który obecny na ślubie jednej ze swoich modelek powiedział: „Pierwszy raz widzę ją ubraną. Nie przypuszczałem wcale, że to taka czarująca kobieta”. Jednak gdy znakomity grafik i malarz angażował ją do malowania aktu i spytał ile żąda za godzinę pozowania? Usłyszał: „dziesięć złotych”. Dając wyraz aprobaty dla przedstawionej oferty nieopatrznie zaczął od słowa „z przyjemnością...” Nie zdążył dokończyć, a kobieta szybko dodała: „z przyjemnością to dwadzieścia”⁹¹.

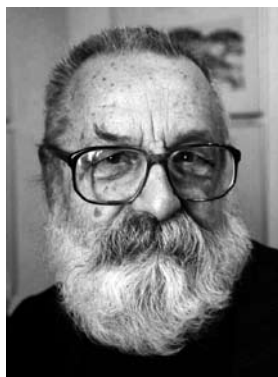
Ważnym dla Jana był jednak nie tylko akt, inspirowany malarstwem A. Modiglianiego. Razem z zaprzyjaźnionymi artystami chodził także malować w plener. Blisko akademika miał tematy wiejskie w klimacie obrazów Jeana-Baptiste'y-Camille'a Corota (1796-1875). Idąc ulicą Urzędniczą w kierunku północnym, za mostkiem na Młynówce stały chaty i wiosną można było zobaczyć kwitnące sady, które były inspiracją wielu rysunków i akwarel. Innym ulubionym miejscem studentów ASP jawiły się łąki i pagórki za Kopcem Kościuszki, skąd roztaczał się widok na zbocza Salwatora (gdzie zmarł Jacek Malczewski), zakole Wisły w dolinie albo klasztor kamedułów. Chętnie malował naturę, krajobrazy, pejzaże. W tym przypadku znalazł się w opozycji do swojego idola, który rzadko sięgał do tego tematu i miał nawet oświadczyć jednemu ze swoich rozmówców: „Pejzaż! O Boże, nie rozbawiaj mnie. Pejzaż po prostu nie istnieje”⁹². Kolor był dla niego już wówczas ważniejszy od konstrukcji, decydować miał o nastroju dzieła. Zapatrzony w H. Rudzką-Cybisową powtarzał, że formę kształtuje kolorem. Był w opozycji do złamanych barw, szarych tonacji i brudnych światel. Uważał, że nie należy oglądającego obraz dręczyć nędzą bezbarwności i szarości. Nie używał w zasadzie czerni, światło przedstawiał ciepłymi barwami, natomiast cienie zaznaczał chłodnymi odcieniami. Tworzył swoje obrazy w sposób prosty, unikając symboliki, dwuznaczności i wpływów historii czy literatury. Obcy był mu tradycyjny akademizm. Unikał tzw. ważnych tematów, tj. takich które opowiadały historie szlachetne i doniosłe, zawsze w historycznym kostiumie czy mitologicznej nagości. W przypadku dyskusji na powyższy temat przywoływał opinię Edgara Degasa: „Gdybym żył przed dwustu laty, malowałbym Zuzannę w kąpieli, w naszych czasach maluję kobietę w misce”⁹³. Był więc w opozycji do malarstwa narracyjnego i anegdotycznego. I w tym przypadku powoływał się na przedstawiciela polskiego modernizmu Jana Stanisławskiego (1860-1907), mistrza światła i koloru, który klientowi będącemu wielbicielem talentu Jana Matejki polecał swój pejzaż słowami: „Jest to droga, którą Władysław Łokietek podążał w kierunku jaskini w Ojcowie”⁹⁴.

Nie było też tzw. „piłowania gipsów” czyli rysowania z gipsowych modeli. W miejsce tego uczęszczał na zajęcia z przedmiotu o nazwie *Rysunek wieczorem*, z modelu przy sztucznym świetle. Trafiło się, iż pracował całymi dniami nie robiąc przerw, nawet na obiad. Rysował na każdej kartce, która była pod ręką, choćby to były tylko opakowania po papierosach.

Po zaliczeniu zajęć u T. Kutermaka trafił do terminu u prof. Józefa Różyckiego (1898-1974), architekta, rzeźbiarza, który uczył rzeźby architektonicznej. Z urodzenia lwowianina, z wyboru legionisty i piłsudczyka. We wrześniu 1939 r. jako polski oficer cudem ocalał ratując się ucieczką z sowieckiej niewoli. Był laureatem wielu konkursów m.in. na pomnik Lotników Amerykańskich na Cmentarzu Obrońców Lwowa



A. Modigliani: Akt



Prof. Leszek Wajda

(1923 r.) i pomnik Chrystusa Króla w Poznaniu (1927 r.), ponadto otrzymał wyróżnienie za pomnik Adama Mickiewicza w Wilnie (1924 r.). Po śmierci marszałka J. Piłsudskiego wykonał wzór sarkofagu do krypty na Wawelu. Projektował też w drzewie lampy, misy, popielniczki, noże do przecinania papieru i drewnianą biżuterię. Jasiu dostał od niego garnitur, który profesor ofiarował mu, jako nieformalnemu asystentowi. Zanim sprezentował, kazał ubranie przymierzyć, a gdy okazało się za duże, zatrzymał, by przesłać je pocztą na adres Jończyków w Zawierciu, z załącznikiem w wysokości 130 zł. i karteczką z dopiskiem: „Na krawca”. Obdarowany był u niego w domu na proszonych kolacjach razem z Leszkiem Wajdą asystentem mistrza. Tam też poznał młodszego z braci, Andrzeja Wajdę. Podczas jednej z wizyt z ust J. Różyckiego

usłyszeli, jak to pracownię M. Chagalla odwiedził arystokrata i po obejrzeniu prac artysty zapytał: czy mógłby mi pan dać coś niedrogiego w oleju? Oczywiście, odparł gospodarz i wręczył gościowi puszkę sardynek.

Mając tak bogatą przeszłość, nie tylko artystyczną, rzeźbiarz z Kresów, za którymi tęsknił, pisał książki o tematyce historycznej, do których Jan robił rysunki, mające służyć jako materiał ilustracyjny. Ponadto jego względy zaskarbił sobie wykonując m.in. projekt pomnika upamiętniającego 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego motywem przewodnim były dwu metrowe cyfry UJ.

Prof. J. Różyckiego, nazywanego przez studentów „Dziadkiem” zapamiętał nie tylko jako wybitnego artystę, wymagającego pedagoga i ambasadora tradycji Polski przedwojennej w świecie „podzielonym żelazną kurtyną”, ale także jako człowieka o wielkim sercu. Troskliwie opiekował się poślubioną w 1945 r. inż. arch. Krystyną Tołłoczko, przykutą obłożną chorobą do łóżka. W tym celu opłacał kobietę mającą stale czuwać nad chorą żoną. Gdy i ta zachorowała, znalazło się dla niej łóżko w domu państwa Różyckich, a profesor do opieki nad obu niepełnosprawnymi zatrudnił drugą pomoc domową. Równocześnie był wymagającym wobec siebie i innych. Studenci na jego zajęcia nie mogli się spóźniać. Naruszającym tą zasadę, zanim wyprosił za drzwi, wyjaśniał: skoro on stary może zdążyć to tym bardziej młody człowiek⁹⁵.

Historyk sztuki Włodzimierz Hodys szczycił się swą znajomością z Marc’em Chagallem (1887-1986)⁹⁶ i chlubił cyklem artykułów zamieszczonych w krakowskiej „Zebrze”, m.in. o drzeworycie Fransa Masereela, malarstwa Paula Klee, Vincenta van Gogha czy o rzeźbie Pabla Picassa. Jan później wspominał, że wiedzę o sztuce nowoczesnej czerpał m.in. z wykładów i artykułów W. Hodysa publikowanych przed laty w tym studenckim piśmie, pełnym satyry - rysunków, fraszek i anegdot, zajmujących zwykle ostatnie strony. Każdy nowy numer był obwieszczany wywieszaniem flagi w czarno-białe pasy z okna redakcji przy ulicy Floriańskiej.

Hodys był charyzmatycznym pedagogiem ale nie zawsze łatwym partnerem na drodze edukacyjnej o czym przekonał się Roman Polański, który odziedziczył talent malarski po ojcu i pobierał nauki w liceum plastycznym w Krakowie. Hodys docenił ucznia i nawet skrócił mu o rok czas nauki. Niestety ten ostatni po okresie zachwy-



Marc Chagall. Autoportret

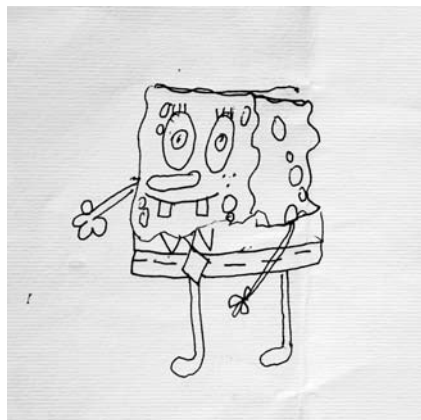
tu mistrzem doprowadził do konfliktu i został przez dyrektora wyrzucony ze szkoły. Jończyk miał więcej szczęścia i do końca cieszył się dobrą opinią profesora. Nawet dostał od niego w prezencie garnitur, który należał do Chagalla i z dumą paradował w nim po zaułkach grodu Kraka. Zapamiętał swojego dobroczyńcę jako oryginała i ekscentryka, który powtarzał studentom, iż do historii przejdzie tylko trzech właścicieli tego imienia: Włodzimierz Wielki, Włodzimierz Illicz Lenin i Włodzimierz Hodys. Podczas zajęć gasił światło i wykład ilustrował



Piwnica Pod Baranami

slajdami. Był to czas zaczepek słownych pod adresem Jana i jednej z koleżanek z polonistyki, Marty Wyki, córki nie lubianego przezeń prof. Kazimierza (1910-1975), historyka i krytyka literatury, m.in. członka Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w 1952 r., a także sygnatariusza listu do „The Times”, zawierającego stwierdzenie, że w Polsce nie było represji i dyskredytującego Radio Wolna Europa. Hodys w pewnym momencie zawieszał swoją prelekcję i wtedy w ciemnościach rozlegał się głos obwieszczający, iż „Dama Wyka” i Jończyk piją wino zamiast oglądać! Mimo tych kąśliwych uwag był przez dawnego znajomego Chagalla bardzo lubianym studentem i zawsze otrzymywał noty dobre lub nawet bardzo dobre. A po uczelnianej wycieczce do Ojcowa uzyskał status faworyta, gdy ubranego w jasny prochowiec, uratował przed upadkiem ze śliskiej góry. W. Hodys, wyjednając Piotrowi Skrzyneckiemu lokal w pałacu Potockich, w znaczący sposób przyczynił się do narodzin „Piwnicy Pod Baranami”⁹⁷.

Sześć lat studiów owocowało licznymi, niezwykle znajomościami i przyjaźniami. W tym kręgu zainteresowań Jończyka znaleźli się m.in., zaprzyjaźnieni ze sobą olbrzymiej postury Jerzy Bandura (1915-1987),⁹⁸ rzeźbiarz i drobina Andrzej Stopka (1904-1973)⁹⁹, scenograf. Obaj równie kłótlivi, przy czym ten drugi nie przebierał w słowach i przekleństwach. W swoich realizacjach A. Stopka odwoływał się do architektury krakowskiej szopki, symbolicznej przestrzeni misteryjnego dramatu. „W stylizacjach Stopki szczęśliwie połączyły się wpływy kubizmu,



J. Jończyk: Etiudy rysunkowe



J. Jończyk: *Łany*

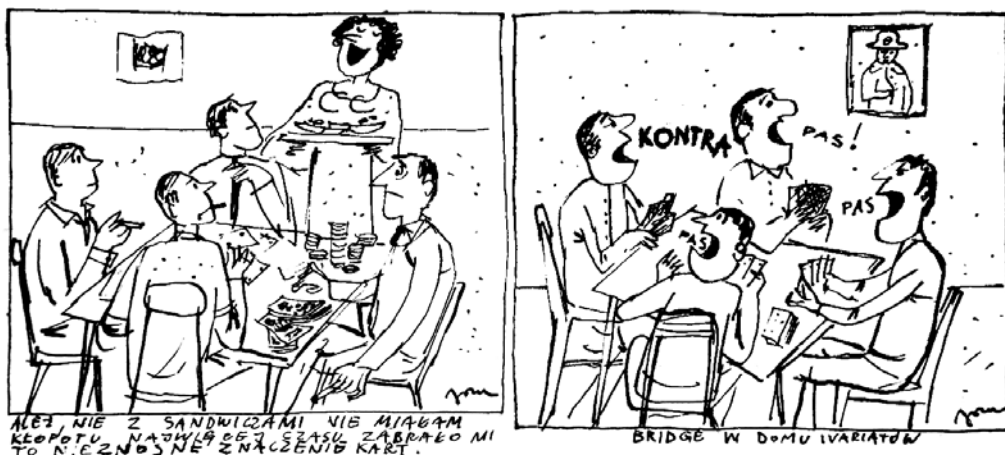
zamiłowania graficzne i swoisty romantyzm, a także autentyczne poczucie humoru widoczne szczególnie w kostiumach. Dlatego jego kompozycje scenograficzne były zawsze przetwarzaniem, a nie naśladowaniem folkloru”¹⁰⁰ Zdaniem J. Jończyka najciekawsze scenografie A. Stopka stworzył do przedstawień Kazimierza Dejmka. Obaj twórcy wierzyli w siłę, jaką może dać współczesnej inscenizacji odwołanie się do ludowości i staropolszczyzny. A.

Stopka i K. Dejmek zrealizowali razem dziewięć przedstawień. Pierwszym z nich była *Noc listopadowa* Stanisława Wyspiańskiego w Teatrze Polskim w Warszawie (1960). Zajęcia z obu wykładowcami były frapujące ale Jan zapamiętał A. Stopkę jako użytkownika słów nieparlamentarnych, a w szczególności terminu łacińskiego oznaczającego kobietę złej konduity. Głośno było w środowisku akademickim o jego wyprawie do Ministerstwa Kultury w Warszawie, podczas której na prośbę żony miał poskromić swój język i używać jako wulgaryzmu słowa żaba. I w zasadzie dotrzymał przyrzeczenia nie posługując się nawet żabim substytutem. Jednak kiedy spotkanie dobiegło końca a minister odprowadzał artystę do drzwi, ten potknął się o dywan i zamiast użyć mocnego słowa, rzucił wściekle przez zęby – *Żaba!* Na to minister pochylił się nad dywanem i zdziwiony skonstatował: *O kurwa, skąd tu żaba!* Jan podziwiając erudycję A. Stopki ze szczególną radością przysłuchiwał się polemikom i wymianie zdań między scenografem i rzeźbiarzem J. Bandurą¹⁰¹.

Jan zetknął się także z Antonim Hajdeckim (1927-1991), rzeźbiarzem, projektantem i realizatorem kompozycji rzeźbiarskich związanych z architekturą oraz pomników i kompozycji plenerowych. Profesor był absolwentem ASP w Krakowie; terminował w pracowni Fr. Kalfasa, St. Popławskiego, X. Dunikowskiego. Od 1948 r. należał do PZPR, tj. praktycznie od jej powstania. W roku jubileuszu 45-lecia Ludowego Wojska Polskiego 12 X 1988 r. otrzymał Nagrodę I stopnia Ministra Obrony Narodowej w dziedzinie plastyki. Jego najważniejsze prace znalazły swoje miejsce w: Rzeszowie, Gorlicach, Rawiczu, Tychach i Krakowie. Wykonał m.in. popiersie Władysława Szafera stojące w krakowskim Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (1975) oraz pomniki: *Czynu zbrojnego proletariatu Krakowa* przy al. Ignacego Daszyńskiego (1986) oraz *Iwana Koniewa* (1987).

W związku z pomnikiem marszałka Armii Czerwonej, ukazał się wywiad z A. Hajdeckim, którego fragment po latach śpiewał zespół Piwnicy pod Baranami do muzyki Zbigniewa Preisnera. Z perspektywy studenta była to twórczość zaangażowana politycznie co zapewniało w tamtych czasach ustaloną pozycję w Polsce Ludowej. W ten sposób dzieła jego regularnie trafiały do programów wystaw. Dla rządzących komunistów był bezcenny. Nowa władza potrzebowała takich ludzi: ideowy artysta tworzący nad Wisłą.

Nie uchroniło go to przed żartami studentów. W pamięci Jończyka zachował się m.in. taki przekaz na jego temat. Pewnego razu gdy leżał w szpitalu, żacy napisali na wieś do jego brata, list informujący o bardzo ciężkim, wręcz beznadziejnym stanie zdrowia artysty. Przerażony krewny przyjechał w upalny dzień, do krakowskiego szpi-



tala, odziany w czarny garnitur, pod krawatem, zlany potem. Pierwszą reakcją chorego na taki widok, było pytanie do eleganta: „Powiedz mi, jak ty się czujesz?”

Jan pobierał u A. Hajdeckiego naukę projektowania i kompozycji rzeźbiarskich związanych z architekturą. Już jako absolwent w 1988 r. otrzymał od profesora rzeźbę w aluminium z podpisem i wyceną: 100 000 zł. Dzieło wyobrażało motyw roślinny i nosiło tytuł *Struktury biologiczne*.

Atrakcje życia w akademiku

Akademik przy ul. J. Lea (F. Dzierżyńskiego), mieszczący się w budynku wzniesionym w czasie wojny z przeznaczeniem na koszary dla oficerów Wehrmachtu był miejscem gdzie spotkały się roczniki wyjątkowych indywidualistów, łączących talent z nieskończoną liczbą szalonych pomysłów godnych złośliwego błazna-psotnika i figlarza Dyla Sowizdrzała. W gronie tym znalazł się m.in. Jan Jończyk i jego przyjaciele. Rolę mitologicznego Cerbera pełnił dziadek Zasada. Jako były właściciel gruntu dostał dożywotnio stróżówkę. Ze studentami żył za pan brat, kasując 2 zł. od głowy za operację „Budzik”, w ramach której każdego abonenta budził do skutku wczesnym rankiem by nie spóźnił się do Studium Wojskowego. Studenci także dbali o jego wikt i dzielili się z nim tym co mieli. Ważną personą była pani Karasiowa, która gotowała im obiady. Liczono się także z portierką. Ta ostatnia, z dziadkiem Zasadą w tle, stała się współwinną afery telefonicznej. Pewnego razu gdy na portierni zastępował ją dziadek wezwano lekarza. Na ostrym dyżurze była lekarka, która w słuchawce gdy usłyszała stały przerywnik słowny dziadka związany z najstarszym zawodem świata, urażona przerwała „chamską rozmowę”. Gdy wszczęto dochodzenie i indagowano dziadka dlaczego tak niestosownie się wysławiał, ten wyjaśnił: „A bo kurwa było słabo słycać”. Gdy staruszek dożywszy swych lat zmarł, w jego łóżku pod poduszką znaleziono mnogą ilość dwuzłotówek. Jako wyraz sympatii do zmarłego jeden z profesorów Jana, Bandura wyrzeźbił pomnik dziadka Zasady, który ustawiono na jego grobie na cmentarzu Rakowickim. Ponadto do tradycji przeszło określenie mówiące o akademiku imienia „Dziadka Zasady”.



Artysta szuka tematu



J. Jończyk: *Ikar*

Inną atrakcją była ławeczka przed ich Domem Studenta, na której koledzy z różnych roczników wy-czekiwali godzinami, aż będzie koło nich przechodzić studentka PWST Anna Seniuk, od 1964 r. młoda aktorka Teatru Starego w Krakowie, w przyszłości odtwórczyni roli Magdy Karwowskiej w *Czterdziestolatku*. Alternatywą dla tego wydarzenia było spacerowanie przed tymże jury Jończyka z aktualną dziewczyną Romualdą Burzym, fotomodelką znanego fotografa Wojciecha Plewińskiego. Jej zdjęcia w „Przekroju” cieszyły się dużym uznaniem płci męskiej. Piękną Alde Jan poznał przypadkiem w „Piwnicy Pod Baranami”, gdzie zaprosił ją Krzysztof Teodor Toeplitz. Jednak tego wieczoru podjęła ona szybko decyzję i opuściła to czarowne miejsce razem z nowo poznanym artystą. Odtąd była jego częstym gościem w akademiku. A tam dzieło się, oj dzieło. Do stałych bywalców należało zaliczyć m.in. Wojciecha Karolaka (syna Jerzego profesora ASP), Piotra Skrzyneckiego (syna kawalera Krzyża Virtuti Militari, w 1939 r. dowódcy 8 Pułku) i Wiesława Dymnego. Non stop odbywały się jakieś „five o’clock”. Jedni grali w karty lub szachy, inni pili alkohol lub plotkowali o talentach twórczych przy czarnej kawie. Tak więc nie tylko wódka była pretekstem różnych sympozjów, co najwyżej dzięki niej nastrój stawał się swobodniejszy¹⁰².

Nie można też zapomnieć o twardej biedzie, która stale nękała ówczesnych żaków. Była to bowiem epoka „zgrzebnego Gomułki”. Jan zapamiętał z tamtych czasów, iż apetyt młodych głodnych żołądków był wielki, a sprawy finansowe nie wyglądały najlepiej. Gdy w kieszeniach można było znaleźć coś więcej jak płótno, biegali na placki ziemniaczane w knajpie przy ulicy Rzemieślniczej, a szklaneczka wina była wyrazem rozpusty. Przykładem doli i niedoli studenckiej był jego starszy kolega Adam Macedoński, artysta plastyk i poeta w jednej osobie, który wigilię i święta Bożego Narodzenia spędził przy trzech puszkach sardynek i obwarzanku. Jako urodzony lwowianin, reprezentował on grupę studentów dysydentów. W tej dziedzinie miał duże doświadczenie. W 1945 r. jako uczeń Liceum im. Witkowskiego w Krakowie zorganizował Ruch Oporu Armii Krajowej i uczestniczył w krakowskiej demonstracji z okazji obchodów święta 3 Maja w 1946 r. Studiował na ASP i Uniwersytecie Jagiellońskim historię kultury materialnej. Był represjonowany przez UB, a nawet zmuszony do przerwania studiów i podjęcia pracy w hucie szkła, co nie przeszkodziło mu w 1956 r. być organizatorem pomocy dla Węgrów. W 1960 r. uczestniczył w obronie krzyża w Nowej Hucie. Do historii przeszedł w roli pomysłodawcy i wydawcy pisma „Krzyż Nowohucki”. Jan zapamiętał go jako rysownika oraz ilustratora „Przekroju” i „Zebry”, na której łamach wyśmiewał partyjną nowomowę. Później ce-nił jako działacza „Solidarności” i członka Kapituły Medalu „Niezlomnym w słowie”.

Mimo skromnych warunków materialnych i ograniczeń systemowych realnego socjalizmu kwitła sfera życia duchowego. Chciano się oderwać od przeraźliwej nudy, szarizny i tzw. „dodupizmu”. Grupa kolegów Jończyka założyła w „Klubie pod Ręką” jedyny w dziejach ASP kabaret „Zdrój Jana”. Działał on w latach 1962-1964. Na ich występy regularnie uczęszczali m.in. Mieczysław Świącicki (1936-2018), Marian Konieczny (1930-2017), Włodzimierz Hodys, Krzysztof Teodor Toeplitz (1933-

2010) i Wojciech Plewiński. Zjednali sobie także przedwojenną aktorkę Irmę Kozłowską (1915-1983), odtwórczynię Basi w *Krakowiakach i Góralach* Karola Kurpińskiego (1785-1857), znaną z radia i krakowskich scen muzycznych. Kabaret przyciągał twórców, inteligencję ze środowiska lekarzy, prawników i tzw. bezetów, czyli byłych ziemian. Jończyk trafił tam towarzysko, członkowie kabaretu przypadli mu do gustu, jako grupa interesujących ludzi. Chciał po prostu być z nimi, dobrze wiedząc, że nie ma zdolności aktorskich,



Hotel Zawiercie

wokalno-muzycznych ani literackich. Liderami zespołu byli Krzysztof „Kris” Cedro, Kazimierz Machowina (1938-2015) z Czarnkowa nad Notecią i Julian „Antonisz” vel Antoniszczak (1941-1987). Kierownictwo trupy sprawował Franciszek Miecznikowski. Cedro i Machowina stanowili nierozłączną parę przyjaciół. Nawet wakacje spędzali wspólnie. Jan zapamiętał, iż K. Cedro miał stryja prałata, który często wspomagał i gościł bratanka z jego przyjacielem. Ich atutem były dobre głosy, którymi zasilali miejscowy chór wiernych. Pewnego razu podczas nabożeństwa, na prośbę swojego dobroczyńcy zainstalowali się na balkonie, by wykonać utwór sakralny. Jakie było zdziwienie i zgorszenie gdy jeden z nich zagrał na organach a drugi zaśpiewał kabaretową pieśń pt. *A las szumiął* zaczynającą się od słów: „Tyś mi dała swe czyste ciało”¹⁰³.

W tych trudnych czasach, wspominał Jończyk, ważne były ich powroty do akademika. Wraz z humorem i dowcipem K. Cedro przywoził woreczek pieniędzy od prałata. Niestety w 1962 r. gdy skończyły się letnie kanikuły ich kabaret został zlikwidowany. W Klubie pod Ręką zainstalowano kocioł ciepłowniczy, do którego obsługi zwalono tony koksu i skończyły się studenckie żarty i facecje. Z lepszym skutkiem potoczyły się ich kariery. W 1966 r. K. Machowina ukończył ASP w pracowni prof. Emila Krchy. Uprawiał malarstwo olejne, gwasz i rysunek. Wydał trzy tomiki poezji pt. *Cyrk* i *Ptasi Chrystus* oraz *Malarstwo i poezja*. Jednym z jego recenzentów był ks. Józef Tischner, który widział w dorobku artysty „dzieło współczesnej wiary, która przeszła przez trudne ścieżki naszych polskich doświadczeń”. Z kolei Jan traktował K. Machowinę jako znakomitego malarza, wyśmienitego rysownika i mistrza miniatury. Znaczną część swego życia poświęcił on młodzieży, która w dedykowanym mu nekrologu napisała: „Wolny ptak, wśród ptaków, niepoddający się schematom, wierzący, że każde dziecko to artysta”. Dobry kompan ze studenckich czasów, filatelista, miłośnik przyrody, książek i wszelkiego piękna.

Jego najbliższy przyjaciel K. Cedro zasłynął jako malarz, grafik, projektant, rysownik, portrecista, a także twórca monumentalnych paneau i murali oraz tekstów piosenek. Z kolei „Antonisz” zdobył uznanie jako artysta plastyk, scenarzysta, kompozytor, został też współzałożycielem Studia Filmów Animowanych w Krakowie i wynalazcą-konstrukтором. „Antonisz” zadziwił, nie tylko Jana, swoją konstrukcją automobilową, którą zaprezentował przechodniom i turystom na krakowskim Rynku. Z dwóch zespawanych rowerów, kanapy i budy dorożkarskiej zmontował retro auto, napędzane silnikiem mikrusa i zaopatrzone w trąbkę klakson. Zainteresowanie budził także kierowca pojazdu ubrany w jaskrawej barwy czapkę i czerwony szal do kostek. Jednak pokaz możliwości automobilu zakłóciła policja, przed którą ku radości gapiów, musiał uciekać w głąb sukiennic¹⁰⁴.



J. Jończyk. Rys. *Leśna gęstwa*

Tak więc motoryzacja fascynowała bratę studencką ASP, a przybierała ona różne formy, czasami żartobliwe. Według relacji Jończyka doświadczył tego m.in. uczący rysunku, liternictwa, projektowania graficznego i technik graficznych prof. Jan Szancenbach (1928-1998), postać bardzo zacna, słusznej tuszy, lubiany i szanowany przez słuchaczy. Był synem znanego lekarza ginekologa dr. Jana seniora, jeńca sowieckiego obozu w Starobielsku, zamordowanego w Charkowie i malarki Marii Skłodowskiej, uczennicy Olgi Boznańskiej. Gdy jednak nabył, jeden z wypuszczonych na rynek konsumencki 1728 egzemplarzy samochodu osobowego marki Mikrus MR-300, produkowanego w latach 1957-1960 przez WSK Mielec we współpracy z WSK Rzeszów, dostało się i jemu. Studenci wnieśli mu auto na pierwsze piętro akademii. Mina zdziwionego profesora stała się powodem powszechnej weso-

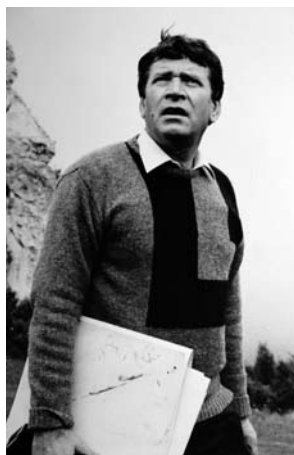
łości. Wybawił się on jednak z opresji stawiając żakom po zajęciach, a przed powrotem do akademika, kolejkę wódki.

Podsumowując, w latach kiedy studiował Jan Jończyk na krakowskiej ASP spotkały się roczniki nieprzeciętnych indywidualistów, łączących twórczą pasję i artystyczny talent z wielką ilością szalonych pomysłów, które przeszły do historii minionej epoki. Spośród tych „szaleńców bożych” wyrosło jednak wielu cenionych artystów i wykładowców ASP. Jan nigdy nie żałował lat spędzonych w Krakowie, poznał interesujących ludzi, których miał zawsze dobrze wspominać, przydatne i również inspirujące okazały się niektóre z nawiązanych kontaktów i przyjaźni. Miał szczęście studiować „w latach bardzo ciekawych, zwłaszcza w artystycznym znaczeniu. Wtedy rodziła się piwniczna kultura, a koloryzm stając się punktem wyjścia dla nowych poszukiwań, ciągle trwał w podziwie dla impresjonistycznej rewolucji. Prawdopodobnie za sprawą tego magicznego czasu, będzie potrafił na rzeczywistość spojrzeć tak, aby zobaczyć ją daleko bardziej nasyconą, niż widzą inni”¹⁰⁵.

Jak to jest być artystą?

Od 1965 r. był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. W maju 1966 r. Jan Jończyk otrzymał dyplom ukończenia studiów wyższych na Wydziale Architektury Wnętrz krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowni prof. Jana Budziły i uzyskał tytuł magistra sztuki w zakresie architektury wnętrz. Od tej chwili mógł rozpocząć życie niezależnego twórcy m.in. dlatego, iż miał uregulowany stosunek do obowiązku służby wojskowej. Zwolniony bowiem został z tej powinności z powodu braku palca wskazującego u prawej dłoni. Stracił go jako wścibski malec. Włożył rękę do maszyny gdy ojciec miał mięso. Ten sam lekarz, który kilka lat wcześniej odebrał poród matki, podjął niestety nieudaną próbę przysycia urwanej części kończyny. Jej brak dyskwalifikował Jana, jako użytkownika jakiegokolwiek broni palnej, gdyż nie miał czym pociągnąć za cyngiel¹⁰⁶.

Wrócił więc do Zawiercia, jako trzeci z mieszkańców, który mógł się legitymować dyplomem Akademii Sztuk Pięknych. Jednak w jego oczach po sześciu latach nieobecności było to już inne miasto. We wspomnieniach przyznawał: „Wszystkie miasta się zmieniły, myśmy się zmienili. Kiedy popatrzy się jednocześnie na stare i nowe zdjęcia, to od razu widać zmiany [...]. Wychowałem się w domu przy ulicy 3 Maja, ona się za wiele nie zmieniła. Jednak teren przy dworcu już bardzo. Tam,



Artysta w plenerze

gdzie obecnie stoją bloki przy ulicy I. Paderewskiego, były kiedyś domy dla pracowników Huty Szkła. Będąc małym chłopcem kąpałem się w Warcie w parku. Był staw, były kajaki. Staw został zasypany”¹⁰⁷.

Lubił dom rodziców i tę okolicę. Miejsca swojego dzieciństwa. Lubił podwórko, na którym się bawił z kolegami i górkę z której zjeżdżał zimą na sankach. Lubił mieszkanie mamy, w którym po latach zamieszka i będzie rozmawiał z wychodzącymi ze ściany duchami przeszłości. To był jego świat. Powrót jednak należał do trudnych. „Na początku musiał zarobić jakieś pieniądze i pójść do pracy na etat”¹⁰⁸. Przekonał się też o prawdziwości słów Vincenta van Gogha: „Malarstwo jest wymagające jak kosztowna kochanka; nic nie zrobisz bez pieniędzy i zawsze ich jest mało”¹⁰⁹. Na własnej skórze przekonał się, iż artysta był wciąż postrzegany nie tylko w kategorii finansowych niedoborów ale także jako dziwoląg, bo trochę inaczej się ubierał i prowadził ekstrawagancko.

„Na Akademii [...] chciał dorównać starszym kolegom i ubierał się tak samo jak oni. Chodził więc w czerwonych spodniach lub w kożuchu do kostek, co w Zawierciu było szokujące”¹¹⁰. Gdy kiedyś przyjechał tak przyrodziany mama nie puściła go do kościoła w Boże Narodzenie.

Rozważając problem istotny dla każdego artysty jakim jest sukces-sława-pieniądz przyznawał rację Pierre’owi-Auguste’owi Renoir’owi. „Jedynym zadośćuczynieniem, jakie winno dawać się artyście, jest zakup jego dzieł”¹¹¹. Gdy był właścicielem prywatnej Galerii Sztuki „JJ” w Zawierciu eksperymentował w tej materii na swojej klienteli. Na najlepszym swoim obrazie wieszał niską cenę, a na „przeciętnym – choć nie złym” bardzo wysoką. Wszyscy interesowali się tym droższym.

Przyznał też, iż kiedyś jak każdy młody artysta marzył o sławie i pieniądzach z tego tytułu gustował w podobnych, jak ta anegdota. Tym, którzy narzekali na jego wernisażu na wysokie ceny obrazów dedykował historyjkę o znanym francuskim bataliście Antoine Charlesie Vernecie, który nagabywany przez bankiera o jakiś chociażby szkic, na poczekaniu w ciągu pięciu minut zrobił zgrabną etiudę. Następnie zażądał honorarium 1000 franków. Jak to, 1000 franków za rysunek, którego wykonanie zajęło tylko 5 minut? Oburzył się finansista. Tak! Odpowiedział artysta, ale ja straciłem 30 lat życia żeby nauczyć się robić takie rysunki w ciągu 5 minut.

Tak już jest z artystami konkludował swoją opowieść Jan Jończyk. „Rzadko który od razu zdobywa po studiach sławę i pieniądze. Sławę czasem może i tak – ale z pieniędzmi gorzej”¹¹². Jednak młodzi marzą. Nic, tylko odbierać nagrody, błyszczeć w blasku fleszy i reflektorów. Fanfary, hymny pochwalne i co tam jeszcze.

Z kolei na pytanie o motywację odpowiadał podobnie jak Tadeusz Kantor: „Malarstwo jest manifestacją życia. Pytanie »dlaczego maluję« brzmi jak pytanie »dlaczego żyję«”¹¹³



W zawierciańskiej Galerii MOK z córką Kasią i amerykańskim koneserem sztuki

Obrazy Jana Jończyka „są dla niego [...] przystankami w chaosie codzienności, które [...] ustawione są na drodze między kadrami otoczenia a zapisem mniej realnym bo nawet abstrakcyjnym. Czyli mogą być zarówno zachwytem nad widzianym światem, jak i równocześnie nad twórczą radością jego przetworzenia”¹¹⁴.

W jego mniemaniu „Dla malarza nie jest ważne, czy coś się komuś podoba, czy się nie podoba, ale żeby widz nie był obojętny. Obojętność jest najgorsza. Widz powinien chociaż na chwilę zatrzymać się przed obrazem i pomyśleć co ten malarz chciał zaprezentować. I to już jest sukces twórcy, bo jego trud nie poszedł na marne – coś komuś przekazał”¹¹⁵. Jak wszyscy jego poprzednicy buntował się na obojętność otoczenia wobec sztuki, czuł się czasem wyklęty przez społeczeństwo i dręczony przez niezgodę z tym co dookoła.

Pod urokiem Jury i Roztocza

W czasie plenerów nie raz błakał się po Jurze lub Lubelskim Roztoczu obładowany ciężką torbą pełną pędzli, słoików z farbami, płócien, kredek i ołówków. Czasami siedł bez określonego celu przez wrzosowiska, przez nasypy żółtych piasków ku sosnowym borom, zdarzało się to nawet przy świetle księżyca lub we mgle, w pogoni za wrażeniami, za obrazami. Najbardziej jednak nęciła go kraina dzieciństwa.

Wiosną i słonecznym latem w epoce kwitnienia i dojrzewania wszystkie przydrożne miedze Jury były pełne kwiatów i pachnących ziół, pola złociły się od kłosów zbóż, jaśniały bielą wapienne skałki, pagórki wznoszące się nad korytem Warty miały łagodne linie konturów. Panorama w pogodny dzień zachwycała błękitem nieba i pastelowymi, delikatnymi, niemal przeźroczystymi kolorami. Był to prawdziwy żer dla oczu artysty, który chwilami wczuwał się w rolę portrecisty Jury Krakowsko-Częstochowskiej, jako pięknej kobiety. Czuł, że Jura była jego kobietą, pełną wewnętrznego światła, które widział gdy oczyma wyobraźni malował jej podobiznę. Przenikał na wskroś jej duszę, jej kruchość, jej niezdolność do walki z człowiekiem, nad którym pozornie dominowała. Zachwycał się świetną perspektywą, skałki porównywał do kobiecej biżuterii pięknie ozdabiającej jej właścicielkę. Jura jawiła mu się kobietą dziewczącą, urodziwą, a równocześnie bardziej surową, jednak nie zimną. Jemu bardzo bliską. Dlatego, że inspirację czerpał z natury, którą przetwarzał i interpretował według własnego smaku i gustu estetycznego. Podziwiał jej piękno i samowiedzę. Jego zdaniem „natura wie lepiej, co małe ma być, a co duże. Co w krąg ma się roztaczać, a co ma tonąć we mgle”¹¹⁶. Jednak nie malował ładnych obrazków. Swoją twórczość postrzegał jako „malarstwo instynktowne” i tak komentował: „maluję wszystko to, co mnie otacza i co oglądający znają od zawsze – to znaczy: ludzi, chmury, drzewa. Chcę to jednak pokazać w inny sposób”¹¹⁷.



Koty na wernisażu J. Jończyka

W każdym jego szkicowniku, niemal z wszystkich etiud wyziera słońce, wszędzie jasno, pogodny obraz świata, zapach trawy, ziół, dojrzewającego zboża, świeżych kwiatów, wszystko się krzewi i kwitnie. Wabi księżyc odbity w wodzie stawu. Każda karta to krajobrazu światło. Zastanawia nas wspólnota człowieka i krajobrazu. Zachwycają wieże kościołów sięgające chmur i przydrożne kapliczki. Szkice sporządzone z natury odznaczają się trafnością obserwacji, delikatnością i biegłością w operowaniu plamą. Będąc pejzażystą, artysta wiele miejsca poświęcił studiom chmur, drzew,

skął i grot, których wiele spotkał na szlaku swej wędrówki. Dęby rysował w Gidlach, a skały w Bobolicach. W Złotym Potoku zafascynowała go tzw. Brama Twardowskiego. Trochę szedł jakby tropami swoich poprzedników, m.in. Ludwika Boucharda (1828-1912), syna oficera napoleońskiego, polskiego malarza i nauczyciela architekta i rysownika Stanisława Noakowskiego (1867-1928). L. Bouchard m.in. utrwalił w całej postaci podobiznę, biednie odzianego, stojącego boso, owczarza Stryka z Morska. Dostrzegł także tak eksponowane przez Jończyka krzyże i kapliczki przydrożne. Temu ostatniemu do gustu przypadły także ruiny zamku w Ogrodzieńcu, którego motyw trafił do szkicownika i na płótno, a nawet okładkę jednego z folderów¹¹⁸. Często na obrazach Jończyka wyłaniają się spośród magicznych sadów stare domy nawiązujące wyglądem do dworskiej architektury. Na temat jego artystycznych umiejętności ułożono nawet akrostych:

**JAN TO ISTNY KOLORYZMU WOJ
ASP CK TOWARZYSTWO
NATCHNĘŁO MU INSPIRACJĄ DŁOŃ
ŚWIATŁO I BARWA DAJĄ TU MOC
RYSUNEK TO CZY SZALEŃSTWA MAZ
WYOBRAŹNI RYK, PĘDZLA SZYK CZY
PO PROSTU KOLORU MAG JOŃCZYK**

Malował zdecydowanymi pociągnięciami pędzla. Niekiedy ukazywał idylliczne bytowanie na łonie przyrody, kiedy indziej znów dynamizm i specyficzny koloryt współczesnego miasta, jak to miało miejsce w cyklu pastelów poświęconych Siemianowicom Śl. Zdaniem Wiesława Ochmana malarstwo Jana Jończyka „wpisuje się w kanon twórczości przełomu XX i XXI wieku. Splatają się w nim, pośród różnorodnych koncepcji przedstawienia swoich preferencji plastycznych [...] na które składają się dwa podstawowe nurty, a mianowicie tradycyjny, wywodzący się z klasycznego, opartego o czytelność formy i ogólnie akceptowane harmonie barwne, z abstrakcyjnym pojmowaniem obrazu jako dzieła sztuki i stosowaniem środków komunikacji wyraźnie odbiegających od ogólnie znanych zasad”¹¹⁹. Recenzent ponadto zwraca uwagę na fakt, „że zapoznając się z pracami Jana Jończyka nie nasuwa się nam żadnego typu naśladownictwo. Twórczość jego jest bardzo osobista i własna. Jeśli przyjąć, że sztuka nie jest zjawiskiem fizycznym, to możemy z całą pewnością stwierdzić, oglądając prace Jończyka, że jest ona na pewno interpretacją świata, życia i zjawisk z nimi związanych. Nie ma w tych pracach ani literackich odniesień ani też symbolizmu. Artysta dąży do czystego przekazu malarskiego, pozbawionego ozdobników i zbyt-niej dekoracyjności”¹²⁰.

„Jest podobny malarzom, którzy w poszukiwaniu słońca przemierzali tysiące kilometrów w południową stronę. Z tą tylko różnicą, że Jan tę wyprawę ze światłem i kolorem odbywa raczej w głąb siebie, mając z pewnością pamięć za przewodnika. Te pastelowe podróże mieszając się z rzeczywistością, notowane bywają na płótnie, charakterystycznym akrylowym śladem, wychodzącym prosto spod płaskiego pędzla. Rytm pracy malarza Jana Jończyka podzielony jest na dwie części (kierowane cyklem natury), letnią i zimową. Okres letni jest raczej częścią przewidzianą na inspiracje i malarskie szkice. Część zimowa skłania się bardziej w stronę realizacji i definiowania słonecznych obserwacji. W ostatnich obrazach obok charakterystycznych rozświetlonych barw, pojawia się bogatsza niż zwykle materia. Dzięki eksperymentom dziejącym się w sferze strukturalnej, obraz zyskuje na czytelności i klarowności przestrzeni. Przecież to właśnie przestrzeń będąca czynnikiem sprawczym pejzażu,

jest dla Jana Jończyka zagadnieniem podstawowym. Jest polem obserwacji i kontemplacji mającej w konsekwencji widzianą rzeczywistość (dziejącą się przecież na wielu warstwach) umieścić w ramach płaskiego podkładu¹²¹.

Trwale piętno na jego twórczości wywarły plenery m.in. w Radecznicy, Gorzkowie i Grębaninie. Dla J. Jończyka miłośnika *Trylogii* atrakcyjny był także położony niedaleko Radecznicy Grabowczyk, siedziba rodowa Władysława Czachórskiego (1850-1911), malarza pięknych kobiet i piewcy lubelskiego krajobrazu. Bardzo częstym gościem dworku w Grabowczyku na Zamojszczyźnie był Henryk Sienkiewicz, który w tutajszych jarach, wąwozach, rozłogach i gliniastych rozpadlinach znajdował podniecie do stworzenia wizji Dzikich Pól. Jana zachwyciło także tutajskie światło. Z młodymi adeptami sztuki był na plenerze rzeźbiarskim w Bzowie. Od 1987 r. był stałym komisarzem zawierciańskich *Plenerów Jurajskich*. Od 17 do 26 IX 2012 r. spędził czas na plenerze malarskim Zawiercie-Skarżyce¹²². Wybrał Skarżyce¹²³ bo „mają swój nastrój i styl. Jest wieża pamiętająca XII wiek kościoła i jest droga, która zawsze doprowadzi do miejsca na Jurze, które urzeknie wrażliwego artystę. Bywali tu często, bo na Jurze znaleźć można to, czego szuka artysta: wonne wiosny, gorące lata, kolorowe jesienie, mroźne białe zimy, niebo i powietrze w poranki, południa i wieczory, radość i nostalgię, wspomnienia i czas współczesny”¹²⁴. Od 1987 r. gościł na *Plenerach Jurajskich* uznanych artystów, m.in.: prof. Stanisława Batrucha, Annę Kruczkowską-Pieczkiolan, prof. Zbigniewa Pieczykolana, prof. Stanisława Puchalika, prof. Antoniego Zydronia. Ich prace przedstawiające najpiękniejsze zakątki tego regionu stały się ozdobą wielu galerii oraz prywatnych kolekcji.

Również i dla gospodarza plenerów znalazły się wyrazy uznania m.in. w postaci piosenki *Janowi Artyście Wielkiemu*, której słowa i muzykę skomponował ks. Stanisław Wybański, kustosz kościoła Trójcy Przenajświętszej w Skarżycach:

Piękne sztuki w Krakowie skończyłeś
Poznałeś wielki ich czar
Do Zawiercia jednak powróciłeś
I dajesz miastu dar.
Ref. Jończyk Jan to jest Pan
Artysta naszych ram
Czterdzieści pięć lat minęło
Benefisu trwa piękny czas
Twórz dalej cudne Twe dzieło
Kultury pośród nas¹²⁵.

W służbie Siemiona

Dwadzieścia lat, t.j. od uzyskania dyplomu do 1986 r., „robił wnętrza” realizując kilkadziesiąt znaczących projektów. Pracował głównie jako architekt wnętrz i prawie nie malował, chociaż dyplom zrobił w pracowni prof. Budziły studiując malarstwo pod kierunkiem prof. Kutermaka i prof. Tarasina. Osiem lat po studiach spędził w Katowicach jako pracownik KWK „Kleofas”. Zatrudniono go jako architekta wnętrz z przydziałem funkcji inspektora działu budowlanego. Po pewnym czasie awansował na asystenta Naczelnego Inżyniera. Mieszkał wówczas w „superjednostce”. W 1972 r. kupił dom w rejonie Alei Sportowców w Siemianowicach Śl. i związał się z tym miastem zawierając nowe znajomości i przyjaźnie, także w Katowicach. Poznał m.in. architekta wnętrz i artystę plastyka Wojciecha Migockiego¹²⁶. Tak się złożyło iż głównym hasłem propagandowym, propagowanym w tym czasie przez Front Jedności Narodu, było:

POLSKA ROŚNIE W SIŁĘ. A LUDZIE ŻYJĄ DOSTATNIEJ. Jednak równocześnie mogliśmy przeczytać w warszawskim tygodniku „Kultura” (22 I 1973), że statystyczny Polak kupuje co cztery lata szczoteczkę do zębów, a 40% zabiegów wykonywanych przez dentystów to wyrywanie.

Jedną z pierwszych prac zleconych Jana Jończyka była modernizacja wnętrz górniczych familków w Załężu oraz wykonanie projektu wnętrz budowanego tam hotelu robotniczego. Ponadto obciążono go zleceniami przygotowania wnętrz mieszkalnych dla miejscowych notabli: I sekretarza KW PZPR Zdzisława Grudnia (1924-1982), nazywanego też *Ajatollahem Dezembrem* i wojewody Jerzego Ziętka. Potem przysłała kolej na wnętrza Centrum Doskonalenia Kadr Kierowniczych (obecnego Górnośląskiego Centrum Kultury) tzw. *Dezember Palast*, Komitetu Wojewódzkiego i Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego na Koszutce. Czasami pojawiały się nieprzewidziane trudności, jak to było w przypadku gabinetu Z. Grudnia w „Domu Partii”, gdy inżynier pomylił się w pomiarach o jeden metr. Skutkowało to wykonaniem specjalnej meblościanki z barkiem i kasą pancerną, która nie mieściła się we wskazanym pomieszczeniu. Z soboty na niedzielę, pod nieobecność w gabinecie I sekretarza, zatelefonował do Jana inż. Fila z zapytaniem: co robić? W tym przypadku architekt wnętrz zastosował interwencjonizm, dokonując dla robotników zakupu jednego litra wódki i dwóch kilogramów kielbasy. Do końca niedzieli załoga KWK „Kleofas” wywiązała się z zadania.

Podczas obchodów święta 22 Lipca w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku zlecono wykonanie dekoracji, której najważniejszym elementem był kilku metrowej wysokości orzeł. Ponieważ nie mógł się z tym zadaniem uporać, interweniował, by do pomocy ściągnięto prof. Jana Dutkiewicza (1911-1983), wykładowcę katowickiej filii ASP.

Jednak największą wpadką był portret Włodzimierza Illicza Lenina wykonany z okazji Rocznicy Rewolucji Październikowej dla Domu Prasy Śląskiej przy katowickim Rynku. Jończykowi zabrakło czarnej farby i oczy wodza rewolucji namalował czarną plakatówką. Gdy jednak spadł deszcz Lenin zapłakał czarnymi łzami. Z konieczności jego portret został zdjęty z budynku.

Do zadań Jana należało także przygotowywanie dekoracji dla miasta Katowic z okazji 1 Maja i Dnia Górnika, tradycyjnej Barbórki. W tym czasie nielegalnie wykonał na Koszutce z okazji Święta Bożego Ciała projekt Ołtarza Górniczego. W przypadku dekonspiracji mógł stracić pracę¹²⁷.

Dla mieszkańców Katowic od pewnego czasu rozpoznawalnym miejscem stała się ulica Stawowa, której ważnym punktem jest Fontanna Żabka. Jej projekt przestrzenny według wzoru paryskiego (drzewa oplecione ławkami) zrobił J. Jończyk. Zanim przystąpiono do realizacji musiał uzyskać aprobatę Z. Grudnia, ten jednak nie umiał czytać planów. Dyr. Marek Birman zlecił wykonać specjalne perspektywy ulicy Stawowej. Ze względu na terminy Jan poprosił o pomoc przyjaciela siemianowickiego artystę plastyka Staszka Barnasia. Wspólnie sporządzili 10 plansz ilustracyjnych, które przyczyniły się do aprobaty projektu. Jest to pasaż o charakterze handlowym i usługowym. Dzisiaj ze względu na dużą liczbę przechodzących tamtędy ludzi, stanowi jeden z wyraźniejszych



Fontanna na ul. Stawowej w Katowicach

rejonów centrum Katowic. Ponadto jest jednym z nielicznych obszarów centralnych miasta odczuwanych jako przyjemny. W latach 70-tych minionego wieku 100 kg mosiężna żaba plująca wodą budziła zainteresowanie dzieci i uśmiech dorosłych. Sympatyczny płaz miał symbolizować niegdysiejszy staw znajdujący się nieopodal. Dla mieszkańców fontanna stała się popularnym miejscem spotkań¹²⁸.

Projektując to miejsce nawet nie przypuszczał, iż w czasach „Solidarności” nabierze ono jeszcze innego znaczenia. I sekretarzem KW PZPR w Katowicach został w tym okresie Andrzej Żabiński (1938-1988), nazywany przez jednych „towarzyszem zdrowa siła” przez innych „partyjnym betonem”. Ponadto wiadomo było, iż miał oparcie w Moskwie, Berlinie i Pradze, utrzymywał kontakty z KGB, sztabem Armii Radzieckiej i był kandydatem na stanowisko I sekretarza KC PZPR. Do tego grona zaliczano także Stanisława Kociołka, Tadeusza Grabskiego, Stefana Olszowskiego i Mieczysława Moczara. A. Żabiński miał wielkie ambicje i był zwolennikiem „bratniej pomocy” celem stłumienia siłą ruchu „Solidarności”. Nie przypadkowo za jego kadencji spacyfikowano na Śląsku, po 13 XII 1981 r., kopalnie „Wujek”, „Staszic”, „Piast” i „Ziemowit”. Jończykowi sympatykowi „Solidarności” nawet wówczas się nie śniło, iż tzw. ulica żartobliwie szeptała, że Fontanna Żabka to pomnik I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego.

Projekt Stawowa dotyczył także sieci sklepów i ich wystroju. Do dziś zachowało się według jego założeń wnętrze w tamtejszej kwiaciarni.

Gdy zlecono mu opracowanie architektury wnętrza dworca PKP w Katowicach, w tym przypadku, ze względu na skalę przedsięwzięcia, stolarz musiał zrobić na zamówienie specjalną deskę kreślarską. Nie były to jedyne perypetie związane z tą realizacją. Ponieważ Z. Grudzień upatrzył sobie lokalizację trybuny z okazji Święta 1 Maja na wprost dworca zażądano od Jana sporządzenia na jego dachu dekoracji w postaci gigantycznego sloganu: „Naród z Partią – Partia z Narodem”. Gdy wszystko było już gotowe, a towarzysz I sekretarz był ukontentowany, do Komitetu Wojewódzkiego przybiegło dwóch budowlańców robiących larum, iż zawali się dworcowy dach. Ostatecznie odstąpiono od tego pomysłu.

Natomiast nie rezygnowano z ciągłych nagabywań by wstąpił do PZPR. Z racji przyjmowanych zleceń musiał bywać na partyjnych naradach, gdzie między innymi instruowano go jak ma zaprojektować wyborcze lokale. Niektóre z instrukcji uważano za tajne, np. żeby było widać kto wchodzi głosować do kabiny. Mimo nacisków ocalił swoją tożsamość, a nawet wymógł na aktywistach, aby zwracali się do niego nie „towarzyszu” lecz „Panie Magistrze”¹²⁹.

O ile Jan nie miał rozeznania co do dokonań i roli różnych komunistycznych bosów lat wojny i epoki stalinowskiej, to o wiele lepiej rozpoznawał sytuację w kraju lat 70-tych. Był wstrząśnięty „Radomskim czerwcem”, największą akcją protestacyjną zakończoną zamieszkami 25 VI 1976 r. w Radomiu, brutalnie spacyfikowanymi przez jednostki milicji i ZOMO. Za „obrzydliwą” uważał reakcję władz. Kierownictwo PZPR 2 VII tr. przybyło do katowickiego „Spodka” na wielką manifestację poparcia klasy robotniczej Śląska i Zagłębia. W czasie przemówienia E. Gierka doszło do owacji. Zebrani skandowali: „Partia-Gierek”, „Partia-Gierek”. I sekretarz KC w odpowiedzi wzniósł okrzyk: „Partia-Polska”. Aktyw podjął hasło, nie zamilkł i dalej skandował: „Partia-Polska” na przemian z „Partia-Gierek”. Wreszcie wszyscy na koniec, po przemówieniu Z. Grudnia, odśpiewali *Międzynarodówkę*. Uważał, iż była to manifestacja gołej siły.

Jednak kielich goryczy, w odczuciu Jończyka, przelał się, gdy przeczytał felieton, dobrze mu znanego z czasów studenckich, literata Władysława Machejka. Tekst do-

tyczył mordu politycznego dokonanego przez SB na Stanisławie Pyjasie (1953-1977), studencie filologii polskiej i filozofii UJ. Wydarzenie to wywołało masowe demonstracje studentów m.in. *Czarny Marsz*. Wezwano do bojkotu juwenaliów. Wieczorem 15 V 1977 r. pod Wawelem odczytano deklarację zawiązującą Studencki Komitet Solidarności w Krakowie. Jan jeszcze nie tak dawno sam był studentem i mocno identyfikował się z bracią żakowską. Toteż z wypiekami na twarzy czytał: „Ostatnio popróbowano pchnąć się do starych czasów na trumnie Stanisława Pyjasa. Zamiast kadzidłem – przez eter posypuje się trumnę ogniem [...] Hałas nad tą trumną trwa, hałas wywołany, spowodowany i podsycany przez zachodnią propagandę typu „Wolnej Europy” i jej intendentów z CIA. [...] może pewni ludzie mniej odczuwaliby antykomunistyczne żądła, gdyby nie czuło się w nich równocześnie zaangażowania antypolskiego. Aż śmierdzi. V kolumna radiowa składa się z rewizjonistów różnej maści i syjonistów. [...] Hałas nad tragiczną trumną nie ustaje, albowiem nie zamilkła komenda z „Wolnej Europy” itp. Jakże ustanie, skoro nie chodzi im o kojenie żałoby. Za coś innego mają płacone... Przy tym powołują się na miłość do wolności i do Polski. Zimnowojenni podżegacze mają tyle wspólnego z miłością do nas, co syfiliś z miłością. Dlatego nie do gangsterów należy apelować – byłoby to śmiesznie naiwne – żeby ciszej nad trumną... lecz do jątrzonych kolegów Stanisława Pyjasa, którzy ze względu na przywilej wieku – poddają się słodkiej truciznie”¹³⁰. Po takiej lekturze coraz bardziej przykrym stawało się obcowanie z ludźmi głoszącymi podobne hasła.

Z czasem otrzymywał od nich zlecenia, które miały mniej oficjalny charakter, np. projekt wysypu na śmieci w kuchni wojewody J. Ziętka. Z kolei żona Z. Grudnia (wtedy mieszkał przy ul. T. Kościuszki) zażyczyła sobie specjalne wejście z kuchni do szklarni¹³¹. Proceder ten zaczął się stopniowo nasilać. Po latach rozmawiający z reporterem dyrektor jednego z przedsiębiorstw budowlanych zaprzęgniętych do budowy dwusegmentowej willi Zdzisława Grudnia i Adama Gierka mówił o zniewoleniu go przez zwierzchników. Kierownik budowy opowiadał zaś o luksusach w wyposażeniu domu: różowych marmurach spawanych srebrem, sanitariatach kupowanych w Austrii i wysyłanych do Katowic pocztą dyplomatyczną przez radcę ambasady w Wiedniu, saunach, kryształowych lustrach i boazeriach z modrzewia tak dobranego, aby nie było ani jednego sęka. U sekretarza Z. Grudnia sadzono dwudziestoletnie drzewa przywiezione z parku. Operację wykonał specjalnie zakupiony na Zachodzie dźwig, którego godzina pracy kosztowała 600 zł (ówczesna średnia pensja to 4 tys. zł). O wszystkim pisała prasa. Wkrótce potem prokuratura wojewódzka miała gotowy akt oskarżenia. Zarzuty niegospodarności w wydawaniu państwowych pieniędzy i służalczego spełniania życzeń partyjnych prominentów „kosztem dóbr należnych społeczeństwu”. I sekretarz KW Z. Grudzień po wprowadzeniu stanu wojennego 13 XII 1981 r. został internowany razem z Edwardem Gierkiem, kawalerem Orderu Lenina, przyznany mu z okazji 60. urodzin przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Kryzysowi gospodarki nie były w stanie zapobiec nawet pomysły rodem z miczurinowskiej szkoły, której przedstawiciele w rezerwacie przyrody w Askania Nowa (na Ukrainie) intensywnie pracowali nad aklimatyzacją afrykańskich strusi Nandu, które jako ptactwo domowe charakteryzowałyby się „wprost nadzwyczajną wydajnością mięsną”. Tak więc snując wizje przyszłości, w kartach restauracyjnych miały pojawić się do wyboru: struś domowy à la brojler, struś domowy w sosie własnym, brojler sojowy à la struś domowy i struś sojowy zwykły i specjalny¹³². W PRL-u idąc tym tokiem rozumowania podjęto próbę wyhodowania w wielkopolskich Państwowych Gospodarstwach Rolnych tzw. żubronia – skrzyżowania krowy z żubrem. Zakładano, iż tonowy żubroń, żyjący przez cały rok pod gołym niebem, rozwiąże problem niedoborów mięsa i w-



Stara topola i pomnik Skrzeka i Wójcika

dlin, tak potrzebnych rodzinom hutników i górników. Nie pomogło też przyjęcie przez sejm PRL nowej ordynacji wyborczej. Odtąd prawo zgłaszania list posiadał jedynie Front Jedności Narodu, którego kierowniczą siłę stanowiła PZPR. Na nic zdały się nagrody „za upowszechnianie marksizmu-leninizmu i polityki PZPR” wręczane przez „Trybunę Ludu” ani meldunki o przekroczonych planach w kolejnych zakładach.

Jan Jończyk był już wówczas związany z Siemianowicami Śląskimi, co pozwoliło mu uniknąć ze strony wojewódzkich notabli nacisków, nazywanych często „zadaniami partyjnymi”. Mógł zająć się projektami bardziej użytecznymi społecznie. Uratował więc przed wyburzeniem strop i podłogi XVIII w. spichlerza przy ulicy F. Chopina. Postawił sprawę „na ostrzu noża” i zaangażował wówczas cały swój autorytet architekta wewnątrz¹³³. W siemianowickim Urzędzie Stanu Cywilnego, wspólnie z prof. Norbertem Witkiem, w głównej sali wykonał dwa malowidła ściennie. Były to *Alegorie miłości*. Ponadto robił duży projekt wewnątrz Biblioteki Miejskiej przy Alei Sportowców i Komitetu Miejskiego PZPR¹³⁴.

Dzięki niektórym pracom poznawał dzieje miasta i jego mieszkańców. Tak było w przypadku realizacji projektu pomnika Pawła Wójcika i Józefa Skrzeka. Wykonano tablicę z inskrypcją i ogrodzono płotkiem, Stanisław Barnaś zrobił liternictwo. Jan przy tej okazji poznał muzyka Józefa Skrzeka, bratanka bohatera i dzieje jego rodziny. Przeżył historię ludzi, którzy wzięli na swoje barki najwyższą odpowiedzialność w chwili najtrudniejszej i w czasach zagrożenia większego niż jakiegokolwiek, z którym musieli się zmierzyć w obliczu śmierci. Na pomniku zamieszczono słowa:

Ku wiecznej chwale Ojczyzny
Ku wiecznej hańbie Niemcom
W tym miejscu zginęli
Śmiercią bohaterską
Powieszeni przez
Zbirów hitlerowskich
Oficerowie WP A.K. Harcerze
Wójcik Paweł 25 lat – 18.XI.1941 r.
Harc mistrz Skrzek Józef 30 lat – 3.XII.1941 r.
Obywatele Michałkowic swym bohaterom



Stanisław Barnaś

Przy tym zleceniu przypominał sobie swojego ojca, uczestnika tej wojny. Dzięki znajomości jego losów, dawno prysł czar romantycznej przygody. W jego sercu nie było miejsca na pieśń „wojenko, wojenko”. Gdyż „Malowani chłopcy”, których nie zabiły szrapnele i kule wroga, ginęli tysiącami w sowieckich i niemieckich kaźniach od Auschwitz po Katyń, kolejnych stopniach ludzkiego piekła. Do niego też trafili P. Wójcik i J. Skrzek¹³⁵.

Z kolei popiersie Janka Krasickiego (1919-1943) wykonane w garażu Jana przez Staszka Barnasia¹³⁶ było pomnikiem ku czci antybohatera, młodego działacza



Aktyw pod pomnikiem Janka Krasickiego. Osiedle Młodych 1986 r.

komunistycznego zamieszanego m.in. w sprawę mordu dokonanego na polskich studentach Politechniki Lwowskiej przez NKWD. Komisarz Jusimow zorganizował „likwidacyjne zebranie” Bratniej Pomocy („Bratniaka”)¹³⁷, które odbyło się w dniach 15–20 X 1939 r. Jednym z przemawiających był na tym zebraniu prowokator J. Krasicki, II sekretarz Miejskiego Komsomołu we Lwowie. Większość obecnych na sali stanowili Żydzi i Ukraińcy. Polaków było mało; tzw. likwidacja odbywała się niezgodnie ze statutem, gdyż dokonywali jej nie członkowie. I znowu powtórzyła się sceneria podobna do egzekucji R. Traugutta. „Na sali orkiestra wojskowa NKWD grała marsze; nie wiedziano wówczas, że były to mundury NKWD. Za katedrą zasiadła grupa 6–8 osób, a wśród nich, jako zagajający Żyd rosyjski w skórzanej kurtce i skórzanym kaszkiecie, którego nie zdjął w czasie zebrania. Przedstawił się jako „komisarz Politechniki”. Był to tow. Jusimow, ppłk z zarządu politycznego Armii Czerwonej. Przemawiał po rosyjsku, wykazując, że teraz po upadku »jaśniepańskiej Polski« należy zlikwidować jej nadbudowę, tj. organizację studencką powołaną do gnębienia ludu pracującego. Za to wszystko, co było, odpowiedzialni są członkowie kierownictwa tej organizacji, którzy znajdują się na sali. Wyciągnięci przemocą z miejsc i bici, doprowadzeni zostali do mównicy, aby się tłumaczyli. Tam zostali znowu pobici i skopani, wreszcie wywleczeni przez członków orkiestry w mundurach na korytarz. W czasie, gdy orkiestra znów grała, słychać było wyraźnie strzały na korytarzu. Po zebraniu otworzono drzwi sali; wszyscy musieli przechodzić przez korytarz, a tam za ławkami w kałużach krwi leżeli zamordowani, wyprowadzeni uprzednio studenci. Oto nazwiska ofiar, które udało się ustalić: Ludwik Płaczek, stud. IV roku, członek Korporacji „Scythia”¹³⁸; Jan Płończak, stud. III roku, członek wydziału „Bratniaka”, również należący do korporacji „Scythia”, Henryk Różakowski, stud. IV roku, pochodzący z Wielkopolski”¹³⁹. Fakty powyższe były wówczas zupełnie nieznane nie tylko J. Jończykowi czy S. Barnasiowi lecz większości polskiego społeczeństwa. Na skutek zmian politycznych w 1991 r. pomnik J. Krasickiego usunięto z terenu siemianowickiego Osiedla Młodych. Analogicznie pomniki Janka Krasickiego zniknęły z przestrzeni publicznej innych miast, m.in. z Osiedla Młodych na granicy Wrzeszcza i Oliwy w Gdańsku, gdzie ciągle pojawiały się na nim napisy opatrzone czerwoną gwiazdą: „Janek do Moskwy”, „Krasicki zdrajca”, to te najdelikatniejsze. Pomnik był wyjątkowo nie lubiany przez miejscową młodzież.

Na szczęście większość powierzanych mu zleceń miała zupełnie inny charakter. Robił więc przede wszystkim projekty



Zarząd Korporacji Scythia. Lwów 1930 r.



Jan z córeczką Małgosią i Pawelkiem
Rakiem w Rabce

architektoniczne wnętrz, na długiej liście znalazły się:

- Budynki wczasowe w Jaszowcu, m.in. (Ośrodek Wczasowy „Leśnika”)
- Tychy Centrum (kinoteatr w Tychach)
- Fabryka Samochodów Małolitrażowych Tychy
- Uniwersytet Śląski - Aula Rectorska
- Nowy Budynek Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach - projekt malowidła
- Katowice kawiarnia w okolicy ronda,
- Załęże, restauracja (już zburzyli)
- Redakcja „Panoramy”
- Ośrodek Sportu i Rekreacji w Kamieniu koło Rybnika

- Monumenty architektoniczne

Ponadto J. Jończyk razem z S. Barnasiem promował Śląskie Zakłady Przemysłu Cukierniczego „Hanka” w Siemianowicach Śl. Między innymi na święto 22 Lipca obaj artyści malowali w niedzielę, na bocznej ścianie budynku przy drodze do Dąbrówki Małej (w pobliżu Błazaka, a dzisiaj PKO) reklamę fabryki słodkości, zawierającą informację z komunikatem perswazyjnym

skłaniającym do nabycia jej produktów. Podczas pracy przydarzył im się zabawny incydent - gdy stali na rusztowaniu usłyszeli komentarz: *zobaczysz, malyrze ale jakie mają auta: Reno 5 i Syrenka*.

Z kolei w Fabryce Nitów w Będzinie razem ze Staszkiem Barnasiem i Henrykiem Stępnem wykonał malowidło dekoracyjne, które istnieje do dziś. Jego współnik H. Stępień był znakomitym fachowcem i utalentowanym artystą, niestety dużo pił i wyrzucili go z Akademii Sztuk Pięknych. W zamian otrzymał posadę portiera w akademiku. Skąd też go wyrzucili. Rektorowi nie spodobała się tabliczka z napisem: *Były adiunkt ASP w Katowicach, magister sztuki, portier*. W Krakowie zakochał się na zabój w studentce, tracił dla niej wszystkie pieniądze. Tak więc praca z nim obfitowała w różne niespodzianki.

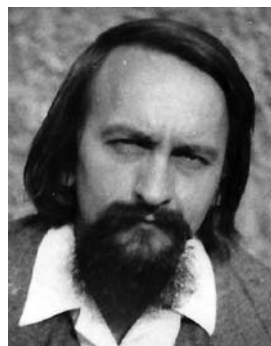
W 1982 r. Zdzisław Janeczek, Jan Jończyk i Stanisław Barnaś podjęli się realiza-



S. Barnaś z Jończykówną

cji wystawy „Tobie Polsko”, wówczas jeszcze w Izbie Tradycji, która mieściła się w starym spichlerzu na terenie zespołu parkowo-pałacowego. Zlecenie opracowania scenariusza i zebrania ikonografii otrzymał, od inspektora oświaty Stanisława Banarskiego, Zdzisław Janeczek. Była to forma ekspiacji historyka za grzech, jakim było zaangażowanie na rzecz „Solidarności”. Projekt poparło Towarzystwo Przyjaciół Siemianowic. Oprawę plastyczną mieli zapewnić: architekt wnętrz Jan Jończyk i artysta plastyk Stanisław Barnaś, jako specjalista od liternictwa. Cała trudność polegała na tym, iż był stan wojenny, w mieście rządził

komisarz, a i Miejski Komitet PZPR nie rezygnował z kontroli kultury. Od samego początku pojawiły się bardzo istotne rozbieżności dotyczące cezury czasowej i zakresu tematycznego. Władzy zależało na najnowszych dziejach ruchu robotniczego (wg linii PZPR) i uwypukleniu roli w mieście działaczy KPP, PPR i liderów PZPR, ze szczególnym uwzględnieniem bohaterów pracy socjalistycznej. Autor scenariusza położył akcent na odrodzenie narodowe na Górnym Śląsku, działalność TG „Sokół”, rolę księży (Antoniego i Hugona Stabików, Jana Kapicy i Aleksandra Skowrońskiego), rozwój polskiego czytelnictwa w ramach TCL, udział w walkach na frontach I i II wojny światowej, plebiscyt i powstania śląskie, Siemianowickie Towarzystwo Kupców Polskich, siemianowickie koło Związku Powstańców Śląskich, życie społeczne i kultura w okresie II RP oraz ruch oporu podczas II wojny światowej. Jeśli chodziło o czurę czasową – wystawa kończyła się na 27 I 1945 r. W odpowiedzi na przedstawiony scenariusz autor otrzymał wezwanie do Komitetu Miejskiego. Wobec niestawienia się „pozwanego” ustalono czas i miejsce spotkania na gruncie neutralnym tj. w Izbie Tradycji. Scenariusz był już w stanie zawansowanej realizacji. Gdy autor zjawił się na miejscu dowiedział się od Jana Jończyka i Stanisława Barnasia, że na dwie godziny przed umówioną godziną wystawę zlustrował z asystą Henryk Kuc, sekretarz d.s. propagandy Komitetu Miejskiego PZPR i skonfiskował wybrane eksponaty, będące prywatną



Mirosław Kiciński



Józef Antoni Kramarz



J. A. Kramarz: portret Waldemara Łaskiewiczza



J. A. Kramarz: portret Zdzisława Janeczka

własnością autora. Na indeksie znalazły się fotografie z międzywojnia oraz XIX-wieczne gazety, kalendarze i modlitewniki drukowane m.in. w Bytomiu i w mikołowskim „Katoliku” Karola Miarki, zabytki języka polskiego na Śląsku. Na szczęście spryt i jasność umysłu Jończyka i Barnasia zaowocowały uratowaniem wielu cennych dokumentów przeznaczonych na wystawę „Tobie Polsko”. Jak się później okazało wystawa została zamieniona na ekspozycję stałą, dała początek Miejskiemu Muzeum i cieszyła się dużym zainteresowaniem w ościennych miastach: Katowicach, Bytomiu, Chorzowie, Zabrze, a nawet w Gliwicach. Ponadto zapoczątkowała dobrą przyjaźń całej trójki realizatorskiej, na której władza zemściła się przyznając na otwarciu wyłącznie nagrody dla dyrektorów kluczowych zakładów pracy, które ofiarowały materiały biurowe, farby, kleje i listewki wykorzystane do przygotowania ekspozycji.

Mimo upływu lat Jan nie chciał się dać na zawsze „ukrzesłować” w biurze projektowym. Pociągał go plener. Pamiętał słowa prof. Batrucha, który mu kiedyś powiedział: „wpraw-



Pokłosie twórcze

stawach zbiorowych: BWA Katowice, Bielsko, Zeitz, Interart Poznań i w wystawach poplenerowych. Prace jego znalazły swoje miejsce w zbiorach instytucji państwowych oraz w zbiorach w kraju i za granicą. Pokłosiem ciężkiej pracy była wystawa *Pastele '94*¹⁴⁰. Przypomniał sobie dawne fascynacje Modiglianem i obrazem w czerni – *Wisielec*. Zaczął odwiedzać Kraków. Wspominał ostatnie spotkanie ze swoim mistrzem prof. Tadeuszem Kutermakiem. Doszło do niego w „Knajpie Cechowej”. Staruszek mówił, że go pamięta, usiedli przy jednym stoliku, zjedli obiad i wypili drinka. Zapłacił rachunek, bo profesor zapomniał portfela. Mieszkał jak dawniej na przy ulicy Dietla. Jan kiedyś w dobrych czasach bywał u niego w domu¹⁴¹.

Teraz wrósł w Siemianowice Śląskie. Spotykał się w tym mieście z artystami i ludźmi, którzy podobnie jak on słynęli z niezależnych poglądów i postaw. Była to arcywesoła gromadka, rozmiłowana w sztuce i politykowaniu: artysta ceramik Stanisław Barnas¹⁴², artysta malarz Józef Antoni Kramarz¹⁴³, rzeźbiarz Mirosław Kiciński¹⁴⁴ i historyk Zdzisław Janeczek¹⁴⁵. Dyskutowali więc o sztuce, władzy i prawach starożytnego mędrca Kautilji, a w szczególności o znaczeniu słów: „Wolność to ulga, którą przynosi gaszenie pragnienia”. Od czasu do czasu dołączał do nich Waldemar Łaskiewicz, plastyk miejski, absolwent katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakwie. Najczęściej przesiadywali w amfiteatrze, na tarasie „Parkowej” lub „Piasta”¹⁴⁶. Jednak najwięcej czasu spędzał ze Staszkiem Barnasiem, w jego pracowni. Były takie dni, że obrażeni na cały świat skręcali do baru, gdzie na mocno zakrapianej rozmowie potrafili spędzić czas do białego rana. Staszek kiedyś przy wódce zażartował, że Jan jest tak dobrze wychowany, że nawet otwierając puszkę sardynek, wcześniej puka trzy razy. I nie omylił się w swych ocenach. Po śmierci przyjaciela w 1986 r., Jan zaopiekował się jego synem Sławkiem¹⁴⁷.

Uciekając przed szarżyzną znalazł przyjemność w kolekcjonerstwie. Była to forma poszukiwania marzeń i po-

dzie skończyłeś architekturę wnętrz, ale twoją miłością jest malarstwo”. Podjął pracę projektanta wnętrz, ale zrobił to dla matki, która w 1986 r. zmarła. Wówczas znowu obudził się w nim wojownik toczący batalię ze sobą i światem. Zdecydował się na ucieczkę do wolności. Od 1986 r. do 1990 r. prowadził prywatną galerię sztuki „JJ”. Trzykrotnie brał udział w Międzynarodowych Targach Sztuki „Interart”. Zaczął znowu malować i wystawiać swoje prace. Brał udział w wystawach krajowych i zagranicznych m.in. w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku *Malarze Polscy na Fundusz Wspierania Kultury*. Otrzymał nagrodę na Międzynarodowym Biennale Pasteli w Nowym Sączu. Uczestniczył też w wy-



Odoczynek Artysty



Czarny Krucyfiks królowej Jadwigi

szerzenia własnych horyzontów. Dzięki tej pasji jego siemianowicki dom nabrał cech indywidualistycznych. Głównie obrazy, nabywał w różnych miejscach, czasami dostawał w prezencie, z dedykacjami od kolegów po fachu. Kiedyś w desie na Dworcowej w Katowicach były wystawione na sprzedaż trzy rysunki. Za pożyczone pieniądze kupił szkic J. Matejki *Bitwa pod Chocimiem* z dedykacją dr. Grzybowskiego, który ofiarował pracę Emmerlichowi, właścicielowi cukierni krakowskiej oraz Leona Wyczółkowskiego szkic przedstawiający *Czarny Krzyż Królowej Jadwigi* w Katedrze na Wawelu. Harasymowicz, uczestnik konkursu chopinowskiego nabył pozostałe prace. Zdobyć dostarczyła mu wiele radości, jaką ma w takim przypadku kolekcjoner. Niestety siemianowiccy włamywacze – złodzieje ukradli z domowej kolekcji najlepsze dzieła, m.in. J. Matejki *Bitwę pod Chocimiem* i Leona Wyczółkowskiego, rysunek *Czarnego Krucyfiksu królowej Jadwigi*.

Jako artysta i kolekcjoner pełnił swoją funkcję w społeczeństwie. Gromadził wiedzę dla przyszłych pokoleń. Był rzeczoznawcą Ministra Kultury i Sztuki. Nieprzypadkowo też dostał tytuł Zasłużonego Działacza Kultury. Jan Jończyk to także Laureat *Super Ochmana* i Mistrz Polski Wyższych Szkół Artystycznych w pchnięciu kulą (1963 r.). Pokonał wówczas faworyta zawodów Marka Perepeczkę (1942-2005), studenta wydziału aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, znanego odtwórcę roli Adama Nowowiejskiego w *Panu Wołodyjowskim* i tytułowego bohatera w serialu *Janosik*. Aktor mierzył 190 cm wzrostu, uprawiał wioślarstwo, koszykówkę i kulturystykę oraz zapowiadał się na wysokiej klasy zawodnika. Toteż gdy po latach obaj artyści spotkali się w Zawierciu, M. Perepeczko nie mógł nadziwić się, jak to się stało, iż przegrał z takim chuchrem. Wśród artystów Jan miał także konkurenta w osobie Władysława Hasiora (1928-1999), który nie tylko tworzył swoją awangardową sztukę obracając się „między diabłami, Madonnami, wiejskimi uroczystościami, świętami, kudłowatością zwierząt i codziennością”¹⁴⁸, ale na dodatek był znakomitym biegaczem na długich dystansach, mistrzem Polski na 10 km.

Karnawał „Solidarności”

Pokolenie lat 1980-1981 „poderwało się do wolności”, 13 grudnia przegrało bitwę, ale nie przegrało sprawy. Nadzieja, że los się odmieni nie wygasła. Tysiące ludzi włączyło się w działalność opozycyjną, na rynku czytelnictwa ukazały się setki tytułów pism i czasopism drukowanych poza cenzurą, zrodziło się niezależne radio, oświata i sztuka. Podziemna „Solidarność” nawiązując do tradycji poprzednich walk, kładła bezcenny fundament ofiar i krwi pod narodową przyszłość. W Walce korzystano z cennych wskazówek minionych pokoleń, jak z pracy Tadeusza Kościuszki *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?* Spisanej przez Józefa Pawlikowskiego



Portret Artysty

i wydanej w 1800 r. w Paryżu. Czyż kiedykolwiek indziej, aniżeli w 1980 r. zalecenia Naczelnika powstania 1794 r. były bardziej aktualne? „Naród żądający niepodległości potrzeba koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli nie ma tego czucia, jeżeli do utrzymania bytu swego nie idzie przez własne usiłowanie ale przez obce wsparcie lub łaskę, można śmiało przepowiedzieć, że nie dojdzie ani do szczęścia, ani cnoty, ani sławy [...] Polacy! Nie czekajcie na żadne okoliczności, nie oglądajcie się ani na wojnę, ani na pokój. Macie siły wielkie, użyjcie ich przeciw nieprzyjaciołom, a zwyciężycie. Dla wolności, dla sprawiedliwości, każdy moment jest przyjaznym, przy nich ludzie mężni stwarzają nowe okoliczności [...] nie możecie być rzetelnie wolnymi, jeżeli nie zyskacie niepodległości przez swoje własne usiłowanie”¹⁴⁹.



Jerzy Kropiwnicki

Jan Jończyk na kilka lat przed narodzinami NSZZ „Solidarność”, poprzez żonę Elżbietę, krewną i matkę chrzestną Pawła Kropiwnickiego, związał się z tą rodziną. W stanie wojennym otrzymał wiadomość, iż ojciec Pawła Jerzy, działacz „Solidarności”, skazany na 6 lat więzienia, był szantażowany przez SB groźbami kierowanymi pod adresem syna. J. Kropiwnicki w obawie o życie dziecka zwrócił się do Jana z prośbą o udzielenie Pawłowi schronienia. Rodzina ustaliła konspiracyjne hasło, które upoważniało łączniczkę do przekazania Pawelka jego nowym opiekunom. Ten pod gościnnym dachem Jończyków spędził kilka tygodni w Siemianowicach Śl. W tym czasie Jan, wrzucając chłopca na głęboką wodę, nauczył malca pływać na basenie kąpielowym w Pszczelniku¹⁵⁰. W długie wieczory stawiał

się kimś w rodzaju Szeherezady, która rzuca czar na straszliwą sułtankę. Starał się odwrócić uwagę dziecka od samotności i cierpienia, które kryło się za rzeczywistością stanu wojennego. I chociaż był artystą malarzem, jak widzimy zajmował się nie tylko swoimi obrazami.

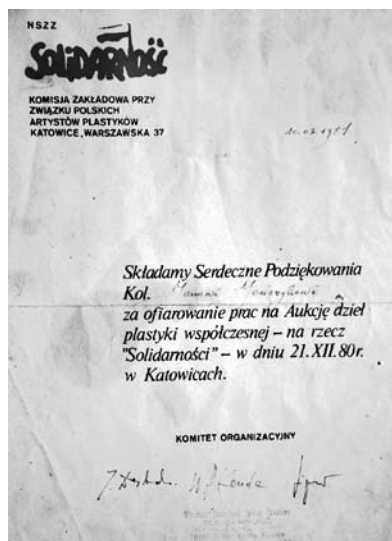
Jan do dziś wspomina dobrze swojego powinowatego, Jerzego Kropiwnickiego¹⁵¹, urodzonego w 1945 r. w Częstochowie, znanego polityka, ekonomistę i działacza opozycji w czasach PRL-u, ministra w kilku rządach, posła na Sejm I i III kadencji, w latach 2002–2010 prezydenta Łodzi, członka Rady Polityki Pieniężnej. Po zwolnieniu z więzienia przyjechał on do Siemianowicach Śl., by podziękować za opiekę nad synem. Rozmawiali m.in. na temat czy warto było tak cierpieć i poświęcać się dla sprawy. Obgadali też młodość, którą J. Kropiwnicki spędził we Włocławku w Liceum Ziemi Kujawskiej. A było co wspominać. Na szkolnej scenie uczniowskiego teatryku na gitarze grała Maryla Rodowicz, Danuta Waniek smętnie zawodziła „Plum, plum kanarek niepokieszony”, a konferansjerkę prowadził Jerzy Kropiwnicki. Opowiadał widowni śmieszne monologi, np. Juliana Tuwima o ślusarzu, któremu „holojsa nie ryksztosowała”. Innym razem wcielał się w sprawozdawcę *Wyścigu Pokoju*. W większości były to teksty pełne fantazji i humoru. Repertuar składano m.in. z tekstów kabaretu *Dymek z papierosa* albo monologów rezolutnego chłopca sołtysa Kierdziołka z Chłapkowic (Jerzego Ofierskiego) w *Podwieczorku przy mikrofonie*. W młodości, jak każdy chłopak, interesował się sportem. Między innymi takimi imprezami, jak *Memoriał Janusza Kusocińskiego*¹⁵², *Wyścig Pokoju* i mecze piłki nożnej. Skład I ligi znał na pamięć. Wiedział, na których zawodach Janusz Sidło rzucił oszczepem 81, a na których 85 m. Był to temat wspólny bo i Jan nie stronił od sportu.

Potem Kropiwnicki studiował na wydziale handlu zagranicznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Na jednym roku był z Markiem Borowskim,

dwa lata niżej studiował Józef Oleksy. Poznał też Danutę Huebner, która później została wyznaczona na recenzenta jego pierwszej książki ekonomicznej. Było więc kogo i co wspominać. Na uczelni został wybrany szefem wydziałowej „Solidarności”, był także rzecznikiem prasowym „S” w Łodzi, a jego zastępcą został Jacek Saryusz-Wolski, w przyszłości wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego. Był także członkiem Komisji Krajowej „S”, a w regionie – wiceprzewodniczącym „S” (wtedy przewodniczącym był Andrzej Słowik). Razem ze A. Słowikiem i Grzegorzem Palką zorganizował wielotysięczny marsz głodowy łódzkich kobiet w lipcu 1981 r. W nocy z 12 na 13 XII 1981 r. ze A. Słowikiem wracał do Łodzi z obrad Komisji Krajowej w Gdańsku. Rano wdarli się do siedziby Zarządu Regionu, chwilowo opuszczonej przez milicję. Zebranych pod budynkiem przez głośniki informowali o sytuacji i wzywali do strajku generalnego. ZOMO wyprowadziło Kropiwnickiego i Słowika pod broń. Za kontynuowanie działalności związkowej i kierowanie akcją protestacyjną Kropiwnicki został skazany na cztery i pół roku więzienia. Po rozprawie rewizyjnej w Sądzie Najwyższym wyrok zwiększono do sześciu lat. Siedział w więzieniach w Hrubieszowie i Barczewie. Głodował kilka razy, najdłużej w Barczewie – 57 dni. Od 23. dnia był dokarmiany siłą.

W okresie przełomu Jan śledził jego dalszą karierę i wypowiedzi dotyczące m.in. czasów „Solidarności”. Już jako minister, kierownik Centralnego Urzędu Planowania, mówił o głodówce: „Było tak mało pól, na których można było prowadzić walkę o godność, że nie mieliśmy wielkiego wyboru. Liczyłem się ze śmiercią, chociaż miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Andrzej Słowik na przykład był bardziej radykalny. Ja starałem się prowadzić tę głodówkę tak, żeby nie dodawać sobie udreki nad miarę, a o każdym karmieniu broniłem się”. Jończyk był również zgodny co do jego oceny stanu wojennego i strat moralnych jakie przyniósł on polskiemu społeczeństwu. Zdaniem Jerzego Kropiwnickiego: „16 miesięcy pierwszej wolności między 1980 a 1981 r. stworzyły unikalną atmosferę. Gdyby wtedy zaczęła się transformacja – uważał, że bylibyśmy mniej połamani. Bo wtedy wierzyliśmy, że to my, cały naród. I my, naród, zbudujemy piękną Rzeczpospolitą. Ale tak się nie stało, bo przyszedł stan wojenny. Bez pardonowo łamano wtedy ludzi zmuszając do podpisywania lojalek. Wielu nie wytrzymało. Donosili albo wyjeżdżali za granicę. Każdy z tych ludzi jest już bezpowrotnie stracony. Wyparował zapał, entuzjazm i naiwność, która też mogła być konstruktywna”. Kropiwnicki Janowi zaimponował tym w jaki sposób rozliczył się ze stanem wojennym. Wytoczył proces o odszkodowanie za pobyt w więzieniu. Za każdy dzień zażądał symbolicznej złotówki. Wygrał i przechowuje w domu symboliczne 900 zł. W lipcu 1984 r. został zwolniony na mocy amnestii. Wraz z Andrzejem Gwiazdą, Marianem Jurczykiem, Janem Rulewskim i Andrzejem Słowikiem. Od marca 1987 r. tworzył Grupę Roboczą Komisji Krajowej „Solidarności”, opozycyjną wobec Lecha Wałęsy. Był przeciwnikiem porozumień Okrągłego Stołu¹⁵³.

J. Kropiwnicki jako prezydent Łodzi utrwalił się J. Jończykowi w pamięci poprzez różne niekonwencjonalne działania. Pierwszego dnia na drzwiach napisał szminką: „Ten urząd będzie przejrzysty”. Urzędnikom zakazał rozmów z petentami w cztery



Podziękowanie dla J. Jończyka za ofiarowanie prac na Aukcję dzieł plastyki współczesnej – na rzecz „Solidarności” 21 XII 1980 r.



J. Jończyk: *Upadła Walewska z czarną...*
Morsko, rzeźba ogrodowa

oczy, obciął o 30 proc. wynagrodzenia prezesom spółek gminnych, twierdząc, że kiedy podatnikom źle się dzieje, prezesi nie mogą opływać w dostatki. Do pracy chodził pieszo gdyż sprzedął prezydencką limuzynę, a pieniądze przeznaczył na cel charytatywny. Ale jednocześnie kazał kupić kilkanaście stylowych wyściełanych foteli z wysokimi oparciami – nazwanych od razu „tronami”. Do każdego przytwierdzono tabliczkę z wygrawerowanym napisem: „Prezydent Miasta Łodzi”. Bo na każdym kroku podkreślał powagę tego urzędu.

Jako duszę domu Prezydenta Miasta Łodzi, Jan postrzegał Halinę, przez bliskich nazywaną „Maliną”, matkę Pawła, dziś doktora nauk medycznych i ojca Michała oraz Stasia. Tak się skończyła przygoda J. Jończyka z „Solidarnością”, której sympatykami i członkami było wielu jego znajomych i przyjaciół, m.in. Stanisław Barnaś, Mirosław Kiciński, Józef Antoni Kramarz i Zdzisław Janeczek. W te długie, pełne napięcia dni oczekiwania i niepokoju, czasu stanu wojennego, starał się pomagać

innym. Przeznaczał wiele swoich obrazów na rzecz „Solidarności” oraz na aukcje charytatywne prowadzone przez Wiesława Ochmana.

Po latach, gdy większość zapomniała o etosie „Solidarności” i naukach społecznych Jana Pawła II, a J. Kropiwnickiego zmogła choroba, walczy z depresją. Wychodzi z domu, by obserwować ludzkie mrówki, które biegną załatwiać swoje sprawy, i zastanawia się, po co to robią? Żałuje też, że nie zachował korespondencji z tamtych lat, m.in. z J. Kropiwnickim.

Zakończenie

Niezwykłe przystojny, o czarującym sposobie bycia. Miał wszystko: urodę, talent, wychowanie i zachowanie. Wyróżniał się imponującą męską sylwetką zachwycającą jego wielbicielki. Obiekt westchnień co najmniej dwóch pokoleń pań wpatrzonych w jego szaro-niebieskie oczy. Miał w sobie coś nieuchwytnego, co działało na kobiety. Urok i specyficzny wdzięk. Twarz o nieregularnych rysach, obdarzony charyzmą, która gwarantowała mu powodzenie. Wysportowany. Jak mawiał Staszek Barnaś, miał warunki na „Narcyza”. Jednak przez całe życie powtarzał, iż „jak się ma krzywą gębę, to nie jest to wina krzywego lustra”. Uchodził za zwierzę towarzyskie. Gustował w kobietach z klasą. Imponował dowcipem sytuacyjnym, co w licznym gronie było znaczącym atutem. Nigdy niczego nie ganił wprost, mówił tylko robisz to świetnie, ale – i wtedy zaczynał analizować, przekonywać i naprowadzać na popełnione błędy. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak werwa, dowcip i wesołość Jana przyciągała ludzi¹⁵⁴.

Żarty i gusta Jończyka, np. w temacie kobiet, znalazły odbicie w malarskim pastiszu wzorowanym na francuskim dadaïście Marcelu Duchampie (1887-1968), autorze reprodukcji *Mona Lizy* pędzla Leonarda da Vinci, którą przyozdobił prowokującymi wąsami i kozią bródką. Wybranką Jana stała się jednak młodsza i piękniejsza od Giocondy, Cecylia Gallerani (1473-1536), kochanka władcy Mediolanu księcia Lodovico Sforzy, kobieta wykształcona, słynąca z dysput filozoficznych, biegle władająca łaciną i starożytną greką, uważana za jedną z najwybitniejszych włoskich poetek tego okresu,

znana jako *Dama z gronostajem*, sportretowana przez mistrza z Vinci. W Morsku nad łóżkiem artysty wisi kopia jej portretu sygnowana literami: L.H.O.O.Q. Tytuł ten jest w zasadzie grą słów. Litery L.H.O.O.Q. wymawiane we francuskim języku brzmią jak zwrot „Elle a chaud au cul” (el af o o ky), co dosłownie da się przetłumaczyć: „masz gorący tyłek” – co oznacza też „jesteś bardzo podekscytowany”. Powyższy skrót można również odczytać jako angielskie słowo „look” (patrz). Portret Cecylii Gallerani, to przykład jednej z form humorystycznych zabaw słowem i obrazem, stosowanych przez „miłującego śmiech” Jana.

Warto ten wizerunek Jończyka skonfrontować z wyobrażeniem poetki Kazimieri Hłakowiczówny o statystycznym Janie zawartym w jej *Obrazach imion wróżebnych*:

Harmonia szans z zamiarami, jaką u innych się spotyka;
wykwint w ubraniu, staranność od czubka głowy aż do bucika
prawie zbyt wielka. Często zdolności malarskie i muzyczne.
Nieraz, przy brzydkiej twarzy, uszy, ręce i stopy prześliczne.

Zwykle typ Jana Ewangelisty lub Chryzostoma, rzadko przypomina Chrzyciciela;
Cierpi na przerost uczucia, z czym kryje się starannie, jakby nosił haniebne znamię,
i jeśli ciężar nieszczęścia właśnie na tym sła-
bym oprze się sercu, to życie Janowi łamie.

Dlatego unika uczuć instynktownie, powierza się przy-
padkowi lub mądrze uknutej kombinacji:
ucieka od miłości, żeni się z rozsądku i może dobrze czyni, a może nie ma racji.

Autorka słów o Janie miała dużo racji, wyjąwszy „brzydką twarz” oraz talent muzyczny i literacki Jończyka.

Lubił ruch, wysiłek fizyczny, a także zupełne oderwanie od zwykłego codziennego trybu życia. Temu celowi służyły okolice ruin zamku na skalistym wzgórzu, w średniowieczu nazywanym Bąkowcem, między Morskiem a Podlesicami. W Morsku, w głębi ogrodu była jego samotnia (pracownia) i cała jego dusza. Tutaj pośród swoich obrazów, ogrodowych rzeźb i pożyczonych książek mieszkał jego mózg, kiedyś rodziły się wszystkie nowe pomysły teraz odżywały tylko wspomnienia. Zastanawia się czym jest samotność?

Śmierć Salomei z Bańskich Jończykowej (1902 – 5 III 1986), kluczowej postaci w życiu Jana było bolesnym doświadczeniem. Matka była dla niego nie tylko dawczynią życia, chodzącą miłością, ostoją spokoju, ale i nauczycielką i przewodnikiem. We wspomnieniach zachował ją jako osobę nadzwyczajną, ciepłą, dobrotliwą, tolerancyjną, ukochaną, będącą uosobieniem dobroci. Wzruszał się słowami wiersza ks. Jana Twardowskiego (1915-2006) *Ręce*. Tęskniąc, powtarzał za poetą – „dziękuję Ci za”:

Twoje ręce – Mamusiu,
dobre jak szafirek po deszczu
jak czajki towarzyskie
przyniosły mnie na świat
kołysały
ustawiały na podłodze



J. Jończyk: *Napoleon*. Morsko, rzeźba ogrodowa



Artysta w Morsku



Morsko, rzeźba ogrodowa



Kapliczka wykonana z framugi barokowego kościoła w Radecznicy

sadzały na stołku
mówiły, że motyl dzwoni
że młodych grzybków nie sposób rozeznac
uczyły trzymać łyżkę by nie trafiała do ucha
rozróżniały klon od jaworu
prowadziły przy oknie po ciemku
po ziemi co czarniej jak szpak
suche i ciepłe
za słabe
żeby wprowadzić mnie z tego świata.

Śladem bliskich relacji z matką jest jej obfita korespondencja z synem, gdy studiował w Krakowie i obrazek-okienko, do którego artysta, na zasadzie kolażu wkleił mały drewniany krzyżyk, który Salomea nosiła w dzieciństwie.

Odtąd będzie już żył w coraz większym stopniu wspomnieniami o mamie, o ojcu i ciepłej kochającej babuni. Gdy będzie mu za mało rodzinnych pamiątek zapragnie wiedzieć więcej. Zacznie przeglądać stare fotografie, akty chrztów, małżeństw i zgonów, a gdy przymknie oczy widzi wszystkich co odeszli, jak żywych. Częściej odwiedza grób rodziców w Poraju, zapowiadając, iż rychło znów będą razem. Chce mieć nekrolog podobny do nekrologu zmarłego 9 III 2001 r. przyjaciela, prof. Norberta Witka (1940-2001), byłego Dyrektora Instytutu Wychowania Plastycznego Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Kierownika Zakładu Teorii Sztuki. Był przy umierającym, który zadedykował mu wówczas, jako koledze ze studiów¹⁵⁵, swoją książkę *Wiedza zatroskana*, której problematyka dotyczyła filozofii sztuki i była testamentem wybitnego artysty, inspirowanego przez F. Zurbarana, F. Goyę i F. Bacona. Interesowała go tematyka religijna i był m.in. pod wrażeniem *Piekle* mistrza Hieronima Boscha (ok. 1450-1516), stanowiącego fragment tryptyku zatytułowanego *Ogród ziemskich rozkoszy*. Jako człowiek głęboko wierzący powiedział Janowi w szpitalu: „Idę do lepszego świata”. Jego śmierć przeżył głęboko, a podarowaną książkę przechowuje z nabożną czcią niczym relikwią.

Przy różnych okazjach cytuje Cybisa. Podkreśla, że wciąż jest pod wrażeniem sztuki Hanny Rudzkiej-Cybisowej, którą opisuje słowami „talent bez szkoły”.

Jednak żywotność twórcza Michała Anioła (1475-1564) i Pabla Picassa (1881-1973) okaza-

ły się dla Jana niedościgłym wzorem. Nie miał ich kondycji fizycznej, a piętą Achillesową stały się oczy. Raczej szedł tropem Flamanda Jacoba Jordaensa (1593-1678), którego drogę twórczą i zmagania z procesem starzenia opisał w zbeletryzowanej biografii Wacław Holewiński. *Droga do Putte*¹⁵⁶. Fabularyzowana biografia wybitnego XVII-wiecznego malarza z Antwerpii Jacoba Jordaensa, już za życia uważanego za drugiego po Rubensie mistrza szkoły flamandzkiej, pokazuje jakie ograniczenia aktywności niesie przemijający czas. Gdy był w pełni sił malował sceny rodzajowe, obrazy mitologiczne i religijne. Najbardziej znane dzieła J. Jordaensa to: *Król pije* (w kilkunastu różnych wersjach), *Czterej Ewangelisci*, *Artysta i jego rodzina w ogrodzie*, *Święto fasolowe*. Później coraz większą rolę odgrywali w pracowni uczniowie mistrza, którzy korygował ich prace. W. Holewiński wiarygodnie i realistycznie przedstawił domowe i zawodowe życie mistrza. Czytelnik poznaje emocje, uczucia, cele i motywy postępowania głównego bohatera oraz proces starzenia i utraty mocy twórczej, której towarzyszy śmierć najbliższych, a na koniec własna. Proces, któremu poddany jest każdy twórca zgłębiał także Zbigniew Kuchowicz w pracy *O biologiczny wymiar historii*¹⁵⁷. Dzieło to w intencji autora miało być początkiem nowego spojrzenia na historię. Historię podejmującą wpływ fizjologii człowieka na dzieje i możliwości twórcze. Autor proponuje połączenie historii z naukami ścisłymi, aby osiągnąć jeszcze pełniejszy obraz przeszłości. Opisuje on m.in. duchowy stan twórcy w podeszłym wieku, dotyczy zagadnień egzystencjalnych nurtujących także J. Jończyka, jak: przemijanie, starość, samotność, nieuchronność śmierci, trudności ze znalezieniem sobie miejsca, niemoc twórcza, złe samopoczucie. Nie potrafi już malować, czuje się wypalony i mówi o sobie były Artysta! Wydaje się, iż w tej materii podziela zdanie Scypiona, który przytacza utyskiwania ludzi w podeszłym wieku o znienawidzonej starości, która przyszła zbyt szybko i odczuwa ją „jak ogromny ciężar, większy od Etny”.

Na usprawiedliwienie J. Jończyka warto wyliczyć cztery przyczyny, które według pisarza i mówcy rzymskiego Marka Tulliusza Cicerona (106 p.n.e. – 43 p.n.e.) sprawiają, że ludzie uważają starość za nieszczęśliwy okres życia:

- oddala nas od życia czynnego
- osłabia siły fizyczne



Artysta na ganku daczki w Morsku



Autoportret z Maksimem



Agat



Katedra w Lukce

- pozbawia nas wszystkich zmysłowych przyjemności
- bliska jest śmierci.

Zaprzeczał jednak temu sam Cyceron, twierdząc, iż starzy ludzie mogą służyć rozumą, rozumem i mądrym słowem. Ponadto wyliczał wielu wybitnych pisarzy i filozofów greckich oraz rzymskich, którzy pod koniec życia nadal tworzyli. Z kolei Marek Porcjusz Katon Starszy (234 p.n.e. – 148 p.n.e.) dawał wskazówki, jak walczyć ze słabościami, jakie

niesie starość. Jako autor dzieła *O gospodarstwie wiejskim*, zachęcał ludzi starszych do osiedlania się na wsi. Śmierci zaś powszechnie przeciwstawiano w starożytności platońską koncepcję nieśmiertelności duszy. Jończykowi gospodarstwo wiejskie zastępuje Morsko, a spotkania z zaprzyjaźnionymi księżmi są okazją do rozważań o duchowości człowieka. Takim wyjątkowym miejscem pogłębionej refleksji „byłego Artysty” okazał się m.in. stary kościółek w Skarżycach, nieopodal Morska. Nie przypadkowo w jego pustelni w Morsku w wielu miejscach napotykamy święte obrazy i kapliczki, takie polskie, jakie można odnaleźć pod Opolem, Pińskiem, w Kamieńcu Podolskim i pod Krakowem. To one odmierzały czas w skali ludzi i Boga. Dla wielu stanowiły nadzieję przetrwania. Wiemy, że te święte znaki były niszczone z równą zaciętością przez zaborców i wyzwolicieli. Dla Jana zaś wtopione w krajobraz były kołyską wszystkiego co później nazwano „rodzimością naszej sztuki”. Urzekła go królowa Tej Ziemi, Madonna z Dzieciątkiem.

Mimo chwil słabości potrafi się jeszcze poderwać do ostatniego „Lotu Orła”. Odwiedził Paryż, mekkę malarzy, skąd wrócił zachwycony miastem, w którym tworzył m.in. jego idol Amadeo Modigliani. Wyprawa do włoskiej Toskanii, gdzie ukształtowała się sztuka renesansu, zakończyła się m.in. pobytem w Lukce, rodzinnym mieście kompozytora Giacomina Pucciniego i Elizy Bonaparte, siostry cesarza Francuzów. Tam m.in. podziwiał katedrę i Madonnę z Lukki van Eycka. Wówczas zapragnął udać się do Hiszpanii ojczyzny Goi, Picassa, Dalego i tam założyć własną pracownię. Jako dla pejzażysty najmocniejszym walorem tego miejsca na świecie było światło! Jednak po tych chwilach uniesienia nastąpiło przebudzenie.

Jan nie mogąc już malować, czyta z uśmiechem wpis do książki pamiątkowej na jednym z ostatnich swoich wernisaży:

Gdy był młody malował gołe piczki.
Teraz już tylko kapliczki.

I wciąż zastanawia się jaki będzie dzień jutrzejszy. Są takie, gdy z zaciekawieniem patrzy w oczy wnuka i myśli do kogo są podobne. Wiosna pachnie mu intensywnie jaśminem i bzami. Gdy córka Kasia wyjeżdża na urlop do Grecji i pyta czy jednak



Jan van Eyck; Madonna z Lukki

nie powinna zostać w kraju? Mimo, iż lęka się jej nieobecności, prosi o kartkę z Korfu z jońskimi kolumnami. Tęskni za rodzicami, za dziećmi, za minionym życiem. Katarzyna niczym „kuszące bóstwo” próbuje odwrócić jego myśli od przeszłości ku przyszłości. Prosi więc by pendolinem robił jednodniowe wycieczki do Warszawy. Z Królewskiej Skarpy podziwiał widoki i jadał obiady. On jednak będzie podczas jej nieobecności odwiedzał przychodnie medyczne i skupiał uwagę na potężnych kobietach (jak z obrazów Kutermaka), które kiedyś zapewne były zgrabnymi dziewczynami dopóki nie padły ofiarami przemijania. Potem z receptami zamiast do apteki uda się do ulubionej kawiarni, gdzie zgrabna kelnerka podawała kawę. Z wielką chęcią przymruza oczy: ma piękne włosy i wspaniałą karnację, bosko harmonijne ciało. Była prześlicznym zjawiskiem emanującym czarem kobiecości. Gdy znikła przypomniał sobie o starzejącym się Maksiu, co nocą skrobie, by go wypuścić na dwór. Snuje plan żeby w kamienicy przy ulicy 3 Maja 19, gdzie zajmuje całe piętro, przygotować dla przyjaciela specjalne lokum na parterze. Tam przebić przejście dla Maksia, który już nie może wdrapać się po schodach, by mając czipa w obroży sam mógł o każdej porze dnia wychodzić na podwórze.

Mówiąc o relacjach artysty ze światem zewnętrznym nie można pominąć jego czworonożnych przyjaciół. Pies był dla Jończyka zawsze symbolem bezinteresownej miłości i bezgranicznego oddania. Rozpraszał samotność i pozwalał zapomnieć o rozpędzonym świecie, był częścią natury, czułością i śmiechem.



J. Jończyk: *Kapliczka*

Zawsze w jego życiu pojawiał się przedstawiciel tego gatunku i odgrywał znaczącą rolę. W Siemianowicach Śl. był to pies Murzyn, który gdy urodził sześć szczeniąt okazał się suką. Później pojawił się Agat, owczarek niziny o imieniu rodowym Rufin, syn Amoka, czempiona Francji. Pan jeździł z nim na wystawy. Niestety ukradli mu go Niemcy. Ostatni z nich, jamnik Maksio, spędził pod dachem artysty 17 lat. „Największy przyjaciel, kochał Pana zażarcie” tj. za jedzenie, został uwieczniony na dwóch pastelach, i dwóch akrylach stalugowych. Trudno sobie wyobrazić smutek Jana gdy jego przyjaciela zmogła nieuleczalna choroba.

Nigdy jednak nie wiadomo co i kiedy poruszy w Janie jego dawnego ducha buntu i przekory oraz wzbudzi ciekawość eksperymentatora. Zawsze można trafić na ciszę przed burzą. I tak w Morsku zafascynowany widokiem z ciemnego pokoju daczki, prosił autora niniejszego eseju, aby zrobił fotografię ukwieconego ogrodu przez otwarte drzwi, pod mocne słoneczne światło. Na uwagę, iż to wbrew kanonom sztuki fotograficznej z uśmiechem odpowiedział: „I oto właśnie chodzi”.

Podsumowaniem dorobku życiowego był siemianowicki finisaż Jana Jończyka. Jego otwarcie nastąpiło w trakcie Europejskiej „Nocy Muzeów”, tj. w dniu 14 V 2016 r.



Prezydent Siemianowic Rafał Piech, na finisażu w Muzeum Miejskim, wręcza dyplom uznania dla Artysty

Ekspozycja dorobku spotykała się z entuzjastycznym przyjęciem przez licznie zgromadzoną publiczność. Obecny na finisażu Prezydent Miasta Rafał Piech złożył na ręce Mistrza serdeczne podziękowania za to ważne dla miasta wydarzenie artystyczne, wyrażając uznanie dla bogactwa pomysłów twórczych, kolorystyki i siły wyrazu zawartych w eksponowanych pracach.

Jan Jończyk, jako mieszkaniec Siemianowic Śląskich, aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym miasta, m.in. udzielając się od lat 60-tych minionego wieku w Towarzystwie Przyjaciół Siemianowic Śl. oraz inicjując wiele znaczących przedsięwzięć artystycznych. Dzięki jego staraniom mogli razem tworzyć na wspólnych plenerach artyści z dwóch różnych środowisk: Zawiercia i Siemianowic Śl. Warto także podkreślić, iż finisaż miał miejsce w starym XVIII-wiecznym spichlerzu, do którego ocalenia m.in. przyczynił się jego bohater. Teraz po dłuższej nieobecności, przeżywszy w drodze powrotnej wiele przygód, wraca do Siemianowic Śl. niczym Odyseusz do Itaki, tym razem jednak już na stałe.

B I B L I O G R A F I A :

ŹRÓDŁA RĘKOPIŚMIENNE

Archiwum Rodzinne Jana Jończyka:

- Szkicowniki i notatki Artysty
- Relacje i wspomnienia Jana Jończyka
- Relacje i wspomnienia Alfredy Barnas
- Relacje Jacka Kicińskiego
- Korespondencja Jana Jończyka z Salomeą z Bańskich Jończykową
- Testament Julianny Jończykowej
- Dokumentacja ikonograficzna Jana Jończyka
- Dokumenty rodzinne: akty zgonów, ślubów i urodzin, dyplomy i wyróżnienia, katalogi

ŹRÓDŁA DRUKOWANE I OPRACOWANIA

Jan Jończyk PASTELE '94. [b.m.i.r.w]

Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka. Zawiercie 2012

Sztuka wymaga pokory. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2

Jan Jończyk. Obrazy i pastele. Wernisaż 14 IV 2012 roku. Katalog wystawy. Zawiercie 2012

Z. Janeczka: *Czasy „Solidarności”. Siemianowickie druki niezależne oraz tzw. drugi obieg w latach 1980-1989.* Siemianowice Śląskie 2005

Z. Janeczka: *Od Sancowic do Siemianowic. Szkice z dziejów miasta i okolic.* Katowice 1993

Z. Janeczka: *Siemianowicki słownik biograficzny.* Katowice 1996

Z. Janeczka: *Bytkowskie szkice historyczne.* Siemianowice Śląskie 2009

Z. Janeczka: *Stanisław Barnas (1935-1986). Człowiek – Artysta i jego czasy.* „Rocznik Muzealny” 2015/14, s. 95-162

Z. Janeczka: *Mirosław Kiciński (1943-2004). Człowiek – Artysta i jego czasy.* „Rocznik Muzealny” 2014/13, s. 41-112

Z. Janeczek: *Jak zostałem historykiem*. Siemianowice Śl. 2017, ss. 212

Z. Janeczek: *Towarzystwo Przyjaciół Siemianowic Śląskich w świetle historii*. „Rocznik Muzealny” 2016/15, s. 7-111

PRZYPISY:

1 S. Zieliński: *Bitwy i potyczki 1863-1864*. Na podstawie materiałów drukowanych i rękopiśmienne Muzeum Narodowego w Rapperswilu. Rapperswil 1913, s. 173.

2 H. Florkowska-Frančić: *Bracia Żulińscy – powstańcze losy, doświadczenia, tradycje*. Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio F. Historia 48. Lublin 1993, s. 225-242

3 Tamże.

4 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

5 Żołnierz z oddziałów armii polskiej utworzonej w czasie I wojny światowej przez generała J. Hallera we Francji.

6 Róża Potocka 1. voto Krasieńska, 2. voto Raczyńska (1849-1937), działaczka społeczna, córka Adama Józefa Potockiego i Katarzyny z Branickich. W wieku 18 lat wyszła za mąż za Władysława Krasieńskiego, syna Zygmunta. Po śmierci męża w 1873 r. przeprowadziła się z chorymi na gruźlicę dziećmi (Adamem, Elżbietą i Zofią) do Zakopanego. W 1876 r. poznała Edwarda Aleksandra Raczyńskiego, mimo obustronnego zainteresowania do oświadczyń nie doszło, ponieważ Różę ubiegła jej szwagierka Maria Beatrix Krasieńska. Po śmierci Marii w 1884 r. Róża zaopiekowała się ich osieroconym synem Karolem. W 1886 r. poślubiła Edwarda Raczyńskiego. W 1889 r. urodził się syn Roger, a w 1891 – Edward. Uratowała majątek w Rogalinie przed bankructwem.

7 *Na skraju Imperium i inne wspomnienia*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa, 2014, wybór i układ tekstu Michał Jałowicki; (tom zawiera pozycje uprzednio wydane: *Na skraju imperium*, *Wolne Miasto*, *Requiem dla ziemiaństwa*).

8 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

9 Tamże.

10 Aleja Lipowa z XVII w. prowadziła do szlacheckiego gniazda. Dworek niestety 19 VI 1978 r. spłonął doszczętnie. Pożar zatarł ślady po ostatnich chorońskich dziedzicach.

11 Od 1993 r. jest ona własnością Gminy Poraj, a Rozporządzeniem Wojewody Częstochowskiego została uznana za pomnik przyrody. Liczyła wówczas 29 sztuk wiekowych lip, w tym 18 szt. lipy drobnolistnej i 11 szt. lipy szerokolistnej; w 2006 r. dosadzono nowe lipki w miejsce ubytków (z tego rośnie obecnie ok. 35 młodych drzew).

12 Choroń, dawna wieś szlachecka, istnieje ponad 700 lat. W 1294 r. biskup krakowski Jan Muskata, dał ją w dziedziczne posiadanie rycerzowi Hynko z Dubu. Od wieków, obok Choronia, przebiegał trakt handlowy Kraków – Żarki – Częstochowa – Kalisz, który od XIV w. był również i jest nadal drogą dla pielgrzymek, zdążających do Jasnogórskiej Madonny. Najstarsza wieś w gminie, przez wieki była znacząca nie tylko ze względu na położenie przy szlaku ale również na pozyskiwanie dóbr naturalnych takich jak kamień wapienny i rudy żelaza. W XVII w. powstał kościół przebudowany w XX w., wielki udział w tym miała rodzina Bylińskich która to w latach 1903-1913 sfinansowała remont kościoła. Potem na ofiarowanych przez rodzinę gruntach wybudowano plebanię, organistówkę i zabudowania gospodarcze. Bylińscy przekazali także grunty orne jako uposażenie plebani i wydzielili parcele pod założenie cmentarza grzebalnego. Dzięki temu w 1916 roku powołana została w Choroni samodzielną parafia. Erygował ją w czerwcu tegoż roku biskup kielecki Augustyn Łoziński. Tadeusz Byliński zasłużył się dla wsi nie tylko jako propagator nowoczesnego rolnictwa ale także jako organizator życia społecznego. Dzięki temu w Choroni w 1926 r. powstała Ochotnicza Straż Pożarna która dostaje ziemię pod budowę remizy oraz środki na zakup podstawowego sprzętu dla OSP czyli: pompę ręczną, węże i konny wóz bojowy. W 1919 założono w Choroni Spółdzielczą Kasę Kredytową, która liczyła 76 członków.

13 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

14 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

15 Tamże.

16 Jego miejsce spoczynku znajduje się na złotopotockim cmentarzu u stóp Wilczej Góry, wśród żołnierzy, broniących ojczyzny przed niemieckim najeźdźcą.

17 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

18 Anna Rudawcowa (1905-1981), właśc. Anna Rudawiec, z domu Okuszek-Boska, herbu Leliwa;

urodzona w Dorpacie; poetka, pisarka, aktorka, nauczycielka, działaczka patriotyczna. Przed II wojną światową publikowała swoje prace w czasopismach dla dzieci *Płomyk* i *Płomyczek*. W międzywojniu mieszkała w Grodnie. W 1940 r., po aresztowaniu męża, zesłana z dwójką dzieci do Kraju Altajskiego w ZSRR, następnie po podpisaniu przez gen. W. Sikorskiego z J. Stalinem porozumienia znalazła schronienie w Atbasarze gdzie tworzyła i wystawiała inscenizacje patriotyczne dla rodaków. W tym czasie powstał cykl wierszy o tematyce zesłańczej. Po śmierci gen. Sikorskiego (1943 r.) ponownie została aresztowana i przeniesiona do Kuszmuruna, potem (w 1944) do Karagandy. W 1946 r. wróciła do Polski i osiedliła się wraz z mężem i dziećmi w Gliwicach. Przez władze komunistyczne została uznana za wroga klasowego w wyniku czego przez wiele lat jej utwory znajdowały się na indeksie i nie były dopuszczane do druku. W tej sytuacji pisała wiersze dla dzieci oraz wiersze religijne. Odznaczona pośmiertnie Krzyżem Zesłańców Sybiru.

19 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

20 Tamże.

21 Oddział AK „Ponurego” przeprowadził 10 VII brawurową akcję. J. Kurpiński dowodząc dziesięcioma żołnierzami z plutonu Władysława Musialika, ps. „Bolesław” dokonał ataku na obóz szkoleniowy Wehrmachtu w Myszkowie. Przeprowadzono ją we wczesnych godzinach porannych. Gdy po sygnale pobudki Niemcy ustawili się do apelu – partyzanci otworzyli ogień. Bilans akcji to 3 rannych partyzantów i aż 70 zabitych (niektóre źródła podają 68) oraz 158 rannych Niemców. W wyniku tej operacji obóz przeniesiono w głąb Rzeszy.

22 Ranny w rozpoczętej 7 VII 1944 r. operacji „Ostra Brama”, której celem było wyzwolenie Wilna spod niemieckiej okupacji. 9 VII M. Kalenkiewicz, gorączkujący, z niezagojoną po amputacji prawej ręki raną, zameldował się w kwaterze płk. Aleksandra Krzyżanowskiego, ps. „Wilk”, w Wołkorabiskach. W czasie, kiedy porozumienie z Armią Czerwoną wydawało się możliwe, planowano mianowanie go dowódcą 77 Pułku Piechoty, który miał być częścią samodzielnego polskiego korpusu walczącego u boku Rosjan. Nie było go w Boguszach, kiedy Rosjanie aresztowali przybyłych na odprawę oficerów AK. W czasie narad w Puszczy Rudnickiej, gdzie schroniły się po aresztowaniu części oficerów polskie oddziały, mjr M. Kalenkiewicz reprezentował pogląd, że należy kontynuować działalność partyzancką i konspiracyjną na terenach wschodnich. Nie zamierzał podejmować walki z Armią Czerwoną, ale uważał, że obecność oddziałów AK na tym terenie konieczna jest zarówno ze względów propagandowych, jak i w celu podbudowania morale i ochrony ludności.

23 Przez pół wieku pole bitwy pod Surkontami i zbiorowa mogiła żołnierzy AK mjr. M. Kalenkowicza służyła jako kołchozowe pastwisko i była pokryta skorupą krowiego łajna.

24 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

25 S. Kalbarczyk: *Sowieckie represje wobec polskiego podziemia niepodległościowego ... na przełomie 1944 i 1945 roku*. „Pamięć i Sprawiedliwość” 2002, t. 1, nr 2, s. 151.

26 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

27 Tamże.

28 Ł. Ciepliński: „Widzisz Synku – z Mamusią modliliśmy się zawsze, byś wyrósł ku chwale idei Chrystusowej, na pożytek Ojczyźnie i nam na pociechę. Chciałem służyć Tobie swoim doświadczeniem. Niestety to może moje ostatnie do Ciebie słowa. W tych dniach mam zostać zamordowany przez komunistów za realizowanie ideałów, które Tobie w testamencie przekazuję. O moim życiu powie Tobie Mamusia, która zna mnie najlepiej. W tej ciężkiej dla mnie godzinie życia świadomość, że ofiara moja nie pójdzie na marne, że niespełnione sny i marzenia nie zamkną nieznana mogiła, ale że będziesz je realizował Ty, jest dla mnie wielkim szczęściem. Będę umierał w wierze, że nie zawiedziesz nadziei w Tobie pokładanych. Do serca Cię tulę i błogosławię. Bóg z Tobą.

20 I 51. Andrzejku! Wymodlony, wymarzony i kochany mój synku. Piszę do Ciebie po raz pierwszy i ostatni. W tych dniach bowiem mam być zamordowany. Chciałem być Tobie ojcem i przyjacielem. Bawić się z Tobą i służyć radą i doświadczeniem w kształtowaniu twego umysłu i charakteru. Niestety okrutny los zabiera mnie przedwcześnie a Ciebie zostawia sierotą. Dlatego piszę i płaczę. [...] Andrzejku! Ażeby nie zmarnować życia, ażeby wziąć czynny udział w dokonywujących się procesach i wnieść w życie pozytywne i twórcze wartości musisz starać się zająć odpowiednie stanowisko społeczne. Celem tego nie mogą być osobiste ambicje, ale świadomość i wiara w ideały, które Tobie mają przyświecać. – Droga do tego prowadzi przez wartości charakteru i umysłu. Przez głęboką wiarę w słuszność celów [wyraz nieczytelny]. – Pamiętaj, że o wartości człowieka stanowi w pierwszym rzędzie jego charakter.

Musisz go szkolić drogą różnych wyrzeczeń. Silna wola, pracowitość, odwaga, inicjatywa, prawdomówność, godność osobista, narodowa i ludzka – oto elementy na które zwrócić musisz specjalną uwagę. Bez silnego charakteru nie osiągniesz żadnego celu. W połowie drogi połamia Cię przeciwności. [fragment nie-

czytelny] Nie wolno Tobie marnować czasu na głupstwa [fragment nieczytelny] w kraju, wyjed[ź] na zachód celem pogłębienia działu który sobie oberzesz. Wybierz zawód, który będzie Tobie najbardziej odpowiadał, a w którym będziesz mógł najbardziej pozytywnie pracować na chwałę Boga, na pożytek ojczyźnie i pociechę Matce. Na zachodzie zwracaj uwagę na zagadnienia filozoficzne, gospodarcze, społeczne i polityczne. Z języków wybierz angielski. – Musisz poznać również łacinę, celem zapoznania kultury klasycznej [...] Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą, jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać. Żegnaj mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławię i Królowej Polski oddaję. Ojciec”. Zob. E. Jakimek-Zapart: Nie mogłem inaczej żyć ... Grypsy Łukasza Cieplińskiego z celi śmierci. Kraków (I Wydanie 2007, II Wydanie 2008), 94 s.

29 *Księga najwyższego wymiaru kary* [w:] K. Szwagrzyk: *Zbrodnie w majestacie prawa 1944-1955*. Wyd. ABC Future, Warszawa 2000.

30 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

31 Antonio Canova (1757-1822), włoski rzeźbiarz, malarz i architekt. Działał głównie w Rzymie, jest autorem grobowców papieży: Klemensa XIII i Klemensa XIV, oraz licznych popiersi portretowych. Został odznaczony Orderem Złotej Ostrogi. Na zamówienie Napoleona I wykonał posągi: Apollo, wzorowany na samym Napoleonie oraz Wenus z 1804 r., który znajduje się w Rzymie, w Galerii Borghese, do tego posągu pozowała Paulina Bonaparte-Borghese, młodsza siostra Napoleona. Canova wykonał wiele prac inspirowanych mitologią.

32 Bertel Thorvaldsen, duński rzeźbiarz islandzkiego pochodzenia, reprezentant klasycyzmu, twórca m.in. pomnika Mikołaja Kopernika i ks. Józefa w Warszawie. Na początku XIX w., Thorvaldsena można określić, jako admiratora sztuki greckiej, który kieruje się stylem Praksytelesa. Dowodem na to może być posąg Adonisa – mitycznego kochanka Afrodyty, a także wykonane w późniejszym czasie posągi Triumfującego Amora, Hebe, Siedzącego pastuszka. W latach 1809-1811 Thorvaldsen stworzył Marsa z Amorem dźwigającym miecz, na zapowiedzianą (nie doszła do skutku) wizytę cesarza Napoleona w Rzymie. Cały czas trzymając się zasad sztuki greckiej, nie wszystkie prace skłaniają się ku hellenizmowi. Kiedy w 1811 r. pracował przy konserwacji rzeźb w świątyni Achajów na Eginie, zetknął się z relikami prapoczątkowej sztuki greckiej. To wydarzenie zainspirowało go do stworzenia posągu Nadziei jako hołd złożony jutrzence sztuki greckiej.

33 Pietro Tenerani, rzeźbiarz włoski, od 1838 r. prof. Akademii św. Łukasza, 1860 r. generalny dyrektor muzeów i galerii rzymskich. Tworzył: grupy figuralne, posągi, popiersia portretowe (np. 2 popiersia Potockich, herbu Pilawa, w ich kaplicy na Wawelu w Krakowie), płaskorzeźby; dzieła najważniejsze: Psyche, Amor, płaskorzeźba marmurowa Zdjęcie z krzyża (w Lateranie), grobowiec Piusa VIII. (1866 r., kościół św. Piotra w Rzymie) i Męczeńska para chrześcijańska (Rzym, Kapitol.).

34 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

35 Tamże.

36 A. Klimek: *Zachwyceni i bardzo szczęśliwi. Niezwykłe dzieje rodu Krasińskich i ich związek z Potokiem Złotym*. Częstochowa 1998, s. 94-96. Zob. Z. Sudolski: *Krasińscy. Opowieść biograficzna*. Warszawa 1983.

37 Kajetan Dzierżykraj-Morawski (1892-1973), polski dyplomata, polityk, działacz społeczny i publicysta.

38 Roger Adam Raczyński (1889-1945), herbu Nałęcz, syn Edwarda i Róży z Potockich Krasińskiej; Wybuch I wojny światowej zastał go w Rosji. Tam też związał się z Komitetem Narodowym Polskim. Po odzyskaniu niepodległości powrócił do kraju i w latach 1918-1921 pracował w MSZ jako uczestnik prac konferencji wersalskiej. I sekretarz poselstwa polskiego w Rzymie, kierownik referatu mniejszości narodowych w MSZ, a następnie delegat MSZ w Komisji Likwidacyjnej w Poznaniu. Później działał w konserwatywnych ugrupowaniach w Poznaniu i Warszawie. W 1927 r. był jednym z reprezentantów wielkopolskiego ziemiaństwa na zjeździe polskich konserwatystów w Dzikowie. Poparł tam współpracę z władzami sanacyjnymi. Chcąc pozyskać wroga pilsudczykom Wielkopolskę organizował w Poznaniu Unię Katolicką Ziem Zachodnich. Gdy jego próby zawiodły związał się z rządem wstępując do BBWRu, będąc jego wiceprezesem, a następnie prezesem w Poznańskim. Pomiędzy 4 X 1929 r. a 1 VIII 1934 r. był wojewodą poznańskim i pomimo związku z sanacją cieszył się poparciem mieszkańców. Następnie, od 1934 r. do 1936 r. był wiceministrem rolnictwa, a w 1938 r. powrócił do służby dyplomatycznej jako ambasador RP w Bukareszcie. Jako ambasador w Rumunii odegrał we wrześniu 1939 r. ważną rolę w powstaniu rządu gen. W. Sikorskiego w Paryżu. Na stanowisku pozostał do 4 XI 1940 r., gdy Rumunia, po klęsce Francji w czerwcu 1940 r. była zmuszona

przystąpić do Paktu Trzech i zlikwidować polską ambasadę. Następnie w 1942 r. został posłem przy rządzie greckim na wychodźstwie, przebywając z nim kolejno w Londynie, Kairze i Atenach, gdzie zmarł.

39 Kazimierz Morawski (1852-1925 w Krakowie), polski filolog klasyczny, historyk, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, kandydat na urząd Prezydenta RP. Odznaczony Orderem Orła Białego. Był twórcą największej polskiej szkoły filologicznej. Z okazji 30-lecia pracy naukowej otrzymał księgę honorową: *Stromata in honorem C. Morawski* (1908). Jego studentami byli m.in. Jan Bystróż, Jan Stanisław Bystróż, Seweryn Hammer, Józef Kallenbach, Jerzy Kowalski, Kazimierz Kumaniecki, Tadeusz Lehr-Splawiński, Jan Michał Rozwadowski, Tadeusz Sinko, Gustaw Przychocki, Jan Sajdak, Jerzy Schnayder, Stanisław Skimina, Stanisław Witkowski.

40 Stanisław Tarnowski (1837-1917), hrabia, pseud. Edward Rembowski, Światowid, polski historyk literatury, krytyk literacki, publicysta polityczny, przywódca konserwatystów krakowskich, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, członek Towarzystwa Historycznego we Lwowie.

41 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

42 Tamże.

43 Leszek Jakub Wajda (1927-2015), scenograf, artysta plastyk, profesor Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. L. Wajda był synem zawodowego wojskowego Jakuba Wajdy (1900-1940) i starszym bratem reżysera Andrzeja. Piastował między innymi funkcję dziekana Wydziału Architektury Wnętrz Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wspólnie z żoną Anną Mściwujewską-Wajdową współpracował z Muzeum Narodowym w Krakowie i Zamkiem Królewskim na Wawelu przy organizacji wystaw. Współpracował również z bratem, jako scenograf na planie jego produkcji, w tym takich filmów jak *Popiół i diament*, *Jutro premiera*, *Niewinni czarodzieje* czy *Samson*.

44 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

45 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 18.

46 M. Linttner. *Pejzaż Jurajski [w:] Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka*. Zawiercie 2012.

47 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

48 Stanisław Puchalik (1939-2012), artysta malarz, kolorysta. W 1959 r. ukończył Liceum Plastyczne w Jarosławiu. Studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie w 1966 r. uzyskał dyplom w pracowni prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej. Od 1971 r. wykładał w macierzystej uczelni. Od 1978 r. prowadził pracownię rysunku, a od 1982 kieruje Katedrą Kształcenia Ogólnoplastycznego na Wydziale Rzeźby, którego był prodziekanem w latach 1984-87. W 1992 zostaje profesorem i prowadzi Pracownię Malarstwa i Rysunku na Wydziale Rzeźby ASP w Krakowie, a w 1994 r. zostaje profesorem zwyczajnym. Artysta uczestniczył w międzynarodowych plenerach malarskich (m. in. w Polsce, w Niemczech, Francji, Włoszech). Organizował i prowadził wiele plenerów dla studentów. Od 1980 r. współpracował z grupą Neue Darmstädter Sezession. Od 2003 r. był uczestnikiem międzynarodowego projektu Begegnungen-Spotkania. W dorobku artysty znajdują się zarówno pejzaże, portrety, jak i martwe natury. Prace artysty charakteryzują się wrażliwością na kolor i światło. Często podejmowane przez artystę tematy to świadkowie przemijania: stare kapliczki, chylące się pod ciężarem czasu wiejskie drewniane domostwa, czy stare żebrażki.

49 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

50 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

51 Tamże.

52 Tamże.

53 Tamże.

54 Tamże.

55 P. Sichel: *Modigliani*. Warszawa 1971.

56 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

57 Xawery Dunikowski (1875-1964), rzeźbiarz, malarz i pedagog; pochodził ze zubożałej szlachty. W 1896 r. przyjechał do Krakowa studiować w Szkole Sztuk Pięknych u rzeźbiarzy: Alfreda Dauna w latach 1896-1899 i Konstantego Laszczki 1899-1903. Następnie wrócił do Warszawy, aby objąć stanowisko profesora rzeźby w Szkole Sztuk Plastycznych. W Warszawie pracował do 1910 r., po czym wyjechał do Krakowa. W 1914 r. wyjechał na stypendium do Londynu. Kolejne lata spędził w Paryżu; służył w Legii Cudzoziemskiej. W 1922 r. wrócił do Polski, aby objąć katedrę rzeźby na krakowskiej ASP. Do grona uczniów X. Dunikowskiego zaliczali się m.in.: Jerzy Bandura, August Dyrda, Zygmunt Gawlik, Józef Gosławski, Maria Jarema, Ludwik Konarzewski (junior), Marian Konieczny, Jacek Puget, Henryk Wiciński oraz Jerzy Bereś.

W międzywojniu otrzymał wiele prestiżowych nagród, wykonał setki realizacji, które przyniosły mu międzynarodową sławę. W 1959 r. został profesorem i kierownikiem katedry rzeźby w Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Z powojennych realizacji X. Dunikowskiego należy wymienić Pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny (1955 r.).

58 Stefan Borzęcki (1930-2015), ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie (1961 r.). Studiował na Wydziale Rzeźby u prof. Stanisława Popławskiego i u prof. Jerzego Bandury oraz w Studium Konserwacji Dzieł Sztuki u prof. Józefa Dutkiewicza. W 1961 r. został zatrudniony na stanowisko asystenta w Katedrze Rzeźby na Wydziale Architektury Wnętrz ASP w Krakowie a w 1970 r. na Wydziale Rzeźby. Na uczelni pracował do 2000 r.. W 1982 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1992 r. profesora zwyczajnego. W latach 1972-78 i w 1988-91 pełnił funkcję dziekana Wydziału Rzeźby, a w 1978-80 prorektora uczelni.

59 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

60 Tamże.

61 Tamże.

62 Czesław Rzepiński (1905-1995), malarz, pedagog. Studiował w Krakowie na ASP w latach 1926-1929 i od 1929 kontynuował naukę w Paryżu u Józefa Pankiewicza. Był członkiem ugrupowania Zwornik. W 1937 r. wraz z Józefem Jaremą założył Szkołę Malarską im. Aleksandra Gieryskiego w Katowicach. Mianowany w 1948 r. profesorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, czterokrotnie pełnił funkcję rektora tej uczelni (1954-1967). Malował pejzaże, martwe natury, portrety i kompozycje figuralne. Rzepiński uprawiał malarstwo sztalugowe i monumentalne, rysunek i grafikę. Należał do czołowych przedstawicieli nurtu polskiego koloryzmu; jego koncepcja malarstwa wywodziła się ze sztuki francuskich postimpresjonistów i intymistów, P. Bonnard i H. Matisse'a.

63 Maria Rzepińska (1914-1993), historyk sztuki i krytyk sztuki, w latach 1974-1983 profesor Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, autorka monumentalnych monografii Historia koloru w dziejach malarstwa europejskiego (1970-1979) i Siedem wieków malarstwa europejskiego (1979). Studiowała na uniwersytecie we Lwowie i w Rzymie. Profesor ASP w Krakowie (1974-1983), badaczka sztuki dawnej, specjalizująca się także w nowożytnej sztuce włoskiej. Pracowała nad teorią malarską Leonarda da Vinci, malarstwem cinquecenta, traktatami A. Palladia i L.B. Albertiego, zajmowała się problematyką koloru, była także znawczynią współczesnych zjawisk artystycznych.

64 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

65 Puget vel Puszet Jacek (1904-1977), SYN LUDWIKA, RZEŹBIARZ; uczeń X. Dunikowskiego i E.A. Bourdelle'a; od 1946 profesor ASP w Krakowie; tworzył gł. rzeźby portretowe (*Popiersie dziewczyny* 1932, *Głowa Jaracza* 1951) o zwartej formie i sugestywnym wyrazie; projekty scenograf. dla teatru Cricot.

66 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

67 Tamże.

68 Jan Cybis (1897-1972), malarz, pedagog i krytyk sztuki, współzałożyciel grupy kapistów. Po I wojnie światowej rozpoczął studia prawnicze, które porzucił w 1919 r. dla nauki we wrocławskiej Akademii Sztuki i Przemysłu Artystycznego. Tam jego artystyczną edukacją kierował do 1921 Otto Mueller. W latach 1921-24 szkolił się w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w pracowniach Józefa Mehoffera, Ignacego Pieńkowskiego i Józefa Pankiewicza. Od 1924 r. przebywał z grupą kapistów w Paryżu. W 1937 objął funkcję redaktora naczelnego Głosu Plastyków. W 1945 r. został profesorem ASP w Warszawie. W latach 1955-1957 wykładał w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Sopocie. Po II wojnie światowej Cybis mieszkał w Warszawie, ale bardzo często odwiedzał rodzinny Śląsk Opolski. Wykształcił własny styl. Był czołowym reprezentantem nurtu kolorystycznego w malarstwie -tych i sztuce powojennej. Malarstwo Cybisa wywodziło się z francuskiego postimpresjonizmu. Zasadniczy wpływ wywarły na niego estetyczne koncepcje Cezanne'a i Bonnard. Malował głównie pejzaże i martwe natury. W okresie powojennym artysta uprawiał, obok techniki olejnej, akwarelę i rysunek.

69 Hanna Rudzka-Cybisowa (1897-1988), polska artystka malarka, jedna z reprezentantek koloryzmu (kapizm). Małżonka Jana Cybisa. Współzałożycielka 1924 Komitetu Paryskiego. Od 1945 r. profesor, od 1960 r. dziekan Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studia artystyczne rozpoczęła 1917 w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych u Miłosza Kotarbińskiego. Od 1921 kontynuowała studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Ignacego Pieńkowskiego i Józefa Pankiewicza. 1923 weszła też w skład utworzonego przez Pankiewicza „Komitetu Paryskiego”, czyli Komitetu Paryskiej Pomocy dla Wyjeżdżających Studentów na Studia Malarskie do Francji. 1924 wyjechała do Paryża wraz z grupą studentów malarstwa, aby tam pod kierunkiem Pankiewicza kontynuować studia w paryskiej filii ASP. 1930 uczestniczyła w pierwszej wystawie kapistów w Galerie Zak w Paryżu, zaś 1931 w Galerie Moos

w Genewie. 1931 wzięła udział w pierwszej wystawie grupy kapistów w Warszawie. 1931-1933 mieszkała w Krakowie, 1933-1939 w Paryżu. 1937-1939 prowadziła wakacyjne kursy dla nauczycieli w liceum w Krzemieńcu. W okresie spędzonej w Krakowie okupacji niemieckiej działała w organizacji Samopomocy Koleżeńskej w Domu Plastyków. 1945 została powołana na stanowisko profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. 1960 została mianowana na stanowisko dziekana wydziału malarstwa. Pracę pedagogiczną kontynuowała do 1967. 1948-1950 sprawowała funkcję prezesa Krakowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków.

70 Leszek Dudka w latach 1945-1955 studiował na Wydziale Malarstwa ASP w Krakowie w pracowniach prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej, prof. Zbigniewa Pronaszki i prof. Wacława Taranczewskiego. Jednocześnie studiował na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej, którą ukończył w 1952. Jako pracownik Krakowskiego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego projektował i nadzorował m.in. budowę Myszkowskiej Fabryki Naczyn Emaliowanych oraz obiekty Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Od 1956 członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Na jego artystyczny dorobek składają się rysunki, rzeźby, ceramika, obrazy oraz instalacje artystyczne. Swoje prace prezentował na prawie 100 wystawach zbiorowych i 40 indywidualnych.

71 J. Cybis: *Notatki malarские. Dzienniki 1954-1966*. Wybór i wstęp Dominik Horodyński. Warszawa 1980.

72 Cz. Rzepiński: *Malarstwo*. Wstęp Jerzy Madeyski. Kraków 1986.

73 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

74 Tamże.

75 Zbysław Marek Maciejewski (1946-1999), dyplom uzyskał w 1969 r. w pracowni Wacława Taranczewskiego. Od 1973 r. był wykładowcą na Wydziale Grafiki macierzystej uczelni, w 1989 r. uzyskał tytuł profesora sztuk plastycznych. Pracował w Katedrze Rysunku i Malarstwa krakowskiej ASP, gdzie od 1989 r. prowadził Pracownię Malarstwa. Po 1990 r. wykładał również w warszawskiej Europejskiej Akademii Sztuk. Podróżował po południowej Europie, gdzie tworzył obrazy przedstawiające egzotyczną roślinność i architekturę. Ponadto był autorem portretów, scen mitologicznych, alegorii i obrazów o tematyce sakralnej. Oddzielną część twórczości stanowiła tematyka scen i wizerunków dziecięcych; swoją twórczość uważał za kontynuację modernizmu.

76 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

77 Tamże.

78 A potem francuskiej SIMCI 8 (1938-1951).

79 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

80 Emil Krcha (1894 -1972), malarz, postimpresjonista. W sierpniu 1914 r. wstąpił 1 kompanii 1 baonu 2 Pułku Piechoty 1 Brygady Legionów Polskich, nosił ps. Korsak. Od 1916 r. w armii austriackiej, pod koniec 1917 wstąpił do Polskiego Korpusu Posiłkowego. Przeszedł do rezerwy w 1918 r. Studiował w latach 1919-25 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowniach Teodora Axentowicza, Stanisława Kamockiego i Ignacego Pięńkowskiego; kontynuował studia w Paryżu w 1925 r. i w latach 1927-31 oraz podróże do Holandii i Belgii. W 1922 r. wstąpił do Związku Polskich Artystów Plastyków. Był współzałożycielem i członek ugrupowania Zwornik, razem z tą grupą brał udział w wystawach od 1929 r. do 1933 r.. Mieszkał w Krzemieńcu, gdzie nauczał rysunku w miejscowym liceum i zorganizował Rysunkowe Ognisko Wakacyjne, a w 1943 r. przeniósł się do Krakowa. W 1945 r. zamieszkał we Wrocławiu, gdzie był współorganizatorem i profesorem Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych. W 1950 r. powrócił do Krakowa, wykładał na Akademii Sztuk Pięknych. Emil Krcha poza twórczością malarską zajmował się również muzyką, ukończył studia muzyczne u prof. Kazimierza Skarżyńskiego i był wytrawnym wioloncelistą. Za postawę bojową podczas I wojny światowej i późniejszą pracę artystyczną był wielokrotnie odznaczany, otrzymał m.in. Krzyż Walecznych, Medal Niepodległości, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Malował techniką olejną i akwarelą; tematami obrazów były pejzaże, sceny rodzajowe, martwe natury.

81 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

82 W. Zin: absolwent studiów architektonicznych w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W 1952 r. uzyskał stopień doktora, w 1959 r. doktora habilitowanego, w 1967 r. tytuł profesora nadzwyczajnego, w 1979 r. profesora zwyczajnego. Początkowo pracował jako asystent i adiunkt w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej (do 1949 r.), następnie w Politechnice Krakowskiej – jako adiunkt (1954-1959), docent (1959-1967) i profesor (1967). Kierował Instytutem Historii Architektury i Konserwacji Zabytków, w latach 1962-1967 był dziekanem Wydziału Architektury. Od 1962 r. pełnił funkcję dyrektora Instytutu Historii Architektury i Konserwacji Zabytków. Był głównym architektem Krakowa (1958-64), kierownikiem badań Staromiejskiego Zespołu Krakowa (1960-1975), przewodniczącym Krakowskiej Komisji Konserwatorskiej

(1970–1978), prezesem i wiceprezesem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. W latach 1977–1981 piastował funkcję generalnego konserwatora zabytków w randze wiceministra kultury i sztuki. W latach 1978–1983 był przewodniczącym Międzyresortowej Komisji ds. Rewaloryzacji Zabytkowych Zespołów Miejskich. W latach 80. XX w. był wykładowcą na uniwersytecie w Zagrzebiu. Członek Rady Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej, Towarzystwa Opieki nad Zabytkami (1975–1983 jako prezes Zarządu Głównego), członek Meksykańskiej Akademii Architektury. W latach 1986–1989 był członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego. 28 I 1998 r. Politechnika Krakowska przyznała mu tytuł doktora honoris causa. W. Zin zdobył uznanie dzięki telewizyjnemu cyklowi Piórkiem i węglem. Był także autorem cykliw Spotkanie z zabytkami, Dźwięk i linia, Być tutaj, Nad Niemnem, Piną i Prypecią, Sztuka patrzenia, Nasze korzenie i Opowieści domu rodzinnego. Prowadził również audycje radiowe, m.in. Półgłosem i ciszą w Radio Bis. Był także twórcą scenografii do spektakli i oper, autorem prac plastycznych (akwarele) oraz licznych publikacji naukowych, książkowych i prasowych. Ponadto W. Zin pisał także poezję. W 2007 r. przekazał na ręce krakowskiej grupy Püdeli wiersz zatytułowany Gdyby ryby, do którego zespół skomponował muzykę. Piastował też godność kanclerza kapituły odznaczenia „Polonia Mater Nostra est”.

83 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

84 M. Branicka: *Dyskretny urok Bolesława Cybisa*. www.artandbusiness.onet.pl

85 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

86 P. Sichel: *Modigliani*. Warszawa 1971.

87 Tamże.

88 Tamże.

89 N. Cawthorne: *Bardzo prywatne życie artystów*. Warszawa 2004.

90 G. Neret: *Erotyzm w malarstwie*. Warszawa 1996.

91 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

92 P. Sichel: *Modigliani*. Warszawa 1971.

93 S. Świerż: Edgar Degas (1834–1917). „Sztuki Piękne”. Kraków. R. I. 1924/1925.

94 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

95 Tamże.

96 Marc Chagall urodził się w ubogiej rodzinie chasydzkich Żydów w Łoźnie (dziś Białoruś). Był najstarszym z dziewięciorga dzieci. Ojciec artysty, Chaskiel Szagal, był sprzedawcą śledzi. Matka, Feige-Ite, była analfabeta. Sam Chagall w swojej twórczości wracał do okresu dzieciństwa, kiedy, pomimo biedy, dobrze czuł się w swoim rodzinnym witebskim domu. Pierwsze lekcje malarstwa pobierał u miejscowego nauczyciela Jehudy Pena. W wieku 19 lat wyjechał do Petersburga, gdzie rozpoczął naukę w Szkole Carskiego Towarzystwa Upowszechniania Sztuki u Mikołaja Roericha, a następnie w latach 1908–1910 w prywatnej szkole Jelizawie Zwancewej u Leona Baksta. W 1908 r. stworzył swoje pierwsze znaczące dzieło, Śmierć, w którym zaznaczyły się wpływy Gauguina. W 1910 r. Chagall otrzymał stypendium umożliwiające mu wyjazd do Paryża. W tym okresie związał się z grupą malarzy skupioną wokół Montparnasse, spotykając się m.in. z Guillaumem Apollinaire’em, Robertem Delaunay’em czy Fernandem Légerem. W 1914 r. miał pierwszą wystawę indywidualną w berlińskiej galerii „Der Sturm”. W tym samym roku wrócił do Rosji, gdzie przebywał do 1922 r. W 1915 r. poślubił Bellę Rosenfeld, z którą miał córkę Idę. Podczas rewolucji 1917 r. został komisarzem sztuk pięknych w obwodzie witebskim. Założył Akademię Sztuk Pięknych w Witebsku. W 1935 r. przybył do Polski. Dwa lata później otrzymał obywatelstwo francuskie. Z tego okresu pochodzi seria artykułów, poezji i pamiętników pisanych w języku jidysz, które ukazywały się głównie w prasie. Dopiero po śmierci artysty wydano je w formie książkowej. W 1941 r. wyjechał wraz z rodziną do USA. W ucieczce z Marsylii pomógł mu amerykański dziennikarz Varian Fry. Chagall osiedlił się w Nowym Jorku, gdzie mieszkał do 1948 r. 2 IX 1944 r. zmarła żona Bella. W latach 50-tych przeniósł się do willi w Prowansji. W sztuce Chagalla łatwo zauważalne są wpływy judaizmu. W jego obrazach pojawiało się wiele elementów chasydzkiego świata, który był jego rzeczywistością w latach dzieciństwa. Chagall kilkakrotnie odwiedził Grecję. W 1957 r. gościł w Izraelu. Podczas tych podróży odkrył na nowo możliwości jakie daje kolorystyka. Jego malarstwo tego okresu dotyczy tematów takich jak miłość i radość życia. Wtedy również artysta zaczął tworzyć rzeźby, ceramikę i witraże. Zmarł 28 III 1985 r. w Saint-Paul-de-Vence we Francji.

97 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

98 Był uczniem Xawerego Dunikowskiego. Od roku 1946 był wykładowcą w ASP w Krakowie. W roku 1957 uzyskał tytuł profesora. Zakres zainteresowań artysty był bardzo szeroki. Od 1947 należał do krakowskiej Grupy Dziewięciu Grafików. Tworzył drzeworyty i ekslibrysy. W roku 1947, za plakat o tematyce ONZ uzyskał nagrodę w międzynarodowym konkursie. Tworzył prace medalierskie, projekty mebli, witraży i mozaik. Tworzył rzeźby o tematyce sportowej i sakralnej. Głównie znany był jednak jako twórca monu-

mentalnych rzeźb i pomników. W 1986 wszedł w skład Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego. W 1948 uczestniczył w konkursie sztuki (w dziedzinie rzeźby) na igrzyskach olimpijskich w Londynie. W krajowym konkursie kwalifikacyjnym jego praca *Crawl* zdobyła pierwszą nagrodę, w konkursie olimpijskim uzyskała natomiast wyróżnienie honorowe.

99 Studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych u profesorów: Karola Frycza, Władysława Jarockiego i Józefa Mehoffera. Studia ukończył w roku 1931. W czasie okupacji niemieckiej współpracował z dr Ludwikiem Żurowskim w niesieniu pomocy Żydom w krakowskim getcie. Ukrywał w swoim mieszkaniu rodzinę Juliana Aleksandrowicza. Od 1945 roku zajmował się głównie scenografią. Uprawiał też karykaturę. Debiutował jako scenograf w krakowskim Teatrze Lalki i Aktora „Groteska” w 1945 r. Później tworzył scenografie dla innych teatrów krakowskich, a także dla Teatru Nowego w Łodzi oraz Teatru Narodowego w Warszawie. Projektował też scenografie do przedstawień baletowych. Najciekawsze scenografie Stopka stworzył do przedstawień reżyserowanych przez Kazimierza Dejmka. W 1950 r. został mianowany profesorem scenografii w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego karykatury wyróżniały się skrajną lakonicznością, często były zredukowane do kilku kresek. Publikował je w tygodnikach kulturalnych oraz w „Przekroju”. Często sygnował swoje prace rysunkiem stopki. Autor ilustracji w książkach.

100 Jan Kłossowicz. „Literatura” 1972, nr 25.

101 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

102 Tamże.

103 Tamże.

104 Tamże.

105 M. Linttner: *Pejzaż Jurajski* [w:] *Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka*. Zawiercie 2012.

106 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka..

107 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 18.

108 Tamże.

109 H. Perruchot: *Van Gogh*. PIW. Warszawa 1960.

110 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 18.

111 J. Renoir: *Renoir*. PIW. Warszawa 1966.

112 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 19.

113 *Wielcy malarze – ich życie, inspiracje i dzieło*. Wrocław (seria wydawnicza), nr 125. *Tadeusz Kantor i Grupa Krakowska* (Krystyna Czerni, pod red. Liliany Sonik).

114 M. Linttner: *Pejzaż Jurajski* [w:] *Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka*. Zawiercie 2012.

115 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 19.

116 *Sztuka wymaga pokory*. Rozmowa artysty z Pawłem Kmiecikiem. „Zawiercianin” 2012/2, s. 18.

117 Tamże.

118 *Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka*. Zawiercie 2012.

119 *Jan Jończyk. Obrazy i pastele. Wernisaż 14 IV 2012 roku. Katalog wystawy*. Zawiercie 2012, s. 11.

120 Tamże.

121 M. Linttner: *Pejzaż Jurajski* [w:] *Jubileuszowa wystawa malarstwa Jana Jończyka*. Zawiercie 2012.

122 W plenerze w Skarżycach uczestniczyli: dr Piotr Bąk, dr Damian Pietrek, Tera Bryning-Kalinowska, ks. Stanisław Wybański, Leszek Dutka, Jan Jończyk, prof. Jan Dubiel, Edyta Rutkowska, prof. Mariusz Pałka, Aleksander Kozera, Elżbieta Kozera i Judyta Bernaś.

123 W dokumencie wydanym przez biskupa krakowskiego Iwo Odrowąża (1160-1229) wieś zostaje nadana jako uposażenie klasztorowi kanoników regularnych w Mstowie. W XVI w. jej właścicielami byli Brzescy, a w następnych wiekach Giebułtowscy, Kalinowscy i Hopperowie. W 1782 r. Skarżyce należały do klucza Lgota Murowana. Do parafii od 1782 r. należały Dupice, Morsko i Żerkowice. Na terenie parafii w 1787 r. żyło 141 osób, notowano 65 domów, dwór, dwie karczmy, dwie chałupy o dwóch gospodarzach i 38 chałup o jednym gospodarzu, 17 z ogrodami i 4 bez ogrodów, jednego rzemieślnika. Najważniejszym zabytkiem w Skarżycach jest kościół św. Trójcy ufundowany w 1583 r. Opodal Skarżyc znajduje się maszyn skalny z ostańcem wapiennym i jaskinią – Okiennik Wielki. Charakterystyczne okno, będące pozostałością systemu jaskiniowego istniejącego tu dawniej, ma 5 m średnicy i 7 m długości. Poniżej okna znajduje się jedno z dwóch wejść do jaskini, zamieszkiwanej ponad 50 tys. lat temu przez neandertalczyków.

124 *Plener malarski. Zawiercie-Skarżyce 17-26 IX 2012*. Zawiercie 2012, s. 5. O Skarżycach opowiada Jan Jończyk

125 Zawiercie 25 maja 2012 r.

126 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka. Wojciech Migocki (1909-1998), ur. W Kutach, absolwent Politechniki Lwowskiej (1935 r.). Do Katowic sprowadził go, jego mecenas, wojewoda śląski Michał Grażyński. Jończyk bardzo cenił „Migosa” jako akwarelistę i zapraszał na Jurajskie Plenery.

127 Tamże.

128 Tamże.

129 Tamże.

130 W. Machejek: *Ciszej nad tą trumną*. „Życie Literackie” 29 V 1977.

131 Wspomnienia i relacje Jana Jończyka.

132 S. Kwarciak, K. Wiśniowski: Ludzie i praca. Wyd. PWSZ 1967, s. 154.

133 Z. Janeczek: *Towarzystwo Przyjaciół Siemianowic Śląskich w świetle historii*. „Rocznik Muzealny”. 2016/15, s. 42.

134 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

135 Tamże.

136 Tamże.

137 Bratnia Pomoc „Bratniak” organizacja powstała w 1859 r. przy Uniwersytecie Jagiellońskim, później na Politechnice Lwowskiej, w 1889 r. przy Uniwersytecie Warszawskim. Organizacje te miały na celu m.in. rozdzielanie pomocy socjalnej dla niezamożnych studentów poprzez system pożyczek i stypendiów, prowadzenie tanich jadalni itp. Prowadziły też działalność oświatową wśród ludności miejskiej i chłopstwa, a także (w zaborze rosyjskim) walkę z rasyfikacją. W okresie międzywojennym „Bratniaki” funkcjonowały na kilku uczelniach, m.in. na UJ i UW, a także na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Poza terenem II RP Dom Akademicki „Bratniak” działał w latach 1921-1939 na polskim osiedlu Polenhof na terenie Wolnego Miasta Gdańska, służąc studentom Technische Hochschule der Freien Stadt Danzig (późniejsza nazwa: Politechnika Gdańska). Podczas okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej działały tajne uniwersytety, a w nich także tajne organizacje Bratniej Pomocy studentów tych uczelni. Odrodzone po wojnie, w czasach stalinowskich na przełomie 1949-1950 Bratniaki zostały upolitycznione, a potem zlikwidowane i zastąpione Zrzeszeniem Studentów Polskich.

138 Korporacja „Scythia” powstała w 25 V 1924 r. Łączyła studentów Politechniki Lwowskiej. Szczególnym celem korporacji była praca na rzecz obrony polskości na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Nazwa korporacji nawiązywała do starożytnych mieszkańców stepów czarnomorskich wskazywanych niekiedy jako protoplastów Polaków.

139 Z. Popławski: Represje okupantów na Politechnice Lwowskiej (1939-1945), „Semper Fidelis” 1991, nr 4, s. 3-4; Mark Paul porównał atmosferę zgromadzenia, które faktycznie „skazało” studentów na śmierć, do atmosfery niektórych wieców w nazistowskich Niemczech. Zob. tekst M. Paula: Jewish-Polish Relations in Soviet-Occupied Eastern Poland, 1939-1941, publikowany w książce The Story of Two Shtetls, Brańsk and Ejszyszki, Toronto-Chicago 1998, t. 2, s. 207.

140 Spis prac: Z cyklu *Pieśń słoneczna, Cmentarz żydowski, Sosny, Strach, Parasole, Deszcz, Martwa natura z fikusem, Stara stodoła, Błyski nieba I, Błyski nieba II, Była sobie baba, Ogrodzieniec, Staw, Lato I, Lato II, Cmentarz Żydowski II, Cmentarz, Sosna, Zona, Centuria, Staw w Centurii, Radecznicza I, Radecznicza II, Strachy w polu, Staw w Radeczniczy, Klasztor, Procesja*.

141 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

142 Z. Janeczek: *Stanisław Barnaś (1935-1986). Człowiek – Artysta i jego czasy*. „Rocznik Muzealny” 2015/14, s. 95-162.

143 J.A. Kramarz, absolwent ASP Kraków Wydziału Grafiki w Katowicach, dyplom uzyskał w 1976 r.; był twórcą wszechstronnym. Uprawiał malarstwo, grafikę, rysunek, projektowanie witraży i taternictwo. Ponadto interesował się ilustracją książkową i muzyką. Dał się poznać w mieście jako animator życia artystycznego, pełnił funkcję komisarza kolejnych edycji siemianowickich plenerów plastycznych, sprawował opiekę merytoryczną nad Siemianowicką Grupą Plastyczną „Spichlerz 86”. W maju 2007 r. Muzeum Miejskie w Siemianowicach zaprezentowało wystawę prac artysty zatytułowaną Na papieskich szlakach zadedykowaną Janowi Pawłowi II. Jego dziełem były projekty i współrealizacja witraży dla kościoła p.w. św. Michała Archaniola w Michałkowicach. Projekty tych witraży подарował jednej z parafii we Włoszech. Ufundował i współrealizował witraże dla „Domu Seniora” w Siemianowicach i kaplicy w Bańgowie. Aktywnie i twórczo uczestniczył w pracach renowacyjnych siemianowickiego Spichlerza. Prowadził działania arteterapeutyczne na terenie placówek zdrowia, oświatowych i kulturalnych dowodząc, że prawdziwa sztuka może towarzyszyć ludziom nawet w trudnych dla nich okolicznościach. Wiele swoich prac ofiarował na cele społeczne, m.in. na nagrody turnieju tenisowego im. Walocha, dla Muzeum Miejskiego i Szpitala Miejskiego oraz na

rzecz dzieci niepełnosprawnych.

144 Z. Janeczek: *Mirosław Kiciński (1943-2004). Człowiek – Artysta i jego czasy*. „Rocznik Muzealny” 2015/13, s. 41-112.

145 Z. Janeczek: *Jak zostałem historykiem*. Siemianowice Śl. 2017, ss. 212.

146 Relacje i wspomnienia Jacka Kicińskiego.

147 Relacje i wspomnienia Sławomira Barnasia.

148 I. Górnicka-Zdziech: *Przewodnik zacnego kolekcjonera według Franciszka Starowieyskiego*. Warszawa 2008, s. 81.

149 *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość*. Opracował Emanuel Halicz. Warszawa MCMLVII, s. 74-75.

150 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

151 Jerzy Kropiwnicki ukończył w 1968 r. studia na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPiS w Warszawie. Doktoryzował się na Wydziale EkonomicznoSocjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1968-1981 i od 1989 pracował naukowo na UŁ. W latach 1980-1981 był członkiem MKS NSZZ „Solidarność” Regionu Ziemia Łódzka, później wiceprzewodniczącym zarządu regionu oraz członkiem Komisji Krajowej związku. Został aresztowany w dniu wprowadzenia stanu wojennego i skazany na karę 6 lat pozbawienia wolności za zorganizowanie akcji protestacyjnej przeciwko stanowi wojennemu. Był wtedy objęty opieką Amnesty International jako „więzień sumienia”.

152 Janusz Kusociński, pseud. Kusy (1907-1940), polski lekkoatleta, złoty medalista olimpijski z Los Angeles w biegu na 10 000 m, srebrny medalista pierwszych mistrzostw Europy na dystansie 5000 m. Wielokrotny mistrz oraz rekordzista Polski w biegach średnich i długich. Zginął rozstrzelany przez Niemców w pobliżu Palmir, w Puszczy Kampinoskiej, w ramach akcji AB, mającej na celu eksterminację polskiej inteligencji. Razem z nim rozstrzelano: Macieja Rataja, marszałka Sejmu II RP, Tomasza Stankiewicza, lekarza, wicemistrza olimpijskiego z igrzysk w Paryżu w 1924 r. w kolarstwie (4000 m na torze drużynowo), Mieczysława Niedziałkowskiego, członka ponadpartyjnego Komitetu Obywatelskiego przy Dowództwie Obrony Warszawy, Feliksa Żubera, lekkoatletę, uczestnika olimpiady w Amsterdamie w 1928 r.

153 Relacje i wspomnienia Jana Jończyka.

154 Relacje i wspomnienia Alfredy Barnas.

155 Dyplom otrzymał w pracowni prof. Wacława Taranczewskiego. Przez pewien czas bez zapалу studiował architekturę wnętrz.

156 W. Holewiński: *Droga do Putte. Opowieść o malarzu Jacobie Jordaensie*. Wrocław 2007

157 Z. Kuchowicz *O biologiczny wymiar historii*. Warszawa 1985.

ANTONI HALOR. SZKICE DO PORTRETU

Wstęp

Antoni Jan Halor – artysta osobny: grafik, malarz, ilustrator książek, reżyser filmowy i telewizyjny, pisarz, tłumacz, bibliofil, który zgromadził księgozbiór liczący około 25 tysięcy woluminów z różnych dziedzin nauki, kultury, sztuki, literatury pięknej. Także działacz kultury, doktor nauk humanistycznych, badacz dziejów i kultury Śląska, znawca i miłośnik muzyki, który sam potrafił grać na kilku instrumentach. Człowiek o niezwyklej wrażliwości, rozległej wyobraźni, intelektualista, subtelną ironią dystansujący się od wszelkich przejawów miałości myślenia. Twórca interdyscyplinarny, bardzo często nazywany, zwłaszcza przez dziennikarzy, człowiekiem Renesansu.

– *Był osobowością bardzo złożoną, bardzo bogatą. Dającą się porównać do takiej wielopiętrowej rozterki pomiędzy różnymi pasjami* – mówi Henryk Waniek wybitny malarz, pisarz, współzałożyciel grupy twórczej Oneiron.¹

Jest niby dobry duch tego miasta (Siemianowic Śl. – u.m. BHH). Trochę mag, trochę kloszard, kiedyś z długą brodą i długimi włosami, przypominający trochę wojowniczego wikinga [...] dziś za to z nieodłącznym beretem na głowie. Dostojny, a jednocześnie młodzieżowy, mający w sobie coś z mędrca i hippisa jednocześnie. [...] pozostał dla mnie do dziś wielkim autorytetem. Tak pisał o nim profesor Andrzej Gwóźdź, znakomity filmoznawca.²

– *Był bardzo towarzyski, miał ogromne poczucie humoru, ale w bezpośrednich kontaktach wyczuwało się często, że pod płaszczykiem wesołości kryje jakieś głębokie zamyślenie* – pamięta Helena Majchrowicz,

nauczycielka z Siemianowic, dobra znajoma z lat 80.

A jaki był naprawdę Antoni Halor?

Przysłowie powiada, że aby poznać drugiego człowieka trzeba z nim zjeść beczkę soli. Nie zdążyliśmy zjeść beczki soli, mimo że nasz związek trwał 23 lata bez 7 dni. To dość długo i równocześnie o wiele za krótko, żeby o człowieku o tak skomplikowanej osobowości i wielowątkowym życiorysie powiedzieć bez pychy: tak, wiem o nim tak wiele, że mogę z pełną odpowiedzialnością napisać jego biografię. Otóż tak nie



Antoni Halor

jest. Przystąpienie do takiego zadania wymaga jeszcze przestudiowania wielu źródeł: przede wszystkim korespondencji, tekstów, zwłaszcza tych nie opublikowanych, sporządzenia rzetelnej chronologii wydarzeń, uzyskania relacji wielu jeszcze osób znających artystę. Poniższe rozważania i wspomnienia, wzbogacone niewielkimi fragmentami osobistych zapisów artysty z jego niepublikowanego *Reżyserskiego dziennika*, nie pretendują więc do miana biografii. Uznałam jednak, że powinnam podjąć próbę naszkicowania sylwetki tego niepospolitego człowieka. Nie tylko z tego powodu, że to 80. rocznica jego urodzin, ale po prostu dlatego, że jestem mu to winna. Antoni Halor zawsze bowiem uważał, że ci, którzy pozostają przy życiu mają obowiązek dawać świadectwo prawdy o tych, którzy odeszli i już nie mogą powiedzieć ani słowa o sobie. Nie bez powodu przecież jednym z celów i wątków swojej twórczej pracy uczynił wydobywanie z niepamięci postaci szczególnie ważnych dla zachowania ciągłości naszej regionalnej historii, takich na przykład jak ks. Antoni Stabik czy Piotr Kołodziej. I na pewno takie świadectwo Antoniemu Halorowi też jak najbardziej się należy.

Narodziny

Urodził się w Siemianowicach Śląskich w mieszkaniu dziadków w robotniczej kolonii kopalni „Richter” (potem „Siemianowice”) 12 lipca 1937 r., a więc pod znakiem Raka, co według astrologów wcale nie zapowiada łatwego życia. Ludzie urodzeni pod tym znakiem mimo swych rozlicznych zalet i talentów, z wielkim trudem pną się w górę ku sukcesom, każde dwa kroki do przodu okupują krokiem wstecz, ale że są bardzo uparci i konsekwentni w działaniu, potrafią osiągnąć więcej, niż wskazywałyby na to ich ograniczone, wydawałoby się, możliwości. Można to, oczywiście, potraktować z przymrużeniem oka, ale że sam artysta nigdy nie odnosił się obojętnie, a tym bardziej pogardliwie, do astrologii, mitologii, magii, ezoteryki i wszelkiej wiedzy tajemnej, uznając je za równoprawny z wszystkimi innymi przedmiot badań i twórczych poszukiwań, pozostał przy jego przekonaniach. Chyba od wczesnej młodości fascynowało go zagadnienie symbolu, czemu potem ustawicznie dawał wyraz zarówno w swej twórczości, jak i w pracach teoretycznych, odwołując się do uznanych autorytetów, od starożytności poczynając, a na dwudziestowiecznych myślicielach kończąc. Inspiracje do swoich przemyśleń znajdował u Kanta, Hegla, Cassirera, Freuda, Eliadego, a przede wszystkim u Junga, który odegrał znaczącą rolę w kształtowaniu jego artystycznej drogi. I podobnie jak oni w skomplikowanym świecie znaków i symboli próbował znaleźć uzasadnienie dla ludzkich zachowań i poczynąń w różnych dziedzinach życia, a przede wszystkim w sztuce.



W tym familoku urodził się Antoni Halor

W obszernym eseju pt. *Sztuka i symbol* pisał: *Większość mitoznawców używa słowa „symbol” do określenia naturalnych obrazów czy obiektów, używanych przez ludzi pierwotnych dla nazwania sytuacji hierofanicznych, zjawisk kosmicznych, rytów i samych mitów. Symboliczny modus wyrazu przeciwstawiony jest więc racjonalnemu modusowi pojmowania. Nie ulega wątpliwości, że w tym wypadku przenika rzeczywistość lepiej i głębiej niżby to były zdolne uczynić świadomość i intelekt, bo żywi się*



Trzyletni Antoś

głębszymi, nieświadomymi źródłami osobowości (jaźni). Jeśli natomiast zbliżyć się do tego świata z całym aparatem racjonalizmu, z tego rodzaju symbolu gwałtownie zaczyna wyciekać cała jego wewnętrzna siła – mana – która w nim dotąd mieszkała. I w najlepszym wypadku pozostaje na placu dzieło sztuki. W najgorszym – pusty znak. Taki rodzaj symboliki Eliade bardzo trafnie nazwał „symbolizmem infantylnym”.

I dalej: Świat oglądany oczyma dziecka, człowieka pierwotnego, nieuprzedzonym okiem człowieka naiwnego, jest miejscem, w którym [...] każda rzecz jest przeniknięta duchem, wszystko co realne splata się z tym co nierealne, to co wielkie z tym co małe, świat jest symbolem Boga, wszystkie rzeczy splecione są w jeden łańcuch, w jedną pętlę, w której nie ma ani góry ani dołu. To tylko dziecko potrafi powiedzieć ojcu, który przed chwilą pytał: „Co jada twój koń?” – „Nie widzisz, że to

krzesło?” – i zachwiałszy tak w zdumionym dorosłym chęć rezygnacji z oczywistości – najspokojniej w świecie wraca do swojej zabawy i wsiada – nie na żadne tam krzesło – ale na najprawdziwszego rumaka z baśni. Takie pojmowanie symbolu odnajdziemy w mystyce chrześcijańskiej, w kabalistyce, w islamie, w buddyzmie, w alchemii – ale zdarza się również współczesnym ateistom.³ Wszystkie te spostrzeżenia jak najbardziej odnosiły się również do świata filmu czy teatru. Nawet tytuł jego pracy magisterskiej w PWSTFiTV Kino i obraz symboliczny jest tego dowodem. Tak więc każdy kto chciałby zająć się profesjonalnie twórczością Antoniego Halora, czy to plastyczną, filmową czy literacką, bądź dokumentować jego życie, nie może uciec od symboliki.

Według rodzinnego przekazu pierwotny syn Anny (z d. Długosz) i Henryka Halorów przyszedł na świat w lipcowe, poniedziałkowe popołudnie podczas straszliwej burzy z piorunami i błyskawicami (pewnie w tym czasie zgodnie z pobożnym obyczajem, w oknie pokoju postawiono zapaloną gromnicę), a poród był bardzo długi i ciężki. Tu znowu można by się zastanawiać, czy te okoliczności mogły być również jakimś znakiem, jakimś symbolem przyszłego losu rodzącego się człowieka. Kto to wie? Faktem jest, że w życiu artysty nie brakowało burzliwych, tragicznych wydarzeń, ale tak zdarza się nie tylko artystom. Być może jednak, że to właśnie z powodu okoliczności narodzin ulubionym obrazem Antoniego Halora stała się *La Tempesta* (Burza) pędzla Giorgionego z Castelfranco.

Miał pewnie kilkanaście lat, gdy po raz pierwszy zobaczył gdzieś w albumie dość marną zresztą reprodukcję obrazu, który po dziś dzień stanowi dla badaczy zagadkę, a przecież powstał, jak się przyjmuje, ok. roku 1505, a może trochę później i potem przez wieki setki specjalistów próbowały ją odkryć i zdefiniować. Choć to odkrycie wcale nie jest istotne, bo przecież tłumy turystów, odwiedzających Wenecję zachodzą do *Gallerie dell'Accademia* i zdążają do sali, gdzie wystawiana jest *La Tempesta* właśnie po to, żeby zobaczyć... tajemnicę. No bo co właściwie ma wyrażać ta niemal naga kobieta (Cyganka?) karmiąca piersią maleństwo, z zadumaną, spokojną twarzą, odwróconą w stronę widza, podczas gdy za nią nad miasteczkiem na niebie rozrywa się pierwsza błyskawica. Zaraz nadciągnie straszliwa burza, ale ani ona, ani obserwujący ją z ukrycia piękny młodzieniec (pasterz?) nie zwracają uwagi na nadciągającą nawałnicę.

Niewielki obraz olejny (82x73 cm) dosłownie poraża oglądającego niezwykle grą kolorów i światła. Antoni Halor wielokrotnie analizował fascynujące dzieło, próbował rozszyfrować jego symbolikę i marzył o tym, żeby obejrzeć je w oryginale. Niestety, nie było mu to dane za życia. Trzykrotnie podczas krótkich pobytów w Wenecji w latach 90. ub. stulecia odbijaliśmy się od zamkniętych, albo właśnie zamykanych drzwi *Gallerie dell'Accademia*. Dziwne, ale to do mnie uśmiechnęło się szczęście i to bez żadnych specjalnych starań. Było to jednak dopiero w 2014 r., wiosną. Prom z greckiego portu Patras, którym płynęłam podczas wakacyjnej wyprawy, na tyle wcześnie zacumował w Wenecji, że bez większego pośpiechu dotarłam do Akademii i stanęłam przed *Burzą*. Tak bardzo chciałam spojrzeć na nią oczami Antoniego, ale piękna kobieta karmiąca niemowlę nadal miała twarz nieodgadnioną, oczy wpatrzone w bezkresną dal, a może po prostu w głąb siebie, i nie zdradziła mi swojej tajemnicy, której strzeże od przeszło pięciu stuleci.

Być może byłoby inaczej, gdyby przed obrazem stanął sam artysta. Może w geście rąk kobiety, w spojrzeniu młodzieńca, w błyskawicy rozświetlającej niebo i ziemię dostrzegłby splot znaczeń nie odkrytych wcześniej przez oglądających. Umiał przecież poruszać się w świecie symboliki z wielką swobodą i docieklivością. Potrafił od dzieciństwa przekraczać granice między faktem i mitem, dostrzegać to, co ukryte przed oczami przeciętnego widza. Opowiadał, że najstarsze zapamiętane przez niego wspomnienie było związane z narodzinami brata, a więc miało miejsce 15 sierpnia 1940 r. w mieszkaniu przy ówczesnej Richterstrasse, (dziś Sobieskiego), które ojciec otrzymał jako pracownik huty „Laura”. Mały Antoś miał wtedy trzy lata, jeden miesiąc i trzy dni życia za sobą. Zapamiętane przeżycie odnotował wiele lat później w swoim nie opublikowanym *Dzienniku*.

[...] Pamiętam nerwową bieganinę wielu kobiet [...] i jakiś głos surowy, najpewniej omy – babci Julii: „biercie bajtla stąd!. I pamiętam, jak mnie młodsza siostra mamy, Hilda, zaczyna wyciągać z mieszkania, ja się czepiam kurczowo drzwi, bo przecież koniecznie chcę zobaczyć jak bocian przyniesie to dziecko!!! Ale Hilda jest silniejsza i już prawie udało się jej mnie wyciągnąć, kiedy przez zamykające się drzwi, w malejącej, rozpaczliwie wypatrywanej szparce widzę jak na parapecie okna kuchennego siada bocian. Prawdziwy, biały bocian, z zakończonymi czernią lotkami, czerwonymi nogami i sporym węzłkiem w równie czerwonym dziobie.

Przodkowie

Tych wspomnień (a pewnie i wyobrażeń) z wczesnego dzieciństwa, które przypało na lata wojny, sporo można odnaleźć w każdej dziedzinie twórczości Antoniego Halora. Po wielokroć w różnych konfiguracjach opisywany siemianowicki Richter (do dziś istniejąca kolonia robotnicza stanowiąca fragment ulicy Bohaterów Westerplatte) z chlewikami, gołębiami, pralnią, piekarnikiem zdążył nawet „zagrać” w kilku jego filmach, przede wszystkim w *Ulicy, o której trochę wiem*. To tak naprawdę fragment autobiografii reżysera, wzruszający powrót do dzieciństwa ściśle związanego z tym górniczym osiedlem. Tu w familoku, który wciąż jeszcze opiera się czasowi, mieszkał dziadek Józef Długosz, górnik-rębacz w kopalni „Richter” z babcią Julią z d. Kulawik. Przodkowie dziadka Józefa przyjechali na Śląsk z Małopolski, oczywiście za pracą. Julia i Józef Długoszowie mieli czworo dzieci: Ryszarda, Annę, Jerzego i Hildegardę. Anna była matką Antoniego. Natomiast przodkowie jego ojca Henryka Halora przywędrowali do Laurahuty etapami z Dolnej Nadrenii (a może Holandii – jak zachowało się w rodzinnym przekazie, ale tak do końca nie wiadomo). Najpierw dotarli do Kalinowa (powiat strzelecko-opolski), gdzie jeszcze pod koniec XX wieku na miejscowym cmen-



Dziadkowie Gertruda i Antoni Hallorowie

tarzu można było odczytać nazwisko Hallor na kilku nagrobkach. A stamtąd niektórzy z nich przenieśli się dalej na wschód do szybko rozwijającego się regionu przemysłowego. W każdym bądź razie na początku XX w. rodzina była już zakorzeniona w Laurahucie. Dziadek Anton (to z pewnością po nim otrzymał imię pierworodny syn Anny i Henryka) pracował przy wielkim piecu w hucie „Laura”. Był ponoć bardzo wysoki, przystojny, miał piękne regularne rysy i z racji swojej prezencji został powołany do gwardii cesarskiej, a w r. 1914 wysłany na front. Zginął chyba już po roku gdzieś w okolicach Verdun. Ostatnia zachowana kartka od dziadka (właściwie fotografia czterech młodych ludzi o marsowych minach w mundurach roboczych, a wśród nich dziadek chyba najbardziej rośli, i na odwrocie u góry napis: *Courcy 27 V 1915*) to chyba jego ostatni znak życia. Nazwisko dziadka wyryto później na tablicy upamiętniającej poległych w I wojnie siemianowiczanie, umieszczonej na cmentarzu przy ul. Michałkowskiej. Już po II wojnie „nieznani sprawcy” zniszczyli tę połówkę tablicy, na któ-

rej znajdowało się m.in. nazwisko dziadka Antona. Do dziś nie udało się odtworzyć brakujących nazwisk, mimo że samą tablicę odrestaurowano. Babcia Gertruda (z d. Pollok) już do końca życia pozostała wdową. Mieszkała nadal w domku na Spindlerce (Spindlerstrasse) na starych Grabiach.

Stał tam od połowy XIX wieku cały szereg charakterystycznych niskich, parterowych chat z wyniosłym dachem, od strony ogrodu spadającym niemal do poziomu gruntu. Kazał je zbudować hrabia Henckel dla pracowników swojej huty, cała kolonia nazywała się, jak już rzekłem »Grabie« – co najmniej od chyba XVIII wieku; a nazwę wzięła od ściętego na potrzeby huty lasu grabowego, który wcześniej to miejsce porastał. Niestety, na początku lat 50-tych XX wieku przeprowadzono tamtędy wlotową ulicę do miasta, prosto przez środek owego domku, (który wyglądał jak z bajki) i przynależnego doń ogródka. [...] rosły w nim prawdziwe winogrona i cudowne kwiaty: ogromne dalie i astry; i mały Tonik miał tam, wyłącznie dla siebie małą grządkę autentycznych poziomek.⁴

Babcia (oma) Gertruda samotnie wychowywała 5 synów. Wszyscy byli bardzo muzykalni, a Hubert, młodszy brat Henryka miał niezwykle zdolności plastyczne. W księdze klasowej siemianowickiego gimnazjum z roku 1929/1930 zachował się wpis, że jest *niezwykle utalentowany malarsko*, co Antoni Halor odnotował w swojej pisanej z przerwami autobiografii pt. *Wędrowki po hałdzie dzieciństwa i okolicy*, włączonej potem do znacznie obszerniejszego *Reżyserskiego dziennika*.

Wdowa nie miała pieniędzy, aby zapewnić wykształcenie wszystkim swoim synom. Zostali rzemieślnikami i robotnikami w różnych zawodach. Tylko jeden z nich, drugi po starszeństwie, Wilhelm, wyjechał kształcić się muzycznie do jakiegoś mistrza aż do Wilna, tam poznał swoją żonę, która była Żydówką i mieli jedną córkę Lisę, dziewczynę o niezwyklej urodzie. Po wojnie wujek Wilhelm wrócił na Śląsk i był koncertmistrzem, wirtuozem kontrabas w katowickiej orkiestrze radiowej Grzegorza



Dziadkowie Julia i Józef Długoszowie

*Fitelberga. [...] A gdy umarł – pisze Antoni Halor – stojąca w komplecie nad jego grobem orkiestra słynnej radiówki grała mu Arię z Suity orkiestrowej nr 3 (BWV) Jana Sebastiana Bacha, z czego mój ojciec (czyli Henryk Halor – u.m. BHH) był dumny do samej śmierci (sam zresztą na kontrabasie klezmerzył przez długie lata). No i w tym miejscu należy też dodać, że śpiewał przez długie lata w naprawdę znakomitym i znanym daleko poza granicami Siemianowic chórze „Chopin”. I razem z tym chórem wystąpił w filmie swojego syna Antoniego pt. *Słoneczko jasne zza czarnych gór*. Z tego też wynika, że umiłowanie muzyki przez Antoniego Halora, a zwłaszcza Jana Sebastiana Bacha, jak również i talent plastyczny, nie wzięły się znikąd, lecz miały swoje źródła w genach.*

Dzieciństwo

Swoje wczesne dzieciństwo artysta zapamiętał jako raczej pogodne. Najbliżsi ludzie, którzy go wtedy otaczali: czyli prócz mamy dziadkowie Długoszowie i ukochana ciotka Hilda, która na

co dzień zajmowała się małym Antosiem i jego młodszym bratem Ryśkiem, gdy matka szła do pracy (pracowała wtedy jako konduktorka w tramwajach) robili wszystko, żeby osłodzić dzieciom trudny czas i ochronić je przed okupacyjną rzeczywistością. W miarę postępu działań wojennych ojca skierowano na przymusowe roboty do zachodnich Niemiec, a następnie wcielono do Wehrmachtu i wysłano na front wschodni. Na Krymie dostał się do radzieckiej niewoli. Powrócił wiele miesięcy po zakończeniu wojny, ciężko chory i tak zabiedzony, że w pierwszej chwili, gdy wszedł do domu, rodzina go nie poznała. Wiele lat później z trudem można było go nakłonić do opowieści o dramatycznym powrocie na piechotę przez Ukrainę, przepływaniu wpływ rzek pod ostrzałem strażników... Dwaj wujkowie Antoniego nie wrócili nigdy. Niespełna dwudziestoletni Jorg spalił się w niemieckim czołgu gdzieś pod Królewcem. Starszy od niego o dziesięć lat Ryszard, polski policjant, więzień Ostaszkowa został zamordowany w Twerze i zakopany w zbiorowej mogile w Miednoje, co wyszło na jaw dopiero w latach 90. ub. w. Jego prochy spoczywają na tamtejszym Cmentarzu Wojennym.

Dzieciom nie mówiło się o strachu, o rozpacz, o tęsknocie, o tragicznych wydarzeniach, o śmierci bliskich i znajomych. Ale całkowicie nie dało się ich uchronić przed traumatycznymi przeżyciami. Te, które najsilniej zapadły w pamięć dziecka odnajdziemy m.in. w przejmującej relacji Andrzeja Lipskiego, w filmie *Ulica, o której trochę wiem*, gdzie aktor jako alter ego reżysera opowiada o czarnych workach, do których pozbierano szczątki kolegów małego Antosia. Na dzieci bawiące się na podwórku w wojnę, prawdziwą bombę zrzucił radziecki lotnik z przelatującego nad Richterem kukuruźnika.

Scenariusz pt. *Paw ABO* autorstwa Antoniego Halora i Józefa Gębskiego, przyjaciela i współtwórcy wielu wspólnych filmów i scenariuszy, opublikowany w czasopiśmie „Poglądy” w 2 numerze z 1973 r., to w gruncie rzeczy utrwalone w pamięci pierwszego z autorów autentyczne przeżycie ze stycznia 1945 r., którego bohaterem jest piękny,



Dziadek Józef i babcia Julia, na jej kolanach młodszy brat Rysiek, obok Antoś i ich rodzice Anna i Henryk, po prawej Anna i Matylda, siostry babci Julii

egzotyczny ptak, nie wiadomo skąd pojawiający się w zaśniewanym mieście, dopiero co opuszczonym przez uciekających Niemców. W scenariuszu, który, niestety, nigdy nie doczekał się realizacji filmowej, ten skrzydlaty, barwny symbol wolności staje się również symboliczną, (bo przecież po nim będzie ich jeszcze bardzo wiele) ostatnią ofiarą wojny. Osaczony przez ciekawskich gapiów przestraszony ptak wpada do betonowego, szeroko otwartego już schronu, łamie nogę i kończy życie). Podobnych wątków odnajdziemy w twórczości pisarza, reżysera i grafika sporo.

Szkoła

Koniec wojny to dla już prawie ośmiolatka oczekiwanie na powrót ojca, o którym nie było przez długi czas żadnych wieści, głód, którego nie była w stanie zaspokoić gotowana brukiew o mdłym smaku, ale i poczucie prawdziwej wolności podczas zabaw u podnóża porośniętej zielskiem pobliskiej hałdy, no i wreszcie wielkie przeżycie: pójście do szkoły.

Oto jak wspomina dziś tamte czasy najbliższy przyjaciel Antoniego Halora z lat szkolnych Zygmunt Kaczmarzyk:

- Pamiętam bardzo dobrze Antosia z naszego dzieciństwa i wczesnej młodości, czyli z lat 1945–1952. Chodziliśmy do Szkoły Podstawowej nr 3. Byliśmy pierwszym powojennym rocznikiem. Nie rozstawaliśmy się od 1 do 7 klasy, przez kilka lat siedzieliśmy nawet w jednej ławce i bardzo się przyjaźniliśmy, bo mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań. W dodatku mieszkaliśmy dosyć blisko siebie, ok. 200 metrów. Ja na rogu ulic Trafalczyka i Floriana, Antoś przy Katowickiej niedaleko bramy do kopalni „Ficynus”, potem S-2. Ze szkoły wracaliśmy zawsze razem i często po lekcjach spędzaliśmy czas na wspólnej zabawie. Obaj fascynowaliśmy się książkami o Indianach, kowbojach, opowieściami o Winnetou i Old Shutherhandzie. Na zielonych terenach między bramą do kopalni a hałdą odgrywaliśmy sceny z przeczytanych książek, przeistaczając się w podziwianych bohaterów naszego dzieciństwa. Antoś już jako dziecko potrafił wspaniale malować i rysować. Nauczyciele z początku nie chcieli wierzyć w jego zdolności. Pamiętam jak chyba w II klasie posadzono go w osobnej ławce i polecono namalować jakiś skomplikowany motyw. Ponieważ nie było wątpliwości, że jest obdarzony nadzwyczajnym talentem, stał się gwiazdą szkoły. Rysował ołówkiem, kredkami, farbami, czym popadło i to z wyobraźni, bo dobre kopiowanie jest umiejętnością często spotykaną. Myśmy mu zadawali jakiś temat, a on przelewał to na papier. Jego zdolności wykorzystywali też nauczyciele różnych przedmiotów do rysowania pomocy naukowych, których w tamtych powojen-



Antoni na wycieczce szkolnej na Górę Dorotkę w Będzinie

nych latach w ogóle nie było. Dzięki temu mogliśmy oglądać na tablicy, albo na dużych arkuszach papieru powiększone okazy przyrody, rośliny, zwierzęta, narządy wewnętrzne człowieka, potrzebne wykresy itp. Obaj namiętnie czytaliśmy. I nawet kiedyś pochwalono nas na apelu, że przeczytaliśmy wszystkie książki z biblioteki szkolnej. Nasza ukochana wychowawczyni, pani Julia Opokowa, która już przed wojną uczyła moją mamę, zabierała nas czasem na zakupy nowych książek do szkolnych zbiorów. Po ukończeniu szkoły podstawowej obaj poszliśmy do Liceum im.

J. Śniadeckiego, ale znaleźliśmy się już w różnych klasach. Potem ja poszedłem na studia na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, a Antoś na krakowską Akademię Sztuk Pięknych, która wówczas prowadziła oddział grafiki w Katowicach. Nasze kontakty siłą rzeczy były sporadyczne, ale w miarę możliwości obserwowałem jego karierę, bywałem na wernisażach, filmach, spotkaniach autorskich. Był bardzo ważną postacią w moim życiu i bardzo miło go wspominam.

Pałac

Talent plastyczny sprawił, że już w szkole podstawowej oddelegowano wyróżniającego się ucznia jako jednego z pierwszych na zajęcia do pracowni malarskiej w katowickim Pałacu Młodzieży, który został otwarty 3 grudnia 1951 r. Była to jak na owe czasy placówka niezwykła. W całkiem nieźle wyposażonych pracowniach oferowała uzdolnionej młodzieży różnego rodzaju zajęcia plastyczne, fotograficzne, literackie, sportowe itp. pod kierunkiem mniej lub bardziej profesjonalnych instruktorów. Niejeden przyszły artysta czy sportowiec tu właśnie stawiał swe pierwsze kroki do kariery. Także dla Antoniego Halora był to bardzo ważny etap życia. Każdą wolną chwilę spędzał w pracowni malarskiej poznając tajemnice warsztatu i podstawy wiedzy o sztuce. Tu poznał smak pierwszych artystycznych sukcesów, zostając krajowym laureatem międzynarodowego konkursu rysunkowego i w nagrodę pojechał na wycieczkę do Warszawy. Tu stawiał potem swoje pierwsze literackie kroki pisząc recenzje filmowe do pałacowego miesięcznika „Żak”. Tu związał się z grupą całkiem dorosłych miłośników kina czyli Dyskusyjnym Klubem Filmowym „Kaczka”. Tu także zaprzyjaźnił się z Henrykiem Wańkiem.

- To było w 1955 lub 1956 r., gdy trafiłem do Pałacu Młodzieży i spotkałem Antoniego. On był ode mnie o 5 lat starszy i od razu zaimponował mi swoją erudycją. Był bardzo czytany. Pamiętam, jak opowiadając mi przeczytaną właśnie książkę, chyba chodziło o „Golema” Meyrinka, ale nie jestem pewien, powiedział, że to majstersztyk. Użył słowa, którego ja wówczas nie znałem, więc kiedy w domu zajrzałem do słownika, pomyślałem z podziwem, że ten mój starszy kolega to prawdziwy erudyta. Antoni dojeżdżał z Siemianowic tramwajem, ja mieszkalem wtedy przy ul. Młyńskiej w Katowicach. Razem szliśmy ze śródmieścia do pałacu przy Mikołowskiej, a po zajęciach z powrotem i bardzo dobrze nam się rozmawiało - wspomina tamte lata Henryk Waniek.⁵

Tu w pałacu, w pracowni malarskiej Antoni poznał także swoją największą miłość. Maria Elfryda Nieradzikówna była piękną dziewczyną o hiszpańskiej urodzie, niezwykle utalentowaną plastycznie i muzycznie. Mieszkała w Siemianowicach i to niemal po sąsiedzku w tzw. ficynuskim „zomku” czyli w byłym budynku administracyjnym huty „Laura”. Została później żoną Antoniego, matką jego jedyne go syna Jana Jakuba Sebastiana.

Robota

Ulubione zajęcia przy sztalugach i arkuszach rysunkowych, kolejne pochłanianie książki jakie tylko udało się dostać w okolicznych bibliotekach, interesujące znajomości, młodzięcza miłość i dalekosiężne marzenia przysła niały wybitnie utalentowanemu chłopcu szarą codzienność biednej robotniczej rodziny, której rzadko kiedy starczało pieniędzy z wypłaty od pierwszego do pierwszego i nie raz pod koniec miesiąca kupowało się chleb na „krechę”. Nie było w tym nic szczególnego. Tak żyły w latach 50. minionego stulecia prawie wszystkie rodziny na hutniczym osiedlu, ba, na wszystkich śląskich, i nie tylko, robotniczych osiedlach w Polsce. Ale prawdziwy dramat zdarzył się kiedy Antoni był w trzeciej klasie liceum. Fatalnym zrzędzeniem losu oboje rodzice rozchorowali się ciężko i niemal równocześnie na długi czas trafili do szpitala. Osiemnastoletni chłopak musiał przerwać naukę i pójść do fizycznej roboty, a także zaopiekować się młodszym bratem i rodzicami w szpitalu. Przyjęto go do Katowickich Zakładów Naprawczych Przemysłu Węglowego, gdzie wówczas pracował jako tokarz ojciec Antoniego i zatrudniono na stanowisku pomocnika ślusarza. I tak przyszły artysta, poznał smak fizycznej pracy, a kiedy po szychcie wybierał się na zajęcia w Pałacu Młodzieży, albo na spotkanie z dziewczyną, musiał przedtem długo trzeć pumeksem pobrudzone smarem dłonie. Dość szybko zdobył sobie sympatię, a nawet szacunek starszych kolegów z pracy, dzieląc się z nimi swoją wiedzą o świecie, której oni nie posiadali. W wolnych chwilach opowiadał im różne historie z przeczytanych książek, rysował kredą kontury lądów i oceanów, trasy przelotów ptaków przez kontynenty itp. i pracując tak samo jak pozostali robotnicy, którzy pilnowali się, aby za bardzo nie przekroczyć normy, bo to się obróci przeciwko nim, starał się możliwie bezboleśnie przetrwać ten kolejny zakręt w swoim życiu.

Gitara

Wielką pasją i pociechą stała się wtedy dla niego oprócz książek, malowania, no i rozwijającego się uczucia do Marii, także gitara. W wolnych chwilach mógł z Janem Nowakiem (Jan Kazimierz Nowak 1930–2010 wybitny malarz i grafik, pochodzący z Siemianowic, potem przez długie lata mieszkał z rodziną w Tychach bardzo uzdolniony muzycznie, w młodych latach graniem w jazzbandach dorabiał na życie), starszym kumplem, opanowanym tą samą, a może nawet większą miłością do gitary klasycznej,



Antoni z Marią na spacerze w siemianowickim parku przy figurce „utopca”



Wieczór gitarowy przy świecach

oddawać się tej nowej pasji, zrodzonej gwałtownie, jak pisze w swoim dzienniku Antoni Halor [...] pod wpływem cieszących się w owym czasie ogromnym powodzeniem meksykańskich filmów (które przypominały do złudzenia westerny, w tamtych latach wyklęte z repertuaru): *Marii Candelarii*, *Rio Escondido*, *Maclovii*, a zwłaszcza *Palomy*, w reżyserii Emilio Fernandez, banalnymi do bólu, ale osłodzonymi gwałtowną miłością do pięknych Latynosek (w jednym z nich grała kruczowłosa i czarnooka Maria Felix, która po wspominatej już tylko przez pokolenie

dziadków, zjawiskowo pięknej Dolores del Rio, zapoczątkowała linię seksownych, jak wówczas mówiono »ognistych« Meksykanek, dziś kontynuowaną przez Penelope Cruz, Jenifer Lopez, czy Salmę Hayek), nieco landrynkowatymi »folklorystycznymi melodramatami«, za to z nieprawdopodobnej urody, wspaniałymi zdjęciami Gabriela Figueroy, a zwłaszcza z muzyką – i wtedy dla nas – absolutnie niebiańskim brzmieniem gitar.

Zaszyci w chaszcach na tyłach kopalni, wśród wraków kopalnianych wózków i wszelakiego rdzewiejącego żelastwa, gdzie za płotem »Ficynusu« rozpościerał się otoczony przez hałdy tajemniczy »Mitel« rozwiązywaliśmy na przewróconej kolybie zawilości pisma nutowego i ledwo ujawnione zagadki klasycznej gitary – odkrywanej stopniowo przez nas – wówczas całkowitej terra incognita – a wieczorem, już w domu – przepisywanie zdobywanych z niesamowitym trudem nut z utworami Giulianiego, Sora, de Visée, a zwłaszcza Albeniza, Tarregi, Granadosa i transkrypcjami Bacha, przed którym jednak składaliśmy broń – to był dla nas – przede wszystkim jednak dla mnie – mimo że pochodziłem z muzycznej rodziny – za wysoki stopień biegłości na tym wówczas całkowicie nieznanym instrumencie (Janek, znacznie bardziej umotywowany w tym kierunku, niebawem pobił mnie w sztuce opanowania tremola, jego popisowym numerem było wykonywanie słynnego *Recuerdos de la Alhambra* Tarregi). Uwielbiałem tego słuchać. [...].⁶ Ta miłość do gitary z pewnością obu artystom pozostała do końca życia.

Liceum

Po tej niezamierzonej, ale wcale nie zmarnowanej przerwie w szkolnej edukacji Antoni Halor wrócił do liceum już jako dojrzały młodzieniec, z życiowym doświadczeniem, mocno wybujałym intelektem i coraz konkretniejszymi planami na przyszłość. Jego koleżanki i koledzy, z którymi zaczynał naukę w klasie VIII a już pozdawali matury, niektórzy poszli na studia, ale związane wcześniej klasowe przyjaźnie przetrwały i to przez długie lata. Przede wszystkim z Henrykiem Deptą. Ta przyjaźń miała głębokie intelektualne podłoże, nieustannie nadbudowywane poważną lekturą, wymianą myśli w bezpośrednich, potem także korespondencyjnych dyskusjach, co zaowocowało *Kopertografiką*, nowatorskim graficzno-literackim projektem twórczym, który później, zaprezentowany na wystawie w 1966 r., zostanie uznany za „prekursorską manifestację *Mail Artu*”.⁷

Z tego pierwszego etapu nauki licealnej bardzo ciepło wspominają Antoniego jego dawne koleżanki. W październiku 2017 r. umówiłam się z pięcioma sympatycznymi paniami. Ernestyna Kordys (z domu Kempa), Danuta Wybieralska (Mika), Emilia Bielak



Antoni Halor wśród kolegów z liceum (drugi od lewej)

(Muszyńska), Małgorzata Kuś (Sedlaczek) i Magdalena Świder (Malik) z ogromną sympatią mówiły o koledze sprzed ponad 60 lat. Przystojny, mądry i grzeczny nastolatek, nie odmawiający nigdy pomocy, był bardzo lubiany w klasie. Obdarowywał koleżanki i kolegów rysunkami, cieszył się względami największego autorytetu wszystkich uczniów, polonisty Zygmunta Bauera, bo jak mało kto znał literaturę. Potem wielokrotnie spotykali się na zjazdach absolwentów, które w „Śniadku” zawsze bardzo chętnie organizowano. Niestety, niedługo po tym spotkaniu, 4 grudnia 2017 roku, odeszła z tego grona na wieczność pani Magdalena.

Świadectwo dojrzałości Antoni Halor otrzymał w 1958 r., nie bez kłopotów z matematyką podczas zdawania matury. Zawsze z wdzięcznością wspominał kolegę Joachima Barona, który świetnie radził sobie z tym przedmiotem i coś tam podpowiedział zatwardziałemu humaniście. Przyjaźń między nimi przetrwała zresztą długie lata, aż do śmierci Joachima w 2002 r.

Marzenia

Po maturze Antoni Halor już całkiem serio myślał o szkole filmowej, ale w tamtych czasach można było zdawać na studia reżyserskie dopiero po ukończeniu innych studiów. Wybrał więc to co było mu najbliższe, czyli Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, która wówczas w Katowicach, w ramach krakowskiego wydziału malarstwa i grafiki prowadziła oddział grafiki. To był załączek późniejszej już samodzielnej katowickiej ASP. Został przyjęty dopiero za drugim podejściem, w 1959 r. Studia traktował poważnie, sumiennie zaliczał kolejne semestry, żeby już nie tracić cennego czasu, jaki dzielił go od tej „Najwyższej Szkoły” – jak się mówiło w tamtych latach o najbardziej elitarnej wśród polskich uczelni – Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Marzenie o niej pielęgnował od dzieciństwa, od czasu gdy ojciec, który przed wojną pracował jako pomocnik operatora w siemianowickiej wytwórni filmowej „Espefilm”⁸ opowiadał mu „...o śmiesznym małym ludziku z cylindrem i bambusową laseczką, w przydługich rozczłapanych butach, o człowieku wiecznie kopanym i uparcie, wciąż od nowa podnoszącym się z najgłębszego upokorzenia”⁹, no i o Mysze Miki.

Mogłoby się wydawać, że dla chłopca z ubogiej, robotniczej rodziny, z odległego od stołecznych salonów śląskiego „miasta węgla i stali”, gdzie zdecydowana większość młodych ludzi już często po podstawówce, a w najlepszym wypadku po szkole zawodowej, szła od razu pracować do kopalń, hut i fabryk, to dziecinne i potem młodzieńcze marzenie było przysłowiowym porywaniem się z motyką na słońce. Oczywiście w tamtych czasach, kiedy nie było jeszcze nawet telewizorów, nie mówiąc o wszystkich póź-



Początki filmowe

niejszych cudów elektroniki, tylko książki i kino były w stanie zaspokoić w jakimś stopniu głód wiedzy o świecie, o ludziach żyjących na innych kontynentach, w innych kulturach, w innej rzeczywistości niż ta, w jakiej dorastało i dojrzewało wojenne pokolenie obywateli Rzeczypospolitej, zniewolonej przez komunistyczny reżim. Wtedy niemal wszyscy chętnie chodzili do kina, a niektórzy robili to wręcz namiętnie. Jak potężna musiała to być namiętność, to pragnienie przeżywania filmowej magii, które

kazały dziecku, potem nastolatkowi, oszczędzać każdy grosik, żeby sobie kupić bilet do kina zamiast czekolady czy lemoniady. Na szczęście bilety były wtedy ponoć tanie, a inteligentny i grzeczny chłopiec szybko nauczył się zdobywać serca pań bileterek, które nieraz przymykały oczy, gdy nieletni pasjonat kina zapragnął obejrzeć jakiś film po raz kolejny. Ta fascynacja kinem objawiała się także w poszukiwaniu i gromadzeniu wszelkich informacji na temat filmów, aktorów, reżyserów, techniki filmowej itd. Niewiele tego było. Jakieś krótkie informacje na plakatach, wycinki z gazet, zdjęcia czarno-białe na obskurnym papierze, czasem udało się trafić na jakieś przedwojenne czasopisma w języku niemieckim. A że chłopiec o niezwykle chłonnym umyśle dość wcześnie zetknął się z pięknie ilustrowanymi baśniami w tym zakazanym w owym czasie na Śląsku języku, więc żeby poznać ich treść szybko opanował podstawy niemieckiego, no może trochę z pomocą babci i dziadka. Potem zgłębił ten język tak znakomicie, że nie tylko swobodnie korzystał z literatury niemieckojęzycznej, ale też sam tłumaczył teksty i książki na polski.

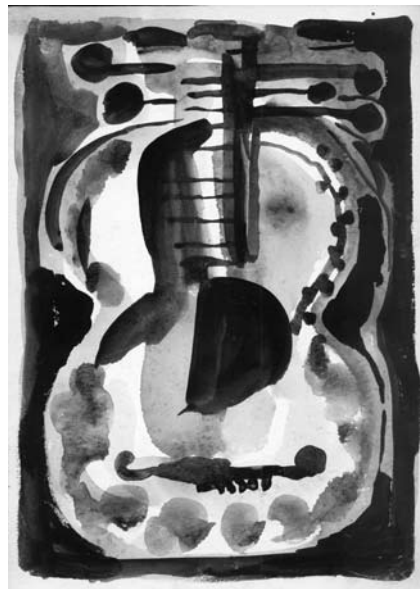
Trudno powiedzieć w którym momencie głęboko skrywane marzenie chłopca o tym, żeby samemu robić filmy przerodziło się w świadome, konsekwentne dążenie do celu. Być może było to wtedy, gdy jako „zasłużony” już bywalec katowickiego Pałacu Młodzieży „wkupił się w łaski” założycieli Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Kaczka”, który w 1956 r. na fali odwilży politycznej założyli śląscy dziennikarze. Był to zdaje się drugi po warszawskim DKF w Polsce. Młody zapaleńiec, choć jeszcze bez matury, widać zasłużył sobie swoją znajomością rzeczy i zaangażowaniem na wtajemniczenie w działalność klubu. Nie tylko mógł oglądać sprowadzane filmy, ale – jak to już wyżej wspomniałam – popробować sił w pisaniu recenzji, potem nawet prowadzić spotkania z zapraszanymi twórcami filmów czy krytykami filmowymi. W tym też czasie nawiązał kontakty z całkiem nieźle już, choć podobno jeszcze nieoficjalnie działającym Amatorskim Klubem Filmowym „Śląsk”.

Amatorski ruch filmowy zaczął się rozwijać na Śląsku zaraz po wojnie dzięki dwóm pasjonatom: Norbertowi Boronowskiemu, dziennikarzowi i fotoreporterowi i Edwardowi Poloczkowi, który z wykształcenia był ekonomistą, ale zakotwiczył się na dobre w zawodzie fotografa. Boronowski już w 1947 r. założył kółko filmowe przy katowickim Związku Harcerstwa Polskiego, a Poloczek w 1951 r. sekcję filmową przy katowickim oddziale Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Śląscy filmowcy amatorzy od podstaw uczyli się warsztatu, nie tylko filmowania, ale i pełnej obróbki taśmy, nie mieli porządnego sprzętu, ale mieli gigantyczny zapał do tej pracy, która

dawała im radość i poczucie spełnienia w nowej roli społecznej (znakomicie pokazał to kiedyś Jerzy Stuhr w filmie Krzysztofa Kieślowskiego pt. *Amator*). Członkowie klubu szybko osiągnęli wysoki poziom warsztatowy, zdobywali nagrody w konkursach, także międzynarodowych, nie bali się eksperymentować. I tak naprawdę dzięki nim mogła w 1957 r. wystartować w Katowicach telewizja. Edward Poloczek, Jan Maćków, Norbert Boronowski, Zygmunt Duś, Bernard Gierlotka, Jerzy Badura, Piotr i Mieczysław Gawrońscy, Mieczysław Chudzik, Ryszard Barnert czy Stanisław Fisher, pionierzy katowickiej TV, wywodzili się właśnie z AKF „Śląsk”.¹⁰

Oczywiste, że w tym gronie filmowców amatorów prędzej czy później musiał się znaleźć taki zapaleniec jak Antoni Halor. To właśnie w AKF-ie zaczął kręcić swoje pierwsze filmiki na taśmie 8 mm; krajobrazy Siemianowic, potem w 1960 r. pierwszy dokument pt. *O P. sentymentalnie* i kolejne czarno-białe dokumentalne i eksperymentalne: m.in. *De rerum natura*, *Andante molto cantabile*, *Moja hałda*, czy

wreszcie w 1965 r. eksperymentalny o długim tytule *Chrysopea albo Mysterium Coniunctionis, czyli jak kamień filozoficzny znaleźć można i należy już na taśmie barwnej orwo-color 16 mm*. Te pierwsze eksperymentalne obrazy, powstały w pracowni już uznanych artystów-malarzy: Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza przy ul. Piastowskiej w Katowicach. Antoni Halor trafił tam jednak w pierwszej połowie lat 60. nie dlatego, że studiował na ASP, lecz raczej w wyniku swej działalności w dziedzinie filmu. Studia plastyczne miały być przecież przepustką do szkoły filmowej, więc raczej nie poświęcał im całego swego życia, choć przyznawał, że go wciągnęły i sporo im zawdzięcza. Nigdy zresztą nie zarzucił twórczości plastycznej, a w niektórych sytuacjach stawała się ona wręcz dominującym środkiem wyrazu.



Gitara ewolwenta - młodzieńczy rysunek A. Halora

Kino-Oko

Od razu na pierwszym roku ASP, korzystając trochę z doświadczenia jakiego nabył przy DKF „Kaczka” i znudzony coraz mniej satysfakcjonującą jego działalnością, postanowił założyć samodzielny studencki klub filmowy. Chyba bez większego trudu znalazł partnerów do tego przedsięwzięcia: Henryka Bzdoka i Franciszka Kłaka z tej samej pracowni na ASP, potem doszli inni. Okręgowy Oddział Zrzeszenia Studentów Polskich przyklasnął pomysłowi i wyasygnował trochę pieniędzy na ten cel, a personalnie finansami zajął się, też nieżyjący już, Tadeusz Karczewski, wtedy główny księgowy okręgu ZSP, zawsze z sympatią przez Halora wspominany. Siedziby użytyło rezydujące wówczas w katowickim, pięknym pałacyku Goldsteinów przy placu Wolności, Towarzystwo Przyjaźni Polsko Radzieckiej. W budynku mieściło się bowiem niezbyt duże, ale całkiem wygodne i wyposażone w dobrą aparaturę kino „Przyjaźń”. To tam zainstalował się na przełomie 1959 i 1960 r. Studencki Dyskusyjny Klub Filmowy „Kino-Oko”, szybko stając się miejscem kultowym młodej śląskiej inteligencji. Tylko tu można było zobaczyć nie wyświetlane w publicznych kinach nowości zachodnich kinematografii: Bunuela, Bergmana, Felliniego, Kurosawy, ale też przedwojenne eksperymentalne hity

kina niemego jak chociażby *Pies andaluzyjski* Louisa Bunuela i Salavatore Dalego, czy *Paryż* Rene Claira, do których Antoni Halor dobierał podkład muzyczny. Jako dodatki wyświetlano np. animowane filmy Williama Hanny i Josepha Barbery; wielkim powodzeniem cieszył się m.in. *Tom i Jerry*. Zgodnie z zasadą, że najciemniej jest pod latarnią, udawało się przemycać obrazy, które nie wchodziły na ekrany kin, lecz były prezentowane tylko na zamkniętych pokazach. A dla gości ze Związku Radzieckiego, którzy licznie i często odwiedzali TPPR i dla towarzyszy z komitetu PZPR zawsze były w kinie do dyspozycji jakieś smakowite amerykańskie westerny, żeby nie próbowali głębiej interesować się działalnością klubu.

Wszystko to funkcjonowało bez większych przeszkód dzięki znakomitej współpracy szefa klubu z Centralą Wynajmu Filmów i Centralnym Archiwum Filmowym w Warszawie, a także dobrym kontaktom z ambasadami różnych państw, które chętnie dzieliły się dorobkiem filmowym swoich twórców. Do klubu zapraszani byli najznakomitsi twórcy, krytycy i teoretycy filmu m.in. Władysław Nehrebecki, Konrad Eberhardt, Jerzy Semilski, Tadeusz Pacewicz i wielu innych. Na projekcje filmowe i spotkania przychodzili nie tylko studenci, ale też literaci, dziennikarze, artyści. W ten sposób Antoni Halor poznał Urszulę Broll i Andrzeja Urbanowicza, którzy zaprosili go na „jaskółkę”, czyli do krótko wcześniej pozyskanej pracowni przy ul. Piastowskiej w Katowicach. Wkrótce stał się tam bardzo częstym gościem, a potem współtwórcą grupy twórczej, którą pod koniec lat 60. nazwano „Oneironem”.

Piastowska

W szarej, socjalistycznej, wielkoprzemysłowej rzeczywistości, z jej ogłupiającą kulturą, pracownia jawiła się jak oaza wolnej, niczym nie skrupowanej myśli i swobody ducha. Tu można było pograć się bez reszty w mistyczno-filozoficznych dyskusjach, rozbudzać wyobraźnię w poszukiwaniu nowych źródeł inspiracji artystycznej, eksperymentować na płótnie i wszelkiego rodzaju tworzywach malarskich, także na taśmie filmowej, ale przede wszystkim chyba doskonalić własną duchowość poprzez odkrywanie dzieł niemal w Polsce nieznanymi, nie tłumaczonymi.

Powołaniem artysty jest obcowanie z tym, co ukryte. Można oczywiście uprawiać sztukę bez tajemnicy i tak czyni większość. Natomiast my chcieliśmy stworzyć wyłom w spleśnianej powszedniości. Staliśmy po stronie tego, co wygnane lub zepchnięte w cień. Pięcioosobowa zrazu grupa, wiele później określona jako ONEIRON, kierowała się na ezoterykę. Zakładaliśmy istnienie ukrytego źródła, do którego dociera się idąc w górę rzeki. Pod prąd. Poszukiwaliśmy zapomnianej studni. Tropy prowadziły nas przez terytoria nowoczesnego wyrazu artystycznego, ale także jego wykłętych rejonów oraz filozofii ducha – pisał Henryk Waniek o genezie nowego zjawiska na mapie awangardy kulturowej Śląska.¹¹

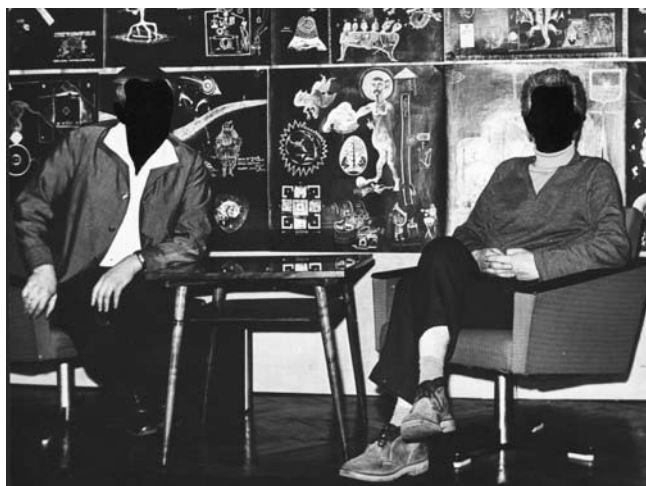
Ten pięcioosobowy założycielski trzon grupy to oczywiście gospodarze miejsca: Urszula Broll, mająca już na swym koncie znaczny dorobek artystyczny, współzałożycielka wcześniejszej grupy awangardowej St-53 i jej mąż Andrzej Urbanowicz, wilnianin z urodzenia, artysta plastyk, ale przede wszystkim człowiek o niespożytej energii, inicjator całego przedsięwzięcia, zafascynowany filozofią Wschodu, dalej Antoni Halor, już świetnie wpisany w klimat „Piastowskiej”, następnie Zygmunt Stuchlik, niezwykle utalentowany artysta - myśliciel, który z powodu swoich wcześniejszych studiów teologicznych, (nieukończonych, bo władze rozwiązały seminarium duchowne) stał się „persona non grata” w państwowej ASP i wreszcie Henryk Waniek, najmłodszy z tego grona, student ASP, którego również pociągała ezoteryka. Pracownia była jednak otwarta dla wszystkich zainteresowanych, więc przewijali się przez nią różni młodzi in-

telektualiści: poeci i pisarze, ludzie teatru, muzycy, malarze, rzeźbiarze, krytycy sztuki i to nie tylko ze Śląska. W tym swoistym klubie dyskusyjnym, gdzie nie było żadnych formalnych rygorów, szlifowali swoje osobowości i intelekt m.in. Tadeusz Sławek, Jerzy Illg, Ryszard Krynicki, Jarosław Markiewicz, Anna Keyha i Zygmunt Lis. Z Warszawy przyjeżdżał krytyk sztuki i filozof Mariusz Tchorek, z Poznania krytyk sztuki Andrzej Kostołowski, z Sanoka jeszcze wtedy mało znany malarz Zdzisław Beksiński i wielu, wielu innych, których nazwiska zapisały się potem mocno w sztuce, kulturze i nauce. Treścią działania tej nieformalnej wspólnoty była przede wszystkim chyba samoedukacja poprzez czytanie określonych tekstów literackich, dzieł filozoficznych i psychologicznych, poddawanych potem zażartym dyskusjom, happeningi, eksperymentalne filmy kręcone przez Halora. Zaczęto też tłumaczyć teksty niedostępne po polsku: przede wszystkim Carla Gustawa Junga, Rudolfa Steinera, ale także Tybetańską Księgę Umarłych, a że nie było możliwości druku czy choćby kserokopiowania, więc tłumaczone teksty, a także własne artykuły przepisywano po prostu na maszynie i spinano, albo zszywano ręcznie. Celował w tym Antoni Halor, który ze szczególnym upodobaniem sięgał m. in. po Meyrinka, tworząc małe dziełka intrologatorskie, samodzielnie tłumaczone, własnoręcznie przepisywane i ilustrowane. Z tamtego czasu zachował się egzemplarz opowiadania Carla Gustawa Meyrinka „Zegarmistrz” dedykowany w 1967 r. Marii Elfrydzie, już wtedy żonie, prawdopodobnie w dziesiątą rocznicę ich znajomości. Wszystkie takie teksty, także wspólne publikacje członków grupy, tworzone w jednym, dwóch, najwyżej pięciu egzemplarzach, krążyły wśród zainteresowanych i dziś są prawdziwymi „białymi krukami”.

Oneiron

Najważniejszym jednak z artystycznego punktu widzenia projektem grupy, która w pewnym momencie ze względu na potrzebę zatytułowania zbiorowej wystawy i katalogu przyjęła nazwę „Oneiron” (co z greckiego tłumaczono jako sen czy też śniadnię)¹², były *Czarne Karty*, z których większość znajduje się w zbiorach Muzeum Historii Katowic. 19 z nich (obok innych dzieł artystów tej grupy) zaprezentowano ostatnio w Muzeum Śląskim na otwartej 4 listopada 2017 r. znakomitej wystawie pt. *Zwrotnica. Początki neoawangardy na Górnym Śląsku*.¹³

Inicjatorem pomysłu, aby zamanifestować skalę osiągniętego rozwoju wewnętrznego jakimś wspólnym dziełem artystycznym był Andrzej Urbanowicz, on też koordynował całą akcję. Przygotowano 30 identycznych czarnych kartonów (tyle ile liter w alfabecie polskim, łącznie z ć, ś, ł, ż) o wymiarach 70 na 70 cm. Do każdego kartonu przypisana była jedna litera i każdy z pięciorga uczestników projektu na wylosowanych kartach nanosił odpowiednie do przypisanych im liter piktogramy – rysunki, słowa. Potem wymieniano się kartami, tak że każdy z artystów na



Oneironauci na tle Czarnych Kart

tego jakimś wspólnym dziełem artystycznym był Andrzej Urbanowicz, on też koordynował całą akcję. Przygotowano 30 identycznych czarnych kartonów (tyle ile liter w alfabecie polskim, łącznie z ć, ś, ł, ż) o wymiarach 70 na 70 cm. Do każdego kartonu przypisana była jedna litera i każdy z pięciorga uczestników projektu na wylosowanych kartach nanosił odpowiednie do przypisanych im liter piktogramy – rysunki, słowa. Potem wymieniano się kartami, tak że każdy z artystów na

każdej karcie zostawiał swoje znaki. Z kolorów można było używać tylko bieli i dodatkowo srebra i złota. Było to działanie absolutnie spontaniczne, nikt nie wiedział co z tego w końcu wyjdzie, ale podczas tzw. sesji, które odbywały się co miesiąc, szczegółowo omawiano rzucone na karty znaki, analizując ich symbolikę, podporządkowaną różnym tematom. W ten sposób powstawał nowy *Leksykon symboli*, nawiązujący do Jungowskiej koncepcji archetypów, czyli pierwotnych wyobrażeń, zapisanych w ludzkiej podświadomości, ale też do mitologii i kosmogonii, kabały i hinduskiej tantry, okraszanej dadaistyczną kpina i ironią. Chaos, symbolizowany przez czarne tło stopniowo zapełniał się tymi podświadomymi wyobrażeniami w postaci pisma rysunkowego, tworząc nową artystyczną rzeczywistość, olbrzymi piktograficzny fresk (w sumie zawiera on ok. 300 piktogramów), który i dziś robi na oglądających duże wrażenie swoją zagadkowością i nieokiełznaną wyobraźnią jego twórców. Niektórzy teoretycy sztuki dopatrują się w *Czarnych Kartach* związków z surrealistami, którzy też tworzyli zbiorowo obrazy i rysunki, ale stosowali przy tym inne metody. Zresztą artyści z Kręgu Oneironu wcale się od surrealistów nie odżegnywali i w swej twórczości też nieraz nawiązywali do ich doświadczeń. Z pewnością w duchu surrealizmu tworzony był film *Chryzopea...* o alchemicznym kamieniu mądrości reżyserowany przez Halora, według scenariusza Urbanowicza, z muzyką Stuchlika.¹⁴

Czarne Karty powstawały przez mniej więcej dwa lata (1967-1969). 9 kwietnia 1970 r. zaprezentowano je w stolicy w Galerii Współczesnej pod nazwą *Nowy bezprezjensjonalny chaos w obrazkach*, czemu towarzyszył poruszający happening i wykłady o istocie przedstawianego dzieła. Wystawa cieszyła się sporym zainteresowaniem poszukiwaczy i wielbicieli nowych trendów w sztuce.

Spośród wielu wspólnych przedsięwzięć podejmowanych przez całą grupę Oneironu warto wspomnieć tu o jeszcze jednym i jednorazowym projekcie. W marcu 1969 r. ukazał się w 10 egzemplarzach pierwszy i jedyny numer almanachu pt. *Ouroboros*,¹⁵ będący pokłosiem dramatycznych wydarzeń sierpnia 1968 r. Do głębi poruszeni inwazją wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację artyści postanowili wydać antologię tekstów związanych z Pragą ezoteryczną. Znalazły się w niej m.in.: *Praga roku 1510. Centrum magii* autorstwa F. R. Dumasa, *Praga jako centrum ezoteryki. Od Rudolfa do Kafki* G. von Schwarzenfelda, autorski tekst Zygmunta Stuchlika *Jan z Husi*, kilka opowiadań Gustawa Meyrinka. Niezależnie od tej zbiorowej pracy każdy z pięciorga artystów w taki czy inny sposób samodzielnie wyraził swoje potępienie dla komunistycznych najeźdźców (z tego okresu m.in. pochodzi obraz *Demony wojny* Antoniego Halora znajdujący się w zbiorach Muzeum Historii Katowic). Tak czy inaczej bowiem każdy z członków *Oneironu* realizował swoje indywidualne cele.

Filmówka

Antoni Halor 28 maja 1965 r. otrzymał dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i wychyliwszy symboliczną lampkę szampana podczas uroczystości zakończenia studiów, popędził na stację, żeby nocnym pociągiem dotrzeć na rano do Warszawy na egzaminy wstępne do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Stosowne papiery wysłał zgodnie z formalnymi wymaganiami dużo wcześniej i miał już w ręku zaproszenie do pierwszego etapu egzaminacyjnego. Egzaminy były wielostopniowe; najpierw w Instytucie Sztuki w Warszawie odbywały się wstępne rozmowy z kandydatami i pierwszy odsiew, potem kolejno w Łodzi egzaminy pisemne i w końcu tzw. Warsztaty, czyli praktyczne sprawdzenie predyspozycji kandydata do zawodu reżysera. Na końcu tej procedury spośród prawie dwóch setek kandydatów wybierano kilkunastu szczęśliwców, którzy w październiku mogli rozpocząć studia.



W akademiku łódzkiej Filmówki

Antoni Halor znalazł się wśród nich. Spełniło się jego największe życiowe marzenie i od jesieni zaczął dzielić swój czas pomiędzy Łodzią, Siemianowicami, gdzie czekała ukochana Maria Elfryda, rodzice, a także grupa przyjaciół i znajomych, no i Katowicami, gdzie w pracowni przy Piastowskiej kontynuowano samokształceniowe spotkania. Kino-Oko bez większych ceregieli scedował na Henryka Wańka, solennie przyrzekając, że będzie mu pomagał w pozyskiwaniu filmów, czy nawiązywaniu kontaktów z prelegentami i rzeczywiście dotrzymywał słowa.

- *Ja nie miałem zielonego pojęcia o tych wszystkich procedurach, więc na początku cierpiełem i brałem ciężki, bo na przykład nie odesłałem w terminie*

jakiegoś tam filmu do CWF, albo do jakiejś ambasady, ale z czasem zaraziłem się tym filmowym bakcylem i nawet w pewnym momencie pomyślałem, że też pójdę do szkoły filmowej. Na szczęście bardzo szybko zorientowałem się, że ta szkoła prowadzi do zmiany osobowości i wyleczyłem się z tej mrzonki - wspomina Henryk Waniek.¹⁶

Czy studia w łódzkiej „Filmówce” faktycznie zmieniły osobowość Halora - trudno powiedzieć. Na pewno oddalił się od nurtu kultywowanego na Piastowskiej, nie zawsze pojawiał się na umówionych spotkaniach, ale trudno się temu dziwić. Wszedł w zupełnie nowe środowisko, nastawione na całkiem inny rodzaj aktywności niż intelektualne „ćwiczenia” w poszukiwaniu sensu egzystencji w jej symbolicznym wymiarze. Dla młodego człowieka ze Śląska ta filmowa „ziemia obiecana” objawiła się jako miejsce wyścigu niewyobrażalnych wręcz ambicji, w czym brylowali koledzy z warszawskim, inteligentnym rodowodem (każdy niemal widział już siebie jako wybitnego reżysera), morderczej pracy, bo przecież trzeba było zakuwać wiedzę i ślęczeć nieraz do późna w nocy, żeby następnego dnia wykazać się na zajęciach niebanalnymi pomysłami, no i wreszcie... najzwyczajniejszej pod słońcem biedy.

- *Jako przybysze z prowincji potrzebowaliśmy jakiegoś lokum, więc zakwaterowano nas w akademiku Akademii Medycznej przy ul. Lumumby. „Filmówka” nie miała swojego domu studenckiego i wynajmowała tam kilka pokoi. I do jednego z takich pokoi trafiliśmy z Antonim. Dołączył do nas jeszcze sympatyczny chłopak z Wydziału Operatorskiego, Michał Bukojemski i jeszcze ktoś czwarty. Nie mieliśmy stypendiów, bo to przecież były już nasze drugie studia (Józef Gębski skończył wcześniej historię sztuki - u. m. BHH), więc tak naprawdę żyliśmy z chałtur: prowadziliśmy jakieś spotkania, prelekcje, pokazy filmowe. Dzięki temu nauczyliśmy się gadać. Jedliśmy chleb z dżemem i ze smalcem, słuchaliśmy Bacha, którego obaj uwielbialiśmy i wierzyliśmy, że będziemy wielkimi reżyserami. Ta bieda i te wspólne zainteresowania zbliżyły nas i spowodowały, że się zaprzyjaźniliśmy, a potem zaczęliśmy wspólnie robić filmy. Takich tandemów było zresztą wśród filmowców sporo: Karabas - Ślesicki, Hoffman - Skórzewski i inni. My zrobiliśmy wspólnie chyba 19 filmów dokumentalnych, animowanych, jedną fabułę, wiele programów rozrywkowych. Otrzymaliśmy kilka nagród i wyróżnień. Dzielił się aż do połowy lat 70. dole i niedole reżyserskie - wspomina tamte czasy Józef Gębski.¹⁷*

- Ja w 1965 r. byłem chłopakiem po maturze w technikum fotograficznym i w tym pokoju w akademiku spotkałem dwóch intelektualistów po studiach, którzy toczyli jakieś „uczone dyskusje”, więc z początku czułem się trochę onieśmielony. Podziwiałem Antoniego, który grał na gitarze jakieś francuskie melodie. Ale atmosfera była w pokoju bardzo przyjacielska, a ten czwarty to był też przyjęty na I rok Jerzy Sztwiertnia. Na drugim roku „operatorki” dostałem kamerę z obiektywem cinemaskope i 300 metrów taśmy. I wtedy Antoni zaproponował, żebyśmy pojechali na Śląsk i tam nakręcili na tej taśmie dokument. Tak powstało „Pożegnanie kolejki”, a potem zrobiliśmy jeszcze wspólnie kilka ważnych obrazów. Współpraca z Antonim to była dla mnie prawdziwa szkoła robienia filmów – mówi Michał Bukojemski.¹⁸

Kopertografia

Pierwszy rok akademicki w łódzkiej „Filmówce” przyszedł reżyser kończyć z pewnością jako człowiek szczęśliwy. Nie dość, że bardzo pomyślnie zaliczał studenckie obowiązki, to wiosną 1966 r. odniósł znaczący sukces jako artysta plastyk. 20 kwietnia w Warszawie w Salonie Debiutów przy Krakowskim Przedmieściu 24 odbył się wernisaż wystawy, na której Antoni Halor zaprezentował kopertografię, którą potem uznano za prekursorską manifestację Mail Artu.

Wystawa odbywała się – jak pisze artysta w swoich wspomnieniach – pod patronatem Związku Polskich Artystów Plastyków i Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich przy Uniwersytecie Warszawskim z inicjatywy Henia Depty (adresata tych kopert) i przy wydatnym udziale Jolanty Słobodzian (niestety, przedwcześnie zmarłej, ambitnej działaczki studenckiej).¹⁹

W zbiorach profesora Henryka Depty, wówczas magistra filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, który zaczynał właśnie drugie studia – pedagogiczne

– na Uniwersytecie Warszawskim zachowały się jeszcze albumy z kopertografią i trochę dokumentacji z tamtego wydarzenia, m.in. księga pamiątkowa, nazwana *Księgą uwag i obelg*, którą otwiera wpis Kirka Douglasa i jego małżonki Anne, bawiących akurat wtedy w Warszawie, a potem w Łodzi. Fakt, że wizyta gwiazdy amerykańskiego westernu, która miała wygłosić odczyt w Łodzi, w sławnej szkole filmowej, do której uczęszczał Roman Polański, za żelazną kurtyną, dzielącą świat na dwa wrogie obozy, zbiegła się w czasie z rozpoczęciem studiów filmowych i warszawskim wernisażem *Kopertografiki* Antoniego Halora, który od dziecka był zafascynowany westernem i *Dzikim Zachodem*, można rozpatrywać w kategoriach cudownego zbiegu okoliczności. Państwo Douglasowie na prośbę prezydenta Kennedy’ego odwiedzali w tym czasie kraje komunistyczne w roli ambasadorów dobrej woli Stanów Zjednoczonych.²⁰



Maria i Antoni przed Salonem Debiutów, gdzie wystawiana była *Kopertografia*

Ciekawe, kto zaprosił sławnych amerykańskich gości na wernisaż wystawy młodego zdolnego plastyka i przyszłego filmowca z Siemianowic. Zachowało się z niej zaproszenie, bardzo skromne, na rewersie którego Henryk Depta napisał: *»Sztuka dekoracyjna? Sztuka użytkowa? Sztuka piękna? Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. I jedno i drugie i trzecie. Nie wiem co powinna przede wszystkim sztuka. Być obrzędkiem czy zabawą? Ta druga, ludyczna, orficka funkcja sztuki nie jest może jej funkcją pierwotną, niemniej zawsze żywą i aktualną, zawsze oczekiwaną i przyjmowaną. Najbardziej lekkostrawną. Ale i najmniej literacką, najmniej służebną. Najbardziej bezinteresowną. Najczystsza. Jednocześnie najczęściej atakowaną. Bo sztuka nie jest w końcu rzeczą czystą, nie chce być ekstraktem. Dlatego ta wystawa nie jest jednoznaczna. Można ją odrzucić lub przyjąć. Proszę bardzo! H.D.*²¹

Na wernisażu oprócz państwa Douglasów było wiele „bardzo ważnych” wtedy w Warszawie osób, m.in. Krystyna Tarasiewicz, redaktor naczelna magazynu „Radar”, pisarz Kazimierz Brandys, prof. Irena Wojnar, wybitny krytyk filmowy Konrad Eberhardt, ks. Bronisław Bozowski i ks. Jan Twardowski, zaprzyjaźnieni z młodymi artystami, a także Anna Trojanowska-Kaczmarek, artystka, matka późniejszego barda „Solidarności” Jacka Kaczmareka, no i oczywiście tłum studentów pobliskiego Uniwersytetu Warszawskiego i kolegów z łódzkiej „Filmówki”. Bohatera tego wieczoru, młodego artystę z Siemianowic, z pewnością rozpieierała duma.

Szczęście

Ale wszystko przyćmił intymny i nader skromny (poza bezpośrednimi uczestnikami, rodzicami i najbliższym przyjacielem nie było nikogo) nasz ślub, Marii Elfrydy i mój, w barokowym kościele Wizytek, najpiękniejszym kościele Warszawy, przy tym filialnym kościeła św. Krzyża, gdzie dzień wcześniej dokonywałem wszystkich formalności – pisze lapidarnie w swoim dzienniku Antoni Halor. Było to 2 maja 1966 r. Ślubu udzielało aż trzech duchownych: ksiądz Bronisław Bozowski, ksiądz Jan Twardowski (jeszcze wówczas nieznany jako poeta), oraz przyjaciel, franciszkanin z Opolszczyzny, o. Piotr Ludwig muzyk i muzykolog po studiach na warszawskiej Akademii Muzycznej, który także grał na organach oczywiście „Chaconnę” J. S. Bacha - a w parę lat później skomponował do filmu animowanego »halgębów« (tak nas później, gdy już wypłynęliśmy na szerokie wody, nazwał zawsze jowialny Jerzy Hoffman) - „Drzewko szczęśliwe” - filmu animowanego, nakręconego w łódzkim »Semaforze« (1970), muzykę opartą na renesansowej muzyce europejskiej i staropolskiej, wykonywaną osobiście przez autora (na barokowym flecie prostym) i przeze mnie (partia gitary - która udawała lutnię - partia wcale nie prosta - ale dotąd moje umiejętności jeszcze w tamtym czasie sięgały). Wtedy po raz drugi wydało mi się, że złapałem niebo za nogi”.²²

Po uroczystości młodzi państwo przeszli spacerkiem pod Salon Debiutów, gdzie nadal można było oglądać wystawę *Kopertografiki*, a Janusz Zaorski, kolega z „Filmówki”, zrobił im tam zdjęcia. A potem oczywiście było skromne przyjęcie i toasty za pomyślność małżonków, którzy co prawda na razie nie mogli być razem na co dzień, ale dla prawdziwego uczucia nie stanowiło to przeszkody.

Maria Elfryda była nauczycielką, polonistką w Szkole Podstawowej nr 3 w Siemianowicach, niezwykle lubianą (jeszcze wiele lat później jej dawni uczniowie wspominali ją niezwykle ciepło - u.m. BHH). Antoni studiował w Łodzi i coraz śmielej sobie poczynił w roli reżysera. W latach 1966-1968 zrealizował kilka udanych etiud szkolnych, których zwieńczeniem było *Wzgórze Marsa albo powrót powstańca śląskiego*. Film ze zdjęciami Michała Bukojemskiego bardzo się spodobał jurorom na egzaminie absolutoryjnym, co otworzyło adeptowi sztuki reżyserskiej drogę do debiutu. Wraz

z kończącym studia w tym samym czasie Józefem Gębskim postanowili kontynuować współpracę reżyserską, a że pomysłów im nie brakowało, więc najpierw skierowali kroki do jedynej wówczas, państwowej telewizji, która w tamtych czasach dysponowała pokaźnym budżetem i w przeciwieństwie do wytwórni filmowej, nie ograniczała czasu trwania filmów dokumentalnych, które zwykle były wyświetlane jako tzw. dodatki po kronice filmowej, a przed filmem fabularnym, do 8-10 minut.

Sukces

Na początek nakręcili zabawną telewizyjną sondę pt. *Czy chciałbyś pojechać na Wyspy Kanaryjskie?*, która natychmiast po kolaudacji została odłożona na półkę i bodaj że nigdy później nie została wyemitowana. Cóż, był rok 1968. Sam tytuł mógł przyprawić towarzyszy z centralnych władz jedynie słusznej partii o apopleksję. Strajki studenckie, haniebna nagonka na obywateli polskich o żydowskich korzeniach, głównie ludzi zasłużonych dla polskiej nauki i kultury, których z biletem w jedną stronę wyrzucano z Polski, potem straszliwy sierpień, kiedy m.in. polskie wojsko wysłano do Czechosłowacji, aby pacyfikowało powstanie. Wiele gorzkości i ludzkich dramatów przeżywano wtedy w środowiskach studenckich, artystycznych, naukowych, a twórcy koncentrowali się wokół tych przeżyć, nie mogąc oczywiście liczyć na to, że ich dzieła, stworzone w proteście przeciw komunistycznej władzy, ujrzą kiedykolwiek światło dzienne.



Józef Gębski i Antoni Halor na planie filmu *Testament*

Prawdopodobnie jednak w kierownictwie redakcji dokumentu TV w Warszawie pracowali wtedy ludzie, którzy dostrzegli talent autorów *Wysp Kanaryjskich* i kiedy zjawili się oni ponownie ze scenariuszem i propozycją nakręcenia filmu o „Konzentrationslager Auschwitz” widzianym oczami Tadeusza Borowskiego, bez problemów ją przyjęli. I tak w 1969 r. powstał *Testament*, kręcony na profesjonalnej taśmie 35 mm, nagrodzony w 1970 r. na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie „Srebrnym Lajkonikiem” dla najlepszego filmu telewizyjnego, a w 1971 r. Nagrodą Jury na Międzynarodowym Festiwalu

Filmowym w Tours (Francja), znalazł się nawet w zbiorach Museum of Modern Art w Nowym Jorku. To był prawdziwy sukces, który szeroko otworzył młodym reżyserom drzwi do telewizji i nie tylko, bo niedługo potem w łódzkim „Se-Ma-Forze” umożliwiono im realizację filmu animowanego pt. *Drzewko szczęśliwe* według ich autorskiego scenariusza i w ich własnym opracowaniu plastycznym. Rok 1970 zapowiadał się więc rewelacyjnie. I przez kilka pierwszych jego miesięcy wydawało się, że młodzi twórcy właśnie startują do gwiazd. W przypadku Antoniego Halora poczucie szczęścia i prawdziwego sukcesu miały dopełnić narodziny dziecka, którego oczekiwali z Marią.

Tragedia

Radość oczekiwania i narodzin synka, co nastąpiło 25 lipca, niecały miesiąc później zamieniła się w straszliwą tragedię. Maria Elfryda na skutek komplikacji poporodowych, a faktycznie błędów w sztuce lekarskiej, 18 sierpnia odeszła na zawsze z tego świata. A dla Antoniego ten świat, który tak konsekwentnie budował, dążąc do



Z synkiem Jakubem

wymarzonych celów, runął tego dnia bezpowrotnie. Nawet po wielu, wielu latach nie chciał o tym rozmawiać. Rana, choć zablizniona, została do końca jego życia. Ale wtedy w sierpniu 1970 r. życie nie stanęło w miejscu. Trzeba było wywiązać się z podpisanych wcześniej umów, więc reżyser zostawiwszy maleństwo pod opieką dziadków, pojechał prosto do Sopotu, gdzie razem z Józefem Gębskim mieli nakręcić dla telewizji kilka filmów dokumentalnych z Międzynarodowego Festiwalu Piosenki. To była wręcz mordcza harówka, ale wywiązali się z zadania znakomicie.

I gdyby nie to nieprawdopodobne nagromadzenie sukcesów i związanego z nią nawału pracy, która spadła na nas z tą tragedią, nie wiem jak bym to wytrzymał - napisał potem artysta w swoim Reżyserskim dzienniku. - Na razie bowiem pracowaliśmy w pełnej euforii (ja używając tego ogromnego nawału prac [...] do odpędzenia koszmarnych myśli jako substytut(u) wódki, a raczej jeszcze mocniejszych psychotropów, które wówczas - o dziwo - były łatwo dostępnym, całkiem normalnym lekarstwem, sprzedawanym na receptę od byle lekarza, jak choćby amfetamina). Jako szczęście odczuwałem fakt, że byliśmy dosłownie zarzucani propozycjami (żartowaliśmy, że ta praca w zespole się znakomicie sprawdza i odnosi prawdziwe sukcesy), a na pytania dziennikarzy jak to robimy, odpowiadaliśmy zwykle: jak Ilf i Pietrow, twórcy legendarnych „12 krzesel” - jeden lata po biurach i załatwia zlecenia, drugi pisze (albo kręci kolejne metry filmu).²³

Telewizja

Zaraz potem zaproponowano im, aby w katowickim ośrodku TV zrobili specjalny program rozrywkowy na „Barbórkę” 1970. Była to propozycja wielkiej rangi, nie tyle artystycznej, co politycznej, bo w tamtych latach górnictwo stało na piedestale propagandy komunistycznej i towarzysze z Komitetu Centralnego PZPR przywiązywali do górniczego święta wielką wagę.

- No więc pojechaliliśmy w rodzinne strony Antoniego. Przyjął nas ówczesny szef katowickiej telewizji Tadeusz Kopel i powiedział: Macie wszystko czego sobie życzycie, tylko róbcie. No to myśmy sobie zażyczyli m.in., żeby sprowadzono jakieś szczególnie modne w owym czasie gwiazdy piosenki i nie szczędzono grosza na wystrój, bo to wszystko przecież miało iść na żywo - wspomina Józef Gębski, dla którego w owym czasie Górny Śląsk był jeszcze „ziemią nieznaną”.²⁴

Antoni Halor był u siebie i katowicki ośrodek telewizyjny znał niemal od podszewki, bo od pierwszej chwili jego powstania, a właściwie jeszcze przed jego oficjalnym otwarciem, które nastąpiło w grudniu 1957 roku. Wcześniej już powstały ośrodki w Warszawie, Poznaniu i Łodzi, więc nie do pomyslenia było, aby „przodujący region klasy robotniczej” pozostał pod tym względem w tyle. Poszło to sprawnie, bo na Śląsku była grupa ludzi z AKF, całkiem dobrze przygotowanych do pracy z kamerą, do obróbki filmów i emisji obrazu. W Siemianowicach-Bytkowie zbudowano wieżę telewizyjną i nieduży budynek techniczny. Niezawodny Jerzy Ziętek, wówczas zastępca przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach przekazał na potrzeby ośrodka swoją po-



Młodzi reżyserzy zaczęli pracę w TV od filmowej sondy pt. *Czy chciałbyś pojechać na Wyspy Kanaryjskie?*

łówkę willi przy ul. Ligonii 37, w której mieszkał z rodziną, a sam przeniósł się do mieszkania na Koszutkę (drugą połówką po wyprowadzce Aleksandra Zawadzkiego do Warszawy zarządzało Ministerstwo Górnictwa). W tej willi mieściła się aż do roku 1966 redakcja TV, tu przygotowywano wszystkie programy i stąd wożono taśmy z nagraniami do Bytkowa, skąd emitowano audycje.

Mieczysław Chudzik, znakomity operator filmowy, pochodzący z Wileńszczyzny, związany

z katowicką telewizją od pierwszych chwil, bo zaczynał w niej pracę jako siedemnastolatek zaraz po tzw. repatriacji ze Związku Radzieckiego bardzo dobrze pamięta te początki. Był po maturze, którą zdawał w ZSRR i nie radził sobie z językiem polskim, ale potrafił fotografować i znał się na obróbce fotograficznej, więc zatrudniono go w laboratorium. Najpierw korzystano z laboratorium AKF „Śląsk”, mającego swoją siedzibę na ostatnim piętrze dawnego gmachu Biblioteki Śląskiej (róg ulic Francuskiej i Krasińskiego), a mniej więcej po roku telewizja miała już własne laboratorium. Urządzono je w dawnej kuchni rodziny Ziętków.

- Poznałem Antoniego jeszcze jako studenta Akademii Sztuk Pięknych, gdy przychodził do mamy, która była wtedy zatrudniona w ochronie budynków radia i telewizji, czyli mówiąc po prostu dyżurowała na portierni. Gdy wypadał jej dyżur nocny, to często zastępował ją wtedy Antoni. To były takie czasy, że nikt się w to nie wtrącał. W redakcji pracowało kilkanaście osób. Wszyscy byliśmy zaprzyjaźnieni, bywało, że przesiadywaliśmy tam do późnej nocy, a jak ktoś miał daleko do domu, bo mieszkał np. w Tarnowskich Górach, to mógł nawet przenocować. Oglądaliśmy filmy, toczyliśmy długie rodaków rozmowy przy butelce, ale Antoni bardzo się pilnował, nie pił, tylko nam towarzyszył. Zawsze był bardzo odpowiedzialny i taki dojrzały intelektualnie. Te nasze towarzyskie kontakty dość szybko się urwały, bo Antoni pojechał na studia reżyserskie do Łodzi. I po jakimś czasie słyszę Halor z Gębskim robią filmy i to na Śląsku. Tak pojawili się w telewizji katowickiej, gdzie m.in. przygotowywali kilka programów rozrywkowych, a Antoni później w latach 70. już sam robił znakomite spektakle dla Teatru Telewizji. Wtedy zaczęła się nasza zawodowa współpraca. Prawdę mówiąc, był bardzo wymagającym reżyserem. Zawsze świetnie przygotowany potrafił precyzyjnie określić, czego oczekuje od aktorów, scenografów, ekipy technicznej. Nie tolerował powierzchowności, olewactwa. Bardzo poważnie podchodził do pracy i wymagał, aby inni robili tak samo. Czasem złościł się, gdy coś nie wychodziło tak jak sobie tego życzył, zwłaszcza gdy redaktorzy lub cenzura stawiali szlaban na jego wizję reżyserskie. I chyba stresował się tym mocno w głębi duszy - wspomina Mieczysław Chudzik.

Barbórka

Ten program barbórkowy z 1970 r. dobrze pamięta Józef Krupa, artysta plastyk, który przygotowywał do niego scenografię. On również pracował w katowickiej telewizji od jej początków.

- Gębski i Halor przygotowali zupełnie zwariowany, surrealny scenariusz, zgodnie z którym poszczególne pozycje programu były łączone zabawnymi scenkami, rozgrywanymi się w typowej śląskiej kuchni. W kuchni był oczywiście wielki kaflowy piec kuchenny (przy którym siedzieli oma i opa czyli Maria Hornikowa i Ignacy Widera świetni aktorzy naturszczycy - u.m. BHH), a że kuchnia bywała głównym ośrodkiem życia rodzinnego, to stał w niej także duży radziecki telewizor Rubin. Na ekranie pokazywano różne „węglowe sytuacje”, a w pewnym momencie zaczęła się po nim przesuwąć taśma z węglowym urobkiem. Waldemar Matuszka bardzo popularny wówczas piosenkarz czechosłowacki, który pełnił rolę gospodarza programu, zabrał spod pieca pustą węglarkę, podszedł do telewizora i podstawił ją pod nim. Wtedy z taśmy na ekranie posypał się wprost do węglarki prawdziwy węgiel. Widać było nawet jak uniosło się przy tym trochę węglowego pyłu. Do mnie jako do scenografa należało przygotowanie zamaskowanego zsypu z węglem, a do kolegów operatorów takie skadrowanie scenki, żeby widzowie mieli wrażenie, że ten węgiel naprawdę wysypuje się z telewizora.

W programie było mnóstwo różnych prześmiewczych aluzji, mnóstwo ryzykanckich momentów, girelaski, balety, (a trzeba pamiętać, że wszystko to odgrywano na żywo), więc kierownictwo telewizji pewnie z dużymi obawami oczekiwało jak na to zareagują towarzysze w KC. Ale towarzysze mieli już inne zmartwienia. Na szczytach władzy szykował się przewrót. W dwa tygodnie później, po stłumionych krwawo protestach społecznych, 20 grudnia Władysław Gomułka musiał ustąpić stanowiska Edwardowi Gierkowi. Zaczęła się w Polsce lekka odwilż, a telewizja tak polubiła wesoły tandem Halor-Gębski, że ciągle proponowała nowe „rozrywkowce” do roboty. Reżyserzy współpracowali ze wszystkimi niemal ośrodkami telewizyjnymi w Polsce: warszawskim, katowickim, gdańskim, także krakowskim i szczecińskim.

- To miało swoją dobrą stronę, bo nareszcie zaczęliśmy dostawać jakieś konkretne pieniądze, a przecież obaj mieliśmy rodziny na utrzymaniu, ale było niebezpieczne, bo groziło zaszufładowaniem w działce taniej rozrywki. Zrobiliśmy kilkanaście widowisk rozrywkowych, m.in. „Gwiazdy 7 stolic” w katowickim „Spodku”, kilka przedstawień Teatru Sensacji, kręciliśmy teledyski, robiliśmy nawet słuchowiska radiowe i wszystko co nam młodym podsuwano. Mieliśmy powodzenie, ale wreszcie powiedzieliśmy: dość tego. Jak tak dalej pójdzie utknijemy do końca życia w chałturze - wspomina tamte czasy Józef Gębski.

Rozstanie

Skoncentrowali się więc na filmie. Byli już przecież pełnoprawnymi reżyserami z dyplomami tej „Najwyższej Szkoły”. W 1971 r. nakręcili aż dwa świetnie przyjęte przez widzów kinowych filmy o tematyce górniczej: *Czarne - zielone* (o młodych ludziach z różnych regionów Polski, których na przyspieszonym kursie usiłowano wyszkolić na górników), oraz *Czarne słońce* (jego bohaterami są: Alojzy Piontek, górnik, który przeżył tydzień bez wody i jedzenia w zawalonym chodniku kopalnianym po katastrofie górniczej w kopalni „Mikulczyce-Rokitnica” 23 marca 1971 r. oraz młodzi adepci górnictwa). Niestety, oba te filmy uznano za politycznie niewygodne i na długie lata odstawiono „na półkę”. W tym samym roku powstała też kolejna bardzo udana animacja pt. *Człowiek równa się człowiek*.

W 1972 i 1973 r. głodni sukcesów młodzi reżyserzy kręcili po trzy filmy rocznie, m.in. *Jeden plus jeden*, *Saga rodu Z.*, *Notatnik 14-ty*, *Oto Polska*, a także animowany pt. *Nieustraszeni wykonawcy Mozarta*. W następnych latach 1974-1975 zrobili razem m.in. *Wszystkie moje dzieci* i *Do dnia*. Tym naprawdę wielkim dziełem miał być w ich



Antoni Halor na pokładzie jachtu „Siemion”

Antoni Halor zwrócił się w stronę Śląska, którego właściwie nigdy nie opuszczał na dłużej. Tu przecież w Siemianowicach pod opieką dziadków wychowywał się mały Kuba. W Katowicach oczekiwali przyjaciele spod znaku „Oneironu”, choć już w końcówce lat 60. te więzi zaczęły się rozluźniać, a każdy z piątki artystów coraz intensywniej podążał własnymi drogami. Jeszcze w 1973 r. w siemianowickiej galerii EM w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki zorganizowano kolejny pokaz *Chaosu*, czyli *Czarnych Kart*. Rok wcześniej Antoni Halor zaprezentował w tym samym miejscu indywidualną wystawę prac z cyklu *Góra*, ale jednak najbardziej pochłaniała go twórczość filmowa i telewizyjna. W 1976 r. nakręcił aż trzy dokumenty dla Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie: *Uczeń i mistrz* (o Zimmermanie i profesorze Jasińskim), *Plener przemysłowy*, *Teatr z wyobraźni*, w 1977 *Suity francuskie J. S. Bacha* i wreszcie *Jacht*.

Przełom

Właśnie ten dokument o budowie najprawdziwszego pełnomorskiego jachtu w siemianowickim „Kotłomontażu”, którym w 1979 r. grupka zapaleńców jako pierwsza załoga ze Śląska popłynęła na Islandię, stał się dla Halora początkiem wspaniałej morskiej przygody i chyba „nowego otwarcia na życie”.

Podejmując „śląskie tematy” mógł więcej czasu spędzać z synkiem w Siemianowicach, a także bardziej angażować się w sprawy rodzinnego miasta. Zawsze chętnie uczestniczył w przedsięwzięciach, które miały sens kulturowy. Jeszcze w okresie studiów na ASP założył w Siemianowicach Klub Studencki „Siemion”, włączył się aktywnie w działania powstałego w 1966 r. Towarzystwa Miłośników Siemianowic; m.in. wspólnie z kole-

mniemaniu pierwszy fabularny film *Opis obyczajów*. Okazał się jednak filmem nowatorskim, trudnym w odbiorze, niezbyt dobrze przyjętym przez krytykę i szefów kinematografii. Choć po wielu latach broni się oryginalnością fabuły i rzadkim w polskich filmach hipisowskim klimatem, nie jest to z pewnością dzieło tak świetne i poruszające jak wcześniejszy *Testament*. Rozczarowani wspólnym debiutem przyjaciele, zdecydowali się rozwiązać artystyczną spółkę i kontynuować twórczość filmową osobno. Józef Gębski nakręcił potem kilkadziesiąt świetnych filmów, ale zasłynął najbardziej chyba dzięki *Sybirakom* i innym wstrząsającym dokumentom z Syberii, a także z Katynia, Charkowa i Miednoje.



A. Halor z synem w gronie siemianowickich twórców podczas IV Dni Siemianowic

gą Joachimem Liszką opracował pierwszy przewodnik po mieście, wydany w 1969 r. Współuczestniczył w organizowaniu plenerów malarskich, czy Dni Siemianowic, w obronie zabytkowego spichlerza, który ówczesne władze zamierzały zburzyć (do dziś z sukcesami funkcjonuje w nim Muzeum Miejskie), w przygotowywaniu wystaw i imprez kulturalnych, ba nawet własnymi rękami wmurowywał kamień węgielny pod budowę nowej siedziby biblioteki miejskiej. Zbliżył się do grupy energicznych, młodych ludzi, takich jak Krystyna Migąłowa, Alfreda Barnasiowa, Klara Gołąbek, Helena Pilot, Karol Fojcik, Joachim Liszka, Tadeusz Pronobis (potem dochodzili kolejni z młodszego nieco pokolenia: Zbigniew P. Szandar, Zdzisław Janeczek i inni), którzy próbowali wpływać na działalność kulturalną w mieście i często im się to udawało. A były to czasy, kiedy tzw. inteligencja, w opozycji do imprez masowych typu święto „Trybuny Robotniczej”, kultywowała prywatne spotkania w domach, podczas których rozmawiano o książkach, słuchano płyt, popijano raczej wino niż mocniejsze trunki, czasem tańczono. Halor był bardzo pożądanym gościem na takich prywatkach, bo tak wtedy nazywano te spotkania.

- *Błyskotliwie dowcipny, inteligentny, świetnie grał na gitarze, śpiewał piosenki Okudźawy i Wysockiego, czasem rysował jakieś zabawne scenki* - wspomina Halina Baron (razem z mężem Joachimem utrzymywali z Antonim bliskie kontakty - u.m. BHH). W tamtym czasie podjął też próbę odbudowania swojego życia osobistego i rodzinnego, co pod koniec lat 70. zaowocowało małżeństwem z Krystyną Zasadą, polonistką i dyrektorem II LO im. Jana Matejki w Siemianowicach Śląskich.



A. Halor z żoną Krystyną

Reżyserowanie

Przede wszystkim jednak bardzo dużo pracował. Prawdziwą furorę wywołały jego spektakle dla Teatru Telewizji zrealizowane w katowickim ośrodku TV: *Doktor Faustus* według T. Manna w 1975 r., *Teresa Raquin* według E. Zoli w 1976 r., *Wędrowki Mistrza Kościeja* według M. Ghelderode w 1978 r. a potem jeszcze *Lizystrata* według Arystofanesa w 1980 r. Z kolei dla Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie, gdzie był zatrudniony na stałe, po tych wymienionych już wyżej dokumentach, wyreżyserował w 1978 r. film pt. *Człowiek z laską czyli portret człowieka praktycznego* (o Jerzym Ziętku) według własnego scenariusza, rok później weszło na ekrany *Słoneczko jasne zza czarnych gór* (z udziałem żyjących jeszcze wtedy powstańców śląskich), a w 1980 r. *Czekanie* (film o ratownikach górniczych). Co rok nowy film, co drugi - spektakl telewizyjny i jeszcze latem 1979 r. dwumiesięczny rejs przez Atlantyk na Islandię. Niestety, nie udało się zrealizować filmu z rejsu, bo wszystkie nakręcone taśmy z jakichś powodów uległy naświetleniu (czy maczała w tym palce Służba Bezpieczeństwa tego już się chyba nie dowiemy, ale takie przypuszczenia miał sam reżyser). Na szczęście zachowało się wiele kolorowych slajdów, które pozwalają odtworzyć trasę i przebieg rejsu, osobisty pamiętnik reżysera w formie listów do rodziny, no i kilkadziesiąt obrazów olejnych tworzonych potem przez wiele lat, składających się na cykl pt. *Atlantyk*.

Początek lat 80. przyniósł kolejne polityczne trzęsienie ziemi. Przez Polskę przetoczyła się fala robotniczych strajków, powstała „Solidarność”, do której akces zgłosiło



Reżyser przy pracy nad spektaklem *Wędrówki mistrza Kościeja* dla Teatru TV, 1977 r. Od lewej: Mieczysław Czechowicz i Ryszard Ronczewski

10 milionów obywateli, komunistyczna władza ugięła się nieco przed robotniczymi postulatami, niepokój mieszał się z nadziejami na poprawę sytuacji ekonomicznej, wolne związki zawodowe, wolność słowa. Ale tak naprawdę sytuacja się nie poprawiała, wręcz przeciwnie narastał chaos, zresztą podkreśnany przez SB. Zaczęła się masowa emigracja. W latach 1980-1989 wyemigrowało z Polski ponad milion osób.

Antoni Halor po osadzonem w górnictwie *Czekaniu* ruszył w stronę uniwersytetu. Czy tam wśród młodej polskiej inteligencji też czuje się powiew wolności, co mają do powiedzenia studenci? Postawił wiele pytań, na które postarał się odpowiedzieć w filmie *Odyseusz*. Film ukazał się w 1981 r. i oczywiście niedługo zabawił na ekranach; tylko do stanu wojennego, ale podczas premiery reżyser jeszcze nie przewidywał jak będzie wyglądała niedaleka przyszłość.

Serce

Jesienią wybrał się „maluchem”, czyli popularnym Fiatem 126 p do Austrii. Tam, gdzieś w Alpach, w jednym z tzw. heimów, czyli ośrodków, w których lokowano uchodźców z Polski, przebywała rodzina bliskich przyjaciół z Wrocławia (Kazimierz Senkowski był ojcem chrzestnym Kuby). Wyjechali w środku lata, prosili, żeby przywieźć im jakąś ciepłą odzież, bo w górskiej okolicy robi się zimno. Antoni, choć artysta, ale przy tym praktyczny Ślązak, postanowił połączyć pożyteczne z przyjemnym. Wyładowanym do granic możliwości maluchem, z bagażnikiem na dachu z zapakowanymi swoimi obrazami, zajechał z fasonem do samego centrum Wiednia, bo przecież nie mógł pominąć okazji odwiedzenia tamtejszych muzeów. Jakim sposobem przekonał wiedeńskich policjantów, że on naprawdę musi obejrzeć swych ulubionych Breughlów, a w szczególności Pietera, tego nikt nie wie. W każdym bądź razie policjanci zamiast wlepić mu mandat za parkowanie w niedozwolonej strefie, uczynnie wskazali miejsce, gdzie auto mogło spokojnie stać, a oni jeszcze pilnowali, żeby nikt przypadkiem nie zwinął cennego ładunku z bagażnika.

Nie był to zresztą jedyny przypadek, kiedy polskiego artystę podróżującego śmiesznym samochodziem przez Alpy, w których właśnie zaczęły się obfite opady śniegu, potraktowano z wielką wyrozumiałością i sympatią. Tak było przez całą drogę aż do pensjonatu, gdzie mieszkali przyjaciele i dalej przez góry aż do granicy niemieckiej, bo plan był taki, żeby dotrzeć do Kolonii. Tam, dzięki wcześniejszym kontaktom, Antoni Halor, który nie był nieznanym w zachodnioniemieckich kręgach filmowych (m.in. w 1970 r. razem z Józefem Gębskim prezentowali nagrodzony w Krakowie Testament na Przeglądzie Filmów Polskich w Saarbrücken) miał wyreżyserować dwa filmy dla niemieckiej telewizji. Podpisano już nawet wstępne umowy, wszystko toczyło się zgodnie z planem i wtedy nastąpił krach; atak serca, utrata przytomności, pogotowie, klinika kardiologiczna, zdiagnozowanie wady wrodzonej serca i konieczność natychmiastowej skomplikowanej operacji.

Jaki przedziwny splot okoliczności sprawił, że stało się to właśnie na początku grudnia 1981 r., gdy w Polsce ogłoszono stan wojenny, co na Zachodzie, najpierw chyba

właśnie w Niemczech i we Francji, wyzwoliło całe pokłady empatii dla Polaków i chęci pomocy? Antoni Halor zawsze z wdzięcznością wspominał kolońskich lekarzy, którzy nie tylko uratowali mu życie, ale postarali się o środki na sfinansowanie leczenia i rehabilitacji i jeszcze poprosili o listę adresów w Polsce, pod które zachodnoniemieckie organizacje charytatywne mogłyby wysyłać paczki. I wysyłały przez kilka lat żywność, środki czystości, odzież. W tamtym czasie setki tysięcy polskich obywateli doświadczyły w mniejszym lub większym zakresie takiej pomocy.

Rekonwalescencja

Po wielu miesiącach rehabilitacji, gdy tylko stan jego zdrowia na to pozwolił, Antoni Halor wrócił do Polski. Nawet przez chwilę – jak później mówił – nie zastanawiał się nad tym, że przecież spokojnie mógłby zostać w Zachodnich Niemczech, tak jak wielu innych obywateli polskich. Wrócił do rodziny, do Polski wojskowych transporterów na ulicach, kolejek przed pustymi sklepami, do Polski zwarzonej beznadzieją i biedą. W niemieckiej klinice otrzymał zalecenie, że po paru miesiącach ma się zgłosić na badania kontrolne, ale okazało się to niemożliwe w ówczesnej sytuacji. Nawiązał więc bliższe kontakty z kliniką kardiologiczną w Katowicach-Ochojcu i tak już zostało na długie lata, z przerwami.

Tamten czas musiał być niewątpliwie bardzo trudny dla aktywnego artysty, który nie chciał współpracować z reżymowymi mediami, co nie znaczy, że nic nie robił. Wręcz przeciwnie. Należał on do tego gatunku ludzi, którzy nie potrafią wytrzymać paru minut w bezczynności. Plusem było to, że miał wreszcie więcej czasu dla syna. Wrócił też do rysowania, malowania, pisania tekstów, no i oczywiście do czytania, bo dzień bez lektury uważał za dzień stracony. W zaprzyjaźnionej księgarni przy ul. Komuny Paryskiej w Siemianowicach (potem przeniesionej na ul. Powstańców) miał swoją „tajną” półeczkę, podobnie zresztą jak kilkunastu innych zagorzałych czytelników, którym prowadząca ten przybytek kultury pani Beata Fajkosz odkładała jakieś szczególnie cenne pozycje.

Dzisiaj już chyba mało kto pamięta, że w latach 80. książka była nie tylko pożądanym dobrem kultury, ale stała się cennym towarem, po który również ustawiały się kolejki. Kupowało się na pniu wszystko co akurat „rzucano”, a potem można było zamienić nowiutki egzemplarz np. na kawałek szynki, bo pani z „mięsnego” miała córkę, która potrzebowała lekturę do liceum. Prawdziwi miłośnicy książek, naukowcy, artyści, nauczyciele itp. zabiegali o życzliwość księgarzy, prawdziwą hoszę przeżywały antykwariaty. Tak wyglądało życie w tamtej szarej rzeczywistości, tyle tylko, że ludzie byli dla siebie życzliwsi, wspomagali się nawzajem i buntowali przeciwko „komunie”, ale raczej biernie, np. wychodząc na spacer w porze emisji dziennika telewizyjnego, bo jawną działalność opozycyjną podejmowali tylko niektórzy, a wtedy musieli się liczyć z internowaniem, albo co gorsze aresztowaniem i procesem sądowym za opór władzy.

Morcinek

Po długim urlopie chorobowym i zniesieniu stanu wojennego Antoni Halor powrócił do pracy w WFDiF, gdzie również odczuwano skutki pogłębiającego się kryzysu gospodarczego i coraz trudniej było o środki na realizację filmów. Pierwszym po dłuższej przerwie, jaki udało się reżyserowi nakręcić był wzruszający i bardzo budujący film *Konrad* (o niewidomym od urodzenia chłopcu z Siemianowic, który uczy się w liceum ogólnokształcącym i razem ze swoimi w pełni widzącymi koleżankami i kolegami zdaje maturę). Bohater jest dzisiaj dojrzałym mężczyzną, specjalistą od rehabilitacji, ojcem rodziny. Film miał premierę w 1984 r.



Na planie filmu *Morcinek*. Od lewej: Mirosław Adamski, grający młodego Morcinka, Antoni Halor i Michał Bukojemski

Potem przyszedł czas na Morcinka. Reżyser dostał środki na zrobienie niewielkiego filmu dokumentalnego o najbardziej znanym wówczas pisarzu śląskim i jak sam wspominał, na początku nie był specjalnie przekonany do tematu. Kiedy jednak zaczął zagłębiać się w lekturę utworów pisarza, a zwłaszcza jego listów i niepublikowanych dokumentów, które udostępniono mu w Muzeum Miejskim w Skoczowie zapalił się do tej pracy. Co więcej, znalazł silne wsparcie różnych, regionalnych gremiów, którym Gustaw Morcinek nie był obojętny, także władz ówczesnego województwa bielskiego, siemianowickiej huty „Jedność” i kopalni „Siemianowice”, gdzie kręcono górnicze

sekwencje filmu. I zamiast krótkiego biograficznego dokumentu powstał pełnometrażowy, parafabularny film *Siedem zegarków Gustawa czyli eremita skoczowski Morcinek*, który wzbudził uznanie krytyków i zachwyt widzów. Reżyser Halor i pisarz Morcinek wręcz idealnie „porozumieli się” na kanwie swoistej „filozofii czasu”. I jeden i drugi byli jakoś szczególnie uwrażliwieni na kwestie przemijania. Morcinek kolekcjonował zegary, odgrywały one bardzo ważną rolę w każdej niemal jego powieści. I właśnie powieść *Siedem zegarków kopidola Joachima Rybki* stała się punktem wyjścia dla Halora, który „od zawsze”, a z wiekiem i także postępującą chorobą serca coraz mocniej, wręcz obsesyjnie, starał się nie marnować ani minuty na rzeczy banalne, umiał wykorzystywać każdą chwilę na pożyteczne zajęcia i często powtarzał, że ma jeszcze tyle do zrobienia, a czasu coraz mniej. Czas był tą kategorią nadrzędną, która determinowała jego codzienne życie. Podobnie jak u Morcinka.

Jako bohater filmowy jest Gustaw Morcinek postacią przejmującą: cały dramatyzm jego życia, wszystkie jego miłości, fascynacje i obsesje złożyły się na kreację niebanalną i autentyczną. A wraz z pisarzem zaistnieli w filmie jego ukochani bohaterowie, których za życia tak bardzo pragnął ujrzeć na ekranie: Gustlik Wałoszek z Wyrąbanego chodnika, inżynier Szeruda, nauczyciel Kaleta z Wyoranych kamieni, Ondraszek, Judasz z Monte Sikuro i Czarna Julka – pisała o filmie badaczka twórczości Morcinka – prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz.²⁵ Telewizyjna premiera filmu odbyła się w Wielkanoc 1987 r. W tym samym roku otrzymał on I nagrodę Zarządu Wydawnictwa SD „Epoka”, a reżyser niemal z marszu zaczął się przymierzać do kolejnego dzieła. Tym razem bardzo osobistego powrotu do lat dzieciństwa i do Śląska z jego ginącymi już krajobrazami, tradycjami, zwyczajami.

Niekwestionowany sukces „Morcinka” został jednak okupiony bardzo wysoką, zbyt wysoką, ceną – znacznym pogorszeniem stanu zdrowia. Ostatnie metry taśmy Michał Bukojemski kręcił już bez reżysera, który ponownie znalazł się w szpitalu. Jak zwykle nie było jednak czasu na dłuższe chorowanie, bo trzeba było dopilnować montażu filmu. Tym niemniej powracające problemy zdrowotne, poczynawszy od pamiętnego stanu wojennego miały znaczący wpływ na dalsze losy najbliższej rodziny reżysera i odwrotnie – na niego samego. A druga połowa lat 80. okazała się być czasem kolejnej życiowej burzy dla artysty. Choroby i śmierć rodziców (matki w 1986 roku, ojca w 1988), rozwód z Krystyną, która zdecydowała się opuścić rodzinę i wyemigrowała z kraju, wreszcie

kolejny długotrwały pobyt w szpitalu z rozległym zapaleniem mięśnia sercowego, tym razem w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu – to wszystko okazało się niezwykle wyczerpujące dla organizmu. Najważniejsze jednak, że wygrał z chorobą i po wielotygodniowej rehabilitacji w szpitalu sanatoryjnym w Głuchołazach, znalazł w sobie siły, by zmierzyć się z nowymi wyzwaniem.

Od nowa

Z pewnością dobry wpływ na to miała też radykalna zmiana ustrojowa w Polsce. Rok 1989 zachwiał posadami komunizmu. Czerwcowe wybory, jeszcze nie całkiem wolne, ale wyraźnie wskazujące na to czego domagają się obywatele, pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki, rząd wyłoniony drogą negocjacji z poprzednimi władzami, bez rewolucji, bez rozlewu krwi; dla społeczeństwa spragnionego wolności i suwerenności to był prawdziwy zastrzyk ozdrowieńczy. Inna rzecz, co później zrobiliśmy z tą naszą wolnością, ale wtedy dominowały radość i nadzieja, którym poddali się niemal wszyscy Polacy. Również Antoni Halor. Bez większych problemów ukończył swój najważniejszy film *Ulica, o której trochę wiem*: najbardziej osobisty, najbardziej nostalgiczny, zamykający nieodwracalny już etap jego życia, etap poszukiwań i kształtowania osobowości.

– *To jest jedyny film zrobiony tak „po bożemu”, bo wszystkie wcześniejsze były w jakimś stopniu eksperymentami warsztatowymi. Prześcigaliśmy się w pomysłach na to, jak zbudować film, uciekając od kanonów hollywoodzkich, gdzie musi być wyraźnie zaznaczony początek, środek i koniec. Fascynowała mnie w Antonim ta jego innowacyjność, to ustawiczne poszukiwanie, które i mnie było bliskie. Dlatego ta nasza współpraca trwała tak długo. Natomiast „Ulica” jest inna, od początku do końca prowadzona konsekwentnie według założonego planu, a przez to jednoznacznie prawdziwa. Każdy reżyser powinien w jakimś momencie swego życia zrobić taką swoją „Ulicę”* – ocenia Józef Gębski, który nakręcił razem z Halorem bodajże 19 filmów, nie licząc różnych widowisk i spektakli.²⁶

Był rok 1989 i wszyscy próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości ustrojowej, kiedy zdecydowanie zaczęły się zmieniać warunki pracy i życia. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych stała przed dużym znakiem zapytania, co dalej. Telewizja przeżywała okres „burzy i naporu”, głębokie zmiany kadrowe i programowe, na wszystko brakowało środków. Antoni Halor już w okresie rekonwalescencji po chorobie, gdy nie mógł kontynuować pracy reżyserskiej, zabrał się za pisanie tekstów do prasy regionalnej. O tym, co było mu szczególnie bliskie, a na co nie miał wcześniej czasu, czyli o śląskich legendach, podaniach przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez mieszkańców tej ziemi, niesamowitych opowieściach zasłyszanych w dzieciństwie od dziadków, wujków czy sąsiadek. W latach 1987-1990 m.in. w „Gońcu Górnos Śląskim” w Chorzowie, a także w innych tygodnikach i gazetach codziennych, systematycznie ukazywały się w odcinkach *Podania i legendy*



Na planie filmu *Ulica, o której trochę wiem*

naszych miast, a także cykle opowiadań takie jak: *Dziwne imiona utopca*, *O słynnych zbójcach Eliaszu i Pistulce*, *Górnśląskie kapliczki*, *krzyże przydrożne i pokutne* itd. Okazało, że te opowiastki cieszą się dużą poczytnością. Dawały ludziom wytchnienie od bardzo trudnej codzienności, przywoływały dobre wspomnienia z dzieciństwa i młodości.

Odkrycia

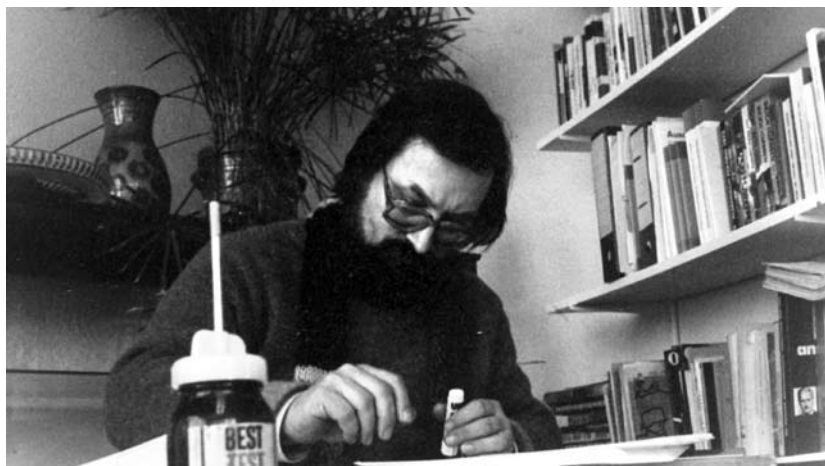
Pisał więc sporo, a równocześnie próbował odnowić swoje wcześniejsze dobre relacje zawodowe z telewizją. Ale w TV zmieniły się diametralnie warunki pracy. Praktycznie nie było środków na twórczość artystyczną. Krótkie, powierzchowne relacje filmowe, kręcone na bieżące potrzeby nie satysfakcjonowały dojrzałego reżysera. W 1990 r. nakręcił 3 niewielkie dokumenty z własnym scenariuszem: *Elegię o zapomnianym pałacu*, *Chopin w zomku* i *Jest taka góra*. W 1991 zrobił jeszcze piękny, telewizyjny dokument *Małe i niespodziewane odkrycie Troi*, które zostało wyświetlone pod tytułem *Małe i niespodziewane odkrycie śmierci* (widać telewizyjnym decydom zabrakło wyobraźni) o odkryciu w drewnianym kościółku w Bierdzanach na Opolszczyźnie zabytkowej polichromii późnorenesansowej i barokowej. Dokonał tego bytomski artysta plastyk Paweł Sznela w 1969 r. przystępując na zlecenie nowego proboszcza ks. Mariana Żagana do remontu XIV-wiecznej świątyni. Okazało się, że pod wielowarstwową malaturą na ścianach i stropie kryje się cudownie kolorowa Biblia pauperum (w tym także owa „bierdzko śmierć”, o której pisał Lompa w *Rozmaitościach górnośląskich*), a ponieważ wojewódzki konserwator zabytków nie był wówczas w stanie zapewnić środków finansowych na tak poważne przedsięwzięcie, więc proboszcz razem z parafianami wzięli prace konserwatorskie w swoje ręce. Trwały one od 1972 do 1983 r. pod kierunkiem zawodowych konserwatorów z Krakowa, małżeństwa Kazimierzy i Kazimierza Wajdów, a wykonywali je niemal wszyscy mieszkańcy niewielkiej wsi. I o tym właśnie nakręcił piękny film Antoni Halor.

Pamiętam jego entuzjazm, gdy wracał z dokumentacji, albo potem z planu filmowego, gdy opowiadał o tych wspaniałych ludziach z Bierdzan, którzy zagrali w filmie samych siebie. Byliśmy już wtedy parą. Próbowaliśmy – dwoje dojrzałych ludzi – zbudować trwały związek, co nam się udało. Zaczęliśmy dużo jeździć po Śląsku, bo Antoni co rusz odkrywał gdzieś nowe, przysypane kurzem czasu, skarby sztuki. Byłam świadkiem dojrzewania jego kolejnej pasji, która tkwiła w nim od zawsze, a wtedy, na początku lat 90. ub. stulecia, zaczęła się ucieleśniać.

W wywiadzie dla „Dziennika Zachodniego” pt. *Nie żyjemy w raju*, mówił red. Henryce Wach-Malickiej:

Ludzie pragną znać przeszłość swojej okolicy, rodziny, ulicy, swojego domu. Nakręciłem o tym film, którym w tutejszym ośrodku TV miałem rozpocząć cykl: Magiczny świat Górnego Śląska. (chodzi właśnie o Małe i niespodziewane odkrycie Troi – u.m. BHH). Marzę o znalezieniu mecenasa do pracy, której szkic już mam od dawna, ale której w pojedynkę nie udźwignę. Nazwałem ją Atlasem mitologicznym Śląska. Na mroczny obraz ekologicznej rzeczywistości i obojętność siatki kartograficznej nałożyłem fascynujący świat dawnej wyobraźni. Zasypane rzeki, jeziora, ukryte skarby, siedliska utopców i meluzyn, zatopione miasta, zamki templariuszy. Jestem przekonany, że ten Śląsk wcale jeszcze nie umarł. Ale dogorywa i trzeba go zapisać, sfotografować, zatrzymać. Tak się dzieje na całym świecie: odchodząca struktura starych podań zmienia się w żywą tkankę kultury.²⁷

W latach 90. ub. w. o sponsorów było bardzo trudno. W całym kraju zaczynała się transformacja gospodarcza, która jednak na Śląsku przebiegała szczególnie boleśnie.



Praca nad tekstem
wymaga skupienia

Nie było więc już dalszego ciągu *Magicznego świata* w TV. Nie udało się wystawić na scenie, ani przedstawić w filmie przygotowanego scenariusza *Starego kościoła miechowskiego* według ks. Norberta Bończyka, którego Halor uważał za największego śląskiego poetę. Perspektywy dalszej pracy w WFDiF były bardzo mgliste. Niewielkie stypendium z Ministerstwa Kultury pozwoliło na ukończenie prac przygotowawczych do *Atlasu mitologicznego*, ale nie było już możliwości kontynuacji projektu. Zdrowie, a i brak talentu w tym kierunku, też nie pozwalały na to, by rozkręcać własny biznes i zdobywać środki na realizację większych planów twórczych. Ale to nie znaczy, że artysta spoczął na laurach. Wręcz przeciwnie, miał pełne ręce roboty, zwłaszcza że trzeba było z czegoś żyć, a ponieważ dysponował wieloma talentami, więc miał się rozmaitych zająć.

Regularnie pisywał do gazet i czasopism, ilustrował książki innych autorów, potem także swoje, robił drobne projekty graficzne, wrócił do malowania. W roku 1989 zorganizował w nieistniejących już Zakładach Graficznych w Katowicach wystawę *Atlantyk-Ocean*, będącą pokłosiem rejsu jachtem na Islandię. W październiku 1991 r. podobna tematycznie, ale prezentująca więcej prac wystawa, odbyła się w Chorzowie. W różnych śląskich kinach organizowano pokazy filmów i spotkania z reżyserem Halorem, który równolegle gromadził materiały do *Atlasu mitologicznego Śląska*. Od 1995 r., czyli od czasu gdy Tadeusz Kijonka założył miesięcznik „Śląsk”, aż do 2010 r. były one publikowane na jego łamach w cyklu *Pejzaż mitologiczny*.

Pisarstwo

W 1994 r. ukazała się pierwsza zwrta publikacja dotycząca mitologii Śląska: *Podania i legendy mikołowskie*. Książka została bardzo życzliwie przyjęta przez czytelników. Podobno do dziś korzystają z niej mikołowscy nauczyciele i uczniowie na zajęciach z edukacji regionalnej. Zachęcony powodzeniem Antoni Halor zaczął coraz głębiej interesować się tą tematyką, sięgać do źródeł naukowych. W 1997 r. ukazały się drukiem aż dwie książki, przy pisaniu których pełną garścią zaczerpnął materiały z „magicznej skrzyni naszych przodków” jak określał zbierane i skrzętnie zapisywane dawne opowieści. To *Bożogrobcy i pudłyryze. Podania i legendy chorzowskie* oraz *Opowieści miasta z rybakiem w herbie. Podania siemianowickie*, wydane przez siemianowicki Urząd Miasta i też chyba do dziś chętnie czytowane przez młodzież.

Włodarze miasta uznali widać, że skoro mają wśród obywateli takiego utalentowanego twórcę to warto wykorzystać ten fakt dla pożytku i chwały grodu Siemiona i jego



Antoni Halor podpisuje swoją pierwszą książkę *Podania i legendy mikołowskie*

mieszkańców. Miasto wzięło na siebie rolę wydawcy książek Antoniego Halora, dotyczących historii Siemianowic Śląskich i ciekawych ludzi z nimi związanych. I to była z pewnością dobra inwestycja w kulturę, bo niewiele jest miast średniej wielkości, które mogą się pochwalić tak obszerną i różnorodną serią książek im tylko poświęconych. Antoni Halor zgromadził już w pierwszej połowie lat 90. ub. stulecia tak dużo materiałów literackich, że jeszcze w tym samym roku 1997 mógł ukończyć i opublikować pierwszy zeszyt „Biblioteki Siemianowickiej”, serii wydawniczej poświęconej dziejom miasta, wybitnym, w nim urodzonym ludziom i innym

jego wartościom – jak napisał we wstępie do książki noszącej tytuł: *Pilnuj obowiązku swego. Rzecz o Piotrze Kołodzieju (1853–1931) hutniku i scenopisarzu „człowieku wszechstronnie zacnym i niemało zasłużonym”*. Idea wydawania takiej serii zrodziła się wiele lat wcześniej, w gronie założycieli Towarzystwa Miłośników (potem Przyjaciół) Siemianowic Śląskich, ale wtedy skończyło się na wydaniu w 1969 r. *Przewodnika siemianowickiego*. Pomysł wrócił po zmianie ustrojowej, ale zmaterializował się, według projektu graficznego Antoniego Halora, dopiero kilka lat później. W sumie zostało wydanych 14 zeszytów, w tym 7 napisanych i zilustrowanych przez twórcę serii, 6 napisanych przez innych autorów, a ostatni poświęcony Wojciechowi Korfantemu pt. *Człowiek charakteru* ukazał się już po śmierci Halora w roku 2012.

Wędrowanie

Lata 90. to był z pewnością dobry okres w życiu artysty. Z zapamiętaniem zaczął oddawać się swej kolejnej pasji – pisarstwu. Całe godziny i dni spędzał przy komputerze, w bibliotekach, w archiwach, a także przy biurku czytelując swoje misterne ilustracje do kolejnych książek. Jego pracowitość czasami wręcz wpędzała mnie w kompleksy, a że przyszło mi także wspomagać twórcę przy redagowaniu jego tekstów, więc nieraz nawet podczas spacerów, na które często wyciągałam go niemal siłą, bo to było bardzo ważne dla jego zdrowia, dyskutowaliśmy zawzięcie o językowych niuansach w takiej czy innej pracy. Na szczęście to zdrowie ustabilizowało się i to nawet tak bardzo, że mogliśmy prowadzić normalne życie, wyjeżdżać na krótsze i dłuższe wycieczki, ba nawet pokonywać pieszo łatwiejsze trasy turystyczne w słowackim Raju. Kotlina Kłodzka, sudeckie zamki i pałace, miasteczka Opolszczyzny, Lewocza i Bardziejów w Słowacji, Złate Hory w Czechach, ale i nasze Wybrzeże Bałtyckie dostarczały nam co roku wspaniałych przeżyć, nowych odkryć, nowej wiedzy, utrwalanej pracowicie w notatnikach Antoniego i w dziesiątkach, setkach fotografii, które robił i niestety, nie nadążał z ich podpisywaniem. Z jednym albo dwoma aparatami fotograficznymi na ramieniu i nieodłączną sportową torbą, w której mieściły się mapy, przewodniki turystyczne, notatniki, ołówki, długopisy, flamastry i dodatkowe obiektywy, przemierzał zabytkowe uliczki, okrążał wiekowe budowle, stare świątynie, muzealne sale w takim poznawczym zapamiętaniu, że czasami trudno było za nim nadążyć. Chwilami przystawał, gdy czemuś chciał się przyjrzeć dokładniej, wyciągał z torby zeszyt, notował, chętnie nawiązywał rozmowy z ludźmi, którzy potrafili coś interesującego powiedzieć o oglądanym obiekcie.

Podczas tych naszych cudownych podróży zdarzały się i nerwowe momenty. Przeważnie wtedy, kiedy to ja siedziałam za kierownicą „malucha”, a Antoni oglądał świat przez szyby i nagle krzyczał: *stój, stój*, bo właśnie wypatrzył stojący przy drodze krzyż pokutny, albo jakąś kapliczkę. Ale także wtedy, gdy nagle ginął wśród tłumu gdzieś na rzymskiej ulicy, bo musiał się zatrzymać, aby sfotografować jakiś nietypowy element architektoniczny na mijanym właśnie pałacyku, a grupa turystów, której byliśmy częścią pędziła dalej, nie czekając na tych co zostali w tyle. Oczywiście, zawsze marzyliśmy o tym, żeby móc się „zgubić”

w pięknej okolicy, ale w przypadku zbiorowych wyjazdów nie zawsze było to możliwe. Tymczasem z czysto prozaicznych, finansowych względów, żeby zwiedzać Europę musieliśmy korzystać z turystycznych wycieczek. Choć zawsze można było wykroić trochę czasu na indywidualne wypadki. Na przykład gdy grupa spędzała dzień na adriatyckiej plaży we włoskim Campomarino, my wsiadaliśmy do pociągu jadącego do Foggi, a stamtąd lokalnymi autobusami do Troi, Lucery i przez Campobasso z powrotem do hotelu w Campomarino. W ten sposób zwiedziliśmy mnóstwo ciekawych miejsc leżących na uboczu głównych szlaków turystycznych.

Niezwykłe było to nasze wędrowanie. Antoniemu nie wystarczało oglądanie nawet najpiękniejszych krajobrazów czy zabytków, choć doceniał ich urok. Patrzył na nie jednak inaczej niż przeciętny turysta. Dla niego widok masywnych murów romańskiego kościoła św. Marii Magdaleny w Biot w Alpach Nadmorskich niedaleko Nicei był pretekstem do długiej podróży w przeszłość, do zakonu templariuszy, funkcjonującego tu w XIII wieku, do XVI-wiecznych mistrzów, potomków kolonistów sprowadzonych z Ligurii, którzy tu rozwinęli na wielką skalę produkcję ceramiki i szkła, z czego zresztą miasteczko słynie do dziś. Pamiętam, gdy staliśmy przed Porta Nigra, z jakim przejęciem opowiadał o wielowiekowej burzliwej historii Trewiru, którego nazwa jest pozostałością po zamieszkujących te tereny Trewerach, celtycko-germańskim plemieniu podbitym w 16 r. p.n.e. przez Rzymian, albo z jakim znanstwem objaśniał mi znaczenie kamiennych rzeźb zdobiących fasadę gotyckiej katedry Najświętszej Marii Panny w Strasburgu. Każdą z takich turystycznych eskapad poprzedzał gruntowna lekturą o miejscach i ludziach tam żyjących ciągu wieków. Z niewielką mapką dołączoną do jakiegoś przedwojennego przewodnika prowadził mnie ulicami starego miasta w Metz, ciesząc się, że bez trudu odnajduje właściwą trasę i zabytki. W jego zwiedzaniu świata było „coś z Herberta” podróżującego przez kolejne rejony Europy z ciekawością odkrywcy i wrażliwością artysty. A może po prostu był ulepiony z podobnej gliny co autor „Pana Cogito”, którego zresztą uważał za najwybitniejszego dwudziestowiecznego polskiego poetę i ubolewał, że to nie on otrzymał Nagrodę Nobla.

Zwiedzanie miejsc ważnych dla historii i kultury europejskiej (Antoni zawsze twierdził, że nie ma co się wypuszczać poza ten nasz Stary Kontynent, bo i tak nie zdąży na nim obejrzeć wszystkiego, co chciałby) było niezwykle istotnym rozdziałem jego życia w latach 90. Moim zresztą też. Byliśmy mocno wygłodniali świata po długich latach spędzonych za „żelazną kurtyną” i w ramach skromnych możliwości finansowych i cza-



Artysta z Bogumiłą, przyszłą małżonką we Włoszech

sowych, bo przecież pracowałam na etacie w prasie i moje urlopy były ograniczone, próbowaliśmy nadrobić turystyczne zaległości. Te krótsze i dłuższe wyjazdy służyły „ładowaniu” intelektualnych akumulatorów, pozwalały nam obojgu urozmaicać tematykę naszych publikacji.

A był to dla Antoniego Halora okres niezwykle płodny literacko. Pisywał do gazet, różnych czasopism, w tym regularnie publikował w „Śląsku”, współpracował z Sejmikiem Samorządowym Województwa Katowickiego m.in. współtworząc wydawane przez Sejmik kalendarze *Nasza Ziemia*. Zajmował się też pracą translatorską. W 1997 r. ukazał się jego, chyba najbardziej znaczący pośród innych, przekład książki Antona Oskara Klaussmanna pt. *Górny Śląsk przed laty*. Pierwsze wydanie wspomnień niemieckiego dziennikarza i pisarza ukazało się w 1911 r. a Muzeum Historii Katowic zdecydowało się udostępnić tę bardzo wartościową, choćby ze względu na jej walory poznawcze, pozycję współczesnym czytelnikom. Jest to niezwykle barwny i wierny obraz życia codziennego na Górnym Śląsku w II połowie XIX wieku, osadzony na tle wydarzeń historycznych. Trzeba sobie więc uzmysłwić, jakie językowe przeszkody musiał pokonać tłumacz, żeby wiernie oddać, żywą reporterską narrację Klaussmanna. Niewątpliwie udało mu się to w stu procentach i powstała prawdziwa translatorska perełka.

Doktorat

Równocześnie twórca przygotowywał kolejne zeszyty „Biblioteki Siemianowickiej”. W 1998 r. ukazała się książeczka pt. *Wokół dawnej kaplicy siemianowickiego pałacu*, a rok później *Żarty niezarty księdza Stabika* – XIX-wiecznego michałkowickiego proboszcza, poety, założyciela parafii siemianowickiej. Następnie, poza serią, wydany został *Przewodnik siemianowicki. Wędrowki po mieście i okolicy* – nietuzinkowa publikacja, w której autor prowadząc czytelnika kilkoma różnymi trasami po mieście, pozwala mu poznać godne uwagi miejsca i zabytki wraz z ich historią. W tym czasie dojrzał już do



Dr Antoni Halor ze swoim promotorem prof. Stefanem Szymutką i małżonką

decyzji, aby swoim zainteresowaniom historią i mitologią Śląska nadać naukowy charakter. Jego wiedza w tym zakresie była imponująca, i nic dziwnego, że przyjaciele i znajomi z kręgów uniwersyteckich zachęcali go do zrobienia doktoratu. Otworzył więc przewód doktorski na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Gromadzona przez ostatnie lata literatura przedmiotu, liczne publikacje popularno-naukowe pozwoliły mu zwięźnić dotychczasowy dorobek obszerną dysertacją pt. *Legenda i prawda. Wokół wybranych mitów w kulturze śląskiej*. Praca doktorska napisana pod kierunkiem profesora UŚ dr. hab. Stefana Szymutki w 2003 r. dotyczy zagadnień raczej nieczęsto będących przedmiotem rozpraw naukowych. Sam autor pisze we wprowadzeniu:

Poniższa praca jest próbą opisu pewnego fenomenu z pogranicza literatury i folkloru, we wspólnej pamięci pomieszczonego na styku sagi i kroniki kryminal-

nej, w przestrzeni zawartej między *pitavalem* a *panopticum*. Fenomen ten w związku z tym u nas (a z całą pewnością na Śląsku), z przyczyn, które w wielkim uproszczeniu można by nazwać obyczajowo-kulturowymi, był niezbyt często dostrzegany i w rezultacie, jak dotąd, bardzo rzadko uznawany przez naukę za przedmiot godzien uwagi. W pierwszym rzędzie przez literaturoznawstwo.²⁸

W tym przypadku owym fenomenem stał się zmitologizowany w formie ustnej bądź pisanej, szlachetny zbójnik, taki, co to „zabierał bogatym i dawał biednym”. Antoni Halor pozostał więc przy wielokrotnie opisywanym wątku sławnych, lecz dawno zapomnianych śląskich zbójników: Wincentego Eliasza i Karola Pistulki, postaci jak najbardziej autentycznych (o czym zresztą w pracy obszernie pisze), ale osadził je na tle szeroko pojętego zbójnictwa europejskiego w ujęciu geograficznym i historycznym. Praca została bardzo dobrze oceniona przez recenzentów i komisję egzaminacyjną i na jej podstawie oraz złożonych egzaminów 16 października 2004 r. Antoni Halor uzyskał stopień naukowy doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Uroczysta promocja doktorska odbyła się jednak dopiero 25 kwietnia 2006 r. w licznym gronie innych wypromowanych doktorów. To był dla nie najmłodszego już przecież twórcy ważny moment. Udowodnił przede wszystkim sobie, ale i innym, że wciąż potrafi odkrywać swoje kolejne Troje i osiągać stawiane sobie cele.

Korfanty

Dobra passa lat 90. minionego wieku niejako poślizgiem przeniosła się więc w nowe tysiąclecie. Co roku ukazywała się w ramach „Biblioteki”, albo niezależnie od niej co najmniej jedna nowa książka, a od roku 2003 do 2008 także *Kalendarz siemianowicki*, przygotowywany na kolejny rok kalendarzowy, redagowany, ilustrowany i w większości także wypełniany tekstami przez Antoniego Halora. Inspiracją do tej kalendarzowej serii były z pewnością kalendarze, które wydawał ks. Antoni Stabik. Antoni Halor poświęcił im osobną książkę: *Kalendarze księdza Antoniego Stabika*, wydaną w 2005 r. Wcześniej w „Bibliotece” ukazały się: *Siemianowickie koneksje Józefa Lompy* (2001 r.), *Nasza buda. Szkice z historii I Liceum im. J. Śniadeckiego w Siemianowicach Śl.* i *Rok obrzędowy na dawnej Ziemi Bytomskiej* (obie w 2004 r.). W tym samym roku zdążył jeszcze opracować historyczną monografię: *Michałkowice. Gmina i parafia*, autorstwa Ludwika Musioła. W tym właśnie roku przypadało stulecie nowego kościoła michałkowickiego (bo parafia miała o wiele dłuższą historię: powstała ok. roku 1274 – jak pisze autor nie wydanej nigdy wcześniej bardzo ciekawej i niezwykle dokładnej monografii). Antoni Halor opatrzył pracę L. Musioła odpowiednim wstępem i przypisami, opracował graficznie. A niedługo potem sam zabrał się do pisania monografii rocznicowej Kościoła Krzyża Świętego w Siemianowicach, wydanej w 2006 r. W przerwach między jedną a drugą publikacją pisywał też eseje i opowiadania do „Arkadii. Pisma katastroficznego” wydawanego przez Instytut Mikołowski, a także do „Rocznika Głogóweckiego”, no i oczywiście do „Śląska”. Kompletował materiały do książki o Wojciechu Korfantym, czyli następnego zeszytu „Biblioteki Siemianowickiej”.

To było kolejne „podejście” do postaci wielkiego Ślązaka, siemianowiczana z Sadzawek (dzielnica Siemianowic). Halor był zafascynowany Korfantym chyba „od zawsze”, bo dziadkowie i rodzice byli jego zwolennikami. Bardzo chciał zrobić o nim film. W roku 1975, a więc kiedy był już uznanym filmowcem, przedstawił w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie pierwszy (potem próbował jeszcze kilkakrotnie) scenariusz filmu o Korfantym, człowieku, którego niezwykle, poplątane losy byłyby wręcz wymarzoną materialem dla każdego producenta. Ale nie dla ówczesnych szefów WFDiF, bo z pewnością nie był to odpowiedni bohater na

dekadę Gierka. Tak więc z filmu nic nie wyszło. O tych swoich perypetiach Halor pisał m.in. w *Kalendarzu siemianowickim* na rok 2006. Rok 2009 został ogłoszony Rokiem Korfatego, więc twórca zdecydował się przedstawić swoje rozważania w formie literackiej. Zgromadził bardzo dużo materiałów i przystąpił do pisania książki, która miała nosić tytuł *Wojciech Korfanty. Człowiek charakteru*. Ale był to już czas szybkiego pogarszania się stanu zdrowia pisarza i artysty. Kolejne pobyty w szpitalach uniemożliwiały skoncentrowanie się nad pracą, a przecież miał jeszcze tak wiele do zrobienia. Nie poddawał się, snuł plany na przyszłość, stawiał przed sobą nowe zadania. Zdecydował się na bardzo poważną, skomplikowaną operację, która mogła ewentualnie przedłużyć mu życie. Operacja przeprowadzona przez najlepszych mistrzów kardiochirurgii udała się, ale organizm wyniszczony wieloletnią chorobą nie wytrzymał związanego z nią ekstremalnego wysiłku. Antoni Halor odszedł z tego świata 10 lutego 2011 r. W tym czasie w miesięczniku „Śląsk” ukazał się ostatni napisany przez niego w grudniu 2010 r. z myślą o zbliżającym się karnawale tekst pt. *Radości dobrego smaku*. Ostatni 14. zeszyt „Biblioteki Siemianowickiej” z tekstem o Wojciechu Korfantom pt. *Człowiek charakteru* ukazał się w 2012 r.

Tak dopełniło się życie, ale pozostało dzieło. To uwiecznione na taśmie filmowej, bądź w zapisie cyfrowym, zapisane na kartach książek, gazet i czasopism, utrwalone farbami na płótnie, czy ołówkiem na brystolu. I to jeszcze nie opublikowane, pozostające w maszynopisach i rękopisach, w szkicownikach, w bogatej korespondencji, w zbiorach zdjęć, w komputerowych zapisach i odręcznych notatkach. „Odkrywanie Troi” nie zostało więc jeszcze zakończone.

PRZYPISY:

1 Henryk Waniek, fragment wypowiedzi, nagranej 8 września 1017 r. w sali kina „Kosmos” w Katowicach podczas spotkania poświęconego pamięci Antoniego Halora

2 Andrzej Gwóźdź, fragment wypowiedzi, jw. cytowanej za: *Pan Antoni w: Jest film, nie ma filmu – koniec bajki*. Felietony o kinie, Wrocław 2013, str. 132

3 Antoni Halor, *Sztuka i symbol* w: Antoni Halor, *Malarstwo, Grafika, Motywy*, Katowice 1987, str. 9

4 Fragment nie publikowanej autobiografii A. Halora, zatytułowanej *Z reżyserskiego dziennika*. Z tego samego źródła pochodzą cytowane fragmenty w kolejnych akapitach tego rozdziału

5 H. Waniek, fragment wypowiedzi z 8 września 2017 r.

6 za: A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*

7 *Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic*, Katowice-Ratingen 2006, str. 47. Pod datą 20 kwietnia 1966 odnotowano wystawę Kopertografiki, określając ją jako „prekursorską manifestację Mail Artu”. Niestety, błędnie podano, że odbyła się ona w Galerii „Dziekanka”, co jest o tyle dziwne, że obok zamieszczono odbitkę kserograficzną zaproszenia, w którym wyraźnie jest napisane, że miejscem wystawy jest Salon Debiutów przy Krakowskim Przedmieściu 29

8 Założona w latach 20. ub. w. Siemianowicach Śl. przez Stefana Pierzchalskiego Wytwórnia Filmowa „Espefilm” realizowała filmy mające przybliżyć Górny Śląsk w Polsce, po przyłączeniu go do Macierzy. Ukazywały one życie mieszkańców tego regionu, jego przemysł, ważne wydarzenia, takie jak np. wkroczenie wojsk polskich na Górny Śląsk, czy koronację obrazu Matki Boskiej w Piekarach Śl. Firma dobrze służyła sprawie śląskiej w Polsce i rozwijała się prężnie do czasu, kiedy siedemnastoletni syn właściciela, Antoni Pierzchalski, zresztą za zgodą ojca, postanowił poszerzyć działalność o produkcję filmów fabularnych. Wybujałe ambicje doprowadziły do upadku wytwórni. Jedyny film fabularny jaki w niej nakręceno pt. *Niewolnicy życia* (drugi tytuł: *Za grzechy ojców*) nie zyskał uznania krytyków filmowych. (za: Jan F. Lewandowski, *Siemianowice filmowe*, Siemianowice Śl.)

- 9 A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*
- 10 za: Ryszard Barnert, *Inne kino czyli od filmu amatorskiego do telewizji* w: *Filmowe światy. Z dziejów X muzy na Górnym Śląsku*, Katowice 1998
- 11 H. Waniek, *Mistyczna aura Śląska* w: *Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic*, Katowice - Ratingen 2006, str. 5
- 12 Bardziej szczegółowo wyjaśnia to Henryk Waniek, *Przeciw ubezwłasnowolnieniu. Oneiron*, w: *Katowicki Unerground artystyczny po 1953 r.*, Katowice 2004, str. 178
- 13 Wystawę zorganizowaną na stulecie awangardy w Polsce można było oglądać w starym budynku Muzeum Śląskiego w Katowicach przy al. Korfantego do końca marca 2018 r.
- 14 Pełny tytuł eksperymentalnego filmu to: *Chrysopea albo Mysterium Conjunctionis czyli jak kamień filozoficzny znaleźć można i należy*, za: *Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic*, Katowice-Ratingen 2006, str. 45
- 15 Ouroboros (Uroborus) to wąż pożerający własny ogon. Staroegipski, a także starogrecki symbol ustawicznego odnawiania się świata, przemiany materii, od początku do końca, który znowu staje się początkiem. Wykorzystywany po dziś dzień w literaturze, sztuce, filozofii. Częsty motyw w malarstwie Andrzeja Urbanowicza
- 16 H. Waniek, fragment wypowiedzi z dn. 8 września 2017 r.
- 17 Józef Gębski, fragment wypowiedzi z dn. 8 września 2017 r.
- 18 Michał Bukojemski, fr. wypowiedzi fragment wypowiedzi , nagranej 8 września 1017r. w sali kina „Kosmos” w Katowicach: podczas spotkania poświęconego pamięci A. Halora
- 19 A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*
- 20 za: Kirk Douglas, *Syn śmieciarza. Autobiografia*, Iskry, Warszawa 1991, str. 260
- 21 cyt. za: A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*
- 22 A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*
- 23 A. Halor, *Z reżyserskiego dziennika*
- 24 J. Gębski, fragment wypowiedzi z dn. 8 września 2017 r.
- 25 Krystyna Heska-Kwaśniewicz, *Gustawa Morcinka nie spełnione marzenia o filmie* w: *Nie tylko filmy, nie same kina. Z dziejów X muzy na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim* pod redakcją Andrzeja Gwoźdźdza, Katowice 1996, str. 207
- 26 J. Gębski, fragment wypowiedzi z dn. 8 września 2017 r.
- 27 Z wywiadu z A. Halorem. Henryka Wach-Malicka, *Nie żyjemy w raju*, „Dziennik Zachodni” nr 43,1-3 III 1991 r.
- 28 A. Halor, *Legenda i prawda. Wokół wybranych mitów w kulturze śląskiej*, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Wydział Filologiczny. Praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. UŚ dr. hab. Stefana Szymutki, Katowice 2003

ZDJĘCIA z archiwum rodzinnego Jakuba Halora

TROCHĘ MUZEALNIE O ANTONIM HALORZE

Kilka lat temu w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich otwarto wystawę „Antoni Halor – Opowieści Miasta z Rybakiem w Herbie”. Właściwie, patrząc z punktu widzenia muzeum to kolejna, z wystaw które zostały otwarte na przestrzeni ponad 30 lat działalności tej instytucji. Ale (zawsze zostaje jakieś „Ale”) – jednak dla nas istotna. Nie tylko jako zawierająca wiedzę o podaniach i legendach Siemianowic Śląskich m. in. o trzech braciach – Siemionie, Macieju i Michale (założycielach Siemianowic, Maciejkowic i Michałkowic), o utopcach, o białej damie, upiorze czy pochowanych pod kapliczką przy Parku Miejskim (zwaną „Panienką”) żołnierzach napoleońskich.

To wystawa istotna z punktu widzenia jej podmiotu – przyczyny jej powstania – Antoniego Halora. Właściwie, jako pracownicy muzeum, znaliśmy go „od zawsze”. Przychodził do nas na chwilę, porozmawiał, czasem testując naszą znajomość zagadnień ogólnospołecznych i kulturowych, prowokował do refleksji nad utartymi schematami muzealnego myślenia. Zawsze będziemy mu wdzięczni za jego wkład w powstanie i trwanie naszego Muzeum. Dlatego każdy element wystawy został zakomponowany w taki sposób, żeby prócz warstwy poznawczej, odnosił się do konkretnych działań (filmowych, literackich czy plastycznych) ich twórcy.

Magiczna zasada „część za całość” ma tu realne odniesienia. Nie tylko w pełnych baśniowej fantazji planszach autorstwa artysty plastyka Jarosława Bednarza – kustosa Działu Sztuki, czy manekinie żołnierza napoleońskiego z repliką munduru (będącego rekwizytem filmowym wprost z filmu „Popioły” Andrzeja Wajdy), przygotowanego przez Artura Garbasa – pracownika Działu Historii. Przede wszystkim w prezentowanych przedmiotach związanych z filmem – projektor filmowy, malarstwem – sztaluga i stolik z farba-



Opowieści Miasta z Rybakiem w Herbie – wystawa w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich poświęcona Antoniemu Halorowi

mi oraz biurkiem – z komputerem. Dzięki przedmiotom osobistym codziennego użytku, książkom, fotografiom, pracom plastycznym – udostępnionym przez żonę artysty – Bogumiłę Hrapkowicz-Halorową oraz syna – Jakuba Halora, za każdym razem odkrywamy go ponownie.



Popiersie Antoniego Halora w Galerii Artystycznej na Placu Grunwaldzkim w Katowicach

Z tego względu, ucieszyliśmy się gdy we wrześniu 2017 roku w Galerii Artystycznej na placu Grunwaldzkim w Katowicach odsłonięto płaskorzeźbę z utrwalonym wizerunkiem Antoniego Halora. Współczesnego Człowieka Renesansu – reżysera, tłumacza, pisarza, publicysty, ale głównie siemianowiczana, który kochał to miasto ponad wszystko. Można powiedzieć krótko, „Ludzie Stąd – Artyście Stąd” – w hołdzie za to kim był i co robił. Wokół popiersia ważnych dla Śląska i nie tylko osobowości, m.in. Jana „Kykxa” Skrzeka, Andrzeja Urbanowicza, Wojciecha Kilara, Pawła Stellera, Stanisława Ligonja, Wilhelma Szewczyka czy Jerzego Dudy-Gracza. To świetne towarzystwo dla Antoniego Halora. W Kinie Kosmos otwarto wystawę twórczości Antoniego Halora, odbyły się spotkania oraz pokaz jego filmów.

Dlatego, pomimo upływu czasu (nawet muzealnego) Antoni Halor pozostanie w naszej pamięci, nie tylko jako wszechstronny artysta, ale przede wszystkim jako współtwórca i przyjaciel muzeum.

Wojciech M. Grzyb
Dyrektor Muzeum Miejskiego
w Siemianowicach Śląskich

ANTONI HALOR O SWOJEJ TWÓRCZOŚCI MALARSKIEJ. RELACJA WYWIADU Z ARTYSTĄ

Wprowadzenie

Antoni Halor udzielił mi wywiadu kilkanaście lat temu. Prowadziłam wówczas badania (na przestrzeni lat 2005–2007), dotyczące malarskiej twórczości artystów – współtwórców współczesnego śląskiego środowiska artystycznego. W szczególności artystów skupionych wokół Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, instytucji, która odegrała, i odgrywa nadal, znaczącą rolę w procesie integracji i rozwoju tego środowiska. Wywiady z artystami, wszystkie nagrane kamerą cyfrową, stały się elementem tych badań. Antoni Halor był jednym z czternastu artystów, którzy przyjęli moje zaproszenie do wzięcia udziału w tym projekcie badawczym. W wywiadach poruszałam zagadnienia, istotne dla rozpoznania specyfiki malarskiej twórczości śląskiego środowiska artystycznego. Interesował mnie stosunek artystów do własnej twórczości, w tym miejsce, jakie w ich życiu zajmuje sztuka. Podejmowałam wątek etapów twórczości, pytałam, czy są one wyraźnie rozgraniczone np. realizowanymi cyklami malarskimi. Rozmawiałam z artystami o formalnej stronie ich malarstwa oraz o procesie twórczym, w tym o źródłach inspiracji oraz o sposobie pracy przy obrazie. Odnotowywałam informacje o przesłaniu ukrytym w obrazach artystów. Poruszałam kwestię stosowanej przez nich technologii, w tym preferowanych materiałów i środków malarskich. Starłam się także odnotować stosunek artystów do procesu starzenia się materii malarskiej i idących za tym zmian formalnych obrazów oraz ich stosunek do ewentualnej konserwacji obrazów w przyszłości. Podejmowałam także wątek środowiska artystycznego i jego znaczenia dla rozwoju osobowości twórczej. Wywiady odbywały się najczęściej w pracowniach artystów lub w salach muzealnych, galeriach sztuki. Ważne było dla mnie, żeby rozmówcy znajdowali się w otoczeniu swoich prac malarskich, by w trakcie wypowiedzi przywoływali konkretne obrazy lub ich fragmenty.

Zapis wywiadu, jakiego udzielił mi Antoni Halor spełnił, wespół z innymi wywiadami, swą funkcję badawczą i zaowocował teoretycznym opracowaniem dotyczącym specyfiki malarskiej twórczości śląskich artystów. Znaczenie odnotowanej przeze mnie wypowiedzi Antoniego Halora, bezpośrednio przedstawiającego swe artystyczne credo, jest jednak szersze i w tym kontekście chciałabym czytelnikowi przybliżyć relację nagranego wywiadu. Wypowiedź ta ma bowiem znaczenie nie tylko dla historyków sztuki, konserwatorów dzieł sztuki i dla muzealników, będąc wskazówką w zakresie interpretacji spuścizny malarskiej artysty, czy sprawowania nad nią opieki. Ma przede wszystkim znaczenie dla wszystkich odbiorców malarskiej twórczości Antoniego Halora, którym twórczość artysty jest bliska i którzy czerpią z niej emocje, by mogli subiektywny odbiór aspektów wizualnych wzbogacić o bezpośredni, bardzo osobisty autorski komentarz.

Relacja wywiadu z artystą

Rozmowa z Antonim Halorem odbywa się 12 sierpnia 2007 r., w pomieszczeniach Muzeum Historii Katowic, instytucji, z którą artysta był związany i która już wówczas była właścicielem części jego malarskiego dorobku. Poproszony, na wstępie, o rozwinięcie kwestii **roli i miejsca, jakie w jego życiu pełni sztuka**, Antoni Halor nie odnosi się wyłącznie do twórczości malarskiej. Przez lata realizował bowiem równoległe twórczość malarską i filmową. *Bardzo chciałem być reżyserem – mówi. Udało się, co dla chłopaka z kolonii górniczej nie było rzeczą prostą, zwłaszcza w tamtych czasach. Już wtedy wiedziałem, że kino jest właściwie tym samym światem co malarstwo, czego najlepszym dla mnie dowodem było dzieło Bergmana. Dokładnie tym samym światem – podkreśla rozmówca – tyle, że zaopatrzonym w zdumiewającą rzecz, jaką jest ruch. Zostałem tak „rozkraczony” pomiędzy malarstwo a film, mimo że po kątach szeptało, że trochę za dużo poświęcam czasu to jednej dziedzinie, to drugiej. Malarstwo i film – kontynuuje artysta – obie te dziedziny sztuki, które uprawiałem, uzupełniały się wzajemnie. Chyba nawet komuś przyznałem się do tego (wtedy, kiedy niewiele wystawiałem prac malarskich, a dużo kręciłem), że malarstwo jest dla mnie bardzo intymnym odruchem duszy, dziedziną, której się nie sprzedaje. Dlatego bardzo niechętnie rozstawałem się z moimi pracami malarskimi – wyjaśnia rozmówca. Tworząc filmy byłem otoczony ludźmi, dużą ilością sprzętu, reflektorów. Natomiast malarstwo było całkowicie, od początku, aż do końca, moją sprawą. Potrzebowałem go jak „kania deszczu”. Mogłem robić, to co chciałem i byłem urzeczony tą możliwością – podkreśla rozmówca.*

Jak wynika z wypowiedzi artysty, **nie wyróżnia on w swej twórczości malarskiej poszczególnych, wyraźnie rozgraniczonych etapów**, wyznaczonych stroną formalną lub techniczną. *Ja nigdy malarstwa nie traktowałem jako laboratorium, do którego się wchodzi, przebiera w biały kitel, rękawiczki, bierze notatnik i notuje – podkreśla rozmówca. Malując, starałem się jak najmniej analizować i robić to, co, mówiąc tak banalnie, dusza podpowiadała.*

W trakcie rozmowy Antoni Halor porusza **niektóre formalne aspekty swojej twórczości**. *Od początku jestem zwolennikiem malarstwa przedstawiającego – mówi.¹ Próbowałem wejść w ten bardziej współczesny świat malarstwa – przyznaje artysta – jestem przecież z epoki, w której wręcz nie wypadało nie namalować człowieka prawidłowo, w sposób zgodny z budową anatomiczną, odpowiadający greckim, czy innym, późniejszym kanonom. Żeby być współczesnym – trzeba było możliwie zniekształcać naturę. Później zdałem sobie sprawę, że będąc pod wpływem kolejnych fal, kolejnych kierunków w malarstwie, zacząłem z czasem przyjmować je na dystans. Zacząłem je traktować jako niedobłą cechę nowego wieku, który potwornie szybko nudzi się tym, co osiągnął. Do pewnego stopnia pozostałem więc odporny na wszystkie wpływy z zewnątrz. Artysta wskazując na swą pracę malarską stojącą na sztaludze – obraz „Datura stramonium” mówi: pozostał taki świat, jak tu. To jest jeden z tych obrazów, które malowałem najdłużej – dodaje. W nim jest wszystko to, o czym mówiłem. Jest realizm, a równocześnie ten przedstawiony świat się rozmywa. Ja czułem, że jestem w takim wirze czasu. Chciałem oddać tę prawdę o tych czasach niecierpliwych.*

W dalszej części rozmowy artysta porusza kwestię **etapów procesu twórczego**. Wspomina przy tym o inspiracji, dalej o impulsie nią powodowanym, a także o symbolicznym przesłaniu, jakie starał się zawrzeć w swych obrazach. *Ja nigdy nie malowałem niczego tak „z księżycą” – mówi o potrzebie bezpośredniej inspiracji. Antoni Halor wskazuje przy tym swój obraz „Jak w lustrze”. Ten ocean pojawił się po tym, jak zaproponowano mi wyprawę jachtem na pełny ocean, na Islandię. Po dwóch lub trzech*

latach uświadomiłem sobie, że morze jest cudowne, ponieważ daje wgląd w tajemnicę, jaką jest istnienie, świat, wszechświat. Mogłem naturalistycznie namalować morze, ale stwierdziłem, że nie to jest jego istotą. Jego istotą jest dokładne roztopienie się i brak jakiegokolwiek linii, która dzieli niebo i ziemię. Na tym obrazie nie ma granicy między morzem a niebem. Wielokrotnie to przeżywałem, to bardzo piękne – dodaje.

Odnosząc się do obrazu „Venus Śląska” artysta mówi: Ten obraz jest dowodem na istnienie tego dziwnego uczucia, jakie czasami człowieka ogarnie, kiedy, mówiąc kolokwialnie nagle nim „trzeźwie”. Któregoś dnia rano wstałem, ustawiłem płótno. W mieszkaniu – zaznacza rozmówca – nawet nie jechałem do pracowni, bo pracownię mam na drugim końcu miasta. I powstał ten obraz, na którym biedna, śląska Wenus roztopia się w czarnych chmurach.

O obrazie „Planetarium” artysta mówi: on wynika dosłownie z pierwszych, wspa-
niałych spotkań Oneironu, kiedy odkrywaliśmy Junga i przede wszystkim, kiedy odkrywaliśmy całą teorię symbolu i archetypu w rozumieniu Junga. Podobnie kolejne prace, tym razem rysunki są próbą zapisania tematu, jaki pojawił się w czasie naszych dyskusji oneironowych. Był taki temat: „Góra”. Potem rozwijałem go w rysunkowym cyklu.

Ten obraz – artysta wskazuje na leżący na sztaludze obraz: „Wonder girl” – jest wynikiem mojej fascynacji komiksem. Przerażał mnie upływ czasu i rozpad materii – mówi artysta – stąd nawet w tym obrazie, nawiązującym do komiksu, który ma strukturę bardzo konkretną i obrys konturu, farba miejscami rozlewa się, rozplływa.

O innych źródłach inspiracji, Antoni Halor wspomina omawiając kolejny obraz „Demony wojny”. Pojechałem do „Andrzejowni” – Urbanowiczowie wynajmowali dom w Żarkach. Miałem tam swój pokój, radio ustawiłem na Czechy. Nagle zaczęła się Praska Wiosna (to był 1968 rok). Wydarzenia relacjonowane na żywo przez radio wywołały **nagły impuls do pracy**. Ten obraz jest, jakby rozwojem całej tej sytuacji. Malowałem cały czas, aż do momentu, kiedy usłyszałem w radiu, jak wchodzi żołnierze: krzyki, podkute buty, walenie w mikrofon... Kończąc wypowiedź o źródłach inspiracji artysta mówi: współczuję tym wszystkim artystom, którzy, aby malować biorą hasz, czy jakieś inne „głupoty”. W końcu – zaznacza – jestem z tej epoki, z pokolenia tych właśnie chłopców, którzy brali w tym udział. Ale – dodaje – przypominam sobie, że nigdy, mimo że próbowałem LSD i innych rzeczy, nie traktowałem ich jako potrzebne do inspiracji. Uznałbym – nie wiem, czy to nie wiąże się z moją śląską naturą – że to ograniczyłyby moją wolność.

Przesycone treściami symbolicznymi obrazy Antoniego Halora pozostawiają wiele możliwości interpretacji, są niedookreślone w przekazie pozaformalnym. Po poruszeniu tej kwestii w trakcie rozmowy artysta, odnosząc się do przesłania swych dzieł malarskich, odsyła do dwóch swoich publikacji, które traktuje jako rodzaj manifestu. Pierwszy to: „Wstęp do złotego wieku”, moja praca magisterska. Mam uczciwie zrobione moje magisterium plastyczne – dodaje rozmówca. Drugi to: „Traktat o kolorze”, który był elementem swoistej gry, pisany w czasie istnienia naszego związku.²

W dalszej części rozmowy podjęto temat **warsztatu malarskiego**, jaki stosował rozmówca. Artysta podkreśla, że możliwości pozyskania materiałów i środków malarskich, w latach sześćdziesiątych, kiedy rozpoczynał samodzielną pracę artystyczną były rozpaczliwe. Artysta dodaje przy tym, iż ma na myśli materiały dobrej jakości. Od początku wiedziałem – mówi – że szanujący się malarz nie będzie brał farb ogólnie dostępnych. Była taka polska firma z Krakowa – wtrąca rozmówca – „Karmański”. Przekazano mi – wyjaśnia – że jak się będzie malować polskimi farbami, obraz szybciej się zestarzeje, kolory się zmieniają. Natomiast to, że byłem malarzem, dawało mi znako-

mite możliwości zdobywania materiałów i środków malarskich. Studia skończyłem w 1965 roku, to był pierwszy okres „odtajania”. Były wówczas sklepy zaopatrzenia plastyków w Warszawie, na zapleczu Nowego Świata.

Jak wynika z dalszej części rozmowy, jako podłoże malarskie artysta preferował sklejkę. *Chciałem być uczciwy wobec przyszłego odbiorcy – mówi Antoni Halor – stąd, dalej było to już robione klasycznie. Nieważne, że ten podkład był sklejką. Na nią naklejałem płótno i gruntowałem dokładnie, według „reguł sztuki”.* Podczas omawiania kolejnych obrazów artysta wspomina o innych rodzajach podłoży malarskich, jakie stosował. Obok sklejkę wykorzystywał też *płytę pilśniową*. Wspomina także o wtórnym wykorzystaniu na podłoże malarskie *fragmentu dużego, drewnianego pudła*.

Zaprawę artysta wykonywał własnoręcznie. *Na początku – zaznacza. Mam jeszcze kostki kleju z tamtego okresu.* Kierując się zasadami technologii malarskiej stosował farby firmy Talens, uznając je za najbardziej trwałe. *To były Talensy olejne – precyzuje dalej rozmówca. Bardzo rzadko, wręcz sporadycznie używałem tych, które były odpowiednikiem starych temper, też firmy Talens.*

W trakcie rozmowy artysta opisuje technikę i technologię wykonania zróżnicowanej materii malarskiej, jaka widoczna jest na jego obrazach. Posiłkuje się przy tym przykładami konkretnych obrazów, na których widoczne są: efekty spływającej farby, przetarcia, laserunki, impasty o zróżnicowanej strukturze. Podkreśla przy tym: *niechętnie zdradzam technologiczne zagadki. Teraz się wszystko upublicznia – dodaje.* Wydaje mi się, że mówiąc o tym, jak powstają obrazy, bardzo wiele w ten sposób, gdzieś się gubi. Jak wynika z relacji, artysta malował obrazy w sposób warstwowy. *Trwało to dość długo, bo trzeba było jedną warstwę zamalować, czekać kilka dni i dopiero kłaść laserunki rozrzedzoną farbą.* Rozrzedzając farbę za pomocą rozpuszczalnika (w zewnętrznej warstwie laserunków), artysta uzyskiwał efekt spływającej farby. Jak sam mówi: *można to było regulować tylko do pewnego stopnia.* Stąd powstająca malarska forma zawiera w sobie dużą rolę przypadku. Jak wynika z relacji rozmówcy efekt spływania farby uzyskiwał on *stosując taki zwykły trik, jak podgrzewanie płótna płomieniami świecy.* Artysta wskazuje przy tym obraz „Datura stramonium”, na którym, w dolnej części, wyraźnie widoczne są ciemne smugi – *ślady po okopceniu płomieniem.* *Jeżeli chciałem, żeby takie efekty powstawały, uważałem żeby nie było pożaru i najzwyczajniej w świecie – zbliżałem i oddalałem świecę od obrazu. Natomiast, jeżeli nie chciałem tych efektów, podgrzewałem obraz przez kawałek pancernego szkła, tak żeby sadz nie tworzyła nowej warstwy.* Jak wynika z dalszej rozmowy, sam proces stosowania płomienia świecy w dążeniu do uzyskania pożądanej estetyki, przypominał w pewnym sensie proces malowania z zastosowaniem typowych materiałów i narzędzi



Antoni Halor w pracowni, w tle obrazy z lat 1968/69. Po lewej: *Czas rozstrzelany*, z tyłu: *Demony wojny*

plastycznych. *Ten ślad – mówi artysta – powstawał bardzo długo, przez przykładanie płomienia świecy, wymywanie go i znowu – przykładanie.* W niektórych obrazach artysty działanie ogniem polegało na większej ingerencji w strukturę obrazu. Rozmówca, wskazując na obraz „Czas rozstrzelany” wspomina, iż część środkowa obrazu została wypalona. *Obraz ten naznaczony jest przemijaniem – mówi artysta – i tym światem, który gdzieś, w którymś momencie musi dobiec kresu.*

Odnosząc się do widocznej na obrazie „Ocean” wysokiej faktury warstwy malarskiej, artysta mówi, iż *powstała ona z nawarstwień farby, kilkakrotnie nakładanej na powierzchnię obrazu.* Artysta zastosował tutaj farby firmy Talens oraz asfalt przemysłowy z puszki. *Tu jest bardzo wiele asfaltu – podkreśla rozmówca – pamiętam, śmierdziało jak lichy w pracowni. Obok asfaltu jest tu także bardzo dużo ziem.* Chodziło o to – wyjaśnia – *żeby obraz był jak najbardziej materialny. Farby nakładane były ręką, szmatą, tak, żeby jak najwięcej było faktury. Kiedy nałożona warstwa wysychała, na nią nakładana była kolejna warstwa, póki faktura nie nabrała gęstości i odpowiedniej wysokości.*

Jak wynika z rozmowy, w procesie kreacji obrazu artysta wykorzystywał także materiały nietypowe. Wśród zastosowanych w poszczególnych obrazach artysta wymienia: *lusterka, tarczę (regulator) z zegara, (które były niegdyś w każdym mieszkaniu śląskim, także u mojego dziadka), fragment zdobienia pieca kaflowego (aniołka i muszlę), emblemat ze znakiem promieniotwórczości, czy oryginalną okładkę puszki szynki, wystanej po nocach przez rodzinę.*

Antoni Halor, odnosząc się do podjętej w rozmowie kwestii **konserwacji jego obrazów**, mówi: *doskonale zdaję sobie sprawę z ograniczeń, które nakłada technika i przede wszystkim czas.* Jak wynika z dalszej wypowiedzi, artysta **nie odnosi się przychylnie do kwestii zmiany estetyki jego obrazów z upływem czasu.** *Im starszy jest obraz – mówi – tym więcej widocznych jest na nim oznak starzenia. Nie ukrywam tego, że z całą pewnością konserwacja moich obrazów jest wskazana.* Artysta akceptuje przy tym wykonanie pełnego zakresu prac konserwatorskich, łącznie z retuszem warstwy malarskiej. Zaznacza przy tym, iż *tutaj trzeba by wejść do poziomu psychologii malarskiej. Czy ktoś będzie na tyle wrażliwy, że zrozumie moją intencję, zobaczy jej ślad (może poszarzały, może już prawie niewidoczny) i spróbuje go oddać.* Aprobata zabiegów konserwatorskich nie dotyczy jednego z obrazów artysty. Chodzi o obraz „Czas rozstrzelany”, będący w jego posiadaniu, programowo mający się starzeć. *Wiąże się to z samą symboliką tego dzieła malarskiego, nawiązującą do przemijania, do dramatycznego (znanego z autopsji) rozpadu rzeczywistości świata mieszczańskiego. Świata znakomitego, zbudowanego tak, żeby przetrwał przez stulecia, a który rozwalono, nawet nie dynamitem, a zwykłymi oskardami.*

W dalszej części rozmowy podjęta została kwestia **śląskiego środowiska artystycznego z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych.** *Ten czas był kompletnie niesprzyjający środowisku – mówi artysta. Jednocześnie w ogóle nie wiem, jak to było możliwe – dział się taki cud wolności.* Dalej artysta odnosi się do ugrupowania Oneiron. *Na początku było ono taką zabawą – jakieś nieformalne, tajne stowarzyszenie przyjaciół – mówi.* Podejmując kwestię wspólnego artystycznego przedsięwzięcia uczestników Oneironu, realizacji plastycznej, zwanej Czarnymi Kartami, lub Leksykonem, podkreśla jego wartość artystyczną. *Budziło ono zainteresowanie także poza granicami Polski.* Byłem – wspomina rozmówca – *w delegacji jadącej na zachód, do RFN. Ten kraj był wtedy dla nas totalną, magiczną mgławicą. Wziąłem wtedy ze sobą fotografie naszego „Tajnego pisma”.³ Wzbudziły one, w tamtejszym środowisku studentów szkół artystycznych, niesłychane zainteresowanie. Wtedy to było na czasie. Odbierano to*

jako coś, czego wcześniej nie było, mimo, że wszystko toczyło się w atmosferze, która swój początek miała w surrealizmie. Teraz – dodaje – podejrzewam, nie zostaną one przyjęte tak jak kiedyś. To był niewiarygodny czas – kontynuuje rozmówca. Jedno jest pewne – rzeczy drastyczne z całą pewnością nas omijały i z różnych powodów. Byłoby ciekawe spojrzeć na to z innej strony, od strony tych, którzy nie uczestniczyli w Oneironie, a mniej lub bardziej dyskretnie nas obserwowali. Ale – zaznacza artysta – można się dowiedzieć bardzo przykrych rzeczy.

Jak wynika z rozmowy, sam **Śląsk jako region geograficzny**, ma dla Antoniego Halora duże znaczenie. Wspomina uczucie, jakiego doznawał na widok *ginącego śląskiego pejzażu*, który znał z dzieciństwa, a także na skutek krzywdy, *jakiej doznali rodowici Ślązacy. To jest najgorsze doświadczenie, jakie w ogóle człowiek może mieć, kiedy coś, co uznał za piękne, zabiorą mu.* Wskazując na jeden z obrazów mówi: *to jest „Pszczelnik mojej młodości” – taki właśnie przykład pejzażu śląskiego. Jest w tym obrazie także zawarta śmierć regionu.*

PRZYPISY:

1 Podkreślając swoje upodobania do tego typu malarstwa artysta wspomina zauroczenie malarstwem dawnym, jakiego doznał na początku swej drogi artystycznej. *Byłem bardzo młody, na pierwszym roku studiów – mówi – kiedy w bardzo dziwnych okolicznościach pojechaliśmy, razem z moim przyjacielem, do ówczesnego NRD. Natychmiast skierowaliśmy kroki do Muzeum Drezdeńskiego. Zaczęłem szukać Sali Vermeera, którego znałem z reprodukcji i byłem nim zachwycony. Obejrzałem obrazy... piękne. Potem „rembrandty”, dalej „rafaele” – kontynuuje rozmówca. W pewnej chwili, w jednej z sal zobaczyłem „małych mistrzów holenderskich”, w tym cztery obrazy Terborcha. Zostałem nagle, ni stąd ni zowąd porażony. Na jednym z obrazów namalowana była stojąca dziewczyna, inne wokół niej układały jej fałdy sukni. Poraziła mnie ta srebrzysta szarość tkaniny.*

2 Mowa o Oneironie, grupie artystycznej (1967-1978), której grono, obok Antoniego Halora, stanowili: Andrzej Urbanowicz, Urszula Broll, Zygmunt Stuchlik i Henryk Waniek. Z czasem grupie udało się wytworzyć krąg sympatyków do których należały osobistości świata artystycznego i naukowego. Oneiron podejmował działania artystyczne (w tym performance), czerpiąc inspiracje z alchemii, filozofii, w tym z filozofii Orientu, surrealizmu. Grupa nawiązywała przy tym, początkowo w sposób nieuświadomiony, do mistycznych tradycji Górnego Śląska.

3 Mowa o „Czarnych Kartach” (1967), malarsko-rysunkowej realizacji Oneironu. Realizacja ta, to monochromatyczne rysunki na czarnych kartach formatu 70x70 cm, z których każda odpowiadała jednej literze alfabetu. Projekt w całości podporządkowany był ustalonej przez nich koncepcji, o konotacjach wyraźnie wkraczających w pozarealny świat magii.

POCZĄTKI FILMOWEJ PRZYJAŹNI

Wszystkiemu jest winne gapiostwo Gomółki. Chwała mu za to. Zajęty kolejnictwem, walką o pokój, lokalnym internacjonalizmem w każdym wymiarze, popuścił artystom. Szczególnie tym, którzy grupowali się w Szkole Filmowej. Być może działacze odpowiedzialni za szkolnictwo artystyczne, uspokajali go, że artyści są ZA, i doceniają plany i zamierzenia. Warto dać im spokój.

Szkoła filmowa – na szczęście – mieściła się daleko za Warszawą, a jej władarze byli profesjonalnie uformowani w jeszcze bardziej odległym Związku Radzieckim. Wykładowcami byli dobrze przygotowani do działalności pedagogicznej operatorzy kroniki filmowej wojennej, filmów agitacyjnych oraz tzw. dokumentu. Istotnie, kronika filmowa była bardzo dobra, agitki skuteczne, zaś dokument udanie rejestrował odbudowę kraju ze zniszczeń. Upaństwowienie dystrybucji i produkcji filmowej dobrze służyło obrazowi odradzającego się kraju. Już od pierwszego dnia do każdego kina wprowadzono trójpodział seansu: Kronika filmowa (10 minut), dodatek dokumentalny (10 minut) i film pełnometrażowy (w zasadzie radziecki, ale też coraz częściej pokazywano filmy amerykańskie, francuskie i włoskie.

Kinematografia włoska po prostu narodziła się z niczego. Rossellini, de Sica i Visconti, kupili z wojskowego amerykańskiego demobilu kamery filmowe (wymontowywane, jako złom z myśliwców, po niewielkiej przeróbce nadawały się do robienia filmów). Taśma również pochodziła z demobilu amerykańskiego, scenariuszy jednak dostarczało samo życie, zaś aktorzy chodzili po ulicach. Wyjątkowa uroda dziewcząt i chłopców predestynowała ich do występu przed zdobycznymi kamerami.

Młodzież filmowa robiąc swoje pierwsze filmy, w istocie w ogóle uczyła się robienia filmów. Uroda ruin, prawie powszechny dokumentalizm okazały się pierwszą szkołą, nazwaną wkrótce NEOREALIZMEM. Filmy włoskie cieszyły się powodzeniem wśród powojennych Włochów, ale z racji uwypuklania ciemnego obrazu kapitalizmu, znalazły też swoich widzów w krajach tzw. obozu socjalistycznego. Kina w Italii wyświetlały wyłącznie filmy produkcji amerykańskiej, natomiast filmy neorealistów pokazywano za darmo w kinach na wolnym powietrzu. I również jako darmochoza przywędrowały do Polski. Ich uroda zachwycała wszystkich, również takich chłopców jak Antoni Halor, mieszkający w Siemianowicach czy mnie, Józefa Gębskiego w Kielcach. Tak na dobrą sprawę sądziliśmy, że takie filmy moglibyśmy robić sami z naszymi dziewczynami i naszymi chłopcami.

I właśnie w tym momencie zafundowano nam Szkołę Filmową.

Podobno pierwszy nabór zadziwił. Ze wszystkich miasteczek i wsi przywędrowali przyszli filmowcy w liczbie... militarnej. Kilkuset kandydatów. Kiedy spoglądałam na listę przyjętych do Filmowej Szkoły odnoszę wrażenie, że to byli wszyscy w wieku



Antoni Halor (stoi pierwszy od lewej), Andrzej Borys – operator i Józef Gębski (trzeci od lewej) wraz z pozostałymi członkami ekipy podczas kręcenia telewizyjnej sondy pt. *Czy chciałbyś pojechać na Wyspy Kanaryjskie?*

przedpoborowym, żyjący w Polsce. Najprawdopodobniej komisja przyjąć skonstruowała, że tuż po wojnie wszyscy młodzi ludzie są zdolni do Służby... Filmowej.

Ale Antoni i ja w drugiej połowie lat 50. nie byliśmy jeszcze wiekowo przygotowani do poboru. Na razie chodziliśmy do kina, gdzie bilet kosztował prawie nic. Kupowaliśmy 16-kartkowe dzienniczki, w których notowaliśmy tytuły, nazwiska realizatorów i jakieś tam spostrzeżenia. Jest pewne, żeśmy wtedy rysowali komiksy przyszłych naszych filmów. Kupowaliśmy tygodnik FILM, a tam łowiliśmy reportaże ze szkoły filmowej, gdzie synowie robotników i chłopcy filmowali innych robotników i chłopki. Wycinaliśmy kadry filmowe i marzyliśmy o szybkim ukończeniu szkoły średniej, dającej prawo do stawienia się „do poboru”. Do Szkoły Filmowej stawiali się „chłopcy z lasów”, byli także naiwni przodownicy nauki i pracy, byli też – o czym nie wiedzieliśmy – szlachcice: dzieci z dobrych domów warszawskich i krakowskich.

Egzamin do tej Szkoły był narodową legendą. Dziennikarze specjalnie się wyżywali w apokaliptycznych relacjach – co zresztą – było prawdą. Stąd wyłoniła się specjalna lista - odmiana kandydatów do szkoły, tzw. RECYDYWISTOW. Ci zdawali kilka razy. Za każdym podejściem rozpracowywali technikę zdawania egzaminu, a przynajmniej kolejnego etapu Drogi Krzyżowej.

W dziejach tej szkoły zdarzyło się kilka cudów. Na reżyserię przyjmowano „geniuszy” zdawania egzaminu wstępnego, ale, niestety, tylko kilku. Reszta, owa licząca kilka setek druga kompania, czekała jeszcze jeden rok na kolejne podejście. Niemniej kilku tych z najwyższymi lokatami, otrzymywało propozycję podjęcia studiów w szkołach gorszych, tych w Pradze lub w Moskwie. Właśnie taka piątka studentów została wysłana do Moskwy, w nadziei, że tam zostaną dobrze „wytresowani” i po powrocie staną się awangardą socrealizmu.

Poddani solidnej obróbce politycznej i moralnej, ale również artystycznej, otrzymali dosyć solidne podstawy zawodu, tak że wróciwszy pod skrzydła Jerzego Bossaka, wówczas szefa Dokumentu nakręcili, przerastając wyobraźnię, „czarną serię Dokumentu” złożoną z obrazów przeraźliwie krytycznych wobec zastanej rzeczywistości. Jerzy Hoffman, Jerzy Ziarnik, Wacław Florkowski, Krystyna Gryczelowska „dosolili” Gomułkowskiej Polsce filmami, które pokazane w kinach i na festiwalach filmowych zaspokoiły społeczną potrzebę wizualnej prawdy.



Montaż filmu animowanego *Drzewo szczęśliwe*

Nasza generacja chłonęła te tytuły na licznych przeglądach filmowych w DKF. To było jeszcze jedno niedopatrzenie zaprzątniętych gospodarką głów ideologicznych. Dyskusyjne Kluby Filmowe, powstające w latach 60. to były rozgadane aż do temperatury wrzenia siedliska propagandy sztuki filmowej.

DKF gromadziły młodzież studencką w każdym większym ośrodku miejskim. My z Antonim byliśmy wtedy studentami zupełnie innych uczelni.

Szkoła filmowa, łagodząc napór na ekran, wprowadziła bowiem przy przyjęciach na reżyserię obligatoryjny obowiązek posiadania wyższego wykształcenia raczej humanistycznego. Antoni zdał na malarstwo w ASP w Krakowie, ja (po nieudanym podejściu na wydział operatorski Filmówki) poszedłem na historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Spotykaliśmy się na licznych seminariach DKF, gdzie oglądaliśmy wspólnie filmy, spieraliśmy się o ich wartość i rozmawialiśmy o ewentualnych filmach własnych. Nikt z dzisiejszej młodzieży aspirującej do samodzielnego filmowania nie zazna tego „krzepnięcia w sporach werbalnych”. Zwłaszcza że były to ciężkie czasy i tylko DKF umożliwiały nam oglądanie samej „śmietanki repertuarowej”. Lata 50. i 60. były czasami rewolucyjnymi dla kina. Skończyło się bowiem poprawne kino „papy” oparte na adaptowaniu literatury, lektury, dorobku XIX wieku i wszelkich staroci.

W 1959 roku we Francji i coraz szybciej poza nią wybuchła NOWA FALA. To była erupcja myśli, zarazem rewolucyjnej i artystycznej.

Filmy Godarda chłoniliśmy jak kopernikańskie odkrycia. Seminaryjne pokazy jego filmów, organizowane przez Konrada Eberhardta w salach nieistniejącego dzisiaj Iluzjonu były zupełnie innym powiewem narracji. Godard odżegnywał się od książek, którymi Francja zarzucała świat przez cały poprzedni wiek, tworząc filmy z ogłoszenia prasowego, z reportażu gazetowego. Jego fabuła powstawała jak zadziwiający... film dokumentalny. Odrzucał scenariusz, odrzucał literackie dialogi, jego kamera była trzymana przez operatora w ręce, co oczywiście wywoływało protesty widzów nawykłych do normalnej narracji, ale i starzy filmowcy byli przerażeni tą amatorskością. Francois Truffaut opowiadał niezmysłową historię, opowiadał o swoim...dzieciństwie. A jakby tego nie było dosyć, pojawił się Alain Resnais i jego HIROSZIMA, w której to, co się widziało na ekranie... odczuwało się niemal jak ELEKTRYCZNE WSTRZĄSY W...

WYOBRAŹNI. To, co oglądaliśmy mogłoby się wydarzyć także nam, gdyby... Filmowcy odkryli zmyślenie, odkryli nieprawdę, odkryli zupełnie inne reguły opowiadania o zupełnie innych rejonach rzeczywistości.

Pamiętam te pokazy w Gdańsku, gdzie poznaliśmy się bliżej z Antonim, który jako malarz dostrzegał inną kompozycję kadru, a ja jako historyk sztuki widziałem jaskrawo, że film jest już tak nowoczesną sztuką, jak są nią obrazy Picasssa i Cezannea.

To w DKF oglądaliśmy epidemię Nowej Fali. W zapyziałych krajach Ameryki Łacińskiej też objawiła się

wkrótce grupa filmowców, którzy podobnym zbuntowanym językiem opowiadali...swoje dzieje. Nie opierali się na aktorach zawodowych, brali kolegów z klubu i powierzali im role (Godard swoją wiodącą aktorką uczynił młodą żonę Annę Karinę, Dunkę, której jedynymi zaletami była świeżość, spontaniczność i nieznajomość zasad grania przed kamerą.

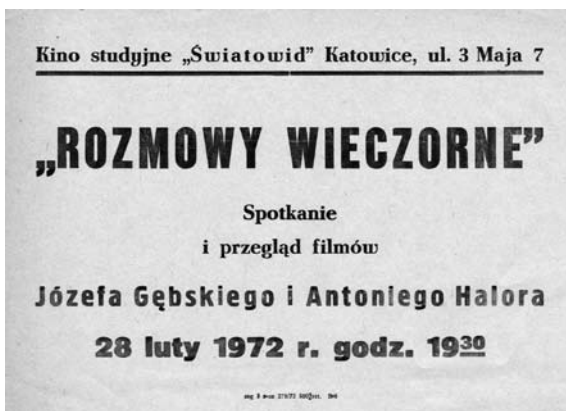
Ledwie żeśmy wchłonęli ten nowoczesny film fabularny, już w tej samej Francji pojawił się zupełnie nowy film dokumentalny tzw. Cinema Verite.

Kamera filmowa była tam w tłumie z tłumem. Potracana jak przechodzień, rozmawiała z ludźmi tak, jak toczy się normalna rozmowa. Nie było tam jakiegoś wykoncypowanego konfliktu, było tylko „gołe życie”, takie, jakie tylko kino dostrzeże. W „PIĘKNYM MAJU” zapamiętałem moment dysputy prowadzonej przez różnokolorowych studentów, kiedy czarnoskóry chłopak zauważywszy na ręce młodej dziewczyny kalkucyfrowy numer (w istocie numer oświęcimski) zapytuje, czy to jest jej numer telefonu, na który mógłby do niej zadzwonić.

Na szczęście obaj z Antonim znaleźmy język francuski, w którym miesięcznik CAHIERS DU CINEMA publikował cudowne traktaty o rewolucji narracji. Redaktorzy tego pisma, kiedyś chłopcy, których nie przyjęto do tamtejszej Szkoły Filmowej, brali w tekstach odwet na swoich „oprawcach”. Pisali o ich sklerozie, o ich zależności od starych, stuletnich książek, opisujących zapomniany już banalny świat honoru i mamony. Reżyserzy-matuzalemy sprzed pierwszej wojny, nie zauważyli tego, że już i druga wojna się skończyła i świat jest inny.

Młodzi chłopcy z Nowej Fali na łamach Cahiers wynaleźli zupełnie nową formę dziennikarstwa, tzw. wywiad - rzekę, który w najbliższym czasie przekształcił się w wywiad-książkę. Francois Truffaut jako pierwszy „przeegzaminował” Hitchcocka na kartach opasłego tomu - w istocie pierwszego podręcznika reżyserii filmowej. Odtąd każdy znaczący filmowiec zostanie (jeżeli będzie tego wart) przepytany i przeniesiony do wiecznej pamięci. Myśmy te wywiady czytali, tłumaczyli i publikowali we własnym(!) piśmie KULTURA FILMOWA. Tanie, powszechnie dostępne, co miesiąc dawało nam strawę naukową.

Antoni zgrabnie przetłumaczył na język polski i w jednym ręcznie zrobionym egzemplarzu udostępnił nam Morina „Traktat o sztuce filmowej”. Ba, nawet to zintroligował, a Konrad Eberhard odznaczył go swoim ...wspomnieniem. Gdzie żeśmy wtedy żyli, skoro to, co działo się na Zachodzie przychodziło do nas na Wschód i nas „uzachodniało”?



Plakat zapowiadający spotkanie z J. Gębskim i A. Halorem w kinie „Światowid” w Katowicach



Przyjaciele sami przygotowywali rysunki do swoich filmów animowanych

Federacja Duskusyjnych Klubów filmowych miała własną pulę filmów, pokazywanych wtedy w sieci klubowej. Do każdego z nich oprócz pisma, przybywał Leon Bukowiecki z egzegzą. W klubach oglądaliśmy nie tylko nowości, ale i starocie. FilMOTEKA Narodowa udostępniała nam z własnych zasobów skarby klasyki. Systematyczne seminaria czyniły z nas wyznawców klasztoru kina i niektórzy zostawali prelegentami (po przeczytaniu walizki książek

o historii kina). Aleksander Jackiewicz (pewnie nigdy nie spał) tylko pisał żywe „kazania” na każdą niedzielę, wygłaszane osobiście, albo poprzez nas (apostołów), do zebranej młodzieży upatrującej w kinie zbawienia.

Każda krajowa uczelnia miała swój DKF, a w każdym, szaleńcy boży tworzyli wewnętrzne pisemka o tym, co dzieje się w kinie. Wiedzieliśmy prawie wszystko o rewolucji w Czechosłowacji. Tam grupa filmowców, mająca dosyć filmów o partyzantach, zaczęła robić filmy o dniu codziennym. Szkoła filmowa w Pradze wypuściła absolwentów, którzy przed kamerę, jak Paryżanie, zaprosili nieznanych nikomu aktorów bez dyplomu. Zwyczajnych ludzi, filmowanych w okolicznościach zwyczajności. Okazało się, że ci normalni Czesi są ludźmi nadnormalnymi. Mają problemy takie same jak my w domowych pieleszach. Zaczęła się czeska Nowa Fala. Forman, liresz, Chytilowa, cały zastęp nawet jednorazowych autorów filmowych zajął nas bardziej niż Wajda.

Właściwie byli to amatorzy, a ich filmy wyglądały prawie tak samo jak te nasze kręcone w Amatorskich Klubach Filmowych. Nie znam prawie żadnego miłośnika kina, który by nie robił filmów 16 mm kamerą i nie wędrował z nimi po rozlicznych festiwalach, które były wstępem do naszego własnego kina.

Na mojej drodze często spotykałem się z tym uśmiechniętym brodaczem Antonim (ja również się „ubrodziłem”) i wiedzieliśmy rozliczne spory o... błędy, na których znaleźliśmy się z podręczników, ale bardziej nas interesowało wszystko to, co było błędem jeszcze nieznanym. Mieliśmy podręczniki scenariopisarstwa, montażu, prowadzenia aktora i sztuki operatorskiej. Ale każdy oglądany film przeczył zasadom wypisywanym w książkach. Świat z każdym dniem otwierał nam nowe błędy, a te wyznaczały wyprawy za mistrzami. Ale oto objawił się Antonioni i wykazał nam, że wcale nie trzeba poszukiwać pointy (w życiu jest tylko jedna pointa, ale tej już nie sfilmujemy osobiście).

Antonioni wprowadził niechęć do ekspozycji - nazywało się to dedramatyzacją. Sceny nie wynikały jedne z drugich, nawet sobie przeczyły. Bardziej interesujące były błędy narracyjne, niż konsekwencja - rodem z Wajdy. Film bardziej przypominał życie ze swoją przypadkowością, niż powieści Sienkiewicza. Kino oddalało się od doświadczenia literackiego. Już nie powieść stawała się powodem do realizowania filmu. Francuscy powieściopisarze pisali... filmem. Robbe-Grillet po prostu pisał powieści obrazami. Tekst bardziej kojarzył się z zapisem filmowym, niż z kwiecistością mowy.



Reżyserzy podczas kręcenia filmu *Testament* musieli także sami nosić sprzęt

I to wszystko chłonęły nasze młode głowy, nawykłe do materii uniwersyteckiej. W każdej chwili gotowi byliśmy do bełkotania o nowoczesności. W naszych mózgach dokonała się rewolucja Nowej Fali na każdym piętze.

Aby żyć i skromnie się odżywiać gotowi byliśmy jak apostołowie nowej religii wędrować nocnymi pociągami do odległych miejscowości, wszędzie gdzie tylko powstawała wszechznana filmowa, aby tam głosić „słowo boże”.

Poza tym pisaliśmy rozległe recenzje i essaye do różnych pism, które jak na zawołanie otwierały strony poświęcone filmowi. Jackiewicz, Toeplitz, Bukowiecki, wiedli nas po bezdrożach i drogach kina, które wtedy nazywaliśmy nowoczesnym. Odrzucaliśmy wszystko

stare, i witaliśmy wszystko nieznanne. Jak tamci szaleńcy znad Sekwany, chcieliśmy być szaleńcami znad Wisły.

Obarczeni dyplomami ukończonych uczelni, składaliśmy je jako załączniki do podania o przyjęcie na reżyserię. W podaniach zamieszczaliśmy bzdurne obietnice, że będziemy...

W łódzkiej szkole zjawiało się co roku 500 (co najmniej) geniuszy. Każdy z jakimś dorobkiem, z łbem pękającym od pomysłów na nowe dzieło. Byliśmy naiwni, a za naszą głupotę odpowiedzialny był Jerzy Skolimowski. To on rok wcześniej (w 1964 r.) „ograł” wszystkich uczonych w starym kinie, opartym na solidnym scenariuszu, prze-mądrzałych (pisanych przez zawodowych dialogistów) wypowiedziach, na klasycznej kamerze na wózku i świetle ustawianym przez wiele godzin pod wodzą doświadczonych starych „repów”. Ten Skolimowski tresowany w kulcie adaptacji filmowej klasyki, opartej na wierności Sienkiewiczowi, Dygatowi czy Kuncewiczowej, nawet Andrzejewskiemu (skoro tak go kochał Wajda), że już nie wspomnę o Maupassancie, który świecił modelowym schematem dramaturgii cokolwiek nadszarpniętej przez Flauberta.

I ten Skolimowski z beczelnością enfant terrible sam napisał scenariusz. W dodatku nikomu go nie pokazał, za to po kawałku pod płaszczykiem ćwiczeń i kolejnych etiud swoich i operatora Witka Mickiewicza, tkał jak „nocne robótki”, sam grając główną rolę i korzystając z sympatii Eli Czyżewskiej jako partnerki szykował bombę atomową pod całą kinematografią, wierną XIX wiekowi, no i trochę Iwaszkiewiczowi na smaczek.

Dlatego „RYSOPIS” – sklejanka z kolejnych etiudek – okazała się pierwszym własnym pełnometrażowym filmem polskiej Nowej Fali.

Myśmy wszyscy urodzili się z „Rysopisu”. Każdy chętny (było nas 500) do Filmowego Klasztoru w Łodzi miał już w zanadrzu swój „Rysopis”. Co to znaczy? – zapytacie. Odtąd źródłem naszych filmów byliśmy my sami.

Już nie książki z półki, ani z księgarni, ale scenariusze opowiadające o nas samych, o naszym życiu, o współczesności. Jakaż to nadzieja na to, że kino nie będzie kinem z drugiej ręki, tworzonym po pisarzu.

Egzamin tych 500 alumnów różnych uczelni, wśród których – przypominam to raz jeszcze – były dzieci „szlachty”, czyli wielkich rodzin filmowych, partyjnych i dziennikarskich nazwisk, byli recydywiści, którzy startowali do szkoły po wielokroć i była zbieranina robotniczo-chłopska, licząca na punkty za pochodzenie. Oczywiście byli też dewizowcy, płacący za indeks żywą walutą, przeważnie dolarami. Egzamin przypominał „drogę przez czyściec”. Kilka dni magla. Jeden kandydat wobec kilkunastoosobowej komisji znawców stawiających punkty, kreski, cyferki, kryptoznaczkę. Na koniec uśredniający wynik w postaci werdyktu: PRZYJĘTY.

Najtrudniejszy był egzamin z geometrii. – *Niech pan zamknie oczy i na kartce papieru narysuje koło o średnicy 10 centymetrów.* Wskazywało to na orientację w przestrzeni świata. Antoni machnął dobre kółko, ja też prawie zamknąłem świat i zostaliśmy wycytani, jako zdolni do czyszczenia mózgu, polegającego na powrocie do Kraszewskiego, Żeromskiego, do chronologii logiki przyczynowo skutkowej, do starego świata starego kina, do adaptacji tego, co już dawno zostało zapomniane i zeszło do programu maturalnego egzaminu. Żadnych marzeń panowie. Przecież w najlepszym wypadku zostaniemy asystentami przy filmie o Mieszku Pierwszym albo kolejnej adaptacji ukochanego przez polonistki Sienkiewicza.

Był rok 1965. Uścisnęliśmy sobie ręce i obiecali, że będziemy jednak pamiętali (w cichości ducha) o Nowej Fali, tej Godardowej i Skolimowskiej.

JÓZEF GĘBSKI, ur. w 1939 r. w Kielcach, reżyser i scenarzysta, doktor sztuki, twórca ok. 100 filmów (głównie dokumentalnych, w tym 19 nakręconych wspólnie z Antonim Halorem, w latach 1969-1975), współzałożyciel, dyrektor i wykładowca Akademii Filmu i Telewizji w Warszawie w latach 1991-2006, obecnie prowadzi zajęcia na temat narracji w obrazie na Wydziale Sztuki Mediów i Scenografii ASP w Warszawie. Z A. Halorem poznali się w pierwszej połowie lat 60. ub. w. jako aktywni działacze studenckich DKF-ów. W 1965r. równocześnie, za pierwszym podejściem, zostali przyjęci na Wydział Reżyserii do łódzkiej PWSTiF, w 1971 r. otrzymali dyplomy i przez kilka lat w reżyserskim duecie realizowali filmy, spektakle i widowiska telewizyjne.

ZDJĘCIA z archiwum rodzinnego Jakuba Halora

Z KART
SIEMIANOWICKICH
ANNAŁÓW

WIECZÓR Z MUZYKĄ I HUMOREM – WSPOMNIENIA

W sierpniu 2013 roku poszedłem z moją żoną Krystyną do Willi Fitznera na mini recital pana Franciszka Rzepczyka. Wśród słuchaczy zebranych na sali odnalazłem Mariusza Halakę, akordeonistę z którym niegdyś śpiewałem na wielu imprezach w naszym mieście.

Po wysłuchaniu recitalu usiedliśmy w kawiarence, żeby pogadać. Podczas tej rozmowy Marian przedstawił nas Bohdanowi Wantule, muzykowi o którym można powiedzieć „człowiek orkiestra”. Odkryłem wówczas szanse na wspólne z nim śpiewanie kilkunastu piosenek religijnych z wyższej półki, a konkretnie z festiwalu „Sacrosong”. Ten repertuar śpiewałem już wcześniej z chórem „Cantamus Sibi”, prowadzonym przez Iwonę Talatycką-Seman. Śpiewaliśmy dwukrotnie, pierwszy raz w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich Pod egidą dyrektora Krystiana Hadasza oraz w Amfiteatrze Miejskim w ramach koncertów na 70-lecie Siemianowic Śląskich. Przy fortepianie zasiadał wtedy Krystian Hadasz. Bohdan zainteresowany tematem, umówił się ze mną na spotkanie przy klawiaturze, podsunąłem mu jedynie próbki piosenek, ale on grał tak, jakby tam była zapisana cała orkiestra. Byłem zachwycony, już tego samego dnia zdecydowaliśmy, że w przyszłym roku startujemy.

W tej samej Willi Fitznera odnalazłem kolejnego „kolegę z piaskownicy”, był to Krzysztof Bogdoł, kiedyś członek kabaretu w Młodzieżowym Domu Kultury w Siemianowicach Śląskich, później student w szkole aktorskiej we Wrocławiu i wreszcie aktor m.in. w teatrze w Bielsku-Białej.

Artystyczne ścieżki zaprowadziły go do Centrum Kultury w naszym mieście, a konkretnie do Willi Fitznera. Padło hasło „Krzysztofie, za rok prowadzisz słowem recital piosenek religijnych”. I tak się stało. Koncert odbył się dzięki inicjatywie Centrum Kultury, ale przede wszystkim dzięki zaangażowaniu gospodarza tej imprezy Dyrektora Krystiana Hadasza.

Już 4 lipca 2014 roku Sala Koncertowa Muzeum Miejskiego była wypełniona po brzegi. Powiększyło się też grono artystów, gościnnie zaśpiewał przy swojej gitarze Ks. Prałat Stanisław Puchała, a także moja żona Christine Friedek-Dwornik. Krzysiek prezentował nas nietuzinkowo, na luzie. Dołączałem się do jego narracji, tak że powstawał wesoły dialog. Bohdan grał fantastycznie, wprowadził nas w radość, ta radość udzieliła się słuchaczom. Zrobiło się wielkie śpiewanie, na koniec Krystian Hadasz zaproponował bis. Pytani co by tu zaśpiewać, a Bohdan mówi „Błękitną chusteczkę” oczywiście życzliwy śmiech na widowni, ale i akceptacja. Zaśpiewałem ten mój młodzieńczy przebój.

Widziałem, że jest dobrze, że nie możemy teraz tak po prostu iść do domu, tym bardziej, że zaakceptowała nas Siemianowicka publiczność. Powiedziałem wtedy „musimy kontynuować, zrobimy tutaj w Muzeum wieczór piosenki z humorem”. Tak też się



Wieczór z muzyką i humorem

stało, przygotowaliśmy koncert w 2014 roku, potem w 2015, 2016 i 2017... zawsze na początku lipca, zawsze przy więcej niż pełnej widowni i zawsze z udziałem Bohdana Wantuły, Christine Friedek-Dwornik i Piotra Dwornika. Byli z nami Krzysztof Bogdoł, Jan Litwiński, Lucyna Brelska z mężem pianistą Tomkiem, Marta Rajska, prof. Andrzej Gwóźdź, prof. Marek Urbańczyk, Dominika Urbańczyk z córką Julią, Andrzej Minkacz? I... UWAGA Krystian Hadasz, jako akordeonista.

Fenomenem tych koncertów jest bezinteresowność artystów, a także perfekcjonizm. Pełen podziwu jestem dla wszystkich za sprawność i tempo pracy. Podkreślić muszę, że te koncerty to premiery przygotowane do jednorazowego użytku.

Próby trwają trzy dni. Pierwszy dzień to opracowanie muzyczne, czyli praca solistów z Bohdanem Wantułą. Drugi dzień to połączenie piosenek z ruchem scenicznym i synchronizacja z dialogami. Trzeci dzień – PRÓBA GENERALNA. Dialogi i monologi wysyłam wykonawcom już kilka miesięcy wcześniej, teksty te wypełniają czas pomiędzy piosenkami, ale nie są tzw. Konferansjerką. Nawiązują do osób występujących oraz do tekstów piosenek, a także bywają samodzielными etiudami wesołości i satyry. Jestem pełen uznania dla moich współkabareciarzy za ich talent i bezpretensjonalność. Krzysztof Bogdoł to mistrz w przekazie humoru w stylu Bustera Kitona. Dobrze pracowało mi się z nim przy parodiach kilku piosenek, to właśnie jego komentarze wyzwały salwy śmiechu. Jan Litwiński to młodszy kolega, który był z nami w kabe-recie Młodzieżowego Domu Kultury w Siemianowicach Śląskich. Jasiu dobrze śpiewa, interpretuje nadzwyczaj trafnie teksty i co bardzo cenne u niego to kolektywność, jest dyskretnym inspicjentem i suflerem. Kiedy on jest pośród nas nie może się przytrafić żadna wpadka.

Bohdan Wantuła jest na co dzień skromny i delikatny, ale jak dotknie klawiatury wy-zwała szaleńczą radość śpiewania. Doskonale włącza się też do dramaturgii programu.

Krystyna Friedek-Dwornik od czterech lat śpiewa piosenki latynoamerykańskie. A zaczęło się tak, że w koncercie piosenek religijnych zaśpiewała słynną „Ave Maria no moro”, oczywiście po hiszpańsku i z towarzyszeniem Bohdana Wantuły. Tak im się to spodobało, że nic nie wskazuje na odejście od hiszpańskich klimatów.



Bohdan Wantuła

W 2016 roku nasze grono powiększyło się – doszedł Marek Urbańczyk, Dominika Urbańczyk i Andrzej Munkacz. Marek wygłosił naukowo-filozoficzne rozważania rodem z kabaretu „Piwniczka” przy Duszpasterstwie Akademickim. Jednakże tekst był tak niezrozumiały, że kolejny raz publiczność wybuchała śmiechem. Marek posiada talent bardzo oszczędnej interpretacji, zachowuje stoicki spokój i to jest piękne. Dominika Urbańczyk wkroczyła do naszego grona jako flecistka i piosenkarka i czuje się w naszym kabarecie jak ryba w wodzie.

Andrzeja Minkacza znam dłużej niż ustawa przewiduje. Jest gitarzystą basowym, pomyśleliśmy, że może też zagrać na ukulele. Był zdziwiony tą propozycją ostatecznie ją przyjął.

W tym momencie pragnę podziękować moim kabareciarzom: Dominice, Markowi, Andrzejowi i mojej żonie, że uratowali nasz występ w 2016 roku. Był początek lipca, scenariusz gotowy i nagle z powodu bardzo ciężkiej sytuacji osobistej zrezygnował z udziału Jasiu Litwiński, który miał być postacią bardzo ważną w dialogach, w piosenkach itd. Bez niego byłoby ciężko, ale pomyślałem o potencjale koleżanek i kolegów. To właśnie oni uratowali program. Marek wziął kolejne dwa monologi, które zrobił NIEPOWTARZALNIE.

Dominika okazała się SUPERKABARECIARĄ, reagującą znakomicie na niespodzianki estrady. Byłem mile zaskoczony reakcją mojej żony, która dla ratowania wieczoru „weszła” w klimat skeczy. Sam też robiłem, co mogłem. Mówiłem jednocześnie swoje teksty i kwestie Jasia, czyli rozmawiałem sam ze sobą. Zaśpiewałem również piosenki przeznaczone dla Jasia, ale to już nie było problemem.

Czuję się zobowiązany wyjaśnić, że grono moich koleżanek i kolegów kabaretowych posiada wyższe wykształcenie. Krystyna jest absolwentką szkoły operowej, dr hab. Marek Urbańczyk jest m.in. wykładowcą na Akademii Muzycznej, mgr Dominika Urbańczyk skończyła Wychowanie Muzyczne i klasę fletu, jest dyrygentką. Andrzej Minkacz jest Absolwentem Wydziału Muzyki Rozrywkowej, jest uznanym gitarzystą basowym. Jasiu Litwiński kontynuował studia pracując jednocześnie w Wydziale Kultury Urzędu Miasta. Jedynie ja posiadam średnie wykształcenie muzyczne, a moje szefowanie w kabarecie jest dominacją klasy średniej nad klasą wyższą.

Teraz należy wspomnieć o lipcu 2017 kiedy wrócił Jasiu i... byliśmy w komplecie. Moja żona śpiewała przygotowane z Bohdanem ich ulubione piosenki hiszpańskie. Włączyła się też do zespołu „Moje kowboje” grając na kazu i gwizdku i słodko śpiewała chórki wraz z Dominiką. Dominika śpiewała, stepowała no i oczywiście grała na flecie. Z kolei jej córka Julka oczarowała wszystkich tańcząc ogniste flamenco. Tym razem zaśpiewał również Bohdan Wantuła i jak już wcześniej wspomniałem, zagrał na akordeonie sam dyrektor Krystian Hadasz. Jasiu uczestniczył w prezentowaniu licznych dialogów, zaśpiewał dwie piosenki i towarzyszył zespołowi na instrumentach perkusyjnych.

Nowość to duet Minkacz-Urbańczyk przesycony tekstami kabaretowo-naukowymi. Marek rozbawił słuchaczy do łez przedstawiając rachunek za renowację organów z początku ubiegłego stulecia.

Chyba już na stałe do naszych programów wejdzie duet Minkacz - Dwornik, tym razem był to „Teatryk zielona koza” w programie „Przychodzi chop do lekarza”. Stałym elementem były też piosenki ramówki z elementami tanecznymi śpiewane na rozpoczęcie i na finał, któremu zawsze towarzyszy wielka ilość baloników, które fruwią wśród publiczności w rytmach walca, czaczy, marsza czy innych kombinacji rytmicznych.

Były też nakrycia głowy: cylindry, meloniki, kapelusze kowbojskie, kapelusze meksykańskie, czapki karnawałowe, a także inne rekwizyty np. japońskie parasolki, peruki, prześmieszne okulary, kolorowe nosy itp. Krystian Hadasz napisał kiedyś: „Prawdziwy karnawał w środku lata w Muzeum” – i o to chodzi. Można powiedzieć, że kolejny raz cała sala śpiewała z nami, ba tańczyła z nami.

DZIĘKUJEMY! ZAPRASZAMY! Tylko od naszej kochanej widowni zależy czy będziemy nadal uprawiać to szaleństwo.

Beata Tomanek

40 LAT MINĘŁO

Wydarzenia, które zainicjowały piękną biografię wpisaną w historię naszego rodzinnego miasta – Siemianowic Śląskich, miały miejsce w 1954 roku. One też spowodowały spotkanie ponad setki mieszkańców w Muzeum Miejskim, żeby celebrować wspólnie jubileusz wyjątkowego obywatela miasta. Fakt, że jest on nietuzinkową osobą, przypominają podania i legendy utrwalane przez obywateli, a także opowieści ludowe przekazywane przy okazji różnych spotkań rodzinnych, przyjacielskich, oficjalnych albo też tych „na ucho”, w których najwyraźniej pobrzmiewają sensacyjne nuty.

O ROKU ÓW!

Rok 1954. Wczesny ranek. Spotykają się dwie klachule.

I: – Kaj to lecicie, Tomankowo?

II: – Do cery, Widerzyno. Musza moi Laurce pedzieć o tych znakach!

I: – Jakich znakach?

II: – Dziecka ze szkoły widziały wielkiego karpia, co dźwigoł pod pachom Siemiona i szoł do ratusza. I tyn karp pedzioł tym dzieckom, iże dzisiok jest dło Siymianowic wielki dziyń.

I: – A Siymion nic niy godoł?

II: – Niy, ino głowom kiwoł. Uwierzycie?

I: To jeszcze nic! Mojymu starymu sie przyśniło, iże wyloz rano z psym i spotkoł samego Wojciecha Korfatego, kiery dźwigoł worek z karmom dło psow. To moj chop chcioł mu te psie żarcie zaniysć, bo mo do Korfatego respekt, ale powstańczy dyktator pedzioł: dziynkuja, jo ci ino chcioł pedzieć, że dziś się pojawił mąż, kiery rozstawi nasze Siymianowice niy tylko w Metropolii Śląsko-Zagłębiowskiej. I co powiycie? Przed chwilom żech sie dowiedziała, że Janeczkowa urodziła fajnistego syneczka.

Do dzisiaj Siemianowiczanie wspominają ów niezwykły dzień, w którym różne znaki zwiastowały narodziny kogoś wyjątkowego. Jedni pamiętają tęczę na rozgwieżdżonym niebie. Inni mówią, że to była zorza polarna, jeszcze inni widzieli jak niebo za dnia tak się ściemniło, że gwiazdy było widać. Od tej nocy minęło ponad 60 lat, a Zdzisław Janeczek, który wtedy się urodził, dzisiaj jest znanym, cenionym historykiem, dumą Siemianowic Śląskich, popularyzatorem wiedzy o naszym regionie, jego niezwykłej i trudnej historii, a także niezwykłych, ciekawych dziejów rodzinnego miasta. W dodatku z wieloma znajomymi, wśród prawdziwej szlachty polskiej, czyli arystokracji. Toteż przed nami stało karkołomne, wręcz niewykonalne zadanie przed-



Rodzice



Roczek Zdzisława 1955 r.



Mały kapitan 1958 r.

stawienia sylwetki człowieka, którego wyjątkowość trudna jest do opisanie w dostępnych słowach. Jako autorzy audycji radiowych prezentujących historie śląskie poprzez zadawanie pytań i tym razem postanowiliśmy wybrnąć z trudności formułując po prostu pytanie i próbując na nie odpowiedzieć. Poszukaliśmy też wsparcia w ujawnianiu wspaniałej prawdy o naszym bohaterze, wyłaniając świadków historii, których ścieżki życiowe przecięły się na różnych etapach zdobywania doświadczenia z drogą Zdzisława Janeczka. Znalezienie odpowiedniego pytania, które odsłoniłoby w odpowiedzi wielowymiarowe osiągnięcia, piękny charakter, historię rodziny, dorobek, niezwykłą osobowość i pracowitość wyrażającą się również w podejmowaniu wielu podróży naukowych, a nade wszystko satysfakcjonującego głównego zainteresowanego – też nie było łatwe. Z tego względu zadaliśmy pytanie ogólne:

„Czy to prawda, że życie Zdzisława Janeczka, jednego z najbardziej charyzmatycznych historyków jest równie barwne co historycznych postaci, bohaterów jego książek?”

Siemianowice Śląskie są niewielkim górnośląskim miasteczkiem położonym między Bytomiem, Chorzowem, Katowicami, Czeladzią i Dąbrówką Wielką – czyli w środkowo południowej części Polski. Bliżej stąd jest w góry, np. Beskidy lub Tatry niż nad morze. Więc już miejsce urodzenia Zdzisława Janeczka w dzielnicy Siemianowic nieopodal Przystani Ligii Morskiej i Kolonialnej sugerującej, że śląskie miasteczko ma charakter portowy wskazywać może na nieoczekiwane wydarzenia i zaskakujące zwroty akcji w życiu Dumy Siemianowic Śląskich.

Dorastanie przy malowniczym akwenie obfitowało w chłopięce przygody. Latem było to taplanie się w chłodnej wodzie, zimą ryzykowne ślizganie się po zamrożniętej tafli wody. Lata beztrudni wspominał kolega z placu i ławy szkolnej – Ludwik Musioł:

Na zdjęciu komunijszym Zdzisława wygląda jak aniołek, w istocie był to diabełek, prawdziwy ancygonek. Wysoki był, nogi miał długie, to też najszybciej uciekał po różnych naszych psikusach. W trzy sekundy potrafił po prostu zniknąć! Ale raz Mu się nie udało i władza ludowa musiała Go ściągać z pomnika. To było tak: robiliśmy zakłady kto prędzej wejdzie na szczyt pomnika Bohaterów Pracy Socjalistycznej, który przedstawiał Pstrowskiego w medalionie, jako przodownika pracy. Stał on niedaleko wejścia do Huty „Jedność” od strony Placu Skargi. Do dzisiaj jeszcze pozostały po nim jakieś pręty zbrojeniowe, rurki wystające z ziemi. Oczywiście Zdzisława był najszybszy, bo on w ogóle był bardzo wysportowany, nie tylko dobrze biegał, ale też uprawiał inne sporty. Kiedy on był już na szczycie, my kątem oka zobaczyliśmy patrol Milicji Obywatelskiej i daliśmy nogę. A nasz kolega został na postumencie.

Zorientowałem się, że zostałem sam na piedestale, kordon milicji mnie okrążył i kazał schodzić...I ja wtedy odmówiłem zejścia z tego pomnika, taki byłem odważny – pan profesor śmiał się szczerze na wspomnienie swojego chłopięcego sza-



I Komunia Święta

leństwa - Wołali do mnie zejść smyku, bo dostaniesz pałkę. To ja ambitnie nie chciałem dać się „żywce” i negocjowałem. Powiedziałem, że się ich boję, żeby się trochę odsunęli. A nie znali oni mojej sprawności fizycznej. Więc jak tylko się nieco oddalili, to czmychnąłem. A byłem w tym dobry, bo nawet nauczyciele mówili o mnie, że jak tylko na centymetr się oddalę, to już jestem nie do uchwycenia. I to była prawda.

Rogata dusza i niepokorny charakter utrwały się w przyszłym badaczu historii narodowo-wyzwoleńczej. Brak szacunku do czynu partyjnego, bohaterów Polski Ludowej utrwał w tym młodym człowieku bunt wobec lansowanych prawd i obowiązujących praw. Dorastał w rozkwicie ustroju socjalistycznego, który nakładał na obywateli różne ograniczenia. Zwłaszcza bolesne było poczucie braku wolności. Toteż na znak tego braku akceptacji jako młodzieniec zapuścił włosy i dał się poznać jako...

...HIPPIŚ Z SIEMIANOWIC

Te lata bardzo dobrze zapamiętał pan prof. Bogdan Zeler, dzisiaj uznany literaturoznawca wówczas kolega Zdzicha. Razem uczęszczali do Liceum im. Jana Śniadeckiego chociaż do różnych klas. Dowiedzieliśmy się od niego, że to hippisowanie Zdzisław Janeczek traktował jednak bardzo fasadowo. Nie był „dzwonnikiem”, czyli nie nosił tzw. spodni-dzwonów, nie grał na gitarze, nie śpiewał protest-songów w miejscach publicznych, nie ubierał koszul w kwiaty i etno wzory, nie był wyznawcą Kriszny, ani nawet sekretnego zielarstwa. Z całej tej ideologii życia pod prąd najbardziej lubił domowe, u kolegi Bogdana słuchanie płyt z jego kolekcji Jana Sebastiana Bacha. Ponadto razem z przyjacielem Pawłem Szumińskim, najlepszym w klasie matematykiem, delektował się kompozycjami Pink Floyd, grupy uprawiającej rock psychodeliczny, a później progresywny, znanej z filozoficznie zabarwionych piosenek, eksperymentów z dźwiękiem, innowacyjnego podejścia do kwestii grafiki. I tyle tej kontestacji. Jednak w głowie kłębiły się już myśli opozycyjne wobec socjalistycznej rzeczywistości. Nawiązywały do przeszłości rodzinnych bohaterów, pięknych historycznych zdarzeń, które coraz czę-



Stanisław Janeczek w mundurze strzeleckim

ściej wciągały młodego Zdzisława w zacisza bibliotek, czytelni, archiwów i skłaniały do rozczytywania się w tekstach przypominających chlubne lata w dziejach Polski. Ten głód wiedzy był konsekwencją lekcji odrabianych w rodzinnym domu, ojcowskich gawęd o przeszłości, wspólnego studiowania dzieł I. Krasickiego, A. Mickiewicza, J. Słowackiego, J. I. Kraszewskiego i H. Sienkiewicza. Ojciec otwarł oczy przyszłemu historykowi na wiele spraw i światów, m.in. przedwojnie i komunizm wskazując na konsekwencje wyborów i konieczność stawania na straży honoru i prawdy o Polsce. Toteż młody student odwołując się do domowych rozmów próbował w historii odnaleźć uzasadnienie dla współczesnych wyborów politycznych. Te lata spędzone nad książkami zaowocowały za kilka lat. Wtedy zdobyta wiedza, podparta urokiem oso-



Maturzysta



Student II roku

bistym, obyciem i ciętym, błyskotliwym poczuciem humoru wynikającym z odczytania sprawy, że stał się prawdziwym idolem, dla wielu uczniów – mistrzem, a dla niektórych postrachem szkoły, w której został zatrudniony jako historyk.

KOSZMAR Z ULICY WYSPIAŃSKIEGO

Druga historia z podań ludowych.

Spotykają się dwie klachule.

I: – Ja, to tukej uczył.

II: – Dyć wiy. Miałach bez to skaranie boskie.

I: – Z profesorym?

II: – Ale kajtam! Z moim synkiym. Niy chciał sie gizard uczyć. Ale profesor go przekonał.

I: – Pokoził mu, jako fajno jest nasza historia?

II: Niy, to była matymatyka.

I: – Co wy godocie? Przeca profesor jest historykiym.

II: – Dyć wiy. Ale spytał sie moigo synka: lubisz łązić do szkoły? On godo, że niy. A profesor: To się pomyśl, że jak sie niy bydziesz uczyć, to bydziesz łązić do szkoły rok, abo i dwa dłużyj.

I: – Wiedziol, jak godać z tymi smarkoczami.

Spośród gości zgromadzonych na jubileuszu 40-lecia pracy naukowej prof. Zdzisława Janeczka prawie połowę stanowili jego uczniowie różnych roczników. Do tej grupy zaliczał się również Dyrektor Muzeum Miejskiego Krystian Hadasz i ja. Dla mnie pan profesor był niedoścignionym wzorem pedagoga, mistrzem słowa, erudytą, który potrafił porwać swoimi opowieściami w nowe, fascynujące przestrzenie wiedzy. Po czym pozostawić z poczuciem niedosytu i nieogarniętego smutku, że ta ekscytująca przyjemność serfowania po „morzu wiedzy” jest dla zwykłego ucznia niedostępna i długo jeszcze taką pozostanie. Dla nas wszystkich pan profesor zapisał się jako postać oryginalna i barwna. Niewątpliwie budził postrach wprowadzając swoje (dla nas nowe) sposoby traktowania uczniów, czyli jak partnerów do rozmowy. To oczywiście stanowiło układ niesymetryczny, budziło uzasadnione obawy i niepokój przed odkryciem rzeczywistego stanu wiedzy odpytywanego delikwenta. I nie pomagał, nie motywował fakt, że profesor zwracał się do nas – nastolatków per pan, pani. Ten fragment spotkania otworzył prawdziwą „kapsułę czasu”, z której bez końca wyciągaliśmy wspomnienia dotyczące przeżyć związanych z nauką historii pod okiem prof. Zdzisława Janeczka. Krystian Hadasz przez lata współtworzył z panem profesorem szkolny Teatr Faktu Historycznego.



Józef Skrzek



Prof. Bogdan Zeler



Wuj Domin uczestnik trzech powstań, zginął w KL Auschwitz



Franciszek Żurek komendant POW, uczestnik wojny 1920 r. i III Powstania śląskiego



Stryj Leon Janeczek vel Bernach, żołnierz 1939 r.

*Pan profesor był bardzo wymagający - wspominał pan dyrektor - do zdawania lektur ustawiały się kolejki. Ja próbowałem negocjować, a z tego względu, że równolegle uczyłem się w szkole muzycznej i chciałem mieć podwójną korzyść przekonałem pana profesora, że *Nikołaj Rimski-Korsakow* też był postacią historyczną. W ten sposób zdałem lekturę „muzyczną”. Pan profesor mnie odpytał, zdałem, więc mi pogratulował. Po czym powiedział: „a teraz wybierz sobie lekturę bardziej historyczną i przyjdź zdać”!!!*

...ale miałem też to szczęście poznać pana profesora z innej strony - kontynuował Krystian Hadasz - otóż z okazji 60-tej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę w warunkach prawie konspiracyjnych przygotowywaliśmy szkolne przedstawienie. W 1978 roku to był bardzo niepopularny i niepożyczany w szkole temat. Spotykaliśmy się więc u pana profesora w domu, słuchaliśmy „Ody do Radości” Beethovena, wymyślaliśmy efektowny przebieg naszego spektaklu historycznego, nuciiliśmy „Follow my dream” Józka Skrzeka. Twórczą radość tamtych dni noszę w sercu do dzisiaj.

Widać było, że każdy z nas, jego uczniów wyniósł z tych lekcji poza wiedzą, wartości, które w pewnym stopniu wpłynęły na to, jacy dzisiaj jesteśmy. Pan profesor uczył w Liceum im. Jana Śniadeckiego w Siemianowicach od 1.09.1977 roku do 30.09.1984. Potem rozpoczął jako starszy asystent pracę w Zakładzie Bibliotekoznawstwa Instytutu Literatury Polskiej w Uniwersytecie Śląskim, a od 1987 roku był związany z Akademią (Uniwersytetem) Ekonomicznym im. Karola Adamieckiego w Katowicach. Ponadto jest członkiem wspierającym Związku Kombatanów Rzeczypospolitej i Byłych Więźniów Politycznych w Krakowie (Koło Polskiej Akademii Nauk), członkiem Komisji Historii Śląska Polskiej Akademii Umiejętności, członkiem Rady Wydawniczej Muzeum Miejskiego i Przewodniczącym Rady Muzealnej Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich.



Ludwik Musiał, przyjaciel z lat szkolnych



Jubilat z redaktorem Bogdanem Widerą

TECZKA NA JANECZKA

Opowiastka siemianowickich klachul.

Rozmowa dwu niewiast.

I: - Godajom...

II: - Kto?

I: - No, wszyscy ludzie godajom, iże on wcale niy śpi. Durch pisze. A jak niy pisze, to kajś tam jedzie. A jak niy jedzie i niy pisze, to czyto.

II: - Co czyto?

I: - Wszystko, wszyściutko. A nojwiyncyj to cudze listy. Jakichś hrabiow, abo inkszych...

II: - Chwała Bogu, że jo niy pisza, ino esymesuja!

I: - To żałujcie, bo wos niy wrazi do żodnyj historycznyj ksionżki. Jo zaczęła pisać, można przeczyto, a potym opisze. I byda jak siymianowicko Paris Hilton.

Kto tam był, ten widział, że mieszkanie pana profesora to prawdziwy labirynt, którego ścany stanowią sterty książek ustawiane tak od lat. Dawno już brakło dla nich miejsca na półkach. W ten sposób profesor Janeczka zawsze ma je pod ręką. Wśród nich mieszka, pracuje, rozmyśla. Nawet jego sąsiedzi są pełni szacunku dla swojego uczonego. Jest postacią rozpoznawalną

NA KASPRZAKA

Na pytanie, czy znają pana prof. Zdzisława Janeczka odpowiadają zazwyczaj:

Ja, jo wiem, że tukej mieszko ta legynda Siemianowic, tyn profesor, co te książki pisze. Chyba z historii, tej naszym, ale ni tylko. Czy je znam? Jeszcze żech nie czytał.

To je mój sonsiad. Cichy taki. Ino w tyk ksionżkach siedzi. Nie przeszkodzo mi. Cichy, spokojny gość. Nic nie mogą złego pedzieć na niego, ale jo z nim nie godom, to nie.... ale grzeczny jest, w ogóle go nie słyhać, że tam siedzi na górze. Jakby go nie było, taki grzeczny.

Jestem ostatnim introligatorem w Siemianowicach. Mam tu swój sklepik i widuję pana profesora, jak biegnie czasem ulicą, ale osobiście nigdy z nim nie rozmawiałem, chociaż czytam jego książki.

To je, wie pani zaszczyt, że taki wielki człowiek mieszko tu z nami, w taki można tak pedzieć, trocha lumpiarski dzielnicy.

Uczył moją żonę historii, znam ze słyszenia. Jesteśmy dumni, że tu mieszka.

Jo tu mieszkam 30 lot, a łon jeszcze dużyj, bo od urodzynio. Wszyscy go tu znają, chyba, że terozki się tu sprowadzili. Ale starzy jak jo to wszyscy.

Jeden z moich interlokutorów z uczciwości swej napisał jeszcze tego samego dnia



Uczestnicy jubileuszu



Płk Włodzimierz Wowa Brodecki

donos o treści: *...Media, chyba telewizja wypytywała dziś o Pana, ale nic złego o Panu nie powiedziałem... Sąsiad*

Obcowanie od dziecka z książkami i opisanymi na ich kartach wybitnymi postaciami historycznymi zaważyło na przyszłości Zdzisława Janeczka, chociaż wcale nie było takie pewne ponad 40 lat temu, że dydaktyka i zgłębianie wiedzy o przeszłości stanie się Jego celem.

JAK ZOSTAŁEM HISTORYKIEM?

Odpowiedź na to pytanie próbowali wydobyć z jubilata profesorowie wprawieni w odpytywanie: prof. Zygmunt Woźniczka – historyk oraz prof. Maciej Sablik – matematyk. Zastosowali metodę krzyżowych pytań i w jego ogniu pan Zdzisław przyznał się, że inne miał za młodu marzenie. Biorąc pod uwagę, że był jako dziecko wielostronnie utalentowany, wybór nie był łatwy. W szkole zachęcano go do studiowania nauk przyrodniczych, ale pociągała tego zdolnego ucznia wówczas sztuka. Wrażliwa, artystyczna dusza młodego Zdzisława wyrażała się nie tylko w jego zamiłowaniu do słuchania muzyki klasycznej, bo chętnie też sam grywał na pianinie ulubione preludia czy nokturny. Jednak wtedy zdecydowany był postawić na jeszcze inny kierunek rozwoju artystycznego – studia w Akademii Sztuk Pięknych. Talent do malowania i rysunku zdradzał od najmłodszych lat. Wspominał podczas swojego benefisu:

Pamiętam jak całej klasie malowałem obrazki na zadany temat, bo wówczas był jeszcze w szkole przedmiot: „Rysunki”. Każdy zawsze dostawał za nie piątkę. Jednemu koledze raz, to nawet pędzlem do golenia, z braku innych przyborów plastycznych, wymalowałem „martwą naturę” na zaliczenie. Oczywiście na piątkę. Tylko dla siebie jak rysowałem to zawsze na czwórkę. Taka ironia losu. Myślałem więc o artystycznej karierze i studiach na Akademii Sztuk Pięknych, ale z drugiej strony jak uświadomiłem sobie, że będę musiał tych leninów i marksów malować to zrezygnowałem. Wtedy swoboda twórcza była dosyć ograniczona, a zawsze ceniłem sobie wolność, więc postanowiłem iść „pod prąd” i zapisałem się na studia historyczne.

Siebie jako historyka prof. Zdzisław Janeczek przedstawił na foto-portrecie w stylu klasycyzującym. Widzimy na nim uczonego siedzącego za solidnym biurkiem, górujące-



Dziadek Oskar, żołnierz września 1939 r.



Wuj Augustyn Kadłubek, uczestnik powstań śląskich, zginął w KL Auschwitz



Prof. Zygmunt Woźniczka i prof. Maciej Sablik



Jubilat

go swą postacią nad popiersiem Napoleona Bonaparte i statuettą Józefa Piłsudskiego ustawionych na tle grubych książek, w sąsiedztwie prehistorycznych garnków i figurek z brązu. Całość kompozycji oświetla płomień zapalonej świecy. Symbolikę tego wizerunku profesor tłumaczy następująco:

Intrygujące są przedmioty z brązu, stanowią one nawiązanie do moich zainteresowań archeologią, podziwem dla dokonań prof. Michałowskiego. W młodości uczestniczyłem nawet w wykopaliskach archeologicznych, brałem udział w eksploracji największego cmentarzyska nieopodal Kietrza. Odkryto tam osadę Celtów z IV wieku przed naszą erą, którzy przyszli na nasze ziemie przez Bramę Morawską. Znalezione tam m.in. przedmioty codziennego użytku, biżuterię, figurki z brązu, monety... Z wielkim sentymentem wspominam tamten czas. Stąd te urny popielnicowe i figurki za fotografii. Natomiast osoba Józefa Piłsudskiego wpisana jest w mój życiorys. Jestem chrześniakiem legionisty. Pamiętam takie zdarzenie: jako student II roku byłem na Wawelu na mszy za Ojczyznę 11 Listopada. Po niej zszedłem do krypty i położyłem różę na trumnie Marszałka. Doprawdy nie wiem jak informacja o tej mojej wizycie w Krakowie dotarła do władz uczelni, ale kilka dni później zostałem wezwany przed jej oblicze i przesłuchany. Spotkała mnie też „zasłużona” kara za manifestowanie idei niezgodnych z polityką partii. Zostałem wykluczony z szeregów ZSMP (Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej), do których automatycznie zostałem wcielony jako student historii oraz zawieszony w prawach studenta. Zawieszenie trwało pół roku.



Prof. Jan Lubicz-Pachoński w mundurze z epoki napoleońskiej

Popiersie Napoleona przypomina postać mojego mistrza prof. Jana Pachońskiego, wybitnego historyka polskiej wojskowości XVIII-XIX wieku, autora kilkuset prac dotyczących powstania kościuszkowskiego i okresu napoleońskiego. Stworzył 4-tomowe dzieło Historia Legionów Polskich. Był Doctorem Honoris Causa Uniwersytetów w Bolonii, Padwie i Paryskiej Sorbony. Jego wybory i droga życiowa były dla mnie wzorem. Zapalona świeca, to symbol płomienia wiedzy. A ta fotografia – można tak podsumować – to pokazana symbolicznie cała moja droga życiowa jako historyka. Pozwoliła mi ona także na zachowanie pamięci o sztuce. Jako autor monografii męża stanu i mecenasa, marszałka Ignacego Potockiego (1750-1809), kreśląc eseje biograficzne znajomych artystów malarzy i rzeźbiarzy, podejmowałem trud odczytania sensu ich dziedzictwa

na tle historii. Tu bardzo na miejscu wydają mi się słowa Mistrza z Labiryntu nad morzem: „Pragnąłem zawsze, żeby nie opuszczała mnie wiara, iż wielkie dzieła ducha są bardziej obiektywne od nas. I one nas będą sądzić. Ktoś słusznie powiedział, że to nie tylko my czytamy Homera, oglądamy freski Giotto, słuchamy Mozarta, ale Homer, Giotto i Mozart przypatrują się nam i stwierdzają naszą próżność i głupotę”.

PRACOHOLIZM NAUKOWY

Pracowitość, sumienność, dokładność, uczciwość i odpowiedzialność – to podstawowe cechy określające działalność zawodową prof. Zdzisława Janeczka – również mojego mistrza, z którym wielokrotnie wyjeżdżałam do różnych archiwów, by okrywać tajemnice historii – tymi słowami pani prof. Jolanta Gwioździk rozpoczęła swoją opowieść o wieloletniej współpracy z jubilatem. Pani profesor jest związana z Instytutem Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Śląskiego. Jest również prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Bibliologicznego i redaktorem naczelnym Śląskiego Kwartalnika Naukowego „Bibliotheca Nostra”.

Pamiętam uznanie dla wnikliwości pana profesora i jego wybitnych zdolności do odczytywania rękopisów. Zwłaszcza Potockich, których pismo odręczne odstraszyło wcześniej wielu badaczy historii. Wręcz legendarna jest cierpliwość pana profesora na tym polu. Główną zaletą, ale również atrakcją dla czytelnika jest właśnie wnikliwa i szczegółowa analiza tekstów źródłowych, w tym listów, anonsów, wzmianek prasowych, całych artykułów, notatek, osobistych zapisków, dzienników itp. To w oparciu o nie z wielkim taktem, ale również z wrodzoną swadą i polotem pan profesor przytacza w swoich publikacjach anegdoty, ciekawostki z życia, drobne zdarzenia, pikantne szczegóły, nieznane fakty biograficzne opisywanych postaci. W dochodzeniu prawdy kieruje się myślą Zbigniewa Herberta, iż historia nie jest dziełem duchów. To wielka atrakcja tekstów pana Profesora.

Entuzjazm i brawa uznania dla pana profesora wywołała cała wypowiedź pani Jolanty Gwioździk, w której przypominała, że bohater naszego spotkania jest prawnukiem Mikołaja Janeczka vel Bernacha, uczestnika powstania 1863 roku. Tradycję narodowowyzwoleńczą kontynuowali w jego rodzinie m.in. Stanisław Janeczek i Franciszek Żurek-żołnierz i konspirator POW, uczestnik wojny 1920 r., trzeciego powstania śląskiego i członek Zarządu Głównego Piłsudczykowski PSL-Wyzwolenie. Bliscy krewni ze strony matki brali udział w powstaniach śląskich i obronie Katowic we wrześniu 1939 r., by następnie zginąć męczeńską śmiercią w KL Auschwitz. Tradycja rodzinna zobowiązuje. Toteż dorobek naukowy prof. Janeczka obejmuje ponad 320 publikacji (w języku polskim, rosyjskim i ukraińskim). Pokłosem jego badań jest m.in. pierwsza monografia marszałka litewskiego Ignacego Potockiego (działacza Komisji Edukacji Narodowej, współtwórcy Konstytucji 3 maja). Pan Profesor uczestniczył w ponad 70 konferencjach naukowych w kraju i za granicą. Jest autorem monografii o Siemianowicach Śląskich *Od Sancovic do Siemianowic*. A do kanonu najwybitniejszych prac Zdzisława Janeczka należy zaliczyć takie pozycje jak:

- *Ignacy Potocki Marszałek Wielki Litewski 1750-1809. Monografia historyczna. 200 rocznica Konstytucji 3 Maja 1791-1991*. Katowice 1992
- *Śląsk w kręgu kultu Józefa Piłsudskiego. Muzeum Śląskie*. Katowice 1993
- *Śląskie szkice historyczne. Od konfederacji barskiej do powstań śląskich 1768-1921*. Katowice 1998
- *Śląsk wobec polskich walk narodowowyzwoleńczych 1768-1918*. Katowice 2001
- *Czasy Kościuszki i Napoleona. Jan Lubicz Pachoński jako badacz epoki*. Pod redakcją Zdzisława Janeczka. Katowice 2001

- *Czasy „Solidarności”. Siemianowickie druki niezależne oraz tzw. drugi obieg w latach 1980-1989.* Siemianowice Śl. 2005
- *Rola polityczna marszałka litewskiego Ignacego Potockiego na Sejmie Wielkim 1788-1792.* Katowice 2005
- *Zapomniany dowódca. Płk. Jan Emil Stanek (1895-1961).* Siemianowice Śl. 2007
- *Bytkowskie szkice historyczne.* Siemianowice Śl. 2008
- *Poczet dowódców powstań śląskich 1919-1921-1921. Wybrane sylwetki.* Katowice 2009
- *Ród Potockich w odmęcie historii XVI-XX w. (II wydanie, poprawione i uzupełnione)* Katowice 2010
- *Powstańcy styczniowi „Grekami Europy”. Terror i przemoc w relacjach śląskiej prasy z polskiego powstania 1863 roku.* Katowice 2013

CZŁOWIEK WIELU TALENTÓW

Cd. Dialogu kobiet Widerzyny i Tomancyny o wszechstronności profesora

I: – Kokotka mi pedziała, iż Antka kobyty bracik godoł przy piwie, że profesor maluje.

II: – Izba?

I: – Ale kajtam! Obrozki!

II: – Kokotka fuło. A bracik kobyty Antka wiy tela, co zjy! Jobych tam bardziej myślała, że śpiywo.

I: – Profesor? On? Taki uczony?

II: – Ale on jest skautym. Musioł przy nijjednym ognisku siedzieć. A co sie robi przy ognisku?

I: – Kielbasa ślonsko na patyku trzymie.

II: – Swojom drogom jestzech ciekawo, co on robi w soboty wolne od tyj jego historii.

I: Dowiemy sie.

Pan profesor Zdzisław Janeczek, świętujący 40-lecie pracy naukowej jest osobą wszechstronną. Sypie z rękawa anegdotami i zawsze jest przygotowany do wygłoszenia wykładu lub wystąpienia przed mikrofonem czy kamerą telewizyjną. Ma świadomość, że propagowanie wiedzy o regionie i nauki w ogóle wymaga pewnego poświęcenia jakim dla amatora przesiadywania w zaciszu czytelnicy jest współpraca z mediami. Również do tych zadań pan Profesor startuje z wrodzoną brawurą i zaangażowaniem. Mogę osobiście potwierdzić, że w kontaktach z mediami potrafi pan Profesor wykorzystać wszystkie swoje atuty: wdzięk, poczucie humoru, błyskotliwość i ogromną wiedzę,



Prof. Jan Malicki i dyr. Krystian Hadasz



Prof. Jolanta Gwioździk

która jest tak rozległa, że mała jej część rzadko mieści się w ramach czasowych wszelkich audycji i programów. Stosuje też własne „sztuczki” utrzymujące słuchaczy w napięciu, oraz potęgujące wrażenie i ekspresję wypowiedzi.

ROZDZIAŁ, POWIEDZMY, WTRĄCONY

Bogdan Widera

Profesor Janeczek udziela się w mediach. Wiemy to z własnego doświadczenia, gdyż wielokrotnie występował w naszej audycji *Czy to prawda, że...* I jeszcze wielokrotnie w swoich wypowiedziach używał magicznego słówka „powiedzmy”. Autorzy audycji: Beata Tomanek i Bogdan Widera (poza anteną oczywiście) spirali się nawet o to, dlaczego naukowiec to robi. Ja uważałem, że każda osobowość medialna musi mieć jakieś swoje powiedzonko, które odróżnia ją od innych osób często występujących w prasie, radiu i telewizji. Beata natomiast była zdania, że wpłatanie „powiedzmy” w wywód wynika z naukowej ostrożności i także trochę z pewnej nieufności do dziennikarzy. Nie to, że są oni nierzetelni, nic takiego. Zdarza się im jednak coś przekręcić, a wtedy profesor ma alibi. „Nie stwierdziłem czegoś kategorycznie, użyłem słowa *powiedzmy*, które może być rozumiane jako *przypuśćmy*, *załóżmy*, *przyjmijmy* hipotetycznie.

Trwalibyśmy pewnie przy swoich zdaniach, gdyby nie fakt, że zostaliśmy wpłatani w dziennikarskie śledztwo. Otóż dowiedzieliśmy się, że Janeczkowe „powiedzmy” stało się przedmiotem kularowej dyskusji w czasie polonistycznej konferencji poświęconej Aleksandrowi hrabiemu Fredrze. Dotarliśmy do naukowca, który zgodził się nam o tym opowiedzieć pod warunkiem, iż pozostanie „Anonimowym Źródłem”. Według niego, przy poobiedniej kawie jeden z profesorów (nie możemy ujawniać żadnych nazwisk) uznał, że Zdzisław Janeczek jest zafascynowany Fredrą – dokumentalistą obyczajowości szlacheckiej. Autor *Ślubów panieńskich* odnotowywał zabawną tendencję używania przez polską szlachtę językowych protez, takich jak „mocium panie” (Cześnik z *Zemsty*), czy „Znacie? No to posłuchajcie!” (tytułowy bohater *Pana Jowialskiego*). „Mocium...” – dla Janeczka było zbyt archaiczne, „znacie...” – nie przystoi w żaden sposób naukowcowi. Znalazł więc własne „powiedzmy”.

„Anonimowe Źródło” opowiadało dalej:

Fanzolisz – powiedział profesorowi numer jeden kolega też po habilitacji. – Zdzisio nie jest polonistą. Ani jakimś tam teatrologiem. Jaki Fredro? Zdzisio jest historykiem i tu chodzi o Radziwiłłów. Zwłaszcza (o ile się nie mylę, bo jestem polonistą a nie historykiem) tego Radziwiłła, co w każde zdanie wtrącał: „panie kochanku”. Janeczek nie mógł pożyczyć sobie tego „kochanku” przez sfeminizowanie humanistyki. Do chłopca mógłby mówić: „kolego profesorze, panie kochanku”, ale do polonistki, historyczki, psychologiki albo politolożki odezwanie się: „koleżanko habilitowana, pani kochanko”... O, to byłby gruby nietakt! O ile nie molestowanie. Zatem znalazł sobie bezpłciowe „powiedzmy”.

Taki był wynik naszego dziennikarskiego śledztwa. Na razie, bo sprawa jest rozwojowa. W oczekiwaniu na jakiś przełom zajęliśmy się słowem „powiedzmy”. Oto wyniki naszych prawie naukowych ustaleń:

„Powiedzmy” – to czasownik ciekawy. Jeśli na końcu postawimy wykrzyknik, odbierzemy to słowo w trybie rozkazującym, podobnie jak „módlmy się!”, czy też „chodźmy!” Ale z trzema kropkami to już przestaje być rozkaz, zbliża się bardziej do trybu warunkowego. „Powiedzmy...” jak mówiąc o czymś możliwym, choć niekoniecznie „załóżmy...”, „poteoretyzujmy...” Równie warunkowo brzmi „powiedzmy” z pytańnikiem.



Podział tortu



Laudacja prezydenta Rafała Piecha i przewodniczącego RM Adama Cebuli

Usiłujemy również odkryć wszystkie subtelności użycia wyżej wymienionego wyrazu. W tym celu słuchamy wieczorami wypowiedzi profesora Zdzisława Janeczka. Stwierdziliśmy, że „powiedzmy” daje naszemu uczonemu wielkie możliwości wykorzystania bogactwa języka polskiego. Decyduje kontekst. Żeby nie przedłużać, trzy przykłady:

- *Udało nam się, powiedzmy otwarcie, złapać i zmierzyć fale grawitacyjne.*
- *Starożytny filozof, powiedzmy Platon czy Arystoteles.*
- *Polityk X (wstawić ulubione nazwisko) jest – powiedzmy – człowiekiem nieko-*

niecznie przesadnie prawdomównym.

Jedno słówko, a ileż znaczeń i odcieni!

DZIĘKUJEMY, PROFESORZE!

Finał rozmów.

I: – Powiym wom, Tomankowo...

II: – Nic mi już niy powiecie, Widerzyno! Niy widzicie, iże ludzie na torta czekajom!

I i II: – Dziynkujemy za uwaga! Smacznego! Gratulujemy, panie profesorze!¹

Gratulacji nie było końca. Jako pierwszy złożył je prezydent miasta Siemianowice Śląskie pan Rafał Piech, a później przyjaciele, współpracownicy oraz przedstawiciele świata nauki z panem prof. Janem Malickim, dyrektorem Biblioteki Śląskiej na czele. Na koniec został wniesiony wspaniały tort i wznoszono toasty na cześć Jubilata.

I ja tam byłam, to wino piłam oraz wzruszające chwile przeżyłam. A to, co widziałam właśnie opisałam. Gratuluję Panie Profesorze!



Zaproszenie na Jubileusz

PS. Wśród gości znaleźli się m.in. byli rektorzy: prof. Florian Kuźnik Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach, dr Ewa Piaskowska (wnuczka dr. Jana Nepomucena Stęślickiego) Górnośląska Wyższa Szkoła Handlowa w Katowicach, reprezentant Biura Rectorskiego z listem gratulacyjnym JM Rektora UE prof. Roberta Tomanka oraz pracownicy naukowci: prof. Henryk Kocój, prof. Jerzy Wuttke, prof. Bogdan Zeler, prof. Maciej Sablik, prof. Jolanta Gwóźdź, Konstanty Wolny, wnuk Marszałka Sejmu Śląskiego, były senator



Helena Leśniowska i Danuta Szczogiel z Jubilatem



Tort jubileuszowy

Bronisław Korfanty (stryjeczny wnuk Wojciecha, dyktatora III Powstania Śląskiego), byli prezydenci miasta: Henryk Mrozek, Włodzimierz Kulisz i Zbigniew Szandar, ksiądz proboszcz Stanisław Nocoń, emerytowany ksiądz proboszcz Konrad Zubel, rzeźbiarz Jacek Kiciński, a także muzyk Józef Skrzek i płk Włodzimierz Wowa Brodecki, prezes Środowiska Żołnierzy 27 Dywizji Armii Krajowej, liderzy „Solidarności”: przewodniczący Ryszard Skiba i Karol Gwoździewicz z listem gratulacyjnym Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej, Andrzej Gościniak, przewodniczący Sejmiku Śląskiego IV kadencji oraz przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Siemianowic Śląskich Jan Pres. Wiele gremiów życzących Jubilatowi reprezentowała posłanka na Sejm I kadencji i senator VI kadencji Jadwiga Rudnicka, pełniąca funkcję prezesa Fundacji na rzecz Hospicjum w Gliwicach, wiceprzewodniczącej Śląskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Walki z Rakim, wiceprzewodniczącej zarządu głównego Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich Polski. Działała również w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Towarzystwie Polska-Ukraina „Kontakt”.

PRZYPISY:

1 Rolę Tomankowej i Wierżyny odegrały: prezes piekarskiego koła Związku Górnośląskiego – Helena Leśniowska i laureatka Konkursu Gryfny Godki – Danuta Szczogiel.

Stefania Smoleń

MOJE WSPOMNIENIA. CZĘŚĆ 1

Tuż po uroczystym jubileuszu moich 85 urodzin, zrodził się pomysł napisania pamiętnika-kroniki. Wynikło to z potrzeby mojego serca. W pamiętniku znajdują się ważniejsze wydarzenia z mojego życia, które po latach doceniłam. Pisząc te wspomnienia bazuję na pamięci, jak również na zgromadzonych i przechowywanych od wielu lat pamiątkach i notatkach. Do tej pory były one składane w różnych zakamarkach, a obecnie znalazły właściwe miejsce w teczce z „przegródkami” podarowanej mi do tego celu przez Bożenkę – córkę Józefa. Dzięki Opatrzności Bożej, od rodziny, osób życzliwych, a także od Losu, otrzymałam wielorakie Dary. Siły w moim życiu zawsze dodawała mi wiara w Boga, Matkę Boską i Świętych.

Dom rodzina

Na świat przyszłam 13 stycznia 1933 roku we wsi Michałkowice przy ulicy Kościelnej 37 w domu moich dziadków Zofii i Jana, w którym mieszkali moi rodzice – mama Łucja z domu Bijok, ojciec Augustyn Cebula – obydwójce z Michałkowic. Moja babcia ze strony mamy – Zofia z domu Stopa – pochodziła z Bytkowa. Mój dziadek – Jan Bijok – pochodził z Michałkowic. Poród odbierała bliska krewna mojej babci – kuzynka – dyplomowana akuszerka pochodząca z Bytkowa. Na chrzcie Świętym nadano mi imię – Stefania.

Dom mojego dzieciństwa (który już nie istnieje) usytuowany był na dużym podwórku, frontem do głównej ulicy. Na podwórku znajdowały się zabudowania gospodarcze służące do hodowli zwierząt domowych, podpiwniczona stodoła, komórki na węgiel, ubikacja czyli „wychodek” oraz głęboki dół na gnojowisko, gdzie składowały się odpady gnilne służące raz w roku do nawożenia naszego pola uprawnego. Odpady pochodzące z ubikacji wywoził dwa razy w roku pojazd miejski, zwany potocznie „bełową”, a jej przejazd ulicami Michałkowic można było „wyczuć nosem” na odległość. Całe podwórko było ogrodzone płotem, który z dwóch stron oddzielał je od sąsiadów, a w głębi – za stodołą – znajdowała się w nim furka, przez którą wchodziło się do ogródka. Za ogródkiem rozciągało się pole uprawne należące do naszej rodziny, ówczynie to były 2 morgi i tyle samo było dzierżawione w sąsiedztwie. Pola uprawiała cała rodzina przy użyciu ręcznego sprzętu. Do cięższych prac jak: orka, żniwa, wykopki – wynajmowano gospodarzy posiadających pług czy furmanki zaprzężone w konie.

Dzieciństwo i młodość

Kiedy byłam bardzo mała, mama zabierała mnie do różnych prac gospodarskich w „chacce”. Odkąd pamiętam, w najmłodszych latach przebywałam najczęściej na podwórku i na polu biegając boso tak jak inne dzieci. Wtedy popisywaliśmy się przed

sobą chodząc po ściernisku. W tamtym czasie obcowałam dużo z przyrodą, co dzisiaj szczególnie doceniam. W wieku przedszkolnym uczęszczałam do ochronki znajdującej się blisko mojego domu przy ulicy Krakowskiej. Śniadanie zabierały dzieci z domu wieszając je na szyi w skórzanej torebce. Pobyt w ochronce należy do miłych wspomnień. Kiedy miałam 6 lat, wybuchła II Wojna Światowa, a w jej następstwie okupacja niemiecka (niewola). Na najwyższym budynku gminy, jeszcze sprzed okresu wojny, znajdowała się syrena alarmowa. Jej dźwięk nie przypominał jednak obecnego sygnału alarmowego obwieszczającego niesienie pomocy, jak. np. Pogotowie Ratunkowe, Straż Pożarna czy Policja. Tamten sygnał pamiętam jako przejmujące wycie wwiercające się w uszy, intensywnie nasilające się i słabnięcie – i tak na zmianę.

Zawsze jednak zwiastowało zagrożenie. Ze względów uczuciowych pominę te lata mojego dzieciństwa w myśl powiedzenia: „Zostawić za sobą to, o czym nie chce się pamiętać...” Sprawy rodzinne toczyły się wokół gospodarstwa, a mój ojciec nadal pracował w kopalni jako górnik.

Po 1 września 1939 roku na adres rodziców – już od okupanta przyszło zawiadomienie o obowiązkowym zapisie 6-cio letnich dzieci do szkoły. Rozpoczęłam więc naukę w szkole w Michałkowicach na dzisiejszej ulicy Orzeszkowej. Po wojnie była to Szkoła Podstawowa nr 15. Po kilku latach – wraz z innymi budynkami – została wyburzona, a teren ten miasto zagospodarowało na duży parking.

Rozpoczęłam naukę w języku okupanta – czyli niemieckim. W klasie było 45 uczniów. We wrześniu 1943 roku zostałam wytypowana wraz z koleżanką z mojej klasy do szkoły średniej „Mittelschuhle” w Siemianowicach na obecnej ulicy Wyspiańskiego 5.

Po wojnie budynek szkoły wrócił do swojego pierwotnego przeznaczenia i nosił nazwę „Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące im. J. Śniadeckiego” – obecnie: „I Liceum Ogólnokształcące im. J. J. Śniadeckiego”. Przyznaję, iż korzeniami jestem silnie związana z Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Siemianowicach.

Moje dzieci – Basia i Adam w tejże szkole zdali maturę. Od wielu lat z okazji okrągłych rocznic, obecne Liceum Ogólnokształcące Nr 1 im. J. Śniadeckiego organizuje spotkania absolwentów. Na pamiętkę zachowałam zaproszenia od szkoły do uczestnictwa w tych uroczystościach.

Posiadam również pamiątkowe fotografie z tychże spotkań. W „Dzienniku Zachodnim” z dnia 11 czerwca 2013 roku jest artykuł zatytułowany „Najlepsze cztery lata życia” W tym numerze opublikowano fotografie absolwentów upamiętniające to wydarzenie. W tym samym numerze znajduje się również odrębna fotografia mojej osoby, a pod nią cytat: „Stefania Smoleń pamięta jeszcze „Śniadek” z czasów okupacji niemieckiej. Jak podkreśla – jej rodzina jest wierna tej szkole. Na tym spotkaniu każdy uczestnik otrzymał koszulkę z nadrukami o treści: z przodu: I Liceum Ogólnokształcące im. J. Śniadeckiego, a z tyłu: „Śniadek”.

Maturę zdałam w Technikum Ekonomicznym uzyskując tytuł „Technik Ekonomista”. Następnie ukończyłam 3-letnie Studium Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Ukończyłam również dwuletnie szkolenie zwieńczone egzaminem państwowym, które dało mi uprawnienia „Przewodnika po Górnośląskim Okręgu Przemysłowym”. Aby się zakwalifikować na to szkolenie – wymagane było świadectwo maturalne. Drugi zawód uzyskany przeze mnie to „Masażysta Klasyczny”. Szkolenie trwało 2 lata i również było zakończone egzaminem państwowym i wymagana była matura.

Dla własnej przyjemności i satysfakcji ukończyłam jeszcze inne kursy, np.: organizatorów wycieczek, kurs florystyczny – układanie bukietów,

Jako przewodnik – na zlecenie Biura Turystycznego, za wynagrodzeniem – oprowadzałam wycieczki z różnych regionów Polski. Jako organizator wycieczek – to

już w ramach pracy społecznej – załatwiałam wyjazdy (głównie pociągiem) dla pracowników kopalni i ich rodzin. Co roku były organizowane dwa trzydniowe wyjazdy dla rodziców, których dzieci przebywały na koloniach w Gdyni – Grabówku. Wśród tych dzieci była też moja córka Barbara. Odwiedzający rodzice wraz z dziećmi – pod moją opieką – zwiedzali Trójmiasto i okoliczne atrakcje jak np. półwysep Hel, Westerplatte...

CODZIENNOŚĆ I TRADYCJE

Żniwa

W pełni lata, na przełomie czerwca i lipca rozpoczynały się żniwa (wraz z nimi wielkie przeżycia dla dzieci). Mężczyźni ręcznie kosili kosami zboże, które następnie wiązało się w snopki i ustawiało na polu w kształcie stożków kłosami do góry w celu wysuszenia. Po kilku dniach wysuszone na polu snopki zwożono do stodoły na „drabiniokach” (wozy drabiniaste). U góry sadzano dzieci, które miały uciechy co niemiarą, ale jednocześnie odczuwały lekki strach siedząc tak wysoko na snopkach. Zboże młóciło się w stodole na klepisku. Słoma z wymłóconych snopków była składowana w sąsieku aż po dach. Stopniowo się ją wybierało. W pierwszej kolejności miała zastoso-
sowanie do napełniania strużaków”, tzn. sienników, które w tamtych czasach spełniały rolę materaców. Czynność ta wykonywana była raz w roku. Pozostałość używana była na ściółkę dla trzody chlewnej. Po każdej zmianie ściółka wraz ze swoją zawartością (odchodami zwierzęcymi) była wyrzucana na gnojowisko.

Lżejsze prace wykonywano w ramach sąsiedzkiej wymiany, należało do tego m. in. młócenie zboża cepami. Przesiane zboże sypało się do worków, a żeby uzyskać mąkę – mieliło się je ręcznie w żarnach.

Z uzyskanej mąki piekło się również chleb. Ciasto zaczyniano w domu, po czym uformowany bochenek kobiety nosiły w „słomionkach” do piekarni aby go upiec. Oprócz chleba piekło się również ciasta – czyli „kołoco”. Przed świętami Bożego Narodzenia, Wielkanocą i odpustem, można było zobaczyć wiele kobiet niosących pod obiema pachami blachy z kołocem, które zanosili do piekarni w celu upieczenia.

W każdym cieście był wbity cienki patyczek, na którym była przyczepiona karteczka z nazwiskiem, tak samo, jak na bochenkach chleba. Kiedy w jakimś domu szykowało się wesele, wtedy cała rodzina zanosila blachy do piekarni, ponieważ była ich większa ilość. Po upieczeniu kołocy – jeszcze przed weselem – cała rodzina roznosiła kawałki ciasta do rodziny i znajomych. Paczki te były różnej wielkości – w zależności od zasobności rodziny organizującej wesele. Pakunek zawierał: ciasto z posypką, z serem i z makiem. Całość była zapakowana w papier pergaminowy, obwiązana ozdobnym sznurkiem, wstążką lub tasiemką i udekorowana zieloną gałązką.

Wykopki

Do prac polowych należały również wykopki, a kartofle gromadziło się w piwnicy, w drewnianych ogrodzeniach zwanych „grodzami”. Oprócz kartofli przechowywane tam były również jarzyny uprawiane na polu i w ogródku. Po zakończeniu wykopków paliło się ognisko – nazywane „flamerą” – i piekło się świeżo wydobyte z ziemi kartofle. Snuto tam wiele opowieści – czasami strasznych – wzbudzających strach w dzieciach. „Flamery” widoczne były w tym czasie w obrębie całej okolicy. W piwnicy gromadzono również pozostałe zbiory z pola i ogrodu. Stanowiły pożywienie dla całej rodziny aż do następnych zbiorów.

Wyżywienie rodziny

Wyżywienie rodziny stanowił również domowy inwentarz (świnie, kozy, kury i gęsi). Gęsi pasło się na polu za domem. Dorosłym towarzyszyły dzieci, które z zainteresowaniem słuchały legend i opowieści np. o „utopcach” oraz związanych z naszym regionem „skarbniku” jak również innych – czasem nawet strasznych. Z gęsi – oprócz mięsa – uzyskiwało się również pierze. Pierze to było darte w zimowe wieczory przez grono zaprzyjaźnionych sąsiadek, kuzynek, a czasem również wynajętych kobiet. Darcie pierza odbywało się na zasadzie wzajemnej wymiany odrabiając jedna u drugiej. Wieczory przy darciu pierza były bardzo wesołe. Opowiadano dowcipy, było mnóstwo żartów i śmiechu. Na koniec „wyszkubków” był zawsze poczęstunek w postaci ciasta lub pączków.

Podstawę codziennych posiłków stanowiły jajka, chleb z domowego wypieku, warzywa z ogródka, mięso ze świni i ptactwa domowego, jak również mleko od kozy.

Świniobicie

Wielkim „Świętem” było świniobicie. Ze świni uzyskiwało się mięso, słoninę, wyroby w postaci krupnioków, żymłoków, salcesonu (preswuszt), „leberków”, oraz pasztetowej (lyjberwuszt), którą konserwowało się również w słoikach. Część mięsa się peklowało, a część wędziło. Słoninę kroilo się w kostkę i topiło uzyskując w ten sposób smalec ze skwarkami, który przechowywano w emaliowanych garnkach i wiadrach.

Był on wykorzystywany w gospodarstwie domowym przez cały rok. Służył do smarowania chleba, jak również do przyprawiania i okraszania potraw. Do dzisiaj „czuję” jego specyficzny, niepowtarzalny zapach i smak. W pierwszej kolejności w dniu świniobicia jadło się świeże podroby popijane „zupą”, w której były gotowane. Na tą „ucztę” z niecierpliwością i cieknącą ślinką czekała cała rodzina.

Kiszenie kapusty

Jesienią w wielu domach kisiło się kapustę w beczkach dębowych. Przy tych czynnościach obecna była cała rodzina włącznie z dziećmi, które z zaciekawieniem to wszystko obserwowały. W naszym domu kiszona była kapusta z własnych zbiorów. Do szatkowania kapusty wypożyczano się tzw. kralajnicę (ręczną), na którą trzeba się było zapisywać i czekać na swoją kolejkę. Przed krajaniem kapustę obierało się z zewnętrznych liści, kroilo na ćwiartki i usuwało głąby. W następnej kolejności odbywało się moczenie i mycie nóg w misce przez mężczyznę z rodziny, który był wyznaczony do „deptania”. Po nałożeniu pierwszej warstwy poszatowanej kapusty i zasoleniu jej, następowało ugniatanie poprzez deptanie. Tak postępowano z każdą kolejną warstwą – aż do zapełnienia beczki. Górną – ostatnią warstwę przykrywało się uprzednio wyszorowanymi deseczkami i obciążało dużym, ciężkim kamieniem. Po mniej więcej miesiącu – kapusta gotowa była do spożycia. Najsmaczniejsza była w stanie surowym, jak również jej sok, czyli „kwaśnica”. Przeciętnie jedna duża beczka wystarczała do następnego kiszenia – w zależności od potrzeb rodziny.

Dzieci

Codziennym widokiem na ulicy były kobiety noszące w „chackach” dzieci od ich niemowlęstwa aż do postawienia pierwszych kroczków. Moja mama zakładała na plecy chustę złożoną w trójkąt. Z przodu sadzała dziecko i końce chusty wiązała na plecach. W ten sposób tworzyło się to nosidełko zwane „chacką”.

Jednocześnie ręce pozostawały swobodne pozwalając na wykonywanie lżejszych prac w domu i gospodarstwie. Ja pewnie też tak byłam noszona, ale zaobserwowałam to dokładnie dopiero wtedy, kiedy mama nosiła moją siostrę.

Pojemniki „trownicki”

Innym widokiem oglądanym na ulicy, który pozostał w mojej pamięci, były kobiety noszące „trownicki”. Zastępowały one w tym czasie pojemniki do przenoszenia w rękach różnych rzeczy. „Trownicki” powstawał w ten sposób, że rozciągało się na podłodze kawał mocnej, prostokątnej tkaniny i załadowywało ją odpowiednimi produktami. Druga osoba pomagała zarzucić tobolek na plecy, a osoba przenosząca zawiązywała tkaninę z przodu. Tego rodzaju eksponaty oglądałam podczas zwiedzania Muzeum Uchodźców Polaków – w Nowym Jorku.

Stroje kobiece

Jednym z obrazów śląskiego folkloru były stroje kobiece, nazywane „chopskie”. Po przekroczeniu pewnego wieku (najczęściej 50 lat), większość Ślążaczek zaczynała ubierać się regionalnie, czyli po „chopsku”, nie nosząc sukienek, tak jak moja babcia i jej siostra. Strój ten składał się z następujących części garderoby: na długą koszulę zakładało się suto marszczone spódnice sięgające kostek. Na spódnice zakładało się fartuch od pasa w dół – zwany zapaską. Na górę ubierało się bluzę zwaną „jakką”. Całość stroju wieńczyła chustka na głowę. Wychodząc z domu ramiona okrywało się dużą chustą, której trójkątny tył sięgał poza biodra.

Był to strój wyjściowy – codzienny – różniący się znacznie od świątecznego, który był o wiele bogatszy i strojniejszy. Wyróżniającym się w nim szczegółem były sznury czerwonych koralików zawieszanych na szyi.

Ptaki (szczygły, gołębie)

Jednym ze śląskich zwyczajów było łapanie jesienią ptaków w „saki” (ręcznie robione łapki). Mój tata wraz z kolegami robił to co roku. Przede wszystkim łapano szczygły, jednak niektóre z nich wypuszczano na wolność. W wielu, wielu domach śląskich były klatki z ptakami, ich główne pożywienie stanowiły ziarna konopi. Sąsiedzi hodowali gołębie. Gołębniki mieściły się na strychach domów a ich okienka były stale otwarte. Raz w roku wypuszczano je na „fluk”, tzn. Związek Gołębiarzy wywoził je w klatkach oznaczonych nazwą właściciela w głąb Polski i tam je wypuszczano. Właściciel pierwszych, które wróciły – był nagradzany przez Związek Gołębiarzy.

OMÓWIENIA
OPINIE
RECENZJE

MIĘDZY SASKĄ RACJĄ STANU A ZMOWĄ OBCYCH DWORÓW

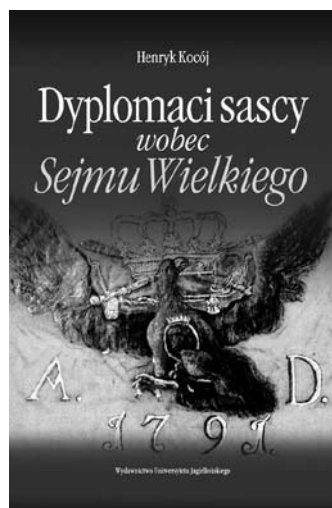
W dobie dyskusji nad koniecznością reform ustrojowych III RP warto przyjrzeć się problemom, z jakimi musieli się borykać zwolennicy naprawy Rzeczypospolitej minionej już epoki stanisławowskiej.

Tematyka Sejmu Wielkiego doczekała się imponującej liczby tytułów obrazujących wydarzenia lat 1788–1792. A jednak prof. Henryk Kocój wciąż wyszukuje jakieś luki, które stara się zappełnić, publikując kolejne swoje prace źródłowe. Ostatnio na rynku księgarskim ukazała się obszerna praca pt. *Dyplomaci sascy wobec Sejmu Wielkiego*, nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego (2016).

Wprawdzie wcześniej znajdującą się w archiwum w Dreźnie (Sächsisches Hauptstaatsarchiv Dresden) korespondencję Augusta Franciszka Essena (ponad 60 tomów) eksplorowali Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887), autor dzieła *Polska w czasie trzech rozbiorów*, i Bronisław Dembiński (1858–1939), to jednak ten ostatni w minimalnym stopniu wykorzystał materiał drezdeński w swojej pracy pt. *Polska na przełomie*. Nieprzypadkowo więc Władysław Konopczyński (1880–1952) w biografii A.F. Essena (1720–1792) w *Polskim słowniku biograficznym* zaznaczył, iż zbiór ten nie został przebadany w zadowalającym stopniu.

Tak więc książka H. Kocója pogłębia znajomość tematu ocen polityki saskiej i polskiej, perspektyw unii polsko-saskiej oraz wzbogaca wizerunek ostatniego króla Polski Stanisława Augusta. Szczególnie istotne dla oceny polityki Saksonii wobec Rzeczypospolitej w dobie Sejmu Czteroletniego jest przeprowadzenie przez Autora kwerendy wykraczającej poza relacje A.F. Essena z Warszawy i zbadanie stosunków Drezna z Berlinem, Wiedniem i Petersburgiem.

Główną wartością dzieła jest opracowanie i udostępnienie nieznanych zasobów archiwalnych. H. Kocój rozważa również polskie szanse na przeprowadzenie reform i pomoc mocarstw europejskich oraz ocalenie niepodległości i integralności terytorialnej. W przedstawionych notach, memoriałach i relacjach poselskich zwraca uwagę na toczącą się dyskusję o międzynarodowym położeniu Rzeczypospolitej i zagadnienie sukcesji tronu. Mniej miejsca poświęca charakterystyce i kompetencjom (z wyjątkiem A.F. Essena) samego korpusu służb zagranicznych Saksonii, natomiast dużo więcej – prowadzonej przez obce dwory intrydze i grze dyplomatycznej.



Henryk Kocój
Dyplomaci sascy wobec Sejmu Wielkiego
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2016



Maria Amalia Augusta Walburga Symforosa Wittelsbach (1724-1780), księżniczka bawarska z dynastii Wittelsbachów, księżna elektorowa



Maria Augusta Nepomucena Antonia Franciszka Ksaweria Alojzia Wettin (1782-1863), księżniczka saska, infantka polska

Wyjątkowe miejsce wśród grona saskich dyplomatów należy się A. F. Essenowi, o którym ks. Walerian Kalinka, historyk i założyciel Polskiej Prowincji Zmartwychwstańców napisał: „Gorąco do swego Pana przywiązany, nie mógł nigdy przebaczyć Polakom, że jego potomstwo po śmierci ojca opuścili; powziął odtąd nienawiść do Stanisława Augusta i do wszystkich ludzi nowego rządu; w tem uczuciu się zestarzał, jemu w każdym swym raporcie dawał pole [...] Przez lat blisko trzydzieści, dzień po dniu, depesza po depeszy, zaprawiał on swym kwasem gryzącym wszystkie doniesienia i przyczynił się niemało do wytworzenia w Dreźnie tej nieprzyjemnej atmosfery, którą Elektor w sprawach polskich czuł się otoczony. Rzadki to przykład cudzoziemca, który przez lat tak wiele zamieszkując w kraju, był mu do końca nieprzyjazny”.

J. I. Kraszewski po lekturze korespondencji A. F. Essena doszedł do następujących konkluzji, cytując saskiego dyplomata: „Wszystko, co zaszło od zjazdu w Kaniowie, jest tajemnicą nieprawości, które z czasem się odkryje. Jest to spiszek czarnych brudów stworzony kosztem Rzeczypospolitej przez króla, który zdaje się na ten raz zapominać, co winien narodowi i sobie, że do tego spisku weszli G. Potemkin, F. K. Branicki i inni panowie polscy imion poważniejszych, dziwi to tem mniej, że w Rzeczypospolitej polskiej, jak i w innych, nie zbywa na Katylinach”.

Nie można było jednak A.F. Essenowi odmówić znajomości kraju i dobrego zmysłu obserwacyjnego. Jak pisał J. I. Kraszewski, miał wielkie wpływy i rozległe stosunki. Potwierdzają taką opinię jego wcześniejsze raporty, m.in. dotyczące obradującego od 2 X do 13 XI 1786 r. sejmku tzw. dogrumowskiego. Przebiegał on pod

znakiem ostrych napięć i walki politycznej, zainspirowanej przez opozycję.

W kampanii wyborczej wzięła udział m.in. księżna Izabela Czartoryska, która zaprezentowała się szlachcie w stroju sarmackim, „rozprawiając jedynie o cnocie, ojczyźnie i trudach, których nie szczędzi, aby wychować swe dzieci na przyszłych restauratorów” Rzeczypospolitej. W izbie poselskiej tłoczyli się arbitrzy. K.N. Sapieha pojawił się nawet w towarzystwie nadwornej milicji. Tłumy szlachty wypełniały ulice. Wypite wino i towarzystwo kobiet dodawały animuszu posłom.

Atmosfera debat jesienią 1786 r. była jakby zapowiedzią nadchodzącej epoki Sejmu Wielkiego, równocześnie przypominała anarchię sejmową z czasów Augusta III. Trafnie scharakteryzował panujące nastroje rezydent saski A.F. Essen: „Rozłączono się z obustronną goryczą.



Stanisław August Poniatowski (1732-1798), król polski

Opozycja ma gotowy program i uformowała się jawnie we frakcję, jakiej w Polsce nie było od czasu pacyfikacji 1772 r. Ten sejm stanie się zawiązkiem wielkiego fermentu i epoką, od której może datować będzie, w miarę jak w Petersburgu przystąpi się do planów przeciw Porcie, rosnąca i wzmagająca się indigestya w polityce polskiej”¹.

H. Kocój zwrócił specjalną uwagę na memoriał A. F. Essena wysłany do ministra Stetterheima 30 IV 1788 r., w którym charakteryzował on stosunki polsko-rosyjskie oraz niechlubną rolę sejmów po pierwszym rozbiórze. W jego mniemaniu od czasów sejmu 1786 r. liczyły się w Polsce dwie władze, tj. władza cesarzowej Rosji i jej ambasadora oraz władza księcia G. Potemkina, wykonywana przez hetmana wielkiego koronnego F.K. Branickiego. Zwracał także uwagę, iż od roku 1786 następował stały spadek wpływów rosyjskich.

Ponadto saski dyplomata stwierdzał, iż zarówno król, jak i Rzeczpospolita są całkowicie podporządkowani i uzależnieni od woli trzech dworów, a ich rola ogranicza się do tego tylko, by wykonywać polecenia tych mocarstw. Petersburg szerzy korupcję, wypłacając hojnie pensje królowi² i senatorom. Bardzo krytycznie oceniał wyjazd Stanisława Augusta do Kaniowa na spotkanie z Katarzyną II, gdzie król zaznał jedynie upokorzenia ze strony rosyjskich despotów, ponosząc równocześnie olbrzymie koszty i zaciągając długi. Natomiast nie powiodły się królewskie plany odnowienia przyjaźni z imperatorem, która nie podjęła ważnego dla monarchii tematu sukcesji polskiego tronu. W tych okolicznościach A. F. Essen nie wykluczał możliwości nowego rozbioru Polski.

W kolejnych memoriałach i depeszach wybranych przez H. Kocój dominują trzy podstawowe problemy:

1. Wzajemne relacje i nastroje panujące wewnątrz Rzeczpospolitej Obojga Narodów,
2. System, charakter i zasady polityczne panującego,
3. Stosunki z sąsiednimi mocarstwami.

Dużo uwagi poświęcano relacjom rosyjsko-tureckim, rosyjsko-szwedzkim i rosnącej roli Berlina. Poseł saski coraz częściej wskazywał na zaostrzające się stosunki między Petersburgiem a Berlinem, który popierał dążenia Gustawa III i prowadził szkodliwą działalność w Polsce, przyczyniając się do wzrostu nastrojów antyrosyjskich. Przewidywał, że Saksonia może znaleźć się w obozie antyrosyjskim.

W nocy z 9 VIII 1788 r. A.F. Essen pisał, iż wojna Szwecji i Turcji z Rosją jest oceniana przez Polaków jako wydarzenie zbawienne i pożądane, które może przynieść im wolność. Z kolei w depeszy z 1 X 1788 r. wskazywał na wzrost popularności Fryderyka Wilhelma II w Polsce i znamienne rolę, jaką zaczyna odgrywać w Warszawie pruski poseł August Friedrich Ferdinand Goltz. Wiązało się to z grą dyplomatyczną, jaką prowadziły Prusy. Saski minister spraw zagranicznych Saksonii dogłębnie analizował i komentował wszystko, co dotyczyło wyżej wymienionych kwestii, m.in. odpowiedź, jakiej udzieliła Katarzyna II królowi Prus na jego propozycję wycofania wojsk rosyjskich z Polski.

Poseł saski bardzo wysoko oceniał działalność Girolamo Lucchesiniego w Warszawie. Był przekonany, iż gdyby ten opuścił granice Rzeczpospolitej, byłaby to niepowetowana strata dla Hohenzollernów. Polacy według jego mniemania byli zauroczeni



Fryderyk August III (1750-1827),
elektor saski



Jan Nepomucen Małachowski (1764-1822), starosta opoczyński, poseł sandomierski na Sejm Wielki, poseł w Dreźnie

Fryderykiem Wilhelmem II, będąc pewni, iż cechuje go wysokie morale i uczciwość w przeciwieństwie do Katarzyny II i cesarza Austrii.

Takich złudzeń zdaniem H. Kocója nie miał minister spraw zagranicznych Saksonii H.G. Stutterheim. Wnikliwie oceniał on pruską politykę wobec Polski, powołując się na opinie rządu francuskiego i posła rosyjskiego w Paryżu – Iwana Matwijewicza Simolina. Z tych anonsów miało wynikać, iż Polacy zamienili sobie tylko jarzmo rosyjskie na pruskie, które nie będzie złejsze, i że Polskę czekają wielkie nieszczęścia wtedy, gdy dwory cesarskie zakończą wojnę z Turcją, która obecnie absorbuje ich wszystkie siły.

H. G. Stutterheima bardzo interesował układ sił w sejmie i dlatego starał się otrzymać informacje, czy stronnictwo saskie zamierza przeznaczyć koronę dla elektora i czy jest tak silne, by zrealizować swoje zamierzenia.

Z instrukcji, do których dotarł H. Kocój, wynikało, iż elektor nie zamierzał angażować się ani pośrednio, ani bezpośrednio w debaty sejmowe, jak również wchodzić w spór i intrygi, które mogłyby z tego wynikać. Essen nie powinien prowadzić żadnych wiążących rozmów na tematy polskie z obcymi posłami rezydującymi w Warszawie. Równocześnie jednak elektor chciał poznać nazwiska przywódców Stronnictwa Patriotycznego, którym przewodził marszałek litewski Ignacy Potocki, oraz czy są oni zdolni do przeprowadzenia w kraju niezbędnych reform.

W korespondencji z 27 III 1790 r., omawiającej ratyfikację traktatu polsko-pruskiego, znalazły się oceny tego wydarzenia. Minister spraw zagranicznych Saksonii, ustosunkowując się do relacji Essena, wyraził pogląd, iż Prusy nie poprzestaną na zwykłym zawarciu przymierza, ale wystawią Rzeczpospolitą należyty rachunek.

Już w depeszy z 5 VI A. F. Essen donosił swoim mocodawcom, że w Polsce obwinia się ministra spraw zagranicznych Ewalda Friedricha von Hertzberga o nieczne zamiary poszerzenia pruskiej monarchii kosztem polskich prowincji, a zwłaszcza Wielkopolski, a także ewentualny nabytek w postaci Galicji sprawi, że zostanie wyznaczona wysoka cena tej zamiany przez rząd berliński.

Obserwując polską scenę polityczną, saski minister spraw zagranicznych jasno sprecyzował stanowisko elektora w sprawie przyjęcia polskiego tronu. Najistotniejsza była akceptacja trzech mocarstw sąsiednich oraz zapowiedź, że polska konstytucja ustabilizuje losy Rzeczpospolitej i elektor nie będzie zobowiązany do jej obrony ani też zmuszony brać udział w wojnie. Z depesz Essena zaś wynikało, iż najczęstsze kontakty utrzymywał on z marszałkiem sejmowym Stanisławem Małachowskim, biskupem kujawskim Józefem Rybińskim i marszałkiem litewskim Ignacym Potockim, który, jak donosił, cieszył się powszechnym uznaniem, a będąc



Stanisław Małachowski (1736-1809), poseł na sejmy, marszałek Trybunału Koronnego i marszałek Sejmu Wielkiego

ministrem bardzo wykształconym, był także zasłużonym mężem stanu. Mimo to nie radził elektorowi „wsiadać w kruche czółno Rzeczypospolitej”, tj. przyjmować polskiego tronu, ponieważ nie można skutecznie wykorzystać w Polsce wpływów Rosji i Austrii.

Posel saski dostrzegał także, że w Polsce następowało stopniowo głębokie rozczarowanie co do zasad polityki Berlina. Polacy bowiem, podejrzewając dwór pruski o niezadowolenie, iż nie udało mu się uzyskać Gdańska, doszli do wniosku, że Prusy przestały się interesować Rzeczypospolitą i podejmują działania dla niej niekorzystne. W tej sytuacji domniemywał, iż jest wątpliwe, by Rosja zgodziła się na utworzenie w Rzeczypospolitej stabilnego rządu z władcą oświeconym i godnym szacunku, skoro Polska będzie zdana tylko na własne siły. Dyplomata ten zwracał również uwagę, że Anglia, zdając sobie sprawę, iż Polacy nie chcą spełnić jej żądań i zgodzić się na oddanie Prusom Gdańska, zamierza wznowić swe dawne związki z Rosją i nie angażować się w sprawy Rzeczypospolitej.

A. F. Essen przestrzegał elektora, że Polacy chcą go wciągnąć w rozwiązywanie swoich spraw, nie licząc się z tym, że może to być niebezpieczne dla Saksonii.

Cenne są przytoczone i omówione przez H. Kocóję relacje G.A.W. Helbiga na temat uchwalonej 3 maja 1791 r. Konstytucji 3 maja, a w szczególności ocena postawy Katarzyny II wobec nowej ustawy rządowej. Z kolei poseł saski w Wiedniu J. H. A. Schönfeld w swoich notach wiele miejsca poświęcił relacjom prusko-austriackim oraz przebiegowi wojny rosyjsko-tureckiej. Wiele nowego materiału wnoszą depesze F. A. Zinendorfa z Berlina, a zwłaszcza te z marca i kwietnia 1790 r., gdyż rzucają nowe światło na kulisy negocjacji związanych z aliansem polsko-pruskim. Kierując się saską racją stanu, F. A. Zinendorf był zdania, że polityka Fryderyka Wilhelma II wobec Polski była nienaganna, a oddanie Prusom Gdańska i Torunia (dla podtrzymania sojuszu) nie byłoby aż tak niekorzystne dla Rzeczypospolitej, gdyż w razie wojny – bez zbrojnego wsparcia – mogłaby się ona stać łupem obcego mocarstwa.

Niestety A. F. Essen widział przyszłość Polski w czarnych barwach, czego odzwierciedleniem była depesza z 20 XI 1790 r. W jego odczuciu jej niepodległość była poważnie zagrożona, gdyż Rzeczypospolita znalazła się w całkowitej izolacji, a ministrowie państw obcych uważali, iż całkiem nierealne i pozbawione rozsądku było oczekiwanie, by Elektor mógł przyjąć polską koronę.

Tenże dyplomata saski w depeszy z 9 IV 1791 r. donosił, iż do Polski napływają informacje, że ze strony Rosji został uknuty projekt rozbioru i że ona opóźnia, jak tylko może, utworzenie nowego rządu oraz dąży do tego, by w trakcie zawarcia przyszłego pokoju Rzeczypospolita pozostawała nadal w stanie anarchii. Swój wywód A.F. Essen zakończył konkluzją, że naród polski znajduje się w sytuacji bardzo krytycznej, nie mogąc liczyć na przyjaźń i poparcie żadnego państwa, a będąc faktycznie zagrożonym przez wszystkich.



Leopold II (1747-1792), cesarz rzymski narodu niemieckiego



Katarzyna II (1729-1796), cesarzowa Rosji



Ewald Friedrich Hertzberg (1725-1795), minister spraw zagranicznych Prus

Po bezowocnych pertraktacjach Rzeczpospolitej z Fryderykiem Augustem III w sprawie przyjęcia przez niego polskiego tronu sejm polecił 3 XI 1791 r. Adamowi Kazimierzowi Czartoryskiemu wyjazd do Drezna, gdzie razem z przedstawicielem polskim Janem Nepomucenem Małachowskim miał udzielić elektorowi saskiemu wyjaśnień dotyczących praw kardynalnych i przyspieszyć jego decyzję. 23 XI wyjechał A. K. Czartoryski z Józefem Mostowskim, posłem inflanckim, zaopatrzony serdecznym listem Stanisława Augusta, który polecał elektorowi królewskiego kuzyna jako jednego z twórców Konstytucji 3 maja. Łatwa i na pozór rokująca najlepsze nadzieje powodzenia misja ta w zupełności się nie udała. „Osobiste walory księcia, jego delikatność i roztropność, a nawet pomoc agenta Leopolda II M. Landrianiego”, nie mogły zwalczyć największej przeszkody, jaką było milczenie Rosji, a od

decyzji Katarzyny II elektor saski uzależniał przyjęcie polskiej korony.

Pierwsza polska ustawa zasadnicza, jaką była Konstytucja 3 maja, od dnia uchwalenia budziła namiętne spory współczesnych, przyciągała uwagę obcych dworów i dyplomatów. Różnice zdań wywoływał m.in. VII artykuł pt. *Król, władza wykonawcza*, który postanawiał, iż „Dynastia przyszłych królów polskich zacznie się na osobie Fryderyka Augusta, [...] elektora saskiego, którego sukcesorem *de lumbis* z płci męskiej tron polski przeznaczony. [...] Gdyby zaś dzisiejszy elektor saski nie miał potomstwa płci męskiej, tedy mąż przez elektora za zgodą stanów zgromadzonych córce jego dobrany zaczynać ma linię następstwa płci męskiej do tronu polskiego”. Ostatecznie więc wobec braku męskiego sukcesora prawa do tronu nabywała elektorówna Maria Augusta Nepomucena nosząca tytuł infantki polskiej.

Wprowadzenie zasady tronu dziedzicznego i desygnowanie Fryderyka Augusta III na następcę Stanisława Augusta w świetle badań H. Kocója jawi się jako poważny błąd polityczny Stronnictwa Patriotycznego. Jak wiadomo, elektor saski zwlekał z udzieleniem odpowiedzi na polską propozycję do chwili ogłoszenia deklaracji J. Bułhakowa i wybuchu wojny polsko-rosyjskiej 1792 r. Do tego czasu zajmował wygodne dla siebie stanowisko polegające na postawie neutralności. Elektor, nie akceptując oferty, przezornie jej nie odrzucał, łudząc polityków polskich nadzieją na zmianę sytuacji. Prowadząc negocjacje z Warszawą celem uściślenia pewnych postanowień Konstytucji, równocześnie zapewniał Katarzynę II, że bez jej zgody korony polskiej nie przyjmie.

Cytowana przez autora korespondencja dyplomatyczna między Warszawą a Dreznem oraz między Petersburgiem, Wiedniem i Berlinem dotyczyła spraw, które nie tylko dla Polski miały doniosłe znaczenie. Problem polegał na tym, iż wynik rokowań polsko-saskich był ściśle uzależniony od aktualnego układu sił w Europie, od postaw dyplomatów dworów ościennych oraz polityki Paryża i Londynu. Trudno wyjaśnić fiasko negocjacji drezdeńskich prowadzonych przez Jana Nepomucena Małachowskiego, Stanisława Kostkę Potockiego, Józefa Mostowskiego, Antoniego Dzieduszyckiego, Scipione Piattolego i księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, nie odwołując się czasami do faktów i problemów dotyczących historii panowania Augusta III.

Przyczyny długo skrywanej niechęci Fryderyka Wilhelma II do Konstytucji 3 maja i desygnacji Fryderyka Augusta III na tron polski wyjaśniają m.in. nieskomentowane przez autora wypowiedzi dyplomatów pruskich dotyczące Śląska. Tymczasem, jak

wiemy, już w dobie saskiej pojawiły się projekty odebrania tej prowincji, która połączyłaby Polskę z Saksonią. Nieprzypadkowo Fryderyk Wilhelm I na wiadomość o elekcji Augusta III powiedział: „To jest najgorsza sprawa, jaka się nam przytrafiła od 30 lat”. Nie mylił się; w dobie wzrostu zagrożenia pruskiego August III zwrócił się do Marii Teresy z propozycją oddania części Śląska z Żaganiem i Głogowem w celu połączenia Saksonii z Polską.

Poseł saski w Wiedniu, hrabia Heinrich Bunau, podkreślał, iż w razie przyjęcia warunków król polski łatwo może skłonić Rzeczpospolitą do wspólnego wystąpienia przeciw Prusom. Niestety, Maria Teresa odrzuciła propozycję Augusta III. W grudniu 1740 r. wojska Fryderyka II przez Wielkopolskę uderzyły na Śląsk. Ostatecznie był on stracony zarówno dla dworu wiedeńskiego, jak i warszawsko-drezdeńskiego, by w przyszłości stać się kuźnią pruskich zbrojeń. Sytuację próbował ratować wszechwładny minister Henryk Brühl, który z pomocą Rosji i Austrii zamierzał upokorzyć Fryderyka II i zmusić go do oddania Śląska. Na przeszkodzie stanęły zmiany personalne na dworze w Petersburgu. Wpływy polsko-saskie w Rosji ustąpiły miejsca pruskim. Dla zabezpieczenia się Fryderyk Wielki ofiarował rosyjskiemu feldmarszałkowi Burkhardowi Christophowi von Münnichowi piękne hrabstwo Wartenberg (Syców) na Śląsku. Poza tym zastraszył on Rosjan wizją monarchii dziedzicznej i wzrostem potęgi Rzeczpospolitej, która zrzuciłaby haniebane wpływy Petersburga i odebrała wówczas Kijów z całą Rusią Zadięprzańską.

Mimo wielu sukcesów strony pruskiej, można postawić pytanie: Jak wyglądałaby mapa Europy Środkowo-Wschodniej, gdyby plany polsko-saskie zostały urzeczywistnione, tzn., gdyby powiększono armię, zawarto przymierze z Austrią i Rosją, a Śląsk odebrano i podzielono? W takim przypadku należałoby wątpić, czy doszłoby do pierwszego rozbioru w 1772 r. O tym wszystkim zdaje się, że nie zapomniano ani w Petersburgu, a tym bardziej w Berlinie. Od 3 maja 1791 r. politycy pruscy żyli pod wrażeniem unii polsko-saskiej i tronu dziedzicznego w Polsce. Swoje credo w tej sprawie wyraził Fryderyk Wilhelm II w liście do J. Bischofswerdera z 13 III 1792 r.

Przykład wątku śląskiego, z pozoru mało istotnego, wskazuje jednak na jeden z mankamentów książki H. Kocója, polegający na częstym braku kontekstów międzynarodowych lub komentarzy autora wyjaśniających pewne zaszłości historyczne. Dotyczy to również dziejów tradycji panowania saskiego w polskiej opinii doby Sejmu Wielkiego. Więcej uwagi należało m.in. poświęcić także innym koncepcjom sukcesyjnym oraz kandydatom wywodzącym się spoza domu Wettynów. Nie wszyscy byli zwolennikami Fryderyka Augusta III. Warto zauważyć, iż marszałek litewski Ignacy Potocki, przywódca Stronnictwa Patriotycznego, współautor przymierza polsko-pruskiego i Konstytucji 3 maja, który w wielu opiniach uchodził za stronnika domu Hohenzollernów, w liście do Eliasza Aloego pisał: „Chciałbym bardzo, żeby nasz pierwszy król [...] nazywał się Fryderyk Ludwik”.

Mimo tych wątpliwości, na pewno najpopularniejszą kandydaturę do polskiego tronu stanowiła osoba elektora saskiego. Walorem pracy jest analiza reakcji zarówno elekta, jak i mocarstw ościennych na ideę sukcesji saskiej w Polsce, oparta na relacjach źródłowych saskich, francuskich, pruskich i austriackich, z uwzględnieniem głosów prasy europejskiej. Niestety daje się odczuć brak dostępu do źródeł rosyjskich.



Fryderyk Wilhelm II (1744-1797),
król Prus



Książę Adam Kazimierz Czartoryski (1734-1823), generał ziem podolskich, komendant Szkoły Rycerskiej, poseł na Sejm Wielki, pełnił misję dyplomatyczną w Dreźnie i Wiedniu

Z licznych cytowanych przez autora wypowiedzi wynika, iż Fryderyk August III wprawdzie nie był obojętny na uroki korony polskiej, to jednak ze względu na dobro swych poddanych przyjął postawę pasywną, bacznie obserwując poczynania dworów: rosyjskiego, berlińskiego i wiedeńskiego. Aktywność polityczną rządu drezdeńskiego ograniczała ponadto sytuacja wewnętrzna. Wzrost cen żywności, odgłosy rewolucji francuskiej i tłące się na wsi zarzewie buntu chłopskiego nakazywały dużą ostrożność w podejmowaniu decyzji. Nawet saska szlachta nie ukrywała swej niechęci do ponownego mieszania się Wettynów w sprawy polskie.

Podobne stanowisko wyrażali przedstawiciele stanu trzeciego, którzy ponosili większość ciężarów z tytułu wojen prowadzonych przez Augusta II i polityki Augusta III. Opinie poddanych dzielali w większości ministrowie Fryderyka Augusta III, którzy odradzali swojemu władcy sięganie po koronę polską, obawiając się kolejnej wojny z jednym z zaborców. W podobnym przekonaniu utwierdzał elektora rezydent saski w Warszawie Essen, który, kierując się niechęcią do „polskiej rewolucji”, w swych raportach fałszował obraz wydarzeń w Polsce. Zdaniem Essena przeszkodą zawarcia trwałej unii polsko-saskiej były różnice wynikające z odmiennych tradycji i cech narodowych. Dotyczyły one zasad gospodarności, oszczędności i całego systemu sprawowania władzy. Poza tym podobnie jak Saksończycy nie akceptował stałego pobytu elektora w Warszawie, czego wymagało dobro Rzeczypospolitej.

W tej sytuacji Fryderyk August III, nie chcąc narażać się na komplikacje międzynarodowe, unikał wiążącej odpowiedzi na decyzje sejmiku polskiego. Kończącą fazą tej kunktatorskiej polityki było wysłanie z misją do Warszawy hrabiego Ottona Ferdinanda Loebena, o którym pruski dyplomata G. Lucchesini napisał, iż nominacja ta nie wróżyła Polsce nic dobrego, „należał on bowiem do grupy tych ministrów, którzy byli bardzo daleko od popierania interesów Polaków”. Mimo to król, polscy przywódcy i opinia publiczna przypisywali tej misji duże znaczenie. W rzeczywistości, jak słusznie zauważył H. Kocój, dwór saski wysłanie Loebena traktował wyłącznie jako akt kurtuazyjny wobec Stanisława Augusta i Rzeczypospolitej.

Reasumując wyniki badań, autor doszedł do wniosku, iż Fryderyk August III „udzielił Polsce smutnej lekcji, że wszelkie rachuby na pomoc państwa tak silnie swych decyzjach uzależnionego od wytycznych Austrii, Rosji i Prus musiały skończyć się niepowodzeniem, tym bardziej, że niewielka Saksonia, uważając sprawę Polski za przegraną, nie chciała i nie mogła, bez narażenia własnych swych interesów, skutecznie przeciwdziałać upadkowi. Wszelkie pretensje i oskarżenia pod adresem Dreźnie za stan, w jakim znalazła się Polska, nie mogły już niczego zmienić w zaborczej polityce Rosji, Austrii i Prus. Polacy jednak nie chcieli się z tą smutną prawdą



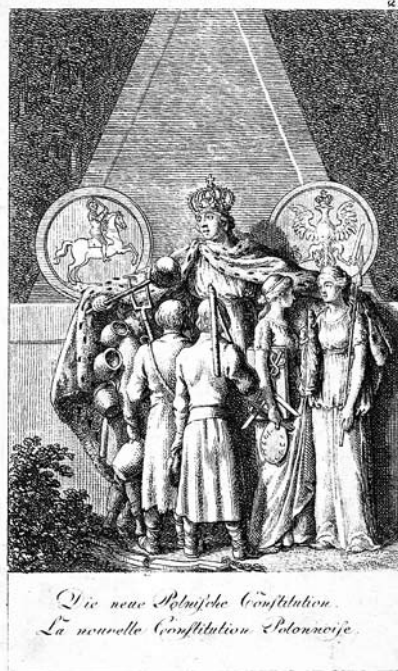
Ignacy Potocki (1750-1809), marszałek wielki litewski, na Sejmie Wielkim przywódca Stronnictwa Patriotycznego, współautor Konstytucji 3 Maja

pogodzić i długo jeszcze spojrzenia ich kierowały się w stronę Drezna i Lipska, skąd mimo tylu zawodów na próżno wyczekiwali pomocy”.

Jak dalece liczone jeszcze na Saksonię, świadczyć może fakt, iż 29 V 1792 r. J.N. Małachowski wręczył elektorowi memoriał, w którym wyrażone były nadzieje, że Fryderyk August III nakłoni za pośrednictwem Prus i Austrii Katarzynę II do wycofania wojsk rosyjskich z Polski. Odrzucono również prośbę o udzielenie pożyczki w wysokości 1 miliona talarów, a także odmówiono sprzedaży broni i amunicji. W obawie przed restrykcjami Petersburga ostrożny elektor na wszelki wypadek zabronił opatrywać znakami firmowymi broń produkowaną w saskich manufakturach. Skończyła się epoka gratulacji z okazji desygnacji do tronu polskiego. Teraz z Wiednia, Berlina i Petersburga napływały depesze wyrażające uznanie dla rozsądnej polityki władcy Saksonii. Sprawdziła się ponura przepowiednia posła rosyjskiego J. Bułhakowa: „tylko Polacy mogą być tak łatwowierni i wątpić, że nie ma wspólnoty interesów między dworami cesarskimi w sprawie Polski”.

Całość zebranego materiału źródłowego dzieli się na następujące części:

- Depesze posła saskiego Augusta Franciszka Essena z Warszawy do Drezna do saskiego ministra spraw zagranicznych Heinricha Gottlieba Stutterheima z Drezna z 1788 r.
- Depesze posła saskiego Augusta Franciszka Essena z Warszawy do Drezna do saskiego ministra spraw zagranicznych Heinricha Gottlieba Stutterheima i depesze Stutterheima do Essena z 1789 r. Także nieliczne depesze Johanna Hilmara Adolfa Schönfelda z Wiednia i Friedricha Augusta Zinzendorfa z Berlina do Stutterheima i jego depesze do tych posłów.
- Depesze posła saskiego Augusta Franciszka Essena z Warszawy do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna oraz depesze tego ministra przesyłane z Drezna do Warszawy z 1790 r. Rozdział ten zawiera także pewne fragmenty depesz Johanna Hilmara Adolfa Schönfelda, posła saskiego w Wiedniu, z 1790 r., przesyłane do ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna. Ponadto znajdują się tam nieliczne fragmenty depesz Friedricha Augusta Zinzendorfa z Berlina do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna.
- Depesze posła saskiego Augusta Franciszka Essena z Warszawy do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna oraz depesze tego ministra przesyłane z Drezna do Warszawy z 1791 r.
- Depesze posła saskiego Georga Adolfa Wilhelma Helbiga z Petersburga z maja, czerwca i lipca 1791 r., przesyłane do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna i dwie depesze Lossa z czerwca i lipca 1791 r., przesłane do Helbiga do Petersburga.



Nowa konstytucja polska 1791 r. Ryc. Daniela Chodowieckiego (1726-1801)

- Depesze posła saskiego z Wiednia, Johanna Hilmara Adolfa Schönfelda do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna, z 1790 r., i depesze Lossa przesyłane do Schönfelda z Drezna do Wiednia.
- Depesze posła saskiego Friedricha Augusta Zinzendorfa z Berlina do saskiego ministra spraw zagranicznych Johanna Adolfa Lossa do Drezna, z marca i kwietnia 1790 r.

Praca Henryka Kocója ma układ ściśle chronologiczny. Jest starannie wydana i wyróżnia się interesującą szatą graficzną, choć materiał ilustracyjny ogranicza się wyłącznie do fotokopii depesz dyplomatycznych (str. 701–717).

Pewnym mankamentem jest brak indeksu osobowego i nazw geograficznych. Żałować można także, iż autor nie pokusił się o wydanie depesz A. F. Essena od 1787 r., tj. od spotkania Stanisława Augusta z Katarzyną II w Kaniowie, gdy król próbował nawiązać współpracę z Rosją, opartą na relacjach bardziej partnerskich.

Niedosyt też budzi fragmentaryczne opracowanie depesz Friedricha Augusta Zinzendorfa z „sojuszniczego” Berlina i Johanna Hilmara Adolfa Schönfelda, posła saskiego w Wiedniu. Brakuje również aktualnego stanu badań w literaturze polskiej i niemieckiej, a także jej oceny i krytyki.

W prezentowanym dziele powinno się znaleźć miejsce na omówienie poglądów, zaczynając od twórcy tzw. pruskiej szkoły historycznej Johanna Gustava Bernharda Droysena (1808–1884), następnie Leopolda von Rankego vel Runga (1795–1886), Johannes Ziekurscha (1876–1945), T. Flathego³, Haakego i innych historyków niemieckich wypowiadających się na temat unii polsko-saskiej. Kilka przedstawionych powyżej dyskusyjnych uwag w niczym nie zmienia wielkiej wartości książki, która w istotny sposób poszerza naszą wiedzę.

W sumie opublikowana korespondencja saskich dyplomatów jest dziełem, z którym od momentu jej wydania liczyć się będzie musiał każdy badacz epoki schyłku dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Książka otwiera bowiem nowe perspektywy, zarówno gdy chodzi o kolejne prace szczegółowe, jak i dalsze próby syntezy. Jest warta polecenia zarówno specjalistom, jak i czytelnikom zainteresowanym historią Polski drugiej połowy XVIII wieku.

PRZYPISY:

1 J. I. Kraszewski: *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772–1799*, t. 1, 1772–1787. *Studia do historii ducha i obyczaju*. Poznań 1885, s. 408–409. Zob. Cyt. za: *Spotkanie Stanisława Augusta z Katarzyną II w Kaniowie*. Oprac. P. Ugniewski: http://www.wilanow-palac.pl/wizyta_wielkiego_ksiecia_pawla_w_polsce.html.

2 Depesze A. F. Essena kreślą bardzo niekorzystny wizerunek ostatniego monarchy i dopełniają krytyczną ocenę Tadeusza Korzона. Dalekim pogłosem tych ocen może być artykuł Leszka Pietrzaka pt. *Zdrajca król Polski. Za miliard złotych sprzedał niepodległość ojczyzny Stanisław August Poniatowski*, opublikowany na łamach: „Historia bez Cenzury”, nr 3 (11), marzec 2017, s. 8–13.

3 T. Flathe, *Die Verhandlungen über die dem Kurfürsten Friedrich August III von Sachsen angebotene Thronfolge in Polen und der sächsische geheime Legationsrath von Essen*, „Jahresbericht über die Königliche Sächsische Landesschule Meisen”, Meisen 1870.

Krzysztof Lisowski

ZŁOTA NUTA

Dobre wino to najnowszy wybór wierszy jednego z najciekawszych poetów kapłanów, teologa, księdza prof. Jerzego Szymika, utwory z lat 2014-2017. Bogaty zbiór, szlachetny szczep. Sytuacja dla czytającego trudna i zarazem intrygująca, bo trzeba objąć wyjątkową obfitość tematów, wątków, form, innowacji, głębokich refleksji.

Pisuję z przyjemnością o tej liryce od dość dawna, mniej więcej co sześć lat (*Potrzeba ładu* o książce *Błękit; Być w rękę Boga* o wyborze *Czułość, siła i drzenie*), gdy poeta decyduje się zebrać wiersze z poszczególnych tomów do następnego wyboru. Zwykle to była potrzeba, zaspokojenie mojej ciekawości, a jednocześnie zachęta ze strony śp. Krystiana Hadasza, który i to omówienie jeszcze przed Wielkanocą 2018 roku zamówił, ale, niestety, nie doczekał jego realizacji.

Warto przypomnieć, że bieżącym roku mija 30-lecie debiutu poety rodem z Pszowa na Górnym Śląsku – w 1988 roku opublikował tom pod stosownie skromnym tytułem *Uczę się chodzić*. Od tej pory ta liryka zaistniała mocno, objawiła się jako zjawisko osobne.



Ks. Jerzy Szymik
*Dobre wino. Wiersze z lat
2014-2017*
Księgarnia św. Jacka
Katowice 2017

* * *

Książka zawiera prawie pół setki wierszy, pogrupowanych w krótkie tematyczne cykle, ze znaczącymi, nawiązującymi do tytułu całościami, wstępem i zakończeniem. Cytat z J. Ratzingera/Benedykta XVI, którego nauki teologiczne pilnie studiuje nasz poeta, o „szczepie winnym”, symbolizującym Chrystusa, ale i naszą moc miłości do Boga, otwiera zbiór; przywołanie Ewangelii Mateusza i Jana wybór wieńczy; tu jest przypomnienie wesela w Kanie Galilejskiej, i przemiany wody w – dobre – wino, jako zapowiedzi cudów Chrystusa, obiecującym „początku znaków”.

Już w pierwszym rozdziale – a całość, składającą się z ośmiu części, i możemy ją z dużym prawdopodobieństwem traktować jako swoisty traktat teologiczny, i zarazem traktat o krokach człowieka w świecie – *Misterion* poeta ustawia ton i głos pięknym wierszem, który mógłby napisać jeden z artystycznych mistrzów ks. Szymika, Czesław Miłosz (patrz: wojenny poemat metafizyczny – *Świat* (poema naiwne), ale widać tu także echo późnej twórczości Mickiewicza, liryków pisanych w Lozannie:

*Nad chłodną wodą znów tańce obłoków
I ta, co zawsze, wilgoć pośród liści.*

*Za Tobą wołam, Ciebie tu wyglądam.
I niech się wszystko, co miało być – ziści.*

*Góry dziś puste, a słońce jesienne.
Prawdziwie bliska jedynie tęsknota.
I o tym są wszystkie moje tu modlitwy
I o tym w głosie ptaka nuta złota.*
(Woda i obłoki)

Znajdujemy się na osi świata, między niskim i zmiennym, a wysokim, wiecznym, w środku tego obrazu tkwi człowiek z wszystkimi jego wątpliwościami, tęsknotą i lękiem, z modlitwami, suplikacjami.

Niewiele później część najbardziej może skomplikowana dla nieprzywykłego do teologicznych rozważań czytelnika: uważna i przyjazna polemika z dziełem Karla Rahnera SJ, poetycki list dotyczący roli człowieka i Boga w kosmicznym Planie; ks. Szymik przedstawia swoje tezy, konfrontuje je z poglądami niemieckiego myśliciela. Ale zaraz obok „dowcip poważny” – tekst będący wielkim porównaniem duchownych do drużyny piłkarskiej, która wypełnia swoje zadania w światowych rozgrywkach.

Może podobać się zawsze świeża atrakcyjność tych wierszy, ich wewnętrzna spójność, siła ożywczej perswazji i głęboka „potężna radość” w nich zakodowana. Ta radość to odczuwanie pokrzepiającej pewności wiary, nawet mimo pojawiania się niekiedy samotności w wędrówce, pojedynczej ciemności wśród nocy, bezsenne go czuwania.

Poeta mówi wiarygodnie o „prawdzie serca” i o tym, że „słowo mnie otacza”, a to znaczyć może radość w odnajdywaniu w Piśmie i słowach własnego nowego wiersza pewnej cudownej, niespodziewanej, krzepiającej adekwatności. Ład tego wszystkiego odnajduje poeta w poczuciu sensu danego przez Stwórcę i Zbawcę. Ten przedziwny, prawdziwy sens objawia się jako jedność posłuszeństwa i odpowiedzialności. W tym procesie „część ludzka”, nasz udział jest bardzo istotny, ale spełnia się najlepiej w otwarciu się, odsłonięciu na prawdę płynącą z Bożego objawienia.

Taki sam czy też podobny proces towarzyszy ks. Szymikowi w kontemplowaniu dzieł sztuki. Jej źródła to doświadczenie miłości, smutku – wreszcie dostrzeżenie istotności spotkania z Bogiem na planie twórczej działalności artystów. Najlepszym przykładem takiego odczuwania dzieła sztuki jest wiersz poświęcony Rogierowi van der Weyden, malującego obrazy o treści religijnej dla brukselskiej gildii kuszników.

Poeta zajmując i na różne sposoby opisuje codzienność, prywatność, chwytą ją i utrwała – pojawiają się więc w jego wędrówce miasta śląskie, Bydgoszcz, Lublin, Warszawa; miejsca związane z jego naukowymi zainteresowaniami i zatrudnieniami. Mistrzowskie to i celne obserwacje blichtru i pustoty dzisiejszego życia „zewnętrznego”, mód, obyczajów, trendów masowej kultury. Najważniejsze jest to, że mimo dowcipu i niekiedy sarkazmu poeta dostrzega obok tej przeszłości prawdziwych ludzi, ich nieszczęścia, ciemne przepaści, uzależnienia i cierpienie.

Jest „niespiesznym kronikarzem”, który na swojej drodze spotyka także naszych braci mniejszych (wzruszający cykl *Koty, ryby i radio*), zwierzęta, towarzyszy ich śmierci, zamyśla się nad ich losami i wspólnym z człowiekiem uczestnictwem w temporalności, udziałem w przemijaniu.

W tych wywiedzionych z niesłabnącej ciekawości i podziwu dla fenomenów bytu wierszach spotkamy też inne miejsca na ziemi (wędrówki włoskie); w trakcie ich lektu-

ry możemy stworzyć bogaty katalog odwiedzanych miast, zabytków, widzialnych artefaktów, wniosków wynikłych z lektury (od ewangelistów, myślicieli, teologów, papieży do klasyków „polskiego gospodarstwa poezji” – Miłosza, Szymborskiej, Różewicza).

Na koniec mocny, wyrazisty, krzepiący wniosek:

(...)

Nic co było nie minęło.

Jest. Trwa – mene – i przetrwa.

Życie jest większe od śmierci

(Ryan Gosling odwzajemnia spojrzenie...)

Nieustannie cieszy, że ta poezja nie jest z obowiązku i powagi tytułu „profesorska” i „kapłańska”, ale rodzi się z autentycznych, mocnych natchnień i wynika z potrzeby serca, nienasyconej wiary, konieczności podróży i zawsze istotnej rozmowy ze światem. Prawdziwa teologia weryfikowana przez nigdy „nieobjęty” Temat.

NATCHNIONY REALISTA

Bywają miejsca niezwykle, osobliwe, zagadkowe. Kryjące w sobie tajemnicę – albo i wiele tajemnic. Przykuwające uwagę. Emanujące urokiem. choć czasem, bardzo często – a właściwie zawsze – jest to urok trudny do określenia, nazwania i zdefiniowania. Urok, który zarazem przyciąga i odpycha, który wabi a przy tym jakby nakazuje zatrzymać się w pół kroku. Wszyscy takie miejsca znamy. Mogą to być polanki leśne, zakątki cienistych parków, altany i ławeczki w starych ogrodach, groble wśród podmokłych łąk czy chybotałe mostki nad mętłą struga. Mogą to też być ogromne, puste pokoje z oknem zasłoniętym ciemną storą, długie korytarze pełne szeptów, szmerów i szelestów, schody biegnące z ciemności w – ciemność. Zdarzają się światła i cienie przybierające różne, nieoczekiwane i niecodzienne kształty, formy i postacie. Bywają blaski, które niczego nie rozjaśniają i mroki, które obiecują wiele – może nawet zbyt wiele. I w dodatku wszystkie swe obietnice spełniają.

Jestem najzupełniej pewna, że każdy z nas, Szanowni Czytelnicy, zna takie miejsca. Zna wiele takich miejsc./ Miejsc niezwykłych, osobliwych i tajemniczych. Miejsc, które zachwycają i budzą niepokój. Budzą i zapewniają emocje. Ileż to razy – i to nie tylko w dzieciństwie – naciskaliśmy klamki, uchylaliśmy drzwi, odsuwaliśmy firanki prowadzeni, powodowani i prowadzeni radością i niepewnością, ciekawością i strachem. Ale to był taki inny, taki „niestraszy” strach, bo przecież wiadomo – „ciemnego pokoju nie trzeba się bać, bo w ciemnym pokoju czar może się stać”.

I czar się staje... Dla piszącej te słowa miejscem, w którym „czar może się stać” jest z całą pewnością Galeria Multimedialna „Piwnica” w siemianowickim Muzeum. Te schody strome, kręte i niepewne... Te grube mury... Ten mrok... Te tajemnicze zakątki, które zapraszają i zabraniają wstępu jednocześnie... Ten chłód i cisza...

Codziennność zostaje gdzieś na górze, u szczytu schodów, a tu... A tu może się wydarzyć wszystko. nawet nie trzeba zamykać oczu ... I wcale nie trzeba się bać – a już na pewno nie należy się dziwić. Wiele razy pokonywałam owe galeryjno-piwniczne schody idąc na spotkanie tajemnicy. Na spotkanie tego, co niezwykle, osobliwe i zagadkowe. tak było i tym razem, gdy przybyłam podziwiać wystawę fotograficzną Remigiusza Miklaszewskiego zatytułowaną „Odbicie”. Sądziłam, że galeria jest pusta – wernisaż odbył się bowiem kilka dni wcześniej. A już na pewno nie spodziewałam się zastać w muzealnych podziemiach przybysza z innego miejsca i czasu. Wyglądał inaczej niż nawet najbardziej ekstrawaganckim „wernisażowicz”: aksamit czarny – ale wyraźnie przetarty, buty z dobrej skóry – jednak mocno podniszczone. postawa dziarska – wszakże bardziej nonszalancka niż rycerska. Włosy opadające na czoło. Twarz zmęczona – ale skupiona i poważna. Za to oczy bystre i lśniące. Nie, nie myliłam się – to był przecież mój stary znajomy.

– *Scusi, messer* – powiedziałam (skąd wziął mi się ten spokój i pewność?) – *Tu sei maestro Caravaggio?*

- *Si, io!* - i spojrzał na mnie łaskawie (ci dawni artyści mieli doprawdy pańskie maniery...)

- *A, a* - nie wiedziałam, czy wypada mi przerywać samotne rozmyślania wielkiego malarza, ale przecież taka okazja może się już nie powtórzyć! - co pan tu robi? W tym miejscu muszę poczynić pewną uwagę formalno-techniczną: właściwie nie wiem, w jakim języku prowadzona była ta rozmowa - dialekt neapolitański? rzymski? czy jakiś inny? - ale rozumieliśmy się doskonale. To też był czar mrocznego wnętrza. - Co robie? Zazdroszczę!

Spojrzałam na Michała Anioła Merisiego z miasteczka Caravaggio. Mówił prawdę. - *Proszę spojrzeć na te twarze, donna Caterina* (więc jednak dialekt neapolitański...) - Jakie są zmęczone, jak wspaniale wymięte, poradłone, pełne bruzd - a może to są blizny? Są skupione, zamyśłone, a jednak przebiegłe. Te głębokie zmarszczki... Podkrążone oczy... A spod spuchniętych powiek spojrzenia ostre, gorzkie, przenikliwe. Albo ironiczne - widzisz ich ironię, donna? - a może to zresztą rodzaj złośliwej satysfakcji? Tak zdeformowanych nosów, tak wykrzywionych ust szukałem na całym Zatybrzu. Takich twarzy, takich rysów, takich spojrzeń poszukiwałem we wszystkich dzielnicach portowych, do których zaprowadziły mnie dobre bogi.

Rozglądałam się wokół i zaczynałam rozumieć zachwyt mego interlokutora. - Dłonie jak ze źle wygarbowanej skóry... Włosy i brody, na widok których każdy balwierz uciekłby z krzykiem - mówił dalej przechodząc powoli wzdłuż ścian. - Oto są ludzie, którzy widzą - a w każdym razie dostrzegają. Którzy wiedzą. Może nie wszystko rozumieją, ale wszystko potrafią skomentować. Każdego z nich zaprosiłbym do swojej pracowni. Spójrz - ten wygląda jak mój święty Mateusz. Takiego spojrzenia potrzebowałem w „Męczeństwie świętego Piotra”, a takiego pochylenia głowy w „Złożeniu do grobu”. Daję ci słowo, donna, że gdybym tych ludzi poznał wcześniej, moja „Śmierć Marii” i „Ścięcie świętego Jana” wyglądałyby inaczej! A ty jak sądzisz?

- *Wasze „Ścięcie świętego Jana” jest doskonałe, maestro...* - powiedziałam cicho. Pamiętałam ten smutny i złowrogi obraz w ciemnym wnętrzu katedry w La Valletcie. - *Tak sądzisz?* - mistrz nie odrywał wzroku od fotografii na ścianach. - *Być może...* Ale te twarze... Są nadzwyczajne! Widzisz - ci ludzie ze swego opuszczenia uczynili znak rozpoznawczy. Z bylejakości - filozofię. Z biedy - sposób na życie. Oni niczemu się nie dziwią i niczego się nie wstydzą. Niczego się nie boją, niczego nie poważają. Szanują tylko siebie - autorytety znajdują we własnym gronie. Chociaż zdarza się - co prawda, niezmiernie rzadko - że kogoś podziwiają. A ja podziwiam ich twarze, a także dusze i charaktery, które spostrzegł, dojrzał i na tych wizerunkach przedstawił maestro Miklaszewski. *Czy on jest stąd? Znalazł tych ludzi gdzieś tu, w pobliżu?* - zapytał dziwny gość.

- *Tak, messer, stąd. I to jest jego kolejna wystawa w „Piwnicy”.* - Zazdroszczę, zazdroszczę - powtórzył Caravaggio. - Co za twarze, co za wyraz, co za głębia... Ileż on o tych ludziach wie... I dawny natchniony realista zamyślił się nad dziełem współczesnego natchnionego realisty.

Nie odważyłam się przerwać tego zamyślenia... Opuściłam Galerię Multimedialną pokonując strome, kręte i niepewne schody. W miejskim parku zauważyłam kilka postaci wyraźnie przypominających modele Caravaggia i Remigiusza Miklaszewskiego. Spoglądali wokół przenikliwie, ironicznie i z pewnym rodzajem satysfakcji. Pewnie oczekiwali kolejnego spotkania z natchnionym realistą.

Gwoli historycznej ścisłości dodajmy jeszcze, że Michał Anioł Meresi rodem z miasteczka Caravaggio (stąd pseudonim artystyczny), z okolic Mediolanu, wybitny ma-

larz, nowatorski artysta i prawdziwie niespokojny duch, epizody biblijne przedstawiał niczym sceny z życia włoskiego ludu, a ujęcia realistyczne otaczał leciutkim obłokiem poezji. Fakt, iż żył w latach 1573-1610 nie stoi w żadnej sprzeczności z jego obecnością na wystawie fotografii Remigiusza Miklaszewskiego – przecież w miejscach niezwykłych, osobliwych i zagadkowych „czar może się stać”. Autorka jest pewna i głęboko przekonana, że czar się stał.

REMIGIUSZ MIKLASZEWSKI – *Odbicie*, wystawa fotografii, maj-czerwiec 2017
Galeria Multimedialna „Piwnica”, Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich

JAK ZOSTAĆ WYBITNYM HISTORYKIEM?

Profesor Marc Bloch (1886-1944), jeden z najwybitniejszych mediewistów francuskich, współtwórca historycznej szkoły Annales wspominał, że niegdyś jego przyjaciel, prof. Henri Pirenne (1862-1935) zaproponował mu zwiedzanie nowoczesnego budynku w Sztokholmie. Niejako uprzedzając pytanie towarzysza podróży Pirenne wyjaśnił jednocześnie, dlaczego interesuje się współczesnymi sobie osiągnięciami, skoro jest specjalistą od średniowiecza. „Gdybym był antykwarystą, interesowałyby mnie tylko zabytki. Ale jestem historykiem i dlatego kocham życie”¹. W tej odpowiedzi streszcza się sens profesji podjętej przez adeptów Muzy Klio, a w ich gronie absolwenta Uniwersytetu Śląskiego, wieloletniego pracownika Akademii Ekonomicznej im. Karola Adamieckiego w Katowicach, dr. hab. Zdzisława Janeczka.

Jubileusz 40-lecia Jego pracy naukowej skłania do refleksji nad drogą życiową Jubilata, szukania korzeni wyboru zawodu, zostania profesjonalnym historykiem. Publikację *Jak zostałem historykiem*² otwiera zbiór wypowiedzi polskich uczonych, naukowo i zawodowo związanych z Autorem. Na uwagę zasługuje cytat przetłumaczony i przytoczony przez prof. zw. dr. hab. Władysława Zajewskiego: „Historyk musi posiadać szeroką kulturę humanistyczną i zdolność do odczucia całego bogactwa minionych pokoleń, ukrytą w dokumentach, a w sobie posiadać choćby minimum głębokości filozoficznej” (prof. Henri Irénée Marrou)³. „W moim odczuciu – dodaje od siebie prof. W. Zajewski – zarówno dorobek ściśle naukowy Zdzisława Janeczka oraz jego bogaty dorobek eseistyczny oraz redakcyjny spełniają te wysokie kryteria”. (s. 10)

Profesorowi wtórują inni uczeni, którzy zechcieli podzielić się wspomnieniami o Jubilacie: „jest znakomitym historykiem, zwłaszcza do dziejów regionalnych” Śląska (prof. Henryk Kocój, s. 11); „imponuje on rozległą wiedzą historyczną, talentem badawczym oraz wielkim zaangażowaniem społecznym w sprawy regionu” (prof. Maria Pawłowiczowa, s. 15); uczoney „o wyjątkowej pracowitości, której towarzyszy tzw. łatwość pióra” (dr hab. Zygmunt Woźniczka, s. 16). Czytelnik może zapoznać się z próbką talentu Autora poprzez tekst wykładu historycznego pod tytułem *Komentarze i opinie o sytuacji na ziemiach byłej Rzeczypospolitej wyrażane na łamach prasy śląskiej w latach 1861-1864* (s. 147-163).

Przeglądając karty książki podziwiać należy szerokie spectrum zainteresowań Autora: od historii rodzinnego miasta – Siemianowic Śląskich i Bytkowa oraz dziejów



Zdzisław Janeczka
Jak zostałem historykiem
Urząd Miasta Siemianowic
Śląskich / Muzeum Miejskie
w Siemianowicach Śląskich
2017

Śląska, zwłaszcza w okresie walk o niepodległość, okresu plebiscytów i powstań po historię Polski i powszechną - od XVIII do XX w., a także zainteresowania Renesansem i archeologią oraz prasoznawstwo.

Imponuje zebrana ilość książek, artykułów i publicystyki, odczytów, wykładów, konferencji, sympozjów, wykładów radiowych itd. Kilkaset (!) pozycji ułożonych chronologicznie z lat 1981-2017 pogrupować można w wyróżniające się tematy: o czasach stanisławowskich i Sejmie Czteroletnim, o Ignacym Potockim i rodzie Potockich, powstaniach narodowych 1794-1863 i ich recepcji na Śląsku, o epoce napoleońskiej i powstaniach śląskich. Wśród szeregu tytułów wyróżnia się biografistyka, m. in. o Marszałku Józefie Piłsudskim, Wojciechu Korfantom, prymasie Augustynie Hlondzie, Karolu Goduli i wielu innych, ważnych dla Śląska postaciach, publikowana w kilku regionalnych periodykach.

Biografistyka jako gatunek twórczości historiograficznej⁴ przeżywa nie od dziś swój renesans. Wprawdzie prof. Marc Bloch i „szkoła Annales” odzegnali się już dawno (1929 r.) od „hagiografii” królów i polityków, socrealizm dodatkowo wykazał jej bankructwo, ale „rzetelna znajomość rzemiosła historyka, odpowiedni dystans i skrupulatne badania w archiwach – to jedyna droga do uczciwej biografistyki. (...) Fenomenem naszych czasów może być pojawienie się biografii zespołowej i zarazem interdyscyplinarnej” – konkluduje prof. Władysław Zajewski. Zdzisław Janeczek m. in. w *Potockich w odmęcie historii (XVII-XX w.)* udowodnił, że współcześnie można z doskonałym rezultatem zrealizować ten postulat.

Nurtem przewodnim badań Uczonego jest zawsze uwypuklenie patriotycznych postaw Polaków – w Polsce i na Śląsku od konfederacji barskiej po „Solidarność”. Będąc nauczycielem akademickim prezentuje bardzo szeroki zakres wiedzy wykładany na przedmiotach m. in. historii, etyki biznesu, public relations, bibliotekarstwa, socjologii piśmiennictwa itd. (s. 132). Myślę, że znamienity tytuł „archowożercy”⁵ nadany niegdyś prof. Władysławowi Konopczyńskiemu (o którym Autor wspomina na s. 122-123) zasłużenie należy się również Zdzisławowi Janeczkowi. (Ilość informacji o przewertowanych zasobach archiwalnych w Polsce i za granicą napawa podziwem; zob. s. 12, 76, 80-81, 88-89, 96-97). Autor podczas kwerend archiwalnych zawzięcie pokonywał wszelkie trudności o czym, nie bez uśmiechu wspomina przytaczając trud odczytania tekstów Ignacego Potockiego i Franciszka Ksawerego Branickiego z XVIII wieku: „Pierwszy miał charakter pisma, który odstraszał od lektury dokumentów nawet zawodowych historyków, a drugi łączył słowa i nie stosował znaków interpunkcyjnych”. Pani Prof. Zofia Libiszowski wręcz spytała Autora, „jakim cudem odczytał te gryzmoły?” (s. 101)

Piszę z punktu widzenia zwykłego czytelnika. Każdy zatem w książce znajdzie ważny i potrzebny wątek dla siebie: miłośnicy sag rodzinnych poznają ciekawe losy rodziny Janeczków wpisane w szerokie tło historyczne dziejów Polski, studenci, pracownicy naukowi i bibliofile odnajdą poszukiwane tytuły książek i artykułów wraz z obszernymi opisami prezentowanych książek, przybliżającymi w zarysie ich tematykę. Pomysł ten zasługuje na pochwałę, bo przybliży szczegółowo merytoryczną zawartość tychże publikacji, zaś cytowane fragmenty recenzji dają obraz wartości dzieła. (s. 72-84).

Książkę wieńczy obszerna bibliografia prac Zdzisława Janeczka oraz ułatwiający poszukiwanie informacji indeks nazwisk. Na pochwałę Wydawcy zasługuje dbałość o stronę graficzną, korekta nie zostawiająca błędów drukarskich, bogata ikonografia, tym cenniejsza, że wybrana z unikatowego archiwum rodzinnego.

W poszukiwaniu źródeł wyboru profesji historyka Autor sięga do korzeni rodzinnych. Początki rodziny Janeczków, których nazwisko wyraźnie wskazuje na pochodzenie eponimiczne rodu, z przydomkiem vel Bernach sięgają XV wieku i terenów

Lubelszczyzny (Krasnystaw). Na uwagę zasługuje fakt, iż Autor, wszędzie gdzie mógł, tradycję rodzinną konfrontował z dokumentami archiwalnymi (niektóre znajdują się w Petersburgu, inne w USA).

Autor w bardzo ciekawy i wciągający sposób przedstawia na szerokim tle historii Polski dzieje własnej rodziny „po mieczu” i „kądzieli”. Przed oczyma czytelników przewijają się zatem postaci przodków zaangażowanych w powstanie styczniowe, POW, emigrację zarobkową do USA, powstania śląskie, kampanię wrześniową i konspirację w AK a nawet... czarna dama błakająca się na zamku w Janowcu. Przez pryzmat losów jednej rodziny widzimy zatem portret pokoleń Polaków, typowe losy rodaków zmagających się z carskim i pruskim zaborcą, później brunatnym – nazistowskim a następnie czerwonym-sowieckim okupantem. Sielankę rodziny w czasach II RP w gajówce o nazwie „Dziedzinka” przerwała II wojna światowa i m. in. gehenna ofiar KL Auschwitz. Dokładne losy trudno jest odtworzyć wyłącznie na podstawie relacji ustnych, które wraz z przemijaniem pokoleń mogą wygasnąć, aczkolwiek tradycja rodzinna jest ważnym historycznym nośnikiem pamięci pokoleń⁶. Od lata 1944 r. dom rodzinny dziadków Autora na Lubelszczyźnie został zajęty przez Wehrmacht a następnie spalony przez Armię Czerwoną. „Wyzwolenie” przez krasnoarmiejców też bardziej wyglądało na drugą okupację niż odzyskanie wolności. Codziennie czyhały na Polaków zagrożenie życia i wolności:

- Ty polskij pan ili giermanskij szpion? [jesteś polskim panem czy niemieckim szpiegiem?] – prowokacyjnie zapytywali enkawudyści napotkanych ludzi. (Dodajmy, że obie odpowiedzi były równie fatalne; źle było być polskim „burżujem”, jeszcze gorzej szpiegiem).

Albo:

- Mikołajczyka ty znajesz?

- Da, tam korowy pasał. (s. 44).

Nawet taka kategoryczna odpowiedź nie uchroniła Ojca Autora przed aresztowaniem i dopiero interwencja brata z samogonem i toasty za zdrowie Stalina uratowały sytuację. Podobnych przykładów w Polsce było tysiące i układają się one w jednolity obraz represji sowieckich przeciw Polakom⁷ – ten pojedynczy przykład potwierdza tylko regułę.

Powojenne losy rodziny nie odbiegały od typowych migracji po Polsce, m. in. Ojciec Autora osiedlił się na Górnym Śląsku, gdzie zawarł związek małżeński z rodowitą Ślązacką. Rodzicami chrzestnymi Zdzisława Janeczka zostali repatriantka z Kresów – Sybiraczka i dawny legionista Józefa Piłsudskiego, co w oczach Autora stanowiło znamienne omen. Oprócz tego ciekawość przeszłości, wpływ Ojca – jego gawęd i pieśni, lektury Sienkiewicza, harcerstwo i cały splot czynników sprawiły, że został historykiem. A później modelowały Go spotkania z m. in. Franciszkiem Starowieyskim, płk. W. Brodeckim prezesem Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK, S. J. Rostworowskim i innymi ważnymi ludźmi w Jego życiu. (s. 123-129) „Żyjemy tak długo, jak długo żyją ci, co o nas pamiętają” – wyznaje, wspominając tych, co już odeszli (s. 66).

Po przeczytaniu owej sagi rodzinnej można postawić (z uczuciem niedosytu) tylko jedno pytanie: to już koniec wspomnień?

Jako czytelnik czuję znów niedosyt, że opis studenckiej drogi ku profesji historyka pod piórem Z. Janeczka przedstawiony jest skromnie, skrótowo w postaci lapidarnego curriculum vitae. Wśród wspomnień pamięć przechowała egzaminy u prof. S. M. Kuczyńskiego, który polecał studentom odwrócić się od mapy i z pamięci „recytować” nazwy grodów Rusi Halickiej w transkrypcji tatarskiej [sic!]. (s. 17). Studia uwięzione zostały pracą magisterską pod kierunkiem prof. zw. dr. hab. Jana Pachonńskiego

o generale Maurycym Hauke (1773-1830) ocenioną z wyróżnieniem⁸. Wiele ciepłych, serdecznych zdań Uczeń poświęca osobie swego ś.p. Mistrza. Kilka lat później studia doktoranckie pod kierunkiem prof. zw. dr. hab. Henryka Kocója zakończyły się sukcesem w postaci dyplomu za dysertację o Ignacym Potockim w latach Sejmu Wielkiego. Panteon polskich uczonych zaprezentowany przez Autora układa się w swoistą sztafetę pokoleń (m. in. Profesorowie Henryk Mościcki, S. Kuczyński, Jan Lubicz-Pachoński, Henryk Kocój i in.), w którą Autor ma zaszczyt włączyć się (s. 121-122). Nie jest to zwykła „litania” nazwisk, lecz ciekawa opowieść o ludziach i ich dokonaniach, a na czele tej listy widnieje postać Pani Eugenii Złonkiewicz (1910-1991), która była dla Autora „pierwszym i jedynym z prawdziwego zdarzenia nauczycielem historii” w SP nr 3 im. T. Kościuszki w Siemianowicach Śląskich (s. 119-120).

Czy w tak osobistym wyznaniu, jakim jest odpowiedź na tytułowe pytanie „jak zostałem historykiem” należało odpowiadać w osobie 3 liczby pojedynczej? Autor przyjął taką koncepcję i należy uszanować Jego wybór, choć czytelnikom może wygodniej czytałoby się jubileuszowe wspomnienia z zaakcentowaniem własnego „ja”⁹. Tylko czy wszystkie wspomnienia w rodzaju „z Komborni w świat” muszą być pisane według stereotypowego wzorca? Nie.

Również jako autor biografii marszałka Ignacego Potockiego Z. Janeczek czuje się spadkobiercą i kontynuatorem dorobku ks. W. Kalinki, prof. S. Askenazego, prof. B. Dembińskiego.

Sam darzy swojego bohatera wyraźną i zasłużoną dlań sympatią, wyrażaną wielokrotnie, m. in.: Potocki „uważał wzmocnienie władzy królewskiej w 1791 roku ponieważ za zło konieczne, aby wyjść ze stanu anarchii. W 1794 r. (...) jego republikańskie skłonności przybrały na sile”¹⁰. Swoistym zaś ukoronowaniem pracy badawczej na tym polu stało się zbiorowe dzieło pod Jego redakcją pt. *Potoccy w odmieńce historii* (XVII-XX w.), wyd. 2, Katowice 2010.

Bardzo ważny, przewodni w rozwoju naukowym Autora okazał się wątek badawczy: „Śląsk a polskie walki niepodległościowe” przedstawiony z dwóch punktów widzenia: bezpośredniego udziału Ślązaków w polskiej irredencji lub wspierania jej na różne sposoby oraz oddźwięku polskiego wysiłku zbrojnego w prasie na Śląsku.

Szczególnym sentymentem Autor darzy powstanie styczniowe. (Pewną rolę odegrać tu mogły tradycje rodzinne walk w partii powstańczej Marcina Borelowskiego - „Lelewela” i bitwa pod Batorzem, s. 26-27). Nawiązując do walk o niepodległość na Bałkanach w latach 1821-1829 Autor nowatorsko nazywa powstańców styczniowych „Grekami Europy”¹¹. Dzisiejszego czytelnika zaskakuje trafność i wiarygodność informacji prasowych zaborcy pruskiego o terrorze caratu skonfrontowana z obecną wiedzą historiograficzną¹².

Tradycje zrywu 1863 roku szczególnie silne były w okresie powstań śląskich w latach 1919-1921, kiedy to dowódcy polscy przyjmowali pseudonimy na cześć bohaterów 1863. Byli to z reguły rodowici Ślązacy, dawni podoficerowie armii kajzera, 25-30-latkowie, urodzeni pomiędzy 1888 a 1896 rokiem, lecz nie brakowało Wielkopolan, lwowskich kadetów i legionistów Piłsudskiego¹³. W ten sposób Zdzisław Janeczek dzięki swojej pracy badawczej wypełnia poważną lukę w pamięci narodowej jaką jest kultywowanie pamięci o bohaterach walk o polskość na Śląsku. M. in. jest autorem *Pocztu dowódców powstań śląskich* (Katowice 2009) i biografii płk. Jana Emila Stanka 1895-1961, (Siemianowice Śl., 2007). (Czy uczeń liceum potrafiłby, poza postacią Wojciecha Korfatego, wymienić inne nazwiska osób zasłużonych w walce o powrót tej ziemi piastowskiej do Macierzy?). „To bardzo ważki problem, szczególnie w czasach negacji idei niepodległościowej na Śląsku, związanej z licznymi próbami zastąpienia

słowa *powstanie terminem bratobójczej wojny domowej*" (s. 79). Dodajmy, popierając postawę Zdzisława Janeczka, iż proces kontestacji polskiego wysiłku niepodległościowego na Śląsku widać od dawna. „Po co bez przerwy powoływać się na Piastów, obrońcę Głogowa, roztrząsać politykę Bismarcka wobec Ślązaków, apoteozować powstania śląskie, skoro żyjemy w diametralnie innej sytuacji politycznej”¹⁴ – pisał przed laty Helmut Schampera, autor artykułu w *Res Publice* (1990). Myślę, że lektura książki i bibliografia prac Z. Janeczka daje czytelnikom rzetelną odpowiedź na te „wątpliwości”, dodatkowo wspartą przez wspomnienia jednego z wielu Polaków zamieszkujących Niemcy przed 1939 r.:

„W powiecie naszym w okresie plebiscytu grasowała banda opryszków niemieckich (...). Władze niemieckie nie siły się na odnalezienie morderców. (...) Czołowi przywódcy ruchu polskiego musieli nas opuścić, aby się schronić w wolnej Polsce. Nie mogliśmy chwilowo rozwinąć jakiejkolwiek pracy organizacyjnej, ale już w 1924 roku wstąpiłem (...) do Związku Polaków w Niemczech. (...) W pierwszych dniach września 1939 roku zabrano nas do więzienia a potem przewieziono do obozu Buchenwald. (...) Moje córki zostały wywiezione do Saksonii”¹⁵.

Nieprzypadkowo na koniec przedstawiam jeszcze jeden kierunek badawczy zawarty w książce Jubilata, z pewnością najbliższy Jego sercu: historię (pro domo sua!) Siemianowic Śląskich. W samej tylko bibliografii ileż można znaleźć ciekawych wątków! O rodach rycerskich, tradycjach górniczych, historii miasta (od Sancovic do Siemianowic), wspólnotach wyznaniowych, teatrach świetlnych, rozwoju Bytkowa, tradycjach patriotycznych (1830-1922), księgozbiorach, „Gazecie Siemianowickiej” (1925-1937), Siemianowickich „Atenach”, przedwojennym kinie, zwłaszcza o ludziach zasłużonych dla swojej „małej ojczyzny”: m. in. J. K. Nowaku, M. Kicińskim, S. Barnasiu i wielu innych. Autor wszechstronnie popularyzuje wiedzę o regionie poprzez sympozja, wykłady, odczyty, wystąpienia radiowe, a zwłaszcza teksty pisane i aktywność społeczną. I dlatego wśród wielu nagród, za wybitne osiągnięcia Zdzisław Janeczek uhonorowany został Laurem Siemiona „w uznaniu dla Jego naukowych zasług na niwie historii i kultury miasta” przyznany przez Towarzystwo Przyjaciół Siemianowic Śląskich. 13 lutego 2010 (fot., s. 133).

W tym miejscu warto, myślę, przytoczyć trafne spostrzeżenie prof. Tadeusza Łepkowskiego o miejscu i roli historyka w społeczeństwie: „Ci, spośród najwybitniejszych, którzy umieją przekazywać swoją wiedzę, chcą i umieją to czynić, czują swe społeczne posłannictwo”¹⁶.

Wyraża się ono choćby w aktywnym uczestnictwie Zdzisława Janeczka na forum Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich Polski (od 2000 r.), na stanowisku radnego Siemianowic Śląskich (1984-1988), prezesa Siemianowickiego Towarzystwa Oświatowego im. Wojciecha Korfantego, przewodniczącego Rady Muzealnej Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich, konsultanta przy realizacji projektu pomnika rtm. Witolda Pileckiego w Warszawie (2015-2016) i in.

Przypomnijmy konkluzję prof. Blocha z jego wycieczki do Sztokholmu: „Zdolność pojmowania tego, co żywe – oto w istocie naczelną cnotą historyka. (...) Niemniej daru tego trzeba używać stale i rozwijać go. W jaki sposób? Czyż nie tak, jak to nam wskazuje przykład Pirenne’a – przez nieustanny kontakt z dniem dzisiejszym”¹⁷.

„Ale od czasu Marca Blocha koło [historiografii – D. O.] nie przestało się kręcić – pisał z optymizmem prof. Fernand Braudel (1902-1985) – Historia jest dla mnie sumą wszelkich możliwych historii – zbiorem wczorajszych, dzisiejszych, jutrzejszych rzemiosł i poglądów. Błędem niewybaczalnym byłoby wybrać jedną z tych historii z wyłączeniem wszelkich innych”¹⁸.

Lektura książki Zdzisława Janeczka jako swoisty przewodnik bio-bibliograficzny wpisuje się w postulat cytowanych wyżej historyków i jest niezbędną pomocą w poszukiwaniu źródeł informacji historiograficznej.

PRZYPISY:

- 1 M. Bloch, *Pochwała historii czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, Wydawnictwo Marek Derewecki, Kęty 2009, s. 63.
- 2 Z. Janeczek, *Jak zostałem historykiem*, Siemianowice Śląskie 2017, ss. 211.
- 3 H. I. Marrou, *Qu'est-ce que l'histoire?* [w:] *L'Histoire et ses méthodes*, Editions Gallimard, Paris 1961, s. 10-11, cyt. za: W. Zajewski, *Czy historycy piszą prawdę*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2015, s. 19.
- 4 Zob. tytuł i treść rozdziału: W. Zajewski, *Europejskie konflikty dyplomatyczne. Wiek XIX.*, Wyd. Arkana, Kraków 2012, s. 234, 238.
- 5 P. Biliński, *Wstęp* [w:] W. Konopczyński, *O wartość naszej spuścizny dziejowej. Wybór pism*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2009, s. XI.
- 6 M. Kula, *Nośniki pamięci historycznej*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2002, s. 94.
- 7 *Danzig 1945. Erinnerungen nach 50 Jahren*, oprac. zbior., Wyd. „Marpress”, Gdańsk 1997, s. 113, 159; B. Zwarra, *Wspomnienia gdańskiego bówki*, t. 4, Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 1984, s. 19, 27-32.
- 8 Pokłosiem tego wątku badawczego jest artykuł: Z. Janeczek, *Rodzina i proces kształtowania się świadomości narodowej gen. Maurycego Haukego* [w:] *Dyplomacja – Polityka – Prawo. Księga pamiątkowa ofiarowana Profesorowi Henrykowi Kocójowi w siedemdziesiąt rocznicę urodzin*, pod red. I. Panica, WUŚL, Katowice 2001, s. 295-301.
- 9 Zob. np. M. Kula, *O co chodzi w historii?* Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008, s. 59-70.
- 10 Z. Janeczek, *Działalność polityczna Ignacego Potockiego w latach 1793-1794* [w:] *Zwycięstwo czy klęska? W 190 rocznicę powstania kościuszkowskiego*, pod red. H. Kocója, Uniwersytet Śląski, Katowice 1984, s. 69.
- 11 Tenże, *Powstańcy styczniowi „Grekami Europy”. Terror i przemoc w relacjach śląskiej prasy w polskiego powstania 1863 r.*, Wyd. Akad. Ekonom., Katowice 2013, ss. 223.
- 12 M. Plachecki, *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800-1880)*, Wyd. IFiS PAN, Warszawa 2009, s. 46-47, 63-65. Autor wymienia szereg represji carskich: konfiskaty mienia za brak donosów, pobór do wojska, rewizje, łapanie, kary śmierci, odpowiedzialność zbiorową Polaków za działania powstańców. [Rec.] W. Zajewski, *Studium o „Grekach Europy”* [w:] tenże, *Trudna droga do niepodległości (XIX-XX wiek)*, Wyd. Arkana, Kraków 2017, s. 237-239.
- 13 Z. Janeczek, *Kadra dowódcza powstań śląskich* [w:] *Silva rerum antiquarum. Księga pamiątkowa dedykowana prof. zw. dr. hab. Bartłomiejowi Szyndlerowi*, pod red. R. W. Szweđa, Wyd. Akademii im. J. Długosza w Częstochowie, Częstochowa 2009, s. 349, 352, 354, 358.
- 14 H. Schampera, *Ignorowani Ślązacy*, „Res Publica”, nr 6 (1990), s. 8-16.
- 15 Relacja Bernarda Augustyna, cyt. za: *Wspomnienia Opolan*, oprac. W. Kornatowski i K. Malczewski, IW PAX, Warszawa 1960, s. 28-31, 33.
- 16 T. Łepkowski, *Człowiek i historia*, PIW, Warszawa 1977, s. 147.
- 17 M. Bloch, *ibidem*.
- 18 F. Braudel, *Historia i trwanie*, przedmową opatrzyli B. Geremek i W. Kula, przeł. B. Geremek, „Czytelnik”, Warszawa 1971, s. 59.

DARIUSZ OSTAPOWICZ (ur. 1965), absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Gdańskiego (1989), nauczyciel liceów w Gdańsku, starszy ekspert OKE w Gdańsku (1997-2002), autor i współautor: m. in. antologii tekstów źródłowych (*Od Hammurabiego do Fukuyamy*, t. 1-2, GWO 1999, *Z archiwum Klio*, t. 1-3, GWO, 2006-2008), podredaktorów szkolnych (wyd. Nowa Era 2001-2003), monografii: *Obalanie mitów i stereotypów. Od Sobieskiego do Kościuszki* (Bellona 2008), *Boreml 1831* (seria Historyczne Bitwy, Bellona 2010).

**W TYM NUMERZE
„SIEMIANOWICKIEGO ROCZNIKA MUZEALNEGO”
PUBLIKUJĄ:**

Małgorzata Derus - historyk sztuki, b. Miejski Konserwator Zabytków w Siemianowicach Śl., autorka publikacji z zakresu historii architektury Śląska, kustosz Działu Etnografii Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śl.

Piotr Dwornik - artysta śpiewak, wieloletni animator kultury w Siemianowicach Śl. i Katowicach, obecnie wraz z żoną Krystyną związany z Landestheater w Detmold k. Dortmundu

Józef Gębski - reżyser i scenarzysta, twórca ok. 100 filmów (głównie dokumentalnych); współzałożyciel, dyrektor i wykładowca Akademii Filmu i Telewizji w Warszawie; obecnie prowadzi zajęcia na Wydziale Sztuki Mediów i Scenografii ASP w Warszawie

Bogumiła Hrapkowicz-Halor - filolog polski, długoletnia dziennikarka śląskiej prasy, autorka publikacji o historii i kulturze Śląska

Zdzisław Janeczek - dr hab., historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, autor publikacji historycznych, przewodniczący Rady Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich

Agata Krzysztofik - nauczyciel historii i wiedzy o społeczeństwie, dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. J. Śniadeckiego w Siemianowicach Śl.

Krzysztof Lisowski - poeta, krytyk literacki, redaktor Wydawnictwa literackiego w Krakowie

Danuta Makarewicz-Łój - córka Jana Szczepańskiego

Katarzyna Młynarczyk - historyk i krytyk sztuki, poetka, autorka licznych publikacji o współczesnej sztuce oraz książek poetyckich

Dariusz Ostapowicz - historyk, nauczyciel, starszy ekspert OKE w Gdańsku, autor i współautor: m. in. antologii, podręczników szkolnych i monografii

Stefania Smoleń - mieszkanka Siemianowic Śląskich, podróżniczka, autorka książki „W poszukiwaniu wartości”

Zofia Strzybny - córka Jana Szczepańskiego

Beata Tomanek – dziennikarz, od lat związana z Polskim Radiem Katowice, twórczyni wielu autorskich audycji, współpracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śl.

Marcin Wądołowski – historyk, współpracownik Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śl.

Anna Maria Zadora – doktor sztuk plastycznych w zakresie konserwacji i restauracji dzieł sztuki, wykładowca akademicki w latach 2001-2015

Mieczysław Zajewski – prof. zw. dr hab., historyk, poeta, wykładowca na kierunku Europeistyki, Politologii i Dziennikarstwa w „Ateneum” Szkoły Wyższej w Gdańsku

